

TATIANA TOLSTOJ

Kyś

Tytuł oryginału Kys Kys

przekład i posłowie Jerzy Czech

Wydawnictwo: Znak 2004

A

Benedikt włożył walonki, potupał, żeby się ładnie ułożyły na nogach, sprawdził zasuwkę pieca, strząsnął na podłogę okruszyny chleba - dla myszy; okno zatkał szmatką, żeby w chacie nie wychłódło, wyszedł na ganek i wciągnął w nozdrza mroźne, czyste powietrze. Oj, jak dobrze! Nocna zamieć się uspokoiła, śnieg leży biały i solidny, niebo sinieje, wysokie kłosy stoją, ani się zachwieją. Tylko czarne zające przeskakują z wierzchołka na wierzchołek. Benedikt stał tak przez chwilę, zadarł do góry płową brodę i mrużący oczy, patrzył na zające. Warto by parę utłuc na nową czapkę, ale kamienia nie ma.

No i mięska by się zdało podjeść. Bo to ciągiem tylko myszy i myszy; dawno już się przejadły.

Kiedy się mięso czarnego zajęcia wymoczy jak należy, uwarzy w siedmiu wodach, a jeszcze posuszy na słońcu przez tydzień czy dwa i podusi w piecu, to nie będzie trujące.

Ma się rozumieć, jeśli się trafi samiczka. Bo jeśli samiec, to możesz gotować, ile chcesz - ciągiem będzie taki sam. Kiedyś tego ludzie nie wiedzieli, jedli z głodu i samce. A teraz się zmiarkowali: kto samca zje, temu na całe życie w piersiach zostaną chrypy i bulgoty. Nogi od tego usychają. A jeszcze z uszu wyrastają włosy: czarne, grube, i brzydki zapach od nich idzie.

Benedikt westchnął: czas do roboty; zapiął siermięgę, zawarł drzwi chaty drewnianą belką i jeszcze podparł kijem. Ukraść z chaty nie ma czego, ale już tak się przyzwyczaił. I mateczka nieboszczka zawsze tak robiła. W dawnych czasach, przed Wybuchem - opowiadała - ludzie wszystkie drzwi zamykali. Od matki nauczyli się sąsiedzi i tak się przyjęło. Teraz cała ich osada podpierała drzwi kijem. Może to zresztą i swywola.

Na siedmiu wzgórzach położony jest Fiodoro-Kuźmiczów, grodek nasz kochany. Benedikt szedł, poskrzypując świeżym śniegiem, napawając się lutowym słońcem, radując znajomymi uliczkami. Tam i sam rzędy czarnych chat - za wysokimi płotami, za tarcicowymi wrotami. Na drągach kamienne garnce schną albo drewniane dzbany; czyj domek wyższy, ten i dzbany ma lepsze, a niektórzy i całą beczkę na drąg wsadzi, żeby w oczy kłuła: patrzcie, ludkowie, jak bogato sobie żyję! Taki nie drałuje pieszo do roboty, ale sańmi jeździ, wymachuje knutem. A do sań wygenerat jest zaprzężony, biegnie, walonkami tupie; błady, zmydlony, język na wierzch wywalił. Dopędzi do Chaty Pracy i stanie jak wkopany w ziemię wszystkimi czterema nogami, i tylko kosmatymi bokami robi: chy, chy, chy, chy.

Jak toto oczami przewraca, oj, jak przewraca... I zęby szczerzy. Rozgląda się...

A niech diabeł porwie tych wygeneratów! Lepiej się od nich trzymać z daleka. Straszni są i nie wiadomo, czy to ludzie, czy nie: gęba niby ludzka, ale tułów pokryty sierścią i biegają na czworakach. A na każdej nodze mają po walonku. Powiadają, że ci wygeneraci żyli nawet przed Wybuchem. Kto wie, może i tak.

Mrozik teraz, para bucha z ust i cała broda szronem się pokryła. A przecie jak błogo! Chaty stoją mocne, czarne. Wzdłuż płotów zasy py wysokie, a do każdych drzwi wydeptana ścieżynka. Białe wzgórza gładko zbiegają w dół i gładko się wznoszą, falują. Po zaśnieżonych stokach ślizgają się sanie, za saniami niebieskie cienie, śnieg mieni się wszystkimi barwami, a za wzgórzami wstaje sionko i na modrym niebie też igra tęczowym światłem. Jak oczy zmrużysz, to od słońca promienie idą koliskami, a jak się puszysty śnieg naciśnie walonkiem - to się zaiskrzy, jakoby dojrzałe świetlaki zadrżały.

Benedikt pomyślał o świetlakach, wspomniął mateczkę i westchnął: przez te właśnie świetlaki pomarła, bidaczka. Bo fałszywe były.

Na siedmiu wzgórzach leży gród Fiodoro-Kuźmichów, a wokół grodu pola nieogarnione, ziemie niepoznane. Na północy lasy nieprzebyte, od wichru połamane, gałęzie w nich się posplatały i nie dają przejść, kłujące krzaki czepiają się portek, a konary czapkę ci z głowy zerwą. Starzy ludzie powiadają, że w onych lasach mieszka kyś. Siedzi na ciemnych gałęziach i krzyczy tak dziko i żałośnie: kyyyyś, kyyyyś! A zobaczyć go nie można. Ot, pójdzie człek do lasu, a kyś mu z tyłu na plecy: hop! I kark zębami: trrrrach! Najważniejszą żyłkę wymaca pazurem i przetnie, a wtedy cały rozum z człeka wyleci. Wróci taki z powrotem i już nie ten sam, i oczy nie te same. Idzie, drogi nie baczący, jako to bywa, kiedy na ten przykład ludzie we śnie chodzą, do miesiąca wyciągają ręce i palcami ruszają; niby śpią, a chodzą. No to złapią takiego i prowadzą do chaty. A niekiedy dla śmiechu podstawia mu pustą miskę, łychę wetkną do ręki: jedz, mówią, a on jakoby i je, z pustej miski czerpie, do ust niesie i gębą rusza, a potym jakoby chlebem miskę wycierał, a chleba w ręku nie ma. Rodzina, rzecz jasna, ze śmiechu się dusi. Sam nic zrobić, nawet wypaskudzić się nie umie; za każdym razem na nowo trzeba mu pokazywać. No, jeśli żona czy tam matka go pożałuje, to ze sobą do plugawej komórki wiedzie; a jeśli doglądać go nie ma komu, to już jakoby umarł: pękł bąbelek i nie masz go.

Tak to kyś ludziom robi.

Na zachód też lepiej nie chodzić. Chociaż tam nawet droga jest: niepozorna niby ta ścieżynka. Idziesz, idziesz, już i miasteczko z oczu znikło, od pół słodkim wiatrem powiało; wszystko pięknie-ładnie. No i nagle, powiadają ludzie, stajesz. Stoisz. I myślisz sobie: a dokąd to się wybieram? Czego mi tam potrzeba? Czegóż to niby nie widziałem? Abo

tam lepiej będzie? I nagle tak człek samego siebie pożałuje! Myśli: zostawiłem swoją chatę, gospodyni w niej może płacze, spod ręki w dal popatruje. Po podwórzu kury biegają, ani chybi też się stęskniły. W piecu napalone, wyrko miękkie, myszy się szwendają... I jakoby robach serce toczył a toczył... No to plunie człek i nazad się wróci. A bywa, że i pobiegnie. A już jak z daleka zobaczy swoje garnce na płocie, to mu aże ślozy z oczu popłyną. Jej Bogu, toć na arszyn bryzgają! Niech tak skonam!

Na południe nie można. Przecie tam są Czeceńcy. Najpierw ciągiem stepy, stepy - aże oczy człek wypatrzy - a za stepami Czeceńcy. Pośrodku grodu stoi wieża strażnicza z czterema oknami, i przez wszystkie cztery okna *patrzą* strażnicy. Wypatrują Czeceńców. Może nie tyle, rozumie się, wypatrują, ile błotną rdzę kurzą i grają w patyczki. Ściśnie któryś w pięści cztery patyczki: trzy długie, jeden krótki. Kto wyciągnie krótki - tego przytkną w nos. Ale *zdarza*, się, że i przez okienko popatrzą. Jak zobaczą Czeceńców, to mają krzyżeć: „Czeceńcy! Czeceńcy!”, a wtedy ludzie zbiegną się ze wszystkich osad, kijami w garnce zaczną tłuc, Czeceńców straszyć. To w końcu ich przepłoszą.

Raz dwoje takich podeszło z południa pod gród, staruszek i staruszka. My dalej tłuc w garnce, tupać, krzyżeć, a Czeceńcom nic to, tylko głowami kręć. No, a my - który śmielszy był - wyszliśmy im naprzeciw z uchwyty, wrzecionami, co tam kto miał. Jacy to, znaczy się, ludzie i czego chcą.

- My, ludkowie kochani, z południa. Drugi tydzień idziemy i całkiem już nie czujemy nóg. Przyszliśmy handlować rzemykami, może macie jaki towar.

A jaki tam u nas towar. Myszy jemy i tyle. „Myszy - nasza ostoja”, tak uczy Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego. Ale ludzie u nas litościwi, zebrali po chatach, co mieli, powymieniali na rzemyki i odprawili tamtych z Bogiem. Potym wiele o nich gadano. Wszyscy wspominali, jak wyglądali, co za bajki prawili i po co do nas przyszli.

No, wyglądali całkiem jako my, zwyczajnie: staruszek siwy, w łapciach, staruszka miała chustkę, modre oczy i różki na głowie. A bajki powiadali długie i smętne; choć Benedikt mały był wtedy i głupi, to uszu dobrze nadstawiał.

Powiadali, że na południu jest sine morze, a na onym morzu wyspa, na wyspie domek, a w nim stoi złote wyrko. Na wyrku dziewczyna, co jeden włos ma złoty, drugi srebrny. Dziewczyna warkocz swój rozplata, a kiedy całkiem rozplecie, wtedy koniec świata przyjdzie.

Nasi słuchali, słuchali, potym rzekli:

- Co znaczy „złoty” i co *znaczy* „srebrny”?

A tamci:

- „Złoty” to jakoby ogień, a „srebrny” to jako blask miesiąca, albo na ten przykład jako się świetlaki świecą.

Nasi wtedy:

- Aha. No to jeszcze coś opowiedzcie.

A Czeczeńcy:

- Jest sobie wielka rzeka, pieszo trzy lata trzeba stąd iść. A w onej rzece mieszka ryba sinopiórka. Gada ludzkim głosem, śmieje się, płacze i pływa po rzece tam i sam. Jak w jedną stronę popłynie i się zaśmieje - wtedy zorza wstaje, słońce wychodzi na niebo i robi się dzień. A jak nazad popłynie, to płacze, mrok niesie ze sobą, ciągnie miesiąc na ogonie, a łuski onej ryby to gwiazdki.

Nasi znowu:

- A nie słyszeliście może, skąd się zima bierze, i skąd lato?

Stara mówi:

- A nie słyszeliśmy, uczciwie powiem, żeśmy nie słyszeli. Ale prawda, że niejeden się temu dziwuje - po co zima, kiedy latem milej? Ani chybi za nasze grzechy.

Stary jednakowoż pokręcił głową:

- Nie - mówi. - Wszystko musi mieć wyjaśnienie w naturze. Mnie - powiada - jeden podróżny to wyjaśniał. Na północy stoi drzewo, co wierzchołkiem sięga do samych chmur. Drzewo czarne, koślawe, a kwiatki na nim białe, małe jak ten kurz. Mróz na tym drzewie mieszka, stary jest, brodę za pas nosi zatkniętą. Kiedy pora na zimę przychodzi, kiedy kury łączą się w stada i na południe odlatują, wtedy mróz bierze się do roboty. Skacze z gałęzi na gałąź, klaszcze i dogaduje: du du du, du du du! A potem jak nie świśnie: szszsz! Wiatr się wtedy podnosi i sypie na nas te kwiatki - to właśnie śnieg. A wy się pytacie: po co zima?

Nasi ludkowie powiadają:

- Ano, słusznie powiadacie. Tak być powinno. Ale ty, dziadku, nie boisz się tak drogami chodzić? A nocą jak? Leśnego licha nie spotkałeś?

- Oj, spotkałem! - powiada Czeczeniec. - Całkiem blisko widziałem, ot, jak was teraz widzę. To posłuchajcie. Zachciało się mojej starej pojeść świetlaków. Przynieś, przynieś, marudzi. A świetlaki onego roku urosły słodkie, ciągliwe. Tom poszedł. Sam.

- Jak to sam? - zdumieli się nasi.

- A tak to! - pochwalił się Czeczeniec. - Słuchajcie dalej. Idę sobie, idę, a tu się ściemniło. Nie żeby bardzo, ale tak szaro się zrobiło. Idę ci ja na paluszkach, żeby świetlaków nie spłoszyć, i nagle: szu szu szu! Co to? Patrzą: nikogo nie ma. Znowu idę. I znowu: szu szu

szu. Jakoby ktoś ręką wodził po liściach. Tom się jeszcze raz obejrzał - znowu nikogo nie ma. Jeszcze jeden krok. I nagle widzę je tuż przed sobą. Dopiero co nic nie było, i już jest. Tylko rękę wyciągnąć. Nieduże takie. Mnie może po pas albo po cycki. Całe jakoby ze starego siana utoczone, oczka czerwono się świecą, a zamiast stóp ma łapki. I tak tymi łapkami po ziemi tupie i dogaduje: ciapu-ciapu, ciapu-ciapu, ciapu-ciapu... Oj, jakim uciekał! Nie wiem nawet, kiedym się w domu znalazł. No i nie dostało się starej świetlaków.

Wtedy dzieciątka, które tego słuchały, mówią:

- Opowiedzcie, dziadku, jakie jeszcze w lesie są siły nieczyste.

Nalali staremu kwasu jajecznego, a ten zaczyna:

- Młodym był jeszcze, gorącą głowę miałem. Nie bałem się niczego. Kiedyś trzy bierwiona wraz obwiązałem łykiem, spuściłem na wodę - a rzeczka nasza jest bystra, szeroka - siadłem na nie i płynę... Słowo daję! Baby na brzeg się zbiegły, krzyk, pisk, wszystko jak trzeba. Gdzie kto widział, żeby człek po wodzie pływał? Teraz, jak mówią, ludzie drzewo drążą i puszczają na wodę. Jeśli to, rzecz jasna, nie łgarstwo.

- Nie łgarstwo, nie łgarstwo! To nasz Fiodor Kuźmicz wymyślił, niech się sławi imię jego! - wołają nasi, a Benedikt najgłośniej ze wszystkich.

- Może i Fiodor Kuźmicz. My tam nieuczeni, nie wiemy. Nie o to idzie. Niczego, powiadam, się nie bałem. Ani rusałek, ani wodnika-pęcherzyka, ani uparciuszki nadrzecznej. Nawet rybkę wiercełbkę złapałem do wiadra.

- Eee - powiadają nasi. - Tu już, dziadu, przesolił.

- Prawdę mówię! Niech moja stara poświadczy!

- Prawda to - mówi stara. - Tak było. Oj, jakim go wyzywała! Wiadro mi zapaskudził, musiałam je spalić. A nowe przecie zanim się wydrąży, zanim się wygarbuje, nasmołuje i przesusza trzy razy, i rdzą okurzy, i sinym piaskiem natrze - com ja się natrudziła, ręce sobie urobiłam po łokcie. A temu nic - bohater. Cała wieś potym chodziła na niego patrzeć. Nawet niektórzy się bali.

- To się rozumie - nasi na to.

Stary zadowolony.

- Za to może jeden taki na świecie jestem - chwali się - żeby wiercełbkę tak blisko zobaczyć, ot, jak was teraz widzę, i zostać żywym. A co?! Wyrwidębem byłem. Waligóra! Nieraz to jak się rozedrę! Pęcherze pękały w oknach. A ile rdzy naraz wypić mogłem! Całą bekę.

A matka Benedikta, co siedziała tuż obok, mówi, przez zęby cedzący:

- A była z waszej siły jakaś konkretna korzyść? Zrobiliście kiedy coś społecznie pożytecznego?

Stary się obruszył.

- Co tam korzyść! Ja, kochana, za młodu mogłem na jednej nodze doskakać jak stąd - o - do tamtego pagórka! A nie żadna korzyść. Mówię ci, nieraz, jakem zakrzyknął, to słoma z dachów się sypała. W naszym rodzie wszyscy tacy byli. Mocarni. Niech stara powie, czy lżę. Mnie jak odcisk abo czyrak wyskoczy - to wielgi jako pięść. Nie mniejszy. A przyszcze to, powiadam ci, takie miałem. Takie! A ty mówisz - korzyść. Jak chcesz wiedzieć, mój tatko, kiedy się czasem po głowie podrapał, to pół wiadra łupieżu natrząsł.

- No, dobra, dajcie spokój! - nasi podnieśli szum. - Obiecałeś, dziaduniu, mówić o sile nieczystej.

Ale dziadek widać nie na żarty się rozeźlił.

- Nic wam nie powiem. Jak przyszlście słuchać... to słuchajcie, zamiast się wserniczać! Całe rozmarzenie mi zepsułaś. Pewnie to z Dawnych, poznają po mowie.

- Oj, tak. - Nasi łypią oczami na matkę. - Z Dawnych... Dalej, dziadku, mówcie.

Czczeniec opowiedział jeszcze o strachach leśnych, o tym, jak się ścieżki poznaje: które istne, a które zwodne, które jeno mgła zielona, zawierucha trawiasta, czarodziejstwo i omam-wszystkie znaki zdradził. O tym, jak rusalka o świcie śpiewa, swoje wodne pieśni gulgocze. Najsamprzód tak nisko, głęboko: y, y, y, y, y, potem wyżej: ouaa, ouaaa - pilnuj się wtedy, chłopie, miej na baczności, bo cię do rzeki wciągnie. A kiedy piosnka jej do pisku dojdzie: iiiich, iiiich! - to już leć, ani się oglądaj. Opowiedział o łyku zamówionym i jak się go trzeba strzec; o Pysku, co ludzi za nogi chyta; i o tym, jak się rdzy najlepszej szuka.

Wtedy wysunął się Benedikt:

- Dziadku, a kysia widzieliście?...

Spojrzeli na niego wszyscy jak na głupiego. Nic nie powiedzieli. Nikt nic nie odrzekł.

Pożegnaliśmy nieustraszonego staruszka i znowu w grodku nastąpiła cisza. Baczenie mieli odtąd większe, ale już nikt nas od południa nie napadał.

E, nie, my coraz częściej chodzimy na wschód od grodu. Tam lasy są jasne, a trawy-murawy - długie. W trawach są kwiatki modre i miłe, a jak się ich narwie, jak się je wymoczy, ubije i rozczesze, to nitki prząść można, płótna tkać. Nieboszczka matka bardzo była do tego rzemiosła małobystra, wszystko jej z rąk leciało. Nitkę wtyka - i płacze, płótna tka - słozami się zalewa. Mówi, że przed Wybuchem wszystko było inaczej. Pójdzie się, powiada, do MARKIETU i bierze, co chce, a jak się nie spodoba, to człek nosem kręci, nie to

co teraz. Ten ichni MARKIET był jako nasz Skład, tylko tam dobra wszelakiego było więcej i wydawali je nie w Dni Składowe, tylko cały dzień drzwi stały otworem.

Jakoś się nie chce wierzyć. Znaczą się, każdy mógł wejść i zabrać? To chyba stróżów by nie wystarczyło! Naszych przecie tylko wpuścić: rozdrapaliby wszystko do ogryzeczka. A ilu ludzi by podeptali? Przecie każdy jak do Składu idzie, to tylko na boki zerka: komu co dali, ile i dlaczego nie jemu?

A zerka po próznicy, bo więcej, niż się należy, nikt nie wyniesie. Lepiej nawet za bardzo się nie gapić na cudzy talun: zaraz ci Składowi nakładą po łbie. „Dostałeś - powiedzą - swoje i zjeżdżaj! A jak nie, to i przydziałowe ci odbierzemy”.

Ot, na ten przykład wraca się ze Składu z kobiałkami, pospiesza do dom i co rusz do kobiałki sięga: Mam wszystko czy nie? Może czegoś nie dołożyli? Abo w ciemnej uliczce ktoś się z tyłu podkradł i chapnął?

Bo i tak się *zdarza*. Szła raz matka ze Składu, a wydali jej wronie pióra. Na pierzyne. A lekkie są, to się niesie, jakoby się nic nie niosło. Przyszła do domu, podnosi płótno: ludkowie kochani! Piór nie ma, a zamiast piór - gówienka. Matka w płacz, a ojciec - w śmiech. Taki to się złodziej wesoły trafił - mało że zwinął dobro, to jeszcze i podśmiechując uczynił: „Patrzcie - powiada - ile warte te wasze pióra. Naści!”.

A pióra znalazły się u sąsiada. Ojciec dalej go na spytki: „Gdzieś dostał? Na targowicy. Na co wymieniłeś? Na walonki. U kogo?”. Sąsiad zaczął kręcić: „A ja co, a ja nic, ja się rdzy napiłem” - co z takim gadać? No i dali mu spokój.

A co w Składzie dają? Ano, kazionną kiełbaskę z mysiny, mysie sadło, mąkę z chlebiody, pióra (już było mówione), jeszcze walonki, jasna sprawa, uchwyty, płótno, kamienne garnce... Wychodzi, że rozmaicie. Czasem nakładą do kobiałki zaśmiardłych świetlaków - jak się zaśmiardły, to zaraz je ludziom wciskają. Po dobre świetlaki trzeba iść samemu.

Akuratnie na wschód od grodu rosną lasy klosnowe. Klosna to najlepsze drzewo. Pień ma jasny, żywiczny, z naciekami, liście wystrzygane jakoby łapy, zdrowy zapach od nich idzie; jednym słowem - Klosna! Szyszki wielgie jako ludzka głowa, a orzeszki w nich - sama słodycz! Oczywista, jak się je wymoczy. Bo inaczej do ust ich nie ma co brać. Na najstarszych klosnach, w głuszy, rosną świetlaki. Smakołyk nie lada: słodki, krągły, ciągliwy. Dojrzałe świetlaki są wielgości ludzkiego oka. Nocą świecą srebrnym światłem, jakoby miesiąc puścił promień przez liście, a w dzień się ich nie zobaczy. Wyjść trzeba do lasu za widna, a jak się ściemni, jeden drugiego za ręce bierze i wszyscy idą łańcuchem, żeby się nie pogubić. A jeszcze uważają, żeby się świetlak nie zmiarkował, że to ludzie idą. Odrywać je

trzeba szybko, bo się świetlak spłoszy i narobi wrzasku. Insze ostrzeże, a tamte zaraz pogasną. Pewnie, że można rwać i po omacku. Ale nikt nie rwie. A jak się zerwie fałszywy? Fałszywe jak świecą, to jakoby czerwony ogień przez siebie przepuszczały. Takimi to właśnie, fałszywymi, otruła się w swoim czasie mateczka. Gdyby nie to, jeszcze by żyła sobie a żyła.

Dwieście trzydzieści i trzy latka przeżyła mama na tym świecie. I nie zestarzała się. Jaka była rumiana i czarnowłosa, takiej jej oczy zamknęli. Tak to już jest, że kto nie fajnął podczas Wybuchu, ten się już nie zestarzeje. To taki Effekt. Jakoby coś się w nich zaklinowało. Ale takich jest ilu? Jedno, dwoje... i już. Reszta w ziemi leży: jednego kys zepsuł, drugi zającami się otruł, a mateczka akurat świetlakami...

A ci, co się urodzili po Wybuchu, mają Efekty insze, najróżniejsze. Jeden - ręce niby zieloną mąką obsypane, jakoby w chlebirdzie grzebał, inszy - skrzela, jeszcze inszy - grzebień koguci abo co tam jeszcze. A bywa, że żadnych Effektów nie ma, chyba że na starość pryszczę z oczu wychyną abo we wstydlwym miejscu broda rósć pocznie do samych kolan. Abo znowuz nozdrza na tych kolanach wyskoczą.

Benedikt kiedy niekiedy dopytywał się matki: skąd się wziął Wybuch? Ale mateczka za dobrze nie wiedziała. Pono ludzie MASSOWO się razili, aże się w końcu przerazili. „Nawet - powiada - pisać nie zdążyliśmy”. I płacze. „Dawniej - mówi - było lepiej”. A ojciec - ten już urodził się po WYBUCHU - wściekał się na nią:

- Po co dawne czasy wspominać! Jak żyjemy, tak żyjemy! Nie myśmy ten świat stworzyli!

A mateczka do niego:

- Wieśniak! Troglodyta! Cham!

On ją dalej za włosy targać. Matka w krzyk, sąsiadów wzywa, ale sąsiedzi nawet okiem nie mrygną. „Słusznie, że mąż żonę uczy. Nie nasza sprawa. Bity garnek dwa wieki przetrwa”. Ojciec złościł się na mateczkę: ciągiem młoda i młoda, a z nim coraz gorzej. Zaczął utykać na nogę, a oczy, skarżył się, jakoby ciemna woda zasłoniła.

Matka do niego:

- Nie śmiej mnie tykać! Na ŁUNIWERSYCIE się uczyłam!

A ojciec:

- Ja ci zaraz dam łuniwersyt! Pasem cię przyodzieję! Dałaś synowi pieskie imię, na całą osadę osławiłaś!

I tak ubliżać, tak bluźgać zaczynał - i nie uspokoił się, póki całkiem brody nie zapluł. Srogi był tatko. Jak się nakrzyczy, to się umęczy; nasączy pełny dzban piwa i ulula się do

utrąty uczucia. A matka włosy przygładzi, spódnicą się obetrze, weźmie Benedikta za rękę i zaprowadzi na wysokie wzgórze nad rzeką. Wiedział już, że tam kiedyś mieszkała, przed Wybuchem. Stała tam czteropiętrowa chata mateczki, a mateczka mówiła, że bywały i wyższe, palców nie starczyłoby człękowi, żeby przeliczyć wszystkie piętra. To niby jak, zdjąć walonki i liczyć na nogach? Wtedy Benedikt dopiero uczył się liczyć. Na kamuszkach liczyć jeszcze za wcześnie. A teraz powiadają, że Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, wynalazł pręciki do liczenia. Mówią, że trzeba przewiercić drewnianka, nanizac na pręciki i przesuwac z prawa na lewo. Wtedy, jak mówią, tak szybko się liczy, ażę strach! Tylko samemu liczyć nie wolno. Kto ma potrzebę, niech przyjdzie w dzień targowy na targowicę, zapłaci, ile trzeba - biorą i w płótnie, i w myszach - a potem liczy sobie, ile wlezie. Tak mówią, a prawda to czy nie - kto tam może wiedziec?

Przyjdzie matka na wzgórek, siadzie na kamuszkach, łzami-słozami gorącymi się zaleje, to swoje przyjaciółki, kraśne dziewczeczki, wspomina, to znowu MARKIETY jej się przedstawiają. A wszystkie, mówi, ulice były pokryte ASFALDEM. To była taka mazia, twarda, czarna; jak człek stąpnął, to się nie przewrócił. Jeśli tedy pogoda letnia, to tak siedzi matka, zawodzi, a Benedikt bawi się w błotku, babki z gliny lepi abo znowu narwie żółcioszków i wtyka w ziemię, jakoby płotem grodził. A wokół przestwór wielgi: ano te wzgórza, ano te ruczaje, ano wiaterek ciepły duje i trawką kołysze, a po niebie słońko jako ten wędrowniczek nad polami, nad lasami zmierza za Błękitne Góry.

A zowie się nasz grodek ojczysty Fiodoro-Kuźmiczów. Przedtem, mówi matka, zwał się Iwano-Portfirów, jeszcze wcześniej Sergiejo-Sergiejów, a dawno temu zwał się Południowe Składy, a już całkiem dawno - Moskwa.

BE

Benedikt od małości był przyuczony przez ojca do wszelkiej roboty. To przecie nie żarty zrobić kamienny topór. A on potrafi. Chatę zbudować - zbuduje. Jak chcesz, to na nakładkę, a chcesz, to w jaskółczy ogon, jak kto woli. Piec też umie zbudować. Łażnię zrobić. Ojciec, co prawda, nie lubił się myć. „Miedźwiedź - powiada - nie myje się i też żyje”. A Benedikt lubi. Wlezie do łaźni, do ciepłego wnętrza, chluśnie na kamieniu jajecznym kwasem, żeby duch poszedł, wyparzy klosnową mietelkę, i dalej prac się po bokach!

Obeznany jest też Benedikt z kuśnierstwem, umie wycinać rzemyki ze skóry zająca, czapkę uszyć - nic dla niego nie za trudne. A tu jeszcze spróbuj tego zająca złapać. Ty chcesz w niego kamieniem trafić, a on - fru! I tyłeś go widział. Tak że odzież kroimy przeważnie z mysiej skórki, a ona już nie taka poręczna. Wiadomo: z wielkiego się wykroi, a małego i zębami nie naciągniesz.

Jednym słowem, wszystko robi w gospodarstwie. No bo jakże inaczej? Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, ogłosił: „Gospodarstwo to dzieło rąk każdego, sam się nim zajmuj”. Ojciec Benedikta aż do samej śmierci był drwalem i zamyślał Benedikta przyuczyć do tego rzemiosła. A Benedikt wolał pójść na rozpalacza. To go nęciło. Ma rozpalacz mir i uważanie, wszyscy przed nim czapkują, a on idzie, nikomu się nie odkłoni, taki hardy.

No a poza tym, jakże to bez ognia? Ogień karmi nas, ogrzewa, ogień piosnki przy tym śpiewa. Jak umrze, to i my na ławkach się pokładziemy, oczy zakryjemy kamuszkami. A był pono taki czas, że ludzie ognia nie znali. To jak żyli? Ano żyli: pełzali w ciemnościach jako te ślepe robaczy. A ogień dał ludziom Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego. Oj, niech się sławi! Zginęlibyśmy bez Fiodora Kuźmicza, oj, zginęli! Wszystko to on postawił i zbudował, ciągiem główkę swoją jasną za nas suszy, дума a дума! Wysoko wznosił się dom Fiodora Kuźmicza, kopułką słońce przesłonił. Dniem i nocą nie śpi Fiodor Kuźmicz, ciągiem po izdebce chodzi tam i sam, bujną brodę głaszcze, o nas, ludków, się frasuje: czyśmy aby syci-napojeni, czy nie stała to nam się jaka szkoda, a może rana.

Są u nas mali baszowie, ale Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, to Najwyższy Basza, oby żył długo. Kto wymyślił sianie? Fiodor Kuźmicz. Kto domyślił się, że z drzewa koło można wyciosać? Fiodor Kuźmicz. Nauczył nas drążyć kamienne garnce, łapać myszy i zupę warzyć. Dał nam rachunek i pismo, bukwy duże i małe, nauczył zdzierać korę brzożową, księgi z niej szyć, z błotnej rdzy gotować atrament, rozszczepiać patyczki pisarskie i maczać

w tym atramencie. Nauczył łódki dłubanki robić z drewna i spuszczać na wodę, nauczył na miedźwiedzia z rohatyną chodzić, z miedźwiedzia pęcherze wyjmować, rozciągać je na kolkach i kryć błoną okna, żeby światła nawet zimą starczało.

Tylko żebyś miedźwiedziej skóry ani mięsa brać sobie nie śmiał: mali baszowie bystro dozorują. Wara prostemu ludzikowi chadzać w miedźwiedziej skórze. I to trzeba zrozumieć: jakże basza bez szuby sańmi jeździć będzie? Migiem by zmarł. A my piechotą biegamy, to nam ciepło, i nawet siermięgę człek rozepnie, tak się zgrzeje. Czasem wszelako łaskoczą człeka płocze myśli: i ja bym chciał sanie, szubę i... Eee, wszystko to swywola.

Chciał Benedikt, oj, chciał pójść na rozpalacza. Ale mateczka - nie, za nic w świecie. „Tylko skryba” - powiada. Ojciec go na drwala ciągnął, mateczka na skrybę pchała, a on sam marzył, że będzie sobie szedł środkiem ulicy - hardy taki, brodę do góry zadrze, ogniowy garniec niesie na sznurku - tylko iskry z dziurek się sypią. A i robótka małościęzka: nabrałeś węgla u Najwyższego Rozpalacza, Nikity Iwanycza, zaniósłeś do domu, w piecu napaliłeś, a teraz siedź sobie i przez okno popatruj. Niezawodnie zastuka ludzik z sąsiedztwa abo z Głuchego Krańca się pokwapi, z dalekiej strony:

- Ojczulku Rozpalaczu, Benedikcie Karpyczu, dajcie ognia! Moja stara się zagapiła, durna, a piec wziął i wygasł. A my dopiero co mieliśmy placki piec, i cóż tu mamy począć...

A ty się nachmurzysz, zastękasz, jakobyś ze snu się obudził, oderwiesz niechętnie zad od wyrka abo taburetu, przeciągniesz rozkosznie - uuuuch! Podrapiesz się po głowie, spluniesz i udasz, żeś niezadowolniony:

- Oj, ludkowie, ludkowie, nic się nie możecie nauczyć! Palanty jedne... Ognia upilnować nie umiecie... Dla wszystkich, kochaneczku, węgielków nie nastarczę! A ty wiesz chociaż, gdzie po te węgielki trzeba chodzić, co?... Aaaa... No właśnie... A co to ja, państwowe nogi mam? Oj, jacy to ludzie... Inszy by gwizdał na was, nie zadawał się z takimi... A ci przyłazą i przyłazą. Sami nie wiedzą, po co... No, to czegoś chciał? Węgielków?

I tak go pytasz, jakobyś nie wiedział, czego to mu potrzeba, i patrzysz ponuro, a gębę wykręcasz, jakoby ci z niej od rana śmierdziało abo womit jakobyś miał zaraz puścić. A to jeno służba. Człek na posadzie taką już Powinność ma. Ludzik znowu zaczyna marudzić:

- Benediiiiikcie Karpowiiiczuuuu, ojczuuulkuu, poomóóóćcie, kochaanyyy. Już ja to wam pamiętać będę... Oj, jak pamiętać... Ja tu właśnie tego... Placuszków gorących... Przyniosłem... Ostygły troszeczkę... Zlitujcie się...

Wtedy trzeba burknąć pod nosem: „Placuszki...”, ale samemu nie brać, broń Boże - ludzik wszystko wie, sam w kąciku położy wszystko, co trzeba, a ty ciągiem o „placuszkach”, ze złością, ale tak nie za bardzo. Żeby głos się zniżył, w burczenie przeszedł. Wtedy

niespiesznie, zwlekający nieco, szufelką węgielków nagarnij, przez ramię do ludzika mruknij: „Garniec przyniosłeś?”. „A jakże, ojczulku, a jakże! Pomogłeś, kochany...” - no i odrobinę mu tam nasypiesz. Kiedy takie właśnie, państwowe, do sprawy podejście masz, to i u ludzi będziesz miał уваżanie: „Surowy jest ojculek nasz, rozpalacz!” - powiedzą, a i siurpryzy po nich się ostają. Jak drzwi się za ludzikiem zamkną, to ukradkiem przez okienko spojrzysz: poszedł? I do zawiniątka. Ciekawe, czego przyniósł. Może naprawdę placuszków? Może sadła? Jajco pieczone? Niektóry, bidniejszy, po prostu rdzy narwie. Też ujdzie.

Eeech, rozmarzysz się czasem! Bo wyszło na matczyne. Uparła się: „Trzy - powiada - były pokolenia JENTELIGENCYI w rodzie, nie dopuszczę do przerwania TRADYCYI”. Eeej, matulu! Do Nikity Iwanycza biegła na pogaduchy i do chaty go wlokła za rękaw, żeby razem na ojca naciskać; rękami machała przed nosem, i pisk podnosiła. Ojciec w końcu plunął na wszystko: „Aaaa... a idźcie wszyscy, żeby was... Róbcie co chcecie... Tylko żebyście potem nie narzekali”.

No więc mateczka postawiła na swoim. Benedikt wyuczył się na fest abecadła, po naukowemu - alfabetu, a to jest łatwe: A, be, we, ge, de, je abo jo, że, ze, i, i krótkie, ka, eł, em, en, o, pe, re, se, te, u, fe, ce, che, cze, sza, szcza, twardy znak, y, miękki znak, e odwrotne, ju, ja, a jeszcze oczywiście nauka każdej bukwie nadaje uczoną nazwę: Aż, Buki czy tam Wiedi. Chodzi teraz Benedikt do roboty, do Chaty Pracy. Cóż, robota też nie najgorsza. Przyjdzie się, a tam już napalili, świece z mysiego sadła zaświecili, śmieci wymietli - miło i błogo. Wydadzą mu brzozowe zeszyty, wydadzą zwój, *zaznaczą*, co ma spisywać - odtąd dotąd - i siedź sobie w ciepłe, przepisuj. Tylko trzeba zostawić miejsce na rysunki. A później Oleńka duszeńka swoją białą rączką rysunki naniesie, kurkę narysuje czy tam krzaczek. Nie można powiedzieć, żeby podobne było, aleć zawsze oko ucieszy.

Benedikt spisuje wszystko, co napisał Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego: bajki, pouczenia abo wiersze. Już takie Fiodorowi Kuźmiczowi, niech się sławi imię jego, wiersze zgrabne wychodzą, że czasem ręka człekowi zadrży, oczy mgłą zajdą i jakoby omdlał, i popłynął dokąds abo czasem jakoby kołek w gardle mu stanął i przełknąć nie dało rady. Jeden wiersz jasny, każde słowo zrozumiesz, a inszy - tylko głową kręcisz. Niedawno Benedikt przepisywał:

*Wyniosłe wyżyny,
W mrokach nocy giną;
A ciche doliny*

*Mgłą spowite siną,
Droga się nie pyli
I nie drżą listeczki...
Odpoczniesz po chwili,
Poczekaj troszeczkę.*

[Przeł. Albert Korczak-Komorowski.]

To zrozumie nawet głupi. Ale już na coś takiego:

*Bezsennaś.
Homer wieszcz.
I naprężone żagle.
Jam do połowy spis okrętów już przeczytał.
Ów długi ptasi leg, owa żurawia świta,
Co niegdyś nad Helladą uniosła się nagle...
- tylko chrząkniesz i podrapiesz się po brodzie.*

Abo jeszcze taki:

*Nardu woń i cynamonu,
Aloesu zapach błogi...
Każdy poryw akwilonu
Niesie je w domostwa progi.*

Masz ci los! No i spróbuj tu się dorożumieć, kto kogo niesie. Tak, siła wszelakich słów zna Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego. Na to jest poeta. Robota nie najlżejsza. „Dla jednego słowa zmarnujesz rad tysiące ton językowej rudy” - powiada Fiodor Kuźmicz. To dla nas tak się trudzi. A przecie i bez tego spraw tyle ma na głowie.

Ponoć wymyślił, że można z drzewa krzywą pałę wyciosać i wygiąć w łuk, a nazywać się toto ma koromysłem. Nam wszystko jedno, jak każą, to słuchamy, może być i koromysł, a po co to, dla kogo - nie nasza rzecz. Nosić na tym łuku trzeba dzbany z wodą, żeby rąk w

dół nie ciągnęło. No, może przed wiosną wydadzą komuś w Składzie takie koromysła. Najsampierw sanitarzom, żeby tak w złą godzinę nie wymówić, potym baszom, a w końcu i nam się dostanie. Do wiosny niedaleko. Ruczaje popłyną, kwiatki wyrosną, cudne dziewczuszki wdzieją sarafany... Rozmarzysz się! A Fiodor Kuźmicz napisał coś takiego:

*Wiosno, wiosno bez kresu, w rozkwicie -
bez krańca, bez kresu marzenie!
O, poznaję, przyjmuję cię, życie!
i pozdrawiam cię tarczy dzwonieniem.*

[Przeł. Seweryn Pollak.]

Tylko dlaczego „tarczy dzwonieniem”? Przecie tarcz dla ukazów jest drewniana. Jeżeli kiedy przybijesz ukaz o drogowej powinności: albo żeby samemu nikt nie śmiał sań klecić czy też kto ma jakie zaległości, na przykład za mało zdał mysiego mięsa; albo Składowy Dzień kolejny raz przesuwają - to tarcz nie dzwoni, tylko tak głucho postukuje. Ale przecie nie dla niego prawo pisane, nie dla Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego. Bo też co mówi sam o sobie: „Taką i ty się cieszysz sławą, poeto, nie dla ciebie prawo”. Nie my przecie będziemy ukazy pisać dla Fiodora Kuźmicza.

Z Benediktem w Chacie Pracy siedzą rządkiem i drudzy skrybowie. Oleńka-duszeńka rysunki rysuje. Ładna z niej dziewczeczka: oczy ciemne, kosa płowa, lica tak się świecą jako zorza wieczorna, kiedy nazajutrz wiatер zapowiada. Brwi w łuk wygięte albo - jak i teraz każą mówić - w koromysło. Szubka na niej zajęcza, walonki z podeszwami - ani chybi rodzina znamienita. Do roboty Oleńkę sańmi odwożą, po robocie znowu sanie czekają, i to nie zwyczajne, ale trojka. W zaprzęgu wygeneraci nogami przebierają, tupią; środkowy narowisty, tylko patrzeć, jak zębami chapnie, a lejcowi jeszcze gorsi. Jak tu przystąpić do takiej? Benedikt tylko wzdycha i popatruje z ukosa, a Oleńka już wie, kochaneczka: oczkami mrygnie i główką targnie. Skromnisia.

Idzie Benedikt do pracy, rozgląda się na boki, kłania Rozpalaczom, uskakuje od sań, mroźnym powietrzem dycha, sinym niebem się napawa. *Zapatrzył* się na krasawicę, co koło niego dreptała, i - łubudu! - wyrznął głową o słup. Ooo, żeby was wszystkich i w to, i w tamto, i tak, i smak, i jeszcze owak! Psiakryda, ponastawiali nie wiadomo czego!

Te słupy stawia Nikita Iwanycz, Najwyższy Rozpalacz. Matki nieboszczki stary przyjaciel. Też z Dawnych. Lat ma pewnikiem ze trzysta albo i więcej, kto go tam wie. Kto

czas policzyć? Przecie nie my. Zima-lato, zima-lato, a ile razy? Jak tak zaczniesz myśleć, to się pogubisz. Palców masz dziesięć, na nogach też dziesięć. Co prawda, są i tacy, co mają po piętnaście, a są tacy, co po dwa, jak na ten przykład Siemion z Zaświnionego Stawu, na jednej ręce dużo małych paluszków, całkiem jak korzonki, a na drugiej - figę. Taki mu przypadł Effekt.

Ten Nikita Iwanycz z matką się zadawał. Do chaty przyjdzie, nogi wytrze: „Można?” - na taburet siądzie i dalej wieść rozhowy o Dawnych Czasach.

- Polino Michajłowno, a Kuźmińskiego pamiętacie? Cha, cha, cha! A jak Wajsman przyjeżdżał, pamiętacie? Cho, cho, cho! A tego szuję Sidurczuka pamiętacie? Ciągłe donosy pisał, i gdzie są dzisiaj te donosy? Kurz z nich został i tyle! A jak Lala kawę robiła? Popiłoby się teraz kawki, co?

Matka to się śmieje, to pochlipuje, to jej MARKIETY z głowy nie chcą wyjść, to znowu nagle: „Dlaczego teraz nie ma Bzu?”.

Bez to takie kwiaty. Na drzewach, powiadają, rosły, i zapach od nich był znamienity. Oj, jak tatko nie lubił tych rozmów! Wybiegał czasem na dwór i dalej drzewo rąbać: Rrraz! Rrraz! Rrraz! Wściekaj się, ile wola, ale jakże tu Nikicie Iwanyczowi powiedzieć coś na przekór? Przecie to Najwyższy Rozpalacz.

Wszelaką robotę Benedikt zna, wszystko potrafi zмайstrować; \. insi ludkowie też ręce mają nie od parady, ognia zasię nie potrafią rozpalic. Ogień przyniósł ludziom Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, ale jak to naprawdę było, skąd go wziął, tego nie wiemy. Tutaj, choćbyś trzy dni myślał, to i tak nie wymyślisz, najwyżej cię głowa rozboli, jakobyś wypił za dużo kwasu jajecznego. Jedni mówią, że z nieba ściągnął, insi, że pono tupnął nogą Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, i na tym miejscu ziemia się zapaliła jasnym płomieniem. Wszystko może być.

A Nikita Iwanycz pilnuje ognia. Wszyscy Mali Rozpalacze chodzą do niego po ogień, nabiorą węgla do kamiennych garnców z dziurkami i do siebie do chaty niosą. Oj, jaka dobra robota! Oj, jaka dobra! Siedzisz w domu, przez okno patrzysz i czekasz na ludków z siurpryzami. Każdego dnia ludkowie chodzą do roboty: jeden w Chacie Pracy wyciera portki na siedzeniu, drugi zbiera rdzę na bagnach, inszy w polu rzepę sadzi, każdy swoje. A ogień lubi, żeby go doglądać; jak się kto spóźni do domu - wygaśnie. Ty się zagapiłeś, a węgielki ostygły. Dopiero co hulał po nich siny ogienek i każde drewnienko w środku jak żywe się świeciło, czerwone, przezroczyste, jakoby w nim kto oddychał abo słowo chciał rzec, i już po wszystkim. Milczy, szary, tępy, jakoby w nim ktoś umarł. No właśnie, umarł. Ogień umarł. Taaak... tego pojąć nie można. To tajemnica.

A gdzie tajemnica - tam już z państwem sprawa.

WE

Nikita Iwanycz wzrostu jest niedużego, szczupłej postury, bródkę ma zmierzwioną, oczka malutkie jak u kury, a na głowie włosów pełno, aż strach. W Dawnych Czasach, przed Wybuchem, był starcem sędziwym, kasłał, umierać zamierzał. Mateczce tak lubił opowiadać, powtarzał po sto razy, jakoby się tym szczycił. „Nagle - powiadał - jak nie rąbnie w cały ten kram - i macie. Żyję sobie, ludkowie, mówił, i umierać wcale nie mam zamiaru. Nawet nie próbujcie mnie namawiać”. Mateczka też umierać nie miała, zamiaru, ale świetlaki przekłete ją omamiły. A po śmierci matki Nikita Iwanycz niby nic, ale zaczął jakoby więcej milczeć, od ludzi stronić. Wiadoma sprawa: Dawnych prawie już nie masz, chyba że wygeneraci, ale co tam z nich za ludzie, a z dzisiejszymi ludkami, znaczy się z nami, już takiej rozmowy miał nie będzie. Bo i prawda: Dawni naszych słów nie rozumieją, a my ichnich też.

Czasem to takie głupstwo palną jak małe dzieci, jej Bogu. Kiedy mateczka z tatką jeszcze żyli, to gospodarstwo, ma się rozumieć, lepiej szło. I kuryśmy trzymali, i tartych robachów zapasy robili, i Kicia mieliśmy, żeby łowił myszy. Ale mateczka była leniwa i małożwawa. Lato najlepsza pora; niechby tak jajec nazbierała, żeby na zimę kwasu nagotować. Przecie jesień przyjdzie, chłody, kurze plemię na południe polecą i nie wiadomo czy wróci. Uwijać się trzeba!

A ona czasem: „Spróbujcie je - mówi - zamknąć, niech w domu siedzą, będą niosły jajca przez okrągły rok”. No?! Akurat je zatrzymasz! Dalej, łap za nogi! Tak cię w łeb dziobną, że zobaczysz! Abo inszym razem: „Szkoda - mówi - że ich jeść nie można. Oj, jak bym sobie z zadowoleniem kurkę zjadła”. Śmiech i grzech - tatko się tak zaśmiewał! „Oj, durna ty - powiada - durna! Pusta łepetyna! Klim Daniłycz zjadł kiedyś kurkę, i gdzie teraz jest? Nie dość, że pomarł - co tam zresztą: pomarł! Cały czarny się zrobił, rozdał się jako ten kłoc i pękł. Mało tego, na grobie cała ziemia osiadła i zapadła się, i światła tam pełgają niedobre, zimne. A smród taki, że dwa razy posyłali chłopów, żeby piaskiem grób zasypali i ciągiem tak samo śmierdzi”.

A Nikita Iwanycz taki sam: nic nie rozumie, a mówi. Raz powiada: „Żadnego kysia, nie ma, to tylko - mówi - ludzka ciemnota”. Aha! A kto ludziom żyłę przecina? Kto z szyi krew wypija? Co?! Jak nie wiesz, człeku, to nie gadaj. Siedź cicho i sobą się zajmuj.

To właśnie Nikita Iwanycz zaczął po całym grodzie słupy stawiać. Przed swoim domem na słupie wyrył: „Brama Nikicka”. Że niby my tego nie wiemy. A tam przecie bramy nijakiej nie ma. Zgniła. Ale niech mu tam będzie. W inszym miejscu wyryje „Kreml”. Abo

„Maneż”, „Polanka”, „Wołchonka”, „Most Kuźniecki”. Spytasz go: „Nikito Iwanyczu, czemu wy tak?”. A on: „żeby pamięć przetrwała. Póki - mówi - ja żyję, a jak widzisz, żyję i żyję, chcę wnieść swój wkład w odbudowę kultury. W końcu - powiada - za tysiąc czy dwa tysiące lat wstapicie, sęk was jechał, na cywilizowaną drogę rozwoju, światło poznania rozproszy, o ludzie zakutogłowi, mrok waszej niewiedzy i balsam oświaty spłynie na wasze zaskorupiałe zwyczaje i drogi. Oczekuję przede wszystkim - powiada - RENEZANSU duchowego, bez niego bowiem każdy płód cywilizacji technicznej obróci się w waszych poradlonych rękach w morderczy bumerang, co właściwie już się kiedyś stało. Przeto - powiada - nie patrz na mnie spode łba jak baran, wzrokiem mętym, a kiedy słuchasz, gęby szeroko nie rozdziawiaj i nogi z nogą nie splataj”.

No, najsampierw ludkowie się rozeźlili, aże strach! Rano wstaniesz, oczy przetrzesz, a tu ci przed samym oknem sterczy drąg „Arbat”. Światła w oknie i tak mało, a zimą, z pęcherzem, jeszcze mniej, a tu patrzcie go, arbat jakiś stoi jako człon wszeteczny na weselu. No to wywrócą go do takiej owakiej, na opał wezmą albo podłogę załatają. Człękowi dużo nie trzeba, żeby się rozeźlić: pokażesz mu palie, a on już zły. Nikicie Iwanyczowi w gębę nie dasz - naczałstwo przecie, ale sąsiadowi ludzikowi - owszem, proszę bardzo. Sąsiad to przecie nie lada co, nie jaki taki, nie przechodzień, nie dziad wędrowny. Sąsiad człowiekowi na to jest dany, żeby mu na sercu brzemieniem leżał, rozum mącił, nastroszenie psuł. Od sąsiada jakoby coś takiego szło, niepokój ciężki albo trwoga. Czasem przyjdzie do głowy myśl: „czemu sąsiad taki jest, a nie inszy? Czego tak?” Patrzysz na niego: wyszedł właśnie na ganek. Ziewa. Patrzy w niebo. Splunął. Znowu w niebo patrzy.

Myślisz tedy: „Na co tak patrzy? Czego tam nie widział? Stoi, stoi, a czemu tak stoi - sam nie wie”. Zawołasz:

- Ej!

- Co?

- A nic!

Co i co... Rozcokał się, cokacz jeden... Czegoś się tak rozcokał? Co?

- A ty czego?

- A niczego!

- No to cicho siedź!

- Sam siedź cicho, bo jak ci...

No i pobijesz się, bywa, że zabijesz na śmierć albo tylko ręce-nogi połamiesz, wybijesz oko albo co tam się nadarzy. Bo to sąsiad.

Z tymi słupami najpierw dużo zabójstw na śmierć było, a potem, jak to zwyczajnie, przywykli, tyle że zeskrabia „arbat” i wyryją nowe: „Tu mieszka Pachom” albo coś brzydkiego. To, co brzydkie, ciekawie się ryje. Nigdy nie jest nudno. Niby nie ma wiele tych słów, ale wszystkie takie wesołe. Dziarskie. Jeśli ma człowiek poważne nastroszenie, jak mu się płakać zachce albo zmęczenie, słabość go najdzie, nigdy nic takiego nie powie i nie napisze. Ale jak go złość dusi, śmiech łapie albo jeszcze jak się mocno zdziwi, to jakoś sama ślina przynosi na język coś brzydkiego.

GE

No więc Nikita Iwanycz ponastawiał tych słupów, a Benedikt rozbija sobie głowę. I guziół mu teraz wyskoczy. No i złość bierze.

Dziewczyny ani chybi będą się śmiać, poszeptywać. Abo język pokazywać. Abo krzyczeć za nim ode wrót, drażnić się: „Guzioł! Guzioł!”. Abo wybiegnie jaka przed ciebie, drogę zagrozi, spódnicę *zadrze* i dupę gołą pokaże, żeby ci dokuczyć. Dokuczy zaiste do łez. Insze, które po chatach się pochowały, od śmiechu ażę piszczą niby rusalki jakie, pisk się podnosi, a kto piszczy - nie widać, choćbyś głową kręcił, uszami abo czym tam chcesz. A z tych chat, gdzie piszczą, pisk przerzuca się na insze chaty, co z tyłu stoją, potym i trzeci rząd pójdzie, a na końcu cała osada. Zawsze tak jest - jakoby zaraza jaka, jakoby pożar wybuchł i wiatier gonil płomień, uchowaj Boże, od obejścia do obejścia, a spróbuj tylko do którego wejść, buciorem drzwi rozewrzeć i krzyknąć ze złością: „No i czego? Co tak rechoczenie, bęcwały?! Co tu śmiesznego?!” - to nikt ci nie odrzeknie. Bo nie wie.

No i patrzcie, jaka to obraza ciężka od dupy, a przecie inszym razem ciekawość patrzeć na gołego: ano myśli różne chodzą, ano serce zabije i ani się spostrzeżesz, jak czas ci upłynie. Tak, inszym razem ciekawie, a teraz jakoś nie, i czemu to?

A temu, widać, że zamiar wycelowany jest w ciebie, żebyś znał swoje miejsce - najniżej jako można - i się nie wysuwał. Kto się z ciebie pośmieje, ten jakoby władzę swoją pokazał, a ty, bratku, jakobyś do dołu się stoczył.

Tutaj też jest o czym podumać. Gdyby wszystko to było takie proste, to czegoż mali baszowie, co na nas mają mieć baczenie, nigdy się nie śmieją? Czemu patrzą tak, jakoby cię z plugawej komórki warzających wyłowili? Czemu rozmawiają, zębów nie rozwierający, jakoby tam w gębie co cennego mieli i bali się, że wypadnie, a ty - łaps i dalej uciekać na złamanie karku? A jakim to okiem patrzą? Mętności w nim przybawia i niby nie rusza się, a jakoby na wylot cię świdrowało. A jeszcze. Eee, nie, nie, to ani chybi swywola. Nie, nie trzeba myśleć o tym. Nie.

No tak, nastawiał słupów durny staruch, a Benedikt, nie daj Boże, jeszcze przezwisko na całe życie dostanie: Guzioł. Jako drugim ludkom przezwiska dają: Gniłojad abo Trzęsidup, abo jakie insze, *zależy* czym się zasłużył, jaki nawyk ma nachalny abo Effekt szczególnie głupi. Benedikt to tam żadnych Effektów nigdy nie miał, lico ma czyste, rumieniec zdrowy, tułów krzepki, jeno się żenić. Palców - policzył sobie - ma tyle, ile trzeba, ani mniej, ani więcej, bez błon, bez łuski, nawet na nogach. Paznogie różowe. Nos jeden tylko. Dwoje

oczku. Zębów jakoś dużo: trzy dziesiątki z kawałkiem. Białe. Broda złocista, na głowie włosy ciemniejsze i wijące się. To samo na brzuchu. Na cyckach też. Pępek tam, gdzie powinien być, akuratnie pośrodku. Wszeteczny człon też pośrodku, ale niżej. Ładny. Jakoby leśny grzybał, jeno bez cętek. Tylko wyjąć i wszystkim pokazywać.

I gdzież on ten słup wetknął: przed samą Chatą Pracy. Czy to nie swywola? Przeciesanie nie będą miały gdzie nawrócić! Benedikt nabrał śniegu w garść, przyłożył do guzła i stał, czytający napis: „Pierwszy drukarz Iwan Fiodorow”. Widzicie go, jaki zwawy? No dalej, wyrócić go trzeba. Benedikt nateżył się, złapał tę kłodę ciężką, szarpnął i wyrócił. I zostawił. Jeszcze kopnął. Rozejrzał się na boki. Nie masz nikogo. Szkoda, że Oleńka abo insze dziewczuszki nie widziały, jaką siłę ma Benedikt. A w Chacie ile ludaaa!... Siła! Jest Oleńka-duszeńka... Siedzi, rumieniący się, oczka ma spuszczone. A jednak na Benedikta zerknęła. To dobrze. Jest i Warwara Łukiniszna - z Oleńką rozhowory wiezie, babskie pogaduchy odprawia. Jest Kseńka sierotka. I Waśka Uszaty.

Zaraz ogłoszą: zaczynać robotę. Dobrze, że się nie spóźnił. Spóźnienie to nic takiego, ale *zaczną* się popatrywania i poszeptywania: czy aby, Boże zmiłuj się, nie zachorował? Tfu, tfu, tfu, żeby w złą godzinę nie wyrzec. Co prawda, o ile Benedikt pamiętał, nikt z ichniej Chaty ani razu jeszcze nie zachorował, tfu, tfu, tfu. Jak w gardle drapie abo w głowie strzyka, to nie Choroba, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się. Jakes palie sobie złamał abo oko podbił, to też nie choroba, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się.

Czasem czkawka cię chyci, ale to też nie Choroba, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się. Gdyby cię chyciła, to mów trzy razy:

Czkawka, czkawka, czkawka, Idź do Wiaczesławka! A od niego do inszego, I skończona sprawa, a zaraz przejdzie. Abo jęczmień na przykład na oku wyskoczy - no, tu zamówić trzeba mocniej, żeby się trzymało... Trzy razy dmuchnąć, trzy razy splunąć, stanąć na jednej nodze, i tak na niej stać, ręką za drugą nogę chycić, i tak ją trzymać, a broń Boże nie upadać. Mówić zasię tak:

Jęczmyku, jęczmyku, Ty podły zbytniku. Wezmę ci ja cenną Wezmę ja kamienną, Solidną siekiere, I rozrąbię cię w cholere.

Wtedy przejdzie, jakoby ręką odjął. A to znaczy, że nie Choroba.

A jaka jest ta Choroba, kiedy przyjdzie i co się wtedy stanie - tego nikt nie wie. O tym nawet się nie mówi. A jeśli nawet mówi, to szeptem. A jeśli nawet szeptem, to tylko kiedy nie ma w bliskości Wąski Uszatego.

Bo że Waśka podsłuchuje, to wszyscy wiedzą. A uszu ma, ile kto chce: i na głowie, i pod głową, i na kolanach, i pod kolanami, i w walonkach - wszędzie uszy. Wszelakie:

wielgie, małe, okrągłe, długie, i proste dziurki, i różowe trąbki, i jakoby szczelinki, i z włosami, i gładkie, jednym słowem - najróżniejsze. Pytają go:

- Waśka, na co tobie tyle uszu?

A on:

- To nie uszy.

- A co takiego?

I wsuną mu dla śmiechu ogryzek do ucha albo niedokurek, albo inszy śmieć. A najważniejsze uszy, którymi podsłuchuje, wyrosły mu pod pachami. Tak że kiedy do roboty się bierze, to łokcie rozstawia, żeby lepiej słycać było. I mało nie płacze ze złości, bo cóż to za sekret, kiedy wszyscy widzą: uniósł łokcie - *znaczy się*, będzie podsłuchiwać.

A Warwara Łukiniszna też ma nieszczęście. Straszna jest, kochaneczka, choć oczy zasłaniaj. Głowa goła, bezwłosa, i na całej tej głowie kogucie grzebienie się kołyszą. Nawet z jednego oka grzebień wystaje. To się nazywa „koguci frędzel”. Ale to też nie Choroba, Boże uchowaj, Boże uchowaj. To Effekt. A tak w ogóle to dobra z niej baba, pisze ładnie i czysto. A jeśli skończy ci się atrament, zawsze swojego naleje.

Frędzle to nie Choroba, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się. I sanitarze przyjeżdżać nie muszą, nie, nie, nie.

A tu nagle uderzono w kołatkę: zaczynać pracę. Benedikt usiadł za stołem, poprawił świecę, popluł na patyczek pisarski, brwi uniósł, szyję wyciągnął i popatrzył na zwój - co teraz trzeba przepisać. Dostały mu się „Bajki” Fiodora Kuźmicza.

„Żyli sobie dziad i baba - skrobał Benedikt. - Mieli Kwoczkę-Pstroczkę. Zniosła raz kwoczek jajeczko, nie zwyczajne, ale złote...” Tak, tak, Efekty! Wszyscy mają Efekty! Anfisie Terentijównie przeszłego roku też z kurami zdarzyło się nieszczęście. I to jakie kury były: zgrabne, duże, jak dobrane! Jajca niosły czarne i dropiate - aże miło patrzeć! Kwas z tych jajec od razu do głowy uderzał. Wypijesz kubeczek takiego kwasu i od razu - uuuch! Chcesz pokazać, jakiś dziarski. Patrzysz dokoła - a wszystko podwójne. O tam, dziewczucha poszła, a wygląda jak dwie dziewczuchy. Krzykniesz do niej:

- Dziewczyny! Dalej, poigrajcie ze mną!... - a tamta od razu w nogi. A tobie sama uciecha! Na Anfisę Terentijównę patrzysz - a jej też dwie jest. Ale z nią igrać nie próbuj, bo wyjdzie Polikarp Matwieicz, a jego też jest dwóch. To nam niepotrzebne, on i w pojedynkę straszny.

A jak śpiewały te kury! Nieraz latem, jak się zmierzchało, jak już miesiąc wzeszedł, zorza dogasła, rosa opadła, od kwiatów zapach poszedł. Chłopaki i dziewczuszki siadają na przyzbie, pogryzają orzeszki w zalewie, zajadają świetlaki, a poszturchują się, a

podszczypują. Jak się ta pierwsza gwiazdka na niebie pokaże, to kury zaczynają śpiewać. Najpierw postukują jak drewnienka, potyrn trrr, trrr, potym bu bu bu, a już jak się rozśpiewają, to *zaczną* takie rulady, już tak serce rozgrzeją, jakobyś gdzie leciał. Czy to pędził z góry jakiej, czy też wiersz Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego, nie za bardzo zrozumiały, sobie przypomniał:

Słowa wpisane w czarne przestworze -

I już oślepty oczy przepiękne...

Nam już nie straszne śmiertelne łóże

I nie słodkie nam łóże namiętne.

W pocie - piszący, w pocie - orzący!

Nam inne bliskie są uniesienia:

Nad głową lekki płomień tańczący -

Podmuch - natchnienia!

[Przel. Leopold Lewin.]

A jak nadejdzie jesień z częstym deszczykiem i z wiatrami, wszystkie kury z całej osady wybierają się na południe. Gospodarstwo odprowadzać je przyjdą, smucący się. Najważniejsza kura wyjdzie naprzód, jedną nogę wystawi, skrzydłem machnie - i cały chór rusza za nią. Zaśpiewają na pożegnanie, wzlecą pod niebiosy, pokrążą nad ojczystą krainą, a potym wyciągną się w sznur, kura z kurą się zejdzie, i tak parami odlecą. Ludzie machają im chustkami, a baby to niekiedy i zapłaczą.

No i te kury nagle się wściekły. Przestały latać, przestały śpiewać, jesień minęła, zima za pasem, wszystkie ptaki na południe powędrowały, a te wściekle - ani rusz. Anfisa Terentijówna mietła je, prętem - a te się upierają, stoszą i jeszcze jakoby po ludzku zagadały. „Kto? Kto? Kto? Kto?” - tak pytają. A jajca z nich wyszły białe, potężne, okropne. Baba ze strachu mało rozumu nie straciła. Jęła wołać Benedikta na pomoc i razem te przebrzydłe kury wytracili. Jedno jajco zostawili dla ciekawości. Benedikt potym pokazał je Nikicie Iwanyczowi. Staruszek - ten to się niczego nie boi! - rozbił jajco o kraj miski, a wtedy - Boże ratuj! - żółta mokra kuleczka jakoby we wodzie pływała, a kwaśnego słoju nie ma... Panie Boże zmiłuj się! Stary zerwał się na równe nogi, a nawet krzyknął strasznym głosem: „Gdzie reszta?!”. Uspokoił go, posadzili na powrót: „Wszystko jak trzeba, nie trwóście się, Nikito Iwanyczu, sami wiemy, przecieśmy nie dzieci. Wytepiłiśmy wszystko to plugastwo,

wykadzili kurnik brzozowym dymem, żeby znowu się nie załęgło, i Gogę Nawiedzonego sprowadzili, żeby zamówił na cztery kąty, na cztery dwory, spod morza zielonego, spod dębu palonego, spod kamienia gorącego, spod kozła śmierdzącego, es es - głupi pies, na prawo dmucham, na lewo chucham, ajn cwaj draj, wy-pie-przaj. Zaklęcie mocne, wypróbowane, więc powinno wystarczyć”.

Nikita Iwanycz siadł za stołem, zmrużył oczy, szczęki zacisnął, i tak siedział. Potym spytał, czego się kury najadły, zanim się wściekły. A skąd mamy wiedzieć? Do Anfisy Terentijówny nawet chodził pytać i potem długo myślał. A tę żółtą kulkę, co się w jajcu załęgła, usmażył na patelni i zjadł. Jej Bogu, zjadł!!! I nic mu nie było.

On to w ogóle nie je jak człowiek. Robachów nie uznaje. Matkę, co prawda, też od nich mgliło. A Benedikt od dziecka bardzo zmysłny był do ich łapania. Nieraz bawi się z dziećmi w ruczajach i kałużach (w grodku gliniastych ruczajków siła), ciągiem w wodzie rękami maca, robachów szuka. Robachy ślepe są i głupie. Nałowi się parę tuzinów. Na patyczek nasupła, ususzy, a potym utrze. A jak jeszcze solone! Najlepsza przyprawa do mysiej zupy.

Ojciec zawsze chwalił Benedikta i sam też robachy łowił, a matka twarz krzywiła i machała rękami. Raz Benedikt Iwanyczowi całą wiązkę podarował. Powisały na sznurku, a stary ich nie tknął. Sąsiadka zajrzała, żeby o ogień poprosić - i zaczęła jęczeć: dobro się marnuje. To jej oddał, wszystkie co do jednego. A przecie łowić je to mordęga; ile się błota nacedzi, zanim się robacha wymaca, a ten jeszcze się wije i w palie gryzie. Jakby tak sam pokopał, toby nie oddawał sąsiadom!

Raz zaszedł Benedikt do starego, a ten siedzi i łychę je klej żółty jako te nacieki, co na klośnach, na ichnich pniach bywają.

- Co to jecie, Nikito Iwanyczu?

- MJUT jem.

-Jaki MJUT?

- A taki, który pszczoły zbierają.

- Czy wy macie rozum?

- A sam spróbuj. Żrecie te myszy i robaki, a potem się dziwicie, że tyle mutantów się namnożyło.

Benedikt zestrachał się, cały zamarł i wyszedł z oczami w ślup, otumaniony, nie baczący drogi. Straszno tak: stary w pojedynkę do pszczoł w dziupli łąził... O tym, jasna sprawa, Benedikt opowiedział potym chłopom. Ci tylko głowami pokręcili.

- Coś takiego. Pszczoła paskudzi, a my mamy po niej jeść?!

A Półtorak - ten, co ma półtorej gęby i jeszcze trzecia noga mu wyrosła - mówi:

- Cóż to nas Nikita Iwanycz do takich *rzeczy* namawia? A niby Rozpalacz... A pamiętacie, na Mruczusiową Górkę prowadzał chłopaków, chciał, żeby ziemię kopali... Tam, we środku, powiada, jest pogrzebany ARCYDZIEŁ. Ponoć jeszcze tam jest chłop z kamienia, jakiś DŁAWID. A czego nas ma taki dławić, niech się sam dławi tą ziemią...

To prawda, rzeczywiście prowadzał. Ponoć na Mruczusiowej Górze był w Dawnym Czasie MUZELUM, i pono tam w ziemi sprośne kamienie są zakopane; białe. Na podobieństwo chłopów i bab ociosane, bez portek; i cycki mają, i wszystko. Na to pewnie ciekawość byłaby popatrzeć, ale nuż to swywola? A i kopać tam trzeba by długo. Po co zresztą kamienne baby, kiedy dokoła pełno żywych? Staruch robi z nas głupich. Potym za nim długo dzieciaki chodziły i się drażniły: „Nikito, co ci to? Nikito, co ci to? Iwanyczu, Iwanyczu, czegoś smętny na obliczu?”.

Tak więc rzecz skończyła się na niczym.

Benedikt westchnął, zdjął paproszek z patyczka pisarskiego i szybko dokończył bajkę o Kwoczce-Pstrocce. I miejsce zostawił, żeby Oleńka narysowała kurkę. A potem książkę odniosą na targowicę i wymienią na wiązkę myszy. Ale mieniąc wolno tylko państwowo, żeby nikt sam ze swojej ochoty nie śmiał książek przepisywać; jak się dowiedzą, to ci dopiero dadzą bobu.

A jeszcze mówią... ale niech Waśka Uszaty odejdzie... A jeszcze mówią, że gdzieś tam są starodawne książki. Prawda to czy nie, dosyć, że takie chodzą słuchy. Że te książki jeszcze przed Wybuchem były.

I jeszcze kłamią, że w lesie jest polanka, a na polance cudowny kamień, a pod tym kamieniem jest zakopany skarb. W ciemną noc, kiedy ani miesiąca, ani gwiazd nie widać, trzeba przyjść na tę polankę i to koniecznie boso, ale tyłem do przodu, i jeszcze powtarzać: „Nie to biore, co precz bieży, biore to, co w ziemi leży”, a kiedy się przyjdzie na miejsce, trzy razy trzeba się obrócić, trzy razy wysmarkać, trzy razy splunąć i powiedzieć: „Niech ta ziemia się rozstąpi, niechaj skarby mi odstąpi”. Wtedy mgły się zakłębią, z lasu skrzypienie doleci, a ten kamień się odsunie i skarb się odsłoni.

To tam właśnie schowane są te książki, a świecą się jako miesiąc w pełni. Tylko więcej niż jedną brać-łapać nie wolno, a jak ucapisz, to uciekaj, nie oglądający się, a jeśli coś zrobisz nie tak, jak trzeba, to jakoby zasłona zaciągnie się przed oczami i kiedy człek się ocknie, to patrzy, siedzi okrakiem na dachu, na swojej chacie, a w ręku nie ma nic.

Mówią nawet, że u niektórych można zobaczyć te książki.

DE

Uderzono w kołatkę: obiad. Do domu daleko, przeto Benedikt chodził do Chaty Stołowej. Za dwie blaszki można obiad z dwóch dań dostać. Nie taki zawieszisty jak w domu, ale czy znowu w domu taki zawieszisty? Za to nie trzeba daleko chodzić. Po Oleńkę to przysyłają sanki, bo ona w domu je, kochaneczka.

Do Benedikta przyczepiła się Warwara Łukiniszna. Już dawno na niego swoim jedynym okiem popatrywała. „Idziecie, znaczy się, do Chaty Stołowej? To ja z wami”. I frędzle jej się na głowie kołyszą. Jak iść, to iść. Palie poślinić, świecę zgasić - abo to długo?

Co też luda w Stołowej! Benedikt popchnął Warwarę Łukiniszną z miskami do lady, żeby stanęła w ogonku, bo jeszcze ludzisków się zbiegnie, a sam rzucił się do stołów i dwa miejsca zagarnął. Łychy położył, niby że tu zajęte. I nogą zagroził, żeby się nie pchali. Łokcie rozstawił, a gębę nasrożył. To zawsze pomaga.

Obcy pcha się, żeby miejsce zająć, popatrzy Benediktowi w lico i, jeśli duchem słabszy, to się odczepi: no, jeszcze pomyśli, z taką gębą zaczynać, uchowaj Boże! Siądę sobie w kątku, gdzieś dalej... Tak to właśnie na każdą rzecz jest sposób. Wyziewy się rozchodzą. Miski parę dają, łychy stukają, świece skwierczą. Gorąco. Kucharze drą się wniebogłosy:

- Kto tam rdzę pali w izbie? Wyjść! Oddychać nie ma czym!

Ale nikt, rzecz jasna, nawet się nie ruszy.

Przyszła Warwara Łukiniszna z miskami. Prawie nic nie wylała, choć ją zdrowo tręcili.

No tak. Znowu zupa z myszy. Państwowe jedzenie, jasna sprawa, nie to co domowe. I niby myszy te same, a smak, rozumie się, nie ten sam. Rzadkie. Za to robachów do zupy nakładli, że szczękę można wyłamać. Robachów nie żałują. *Zawsze* przesolą zupę. A tak łychą pogmerasz, pogmerasz - ledwie jeden mysi ogonek. Może oczko, żeberko.

Kucharza zresztą też trzeba zrozumieć. Pewnie chowa tuszki, lepsze kąski wykrawa i do domu niesie, dla dzieci.

Każdy przecie by tak zrobił. Jedna bo sprawa obcemu gotować, nieznajomemu: kto go tam wie, co za jeden? A całkiem insza - swojemu dzieciątku. Są tacy, co mówią: dla wszystkich trzeba gotować jednako. Gdzie to kto widział?

Obcy to zawsze obcy. Co w nim jest dobrego? Jeśli to, oczywista, nie dziewczyna. No, co dobrego? Może nawet nie jest taki głodny? Pewnikiem jakoś się tam obejdzie. Rozmyśli się i nie zje.

A swój jest swojski. Nawet oczy ma insze. Patrzysz i widzisz: chce mu się jeść. Czujesz po prostu, jak mu wątpia skręca. Swój to trochę jak ty sam.

Warwara Łukiniszna wzdycha:

- Widzę, że nieoczyszczone myszy dają.

- Mówią, że nie ma komu robić.

- Rozumiem, ale mimo wszystko. Przyjdźcie do mnie, Benedykcio, ugoszczę was dobrą zupą.

- Dzięki, Warwaro Łukiniszna. Kiedyś na pewno.

A przecie u niej grzebień koguci z oka wyziera. Choćbyś się i nie przypatrywał.

- Dawno już chcę was spytać, Benedykcio. Przepisuję wiersze Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego. A tam bez przerwy się powtarza: koń, koń. Co to znaczy „koń”? Nie wiecie?

Benedykt pomyślał. Jeszcze pomyślał. Nawet poczerwieniał, tak się nateżył. Tyle razy to słowo pisał, a jakoś się nie zastanawiał.

- Chyba myszą.

- Czemuż tak myślicie?

- A dlatego: „Czy to ci się żyje marnie, czyliż owsem cię nie karmię?”. To musi być myszą.

- No to dlaczego tam jest: „Bieży koń, a ziemia dudni”.

- Widać jakaś duża myszą. Przecie jak się czasem zaczną tłuc, to zasnąć nie można. Pamiętacie przecie: Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, pisze też: „Życia bieganina mysia, czemu mnie tak trapi dzisiaj?”. To musi być myszą.

- Dziwne jakieś to wszystko. Nie, chyba mnie nie przekonaliście.

Warwara Łukiniszna mnogich wierszy wyuczyła się na pamięć.

I ciągiem chce coś wyrozumieć. A czy to mało słów trudnych? Inszy machnie ręką, a ta musi i już. Nawet gada po książkowemu. Jako mateczka nieboszczka gadała. Abo Nikita Iwanycz.

Warwara Łukiniszna mieszka sama. Nieraz myszy nałowi, na targowicę zanieśie i wymienia na książki. A czyta - ciągiem.

- Wiecie, Benedykcio, dla mnie wiersze to wszystko. Nasza praca daje tyle radości. Wiecie, na co zwróciłam uwagę: Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, jest jakoby rozmaity. Rozumiecie, co chcę powiedzieć? On jakoby różnymi głosami przemawiał.

- W końcu to Najwyższy Basza, oby żył długo - nastroszył się Benedykt.

- Nie, ja nie o tym... Nie wiem, jak to wam powiedzieć, ale czuję. Powiedzmy:

*„Na moście fletnia zaśpiewała,
od kwiecia jabłoń biała,
a już na niebie dzień bez mała,
anioł zieloną gwiazdę niesie,
a z mostu dusza osłupiała
wyżynie, w której taka chwała,
głębinie dziwuje się...”
To jeden głos. Ale weźmy...*

- Na moście? - przerwał jej Benedikt. - To pewnikiem Pługawy Mostek. Wiem, łowiłem tam robaczy. Głęбина w samej rzeczy niemała. Trzeba uważać! Bo chlupniesz i tyle cię widzieli! Tylko bąble pójdą. A jeszcze deska podgniła. Kiedy kozielki gonia, to ani chybi któryś zleci. Znam to miejsce.

I wyszał kosteczkę.

- Nie, ja nie o tym. Weźmy co inszego:

*„W podgrodziu, gdzie dotąd ślad stopy, posłuchaj, nie postał,
a jeno gdy zbóje najemni, twój zwiastun - osiki liść, biały i niemy,
bezgłosy jak upiór w bladości swej głuchej!”*

[Oba fragmenty w nieznacznie zmodyfikowanym przekładzie Adama Pomorskiego.]

- przecie to całkiem inszy głos dźwięczy. Całkiem inszy.

- To podgrodzie też znam! - zawołał Benedikt. - Tam Pachomowi czaszkę rozłupali.

Warwara Łukinizna głową kręci, patrzy na świecę, a siny płomień drży w jej jedynym oku.

- Nie, nie... Ja wszystko czytam, czytam... Myślę, myślę... Wszystkie wiersze rozdzieliłam na różne kupki. A nitkami zszyłam zeszycki na nowo. I wiecie, co jest ciekawe?

- Waśka Uszaty też jest ciekawy - powiedział Benedikt. - Oho, jak się rozcapierzył. A niedobrze, że przesywacie wiersze. To swywoła.

- Ach, Boże mój... No, chodźmy do pracy. Zaraz uderzą w kołatkę... - Warwara Łukinizna powiodła okiem po zadymionej sali. Rdzą tak nakurzyli, aże dychać trudno.

Sinawy dym wisi do samej podłogi. W kącie ludkowie, co już swoje zjedli, grają w prztyczki. Dwaj się już nachlali kwasu i leżą na podłodze. Waśka zapisuje, którzy.

- Straszny hałas w tej restauracji - westchnęła Warwara Łukiniszna. - „*W sali pełnej i gwarnej siedziałem przy oknie, o miłości gdzieś smyczki śpiewały...*” Jak myślicie, te smyczki to co?

- Pewnie jakieś dziewczuszki grzeczne?

- Nie... Wiecie, tak by się chciało pomówić o sztuce... Naprawdę, przyjdźcie do mnie do domu. Przyjdźcie!

- Dobra, przyjdę kiedyś - rzekł Benedikt bez ochoty. Gdyby nie była taka straszna, toby z zadowoleniem poszedł. W łaźni by się wyparzył, a potem - w gości. A tak, to nie ma pośpiechu.

No, może jak się oczy przymknie, toby uszła. Bo dobra z niej baba. Jeszcze zupy naleje. Co prawda, tymi wszystkimi rozmowami zaniepokoiła Benedikta.

W Chacie Pracy wszyscy w kupie, ale nie ma Oleńki. Benedikt poczekał, pogryzł patyczek pisarski. Nie przychodzi. To się zdarza: do obiadu jest na miejscu, a potem nie przychodzi. Widać tak trzeba. Nie nasza sprawa. Ale nudno.

Siadł, żeby przepisywać nową bajkę: „Kołaczek”. Śmieszna taka historia, aże strach. Ten kołaczek uciekł i od babki, i od dziadka, i od miedźwiedzia uciekł, i od wilka. Toczył się po lesie, jak chciał. Piosnki śpiewał wesołe, z żarcikami: „*Jestem sobie kołaczek, w stodole młócony, we młynie mielony, ze śmietanką zagnieciony, na okienku wystudzony!*”. Benedikt, piszący, cieszył się, że taki to kołaczek. Podśmiewał się. Nawet gębę rozdziawił, kiedy pisał.

A kiedy doszedł do ostatniej linijki, serce się ścisnęło. Kołaczek zginął! Lis go chap! I zjadł. Benedikt nawet patyczek pisarski odłożył i patrzył na zwój. Zginął kołaczek. A taki był wesoły. Ciągłemu piosnki śpiewał. Życiem się radował. Ciach! I nie ma go. Za co?;

Benedikt przełknął ślinę i obwiodł oczami chatę. Wszyscy pochylili się i piszą. Świece pomrygują. Miedźwiedzie pęcherze na oknach nabrały siności. Już się zmierzcha. Pewnikiem zbiera się na zamieć. Namiecie zasp wysokich, zaczną świszcząć w uliczkach, zasypie chaty po same okna. Zajączą wysokie drzewa w północnych lasach, wyjdzie z lasu kyś, podejdzie do gródka, zawyje żałośnie: kyyyś!, kyyyś! A nad gródkiem hula wiatr ze śniegiem, nad domami kołuje i niesie daleko tę dziką skargę. Przedstawił sobie Benedikt, jak to dzieckiem będący, siedział na piecu, zwiesił nogi w walonkach, a za oknem hula zamieć. Trzeszczy sinawa świeczka z mysiego sadła, cienie pląsają na powale, mateczka siedzi przy oknie, wyszywa kolorowymi nitkami zasłonkę albo ręcznik. Spod pieca wyłazi miękki, puszysty Kicio i skacze Benediktowi na kolana. Mateczka Kicia nie lubi; jak on ją za spódnicę cap-nie,

to ona go zawsze strząśnie. Mówi, że nie może patrzeć na jego różowy, goły ogon i na pysek z trąbką. I nie podoba jej się, że palce też ma różowe, jako dziecię. Pono za jej młodości te zwierzaki były całkiem insze. Ee, mało to było kiedyś różnych rzeczy?! A gdyby Kicia nie było, kto by im tyle myszy łowił i skąd by brali sadło na świece? A Benedikt go lubi. Wyciągnie się do niego palie, to zaraz łapie rączkami i mruczy.

Mateczka miała ponoć książkę starodawną. Tyle że ją chowała. Bo to mówią, że te książki zaraźliwe. Tak że Benedikt nie tylko jej nie dotykał, ale nawet nie widział, i mateczka surowo zabroniła o niej gadać, zupełnie jakoby jej nie było.

Ojciec chciał spalić, bo się bał. Jakaś Choroba od nich, Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się.

Wtedy przyjadą Czerwone Sanie.

A w saniach sanitarze, żeby tak w złą godzinę nie wymówić. Jadą Czerwonymi Sańmi - tfu, tfu, tfu - w czerwonych opończach, zamiast oczu mają zrobione szparki i twarzy nie widać, tfu, tfu, tfu.

Siedzi tedy Benedikt na piecu, a mateczka wyszywa, a zamieć za oknem wyje, świeczuszka ledwo się tli jako ogienek nad bagienną rdzą, a w kątach ciemno, ojciec już spać się zabrał i przyodziewek zrzuca.

Nagle jak nie wrzaśnie: „Aaaa!”. Oczy wypuczył i na brzuch sobie patrzy, a tylko krzyczy i krzyczy. A brzuch ma jakoby pryszczaty albo jakoby go kto brudnymi łapskami upakał. Krzyczy tedy: „Choroba! Choroba!”.

Mateczka - nogi w walonki, chustkę na głowę i do drzwi: po Nikitę Iwanycza.

Ojciec:

- On powie! Powie! - I za spódnicę ją łapie.

Niby że Nikita Iwanycz powie sanitarzom. Ale gdzie tam! Wyrwała się i w tę zamieć.

Przylatują z Nikita Iwanyczem. A ten:

- No, co tam? Pokażcie. Cóż - neurodermia. Trzeba jeść mniej myszy, to samo przejdzie. Nie drapcie się.

I rzeczywiście, przeszło. A starodawną książkę ojciec i tak znalazł i spalił. Bał się nie tyle zarazy, ile sanitarzy, żeby w złą godzinę nie wymówić.

Bo ci zabierają ludzi i leczą, a z onego leczenia już nikt nie wraca. Dotąd jeszcze nikt.

Strach nawet o tym pomyśleć. Idzie się ulicą i nagle świsty-krzyki: to pędzą Czerwone Sanie. A zaprzężona jest do nich szóstka wygeneratów. I wtedy tak jak jesteś - czy masz na sobie kozuch, czy siermięgę albo latem koszulę - rzucasz się na bok, w zaspę albo w błoto przydrożne, głowę rękami zasłonisz, skulisz się: Boże zmiłuj się! Ratuj! Wcisnąć by się w

ziemię, w glinę się schować, w ślepego robacha zmienić - byle tylko nie mnie! Nie mnie, nie mnie, nie mnie, nie mnie...!

A tamci są coraz bliżej i tupot coraz silniejszy - diabli ich nadali! Pęd, świst, szóstka dyszy ochryple, grudy błota lecą spod płóz... Przejechali. Cisza. Tylko z dala dolatuje coraz cichszy tupot walek.

Nie jestem chory, nie jestem, nie, nie, nie. Nie muszą, nie muszą przyjeżdżać sanitarze, nie, nie, nie. Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się, nie, nie, nie.

JE

Jak już Kicio pomarł, to i myszy nie miał kto łapać. Wiele to nałapiesz gołymi rękami? Pewnie, nauka w miejscu nie stoi, bez ustanku rozwija się. Benedikt czasem pętle majstruje, śmiertelne pętliczki. Ukręci z nitek tęgi sznurek, solidnie natrze mysim sadłem, z jednego końca uczyni pętlę, specjalnie, żeby się ślizgała, sprawdzi palicem - i na łowy. Podłogi u nas pełne szczelin, szczerbate, ale nie tyle od naszego ubóstwa, ile po to, żeby myszom łatwiej się wyłaziło: dalej, dalej, tutaj, kochaneczko! Powiadają, że u bogatych ludków, którzy mają domy wysokie, ukraszone, piętrowe - na ten przykład basza, abo który tak się upaśł, niepoczciwie żyjący - ci mają wszystkie szpary pozatykane i nie duje u nich nawet w najgorszy mróz. A jak dobywają jadło? A tak, że u nich w piwnicy siedzą specjalne raby, które są przyuczone do rzucania się na myszy, i więcej to już nic nie umieją. Siedzą te raby, jak mówią ludzie, przez calutki czas w piwnicy, w ciemnościach zupełnych, a widzą jako za dnia. A na światło wyjść nie mogą, od dziennego światła zaraz ślepną, i cała ich rabska moc łapimysia na tym się kończy. Wszystko to być może.

A myśmy tam ludzie prości, na podłogę brzuchem legniemy, pętliczkę do dziury wpuścimy i nuże potrząsać. Mysza to stwór głupi, ciekawi ją, co to tam za pętliczka się majta? No to wsunie łepkę do pętli, a my ciach! I ją wyciągamy.

A że Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, naukową rzecz dla nas wymyślił, tedy ona u ludzi też stoi, ale bez pożytku. Do tej myszołapki, żeby działała, trzeba włożyć coś spożywczego, bo inaczej myszą się nie zaciekawi i do niej nie zajrzy. Za to złodzieje ciekawi są bardzo. Jak ty z domu precz wyjdiesz, to złodziej się wywie, że masz jadło rozłożone, i do ciebie zagładnie. Obrobi i nawet nie powie dziękuję.

Złodzieje już tacy są, że wszystko biorą. Mięso, wermiszel, orzech, chlebiode, grzybale, jeśli kto ma zapas - wszystko. Tylko rdzy nie biorą. Bo jej wszędzie pełno. To już by musiał straszny nierób być, żeby rdzy na zapas sobie nie nazrywać. Ale jak już bardzo dobra, gęsta, suszona - to wtedy owszem. Biorą i rdzę.

Złodzieja też trzeba zrozumieć. Idzie taki po osadzie i widzi: drzwi kijem podparte. Gospodarzy nie masz w domu. Ich nie masz, a w chacie może jest mięso zajęcze. Co?! Może tak być? Być nawet bardzo może! Może chłop chytry taki i zająca utłukł kamieniem, a może wymienił u sąsiadów na jajca abo skrzypy? A może mu się udało i talun na zająca dostał?! Myśl taka zapada złodziejowi w głowę. Jeśli przejdzie mimo chaty, to nigdy się nie dowie! No i jak tu nie wejść? Wejdzie, rozejrzy się. Jeśli to prawda, jeśli jest mięso, to weźmie, a

jeśli nie, to zły będzie, że się omylił, i weźmie to, co jest, choćby i te robachy. A jak już coś weźmie, to kto go dalej powstrzyma? Oj, myśli sobie, tak czy owak chata okradziona, niech już idzie jedno do drugiego - i dalej wymiatać wszystko do czysta.

Ale u Benedikta nie ma czego kraść. Zapasów nie trzyma - co złapie, to zje. Tyle że rdzy ma pełną komórkę.

Rdza to dobra *rzecz*. Bo do wszystkiego się nada. Pali się ją i pije, i atrament z niej warzy, i nitki barwi, jeśli kto ma ochotę płótno wyszywać. Piwo z niej dobre, osobliwie kiedy mróz na dworze. Dom też ocieplać można, między bierwiona do szczelin utykać. A niektórzy i dach próbował kryć rdzą, ale nie dało rady. Kłębki są krągłe, sztywne, przeto zlatują. Na dach pasuje słoma. Jak kto bogatszy, to deski tarcicowe.

Rdzę zbiera się na trzęsawisku. Kiedy dzień jest od roboty wolny, to wszyscy skoro świt łapią kobiałki i każdy idzie w swoją stronę. Benedikt przyuważył jedno dobre miejsce. Tam Nikita Iwanycz postawił słup: „Pierścień Sadowy”. Żadnego, ma się rozumieć, pierścienia nie ma, tylko chaty stoją w rzędach. Tam już gród się kończy. A zaraz za chatami jest trzęsawisko, całe rdzą pokryte. Rwij, ile chcesz. Tam nawet miejscowi cię nie pogonią. Insi by pobili, że do nich chodzisz, a ci nie. Idziesz, pospieszasz raniutko, zimą świt mętny, czerwony, chłodem od niego ciągnie.

I poranka chłód rozkoszny Do sadu przenika - napisał Fiodor Kuźmicz.

Sadów u nas, rzecz jasna, też nie ma, chyba że u jakiego baszy, ale że chłód, to prawda. Przenika. Walonki się przetarły, noga śnieg czuje. Biegniesz żwawo przez Plugawy Mostek do góry, na górkę, potem znowu w dół, mimo pekińczyckiej osady. Jak Pekińczyk się wychyli, to ciśniesz weń dla uciechy kamieniem, jakoby na rozgrzewkę, i dalej biegniesz. A dlaczego ciśniesz? A dlatego że te Pekińczyki mówią nie po naszemu: mał, mai, mał i mał, mał, mał. Ot, i cała ichnia mowa, nic człowiek nie zrozumie. Dlaczego tak mówią, czemu nie po naszemu gadają - kto ich tam wie. Może na złość. A może przyzwyczajenie takie paskudne mają, to też się *zdarza*.

Po prawdzie, to sami sobie szkodzą. Co oni tam po pekińczycku mogą powiedzieć? Po naszemu jakże łącniej: usiądziesz i gadasz, nie spieszący się: tak to a tak, nie owak, jeno tak; i tamto, i siamto, i już. Wszystko wiadomo.

A tamci nie. Uparli się i koniec. No, ale powiadają niektórzy, że im po prostu nosy przeszkadzają. Ze niby radzi by usiąść i po naszemu zagadać, ale nie mogą, bo nosy. Nosy mają do podłogi, nic tylko się śmiać. Taki u nich Effekt.

Nasi, jak czasem nie mają co robić, to zbierają się wieczorem pod pekińczycką osadą, na płotach wiszą, kręcą głowami i się śmieją. „Ej - wołają - Pekińczyki! Czegoście tak nosy

pozawieszali, co to - łapcie będziecie wachać? A my wam smarki poodrywamy...!” Tamci zaczynają biegać, rozeźleni tacy, aże śmiech bierze, zamykają okiennice, dzieci zapędzają do domu i ciągiem - mał, mał, mał! A jak celnie ciśniesz kamieniem i w łeb takiego trafisz, a tamten - ajjjj! I za guza nie rękami, ale nosem się łapie... No to już uciechy tyle, że nasze chłopaki z płotów spadają.

A Iwan Wołowicz, ten, co ma chatkę nad Zaświnionym Stawem, to tak lubi one krotochwile, że kamienie zbiera na zapas: nakopie w swoim ogrodzie i składa do beczek. Chłopaki, jeśli do osady się zbiorą, nijak mimo niego nie przejdą; on już to wie, przez okienko popatruje. Stójcie, chłopaki, weźcie mnie, bo sam nie dojdę.

Effekty u Iwana Wołowicza są już bardzo mocne. Głowa, ręce, ramiona - wszystko to takie tęgie, zgrabne, potężne, jak to mówią: przez trzy dni nie obesrasz; a spod pach od razu stopy, a pośrodku - wymię. To Nikita Iwanycz powiedział „wymię”, bo my takiego słowa nie znamy i na nic nam ono, zresztą w książkach go nie ma, a po naszymu to cyc.

No pewnie, że czasem zdarzy się i konfuzyja. Kiedy raz nasi zebrali się, żeby drażnić Pekińczyków, wzięli (ci, co na chodzie) Iwana Wołowicza na plecy, tamten nabrał pełne dwie czapki kamyków i dalej śpiewać - a przecie stare piosnki śpiewa bardzo ślicznie, nieraz jak zacznie: „Dunu, dunu, dana, dana, wali Dunia w łeb Iwana!”. I ramionami rusza, i oczami przewraca, błyska zębiska-mi białymi - taki z niego zuch! Śpiewa, a Pekińczycy już posłyszeli, okna-drzwi pozamykali, pochowali się, jednego tylko starego zostawili na dworze. No jasne, że temu to dostało się od chłopaków za całą resztę. Ale ten stary, paskuda, wściekł się i nosem, całkiem jak ręką, łaps za kamuch! I gwizdnął Iwana w to wymię., A ten bams! I leży. Chłopaki nasze też się rozeźlili: co to, naszych biją? I pół osady Pekińczykom rozpirzyli. No, ale to wszystko przeważnie w święto, kiedy nastrojenie jest / dobre, a w dzień powszedni pełno spraw, nasi do roboty państwowej chodzą, potym zupę warzą albo rdzę kurzą, a Pekińczyki plotą i torebki z mysich ogonów, kobiałki, a takie zmyślne, misterne, że potym je mieniają na targowicy. A już więcej do niczego te Pekińczyki się nie nadają.

No więc przebiegnie się mimo ichniej osady, rzuci czym abo nie rzuci - i na trzęsawisko. Przez tydzień podrosła rdza świeża, czerwonawa abo jakoby z dodatkiem zieloności. Dobrze się ją pali. A stara jest bardziej bura, tę częściej na farbę abo na piwo biorą. Weźmiesz do suchego listka rdzy drobnej nasypiesz, skręcisz samoskręta, do chaty jakiej zastukasz, ludzi poprosisz o ogień.

Jeśli z miejsca nie dadzą po łbie, to może trochę poburczą i dadzą; znaczy się, ognia. Idziesz, wypuszczasz dym i jakoby cieplej ci się zrobiło, i już jakobyś nie był sam; nawet u ludków, których spotykasz po drodze, ryła już nie takie jako u bestyj.

ZE

Benedikt ma zmienny charakter, sam już dobrze o tym wie. Dzień do dnia jest niepodobny. Niekiedy od rana taka żwawość w człeka wstąpi niezwyczajna, że każda żyłka się napręży, eeech! Pół świata, człek sobie myśli, przewróć. Rękami pracować nachodzi go ochota. Szuka tedy sobie zajęcia: rąbać abo ciosać, abo coś w domu naprawić, zmajstrować siekierę abo dzban, może wiadro wydłubać. Raz to tuzin tarcic na dach ostruga. Naprawdę! Jej Bogu, tuzin! No, może nie tuzin, ale ze trzy sztuki. To i tak dużo. I śpiewać ma chęć. Głośno. To znowu płaksiwość go najdzie. Przeważnie pod wieczór. Osobliwie jesienią, a już zimą to prawie każdego dnia. Ale i latem się zdarza.

Ot, wieczorem, kiedy słońce zacznie zachodzić - za pola fałdziste, za góry wysokie, za lasy dalekie, gdzie nikt nie bywał, kiedy cienie długie położą się i jakoby cisza podeszła - wtedy to się zdarza. Siedzi się to na ganeczku, rdzę kurzy, z sąsiadami kłóci. Meszki w powietrzu się kręcą. Zda się, że ucichły wszystkie ptaki, wszystkie leśne straszidła. Jakoby kto przeszedł i palicem pogroził. A potem znowu wszystko razem zacznie, ale już inszymi głosami, nocnymi. Z dąbrowy słyszy się szelesty, gulgoty, cmoki, a kiedy niekiedy coś gwizdoli abo mamie paskudnie.

Sąsiedzi mówią:

- To rusalka, jop jej mać.

A insi:

- E tam, akurat. To drzewianica, gniazdo tu ma.

Wtedy jakieś głupie babsko zacznie się sprzeczać:

- Może to ślepowron?

Wszyscy się na nią rzucają:

- Ej, głupiaś!!! „Ślepowron”! Ślepowron głosu nie ma, bo to przecie ślepowron!

Głupia baba znowu palnie:

- Może on i ślepy, ale głos ma krzepki. Toć słyszę, nie głucham przecie.

Wszyscy:

- On, choć ślepy, to lepiej widzi niż ty! Co mu trzeba, to widzi! Całą siłę ma w pazurach! A nie w głosie!

Gospodarz, mąż onej baby, uwagę jej robi:

- Dobra, babo, pogadałaś - i idź sobie. Uwarz tam czego. Dużo rozprawiasz ostatnimi czasy.

Niby wszystko jak zawsze: gadają, myśli wyrażają rozmaite, o przyrodę się turbują. A Benediktowi nagle tak tęskno się robi! Jakoby go tam w środeczku zgaga paliła, a wokół tego paliwa - dookoła - zimno jakoweś chyciło. I w plecach też jakieś niezadowolnienie. Za uszami lepkość. A w gębie gorzkość.

Czasem komuś się poskarżysz, to ci odpowiedzą:

- To kyś na plecy ci popatruje.

Nie. Nieprawda. Niepodobna. To w wąpiach coś się wywraca, a może to, jak mawia Nikita Iwanycz, CHWILOZOFIA.

Patrzysz na ludzi - na chłopów, na baby - jakobyś ich pierwszy raz widział, jakobyś inszego urodu był albo dopiero co z lasu wyszedł, albo na wywrót, wszedł do lasu. I wszystko ci osobliwe się zdaje, smutne i osobliwe. Ot, myślisz sobie, baba: i po cóż to jest taka baba? Poliki ma, brzuch, oczami mryga, gada coś do siebie. Głowę kręci, gębą kłapie, a we środku co ma? Mięsa moc, ćmę kości skrzypiących, kiszek obfitość, a więcej nie ma nic. To się śmieje, to stracha, to brwi nasępi - a czy naprawdę ma jakie czucie? Myślenie? A nuż ona tylko udaje babę, a w samej *rzeczy* jest wilkołak z błota? Jako ci, co po krzakach hukają, w starych liściach szeleszczą, skrzypią gałęzmi, a się nie pokażą? A co jeśli wstać, podejść i sprawdzić: palce rozstawić jako te rogi i w oka jej wetknąć? Co będzie? Pewnikiem prask! I leży.

No jasne, bez krzyku się nie obejdzie, chłopcy ci po karku dadzą, nie zważający, że z ciebie państwowy skryba, ludzik urzędowy - rozwałą ci facjatę; a jeśli jaki mały basza uczyni dochodzenie - będą się zaklinać-przysięgać, że to tak zawsze było, że sina gęba to u ciebie zwyczajny Effekt, że rodzice twoi takie same gęby małowudne z przodu mieli, i babka też.

Ot, i dzisiaj pod wieczór, akuratnie w miejscu roboczym, nie wiedzieć z jakiej przyczyny Benedikta zaswędziały wąpiał od CHWILOZOFII. Niewyraźnie, jako cień pod wodą, zaczęło go coś w sercu wiercić, nękać i przyzywać, a dokąd - sam nie wie. Na plecach jakoby dreszcz jaki i zebrało się Benediktowi na słowy. I czy to złość go chyciła, czy może fruwać mu się zachciało. Abo ożenić. Ten kołaczyk z głowy nie chce wyjść, taka okropna historia.

Jak on to ciągiem śpiewał a śpiewał... Toczył się a toczył... Ze śmietanką zagnieciony, na okienku wystudzony... No i macie wystudzonego.

A Warwara Łukinizna z tymi swoimi gadkami to też... „Konia” jej się zachciało. Taka niespokojna. Mało tam różnych *rzeczy* Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, w wierszach wypowie. Na to przecie są wiersze, żeby ich nie rozumieć ani w ząb. A że Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, głosami gada, no to już... Każdy w końcu tak gada. Ot,

choćby Benedikt: od rana z domu szedł na słońcu, śniegiem poskrzypywał, wszelakie przyjemne myśli obracał w głowie, i za nic wszystko miał. A teraz, przed nocą, całkiem inszy się zrobił: słaby i strachliwy. I za oknem ciemność taka, że wyjść na ulicę to jakobyś gębę w walonek miał wsadzić, a przecie trzeba. I Oleńki nie masz, a bez niej w chacie jeszcze smutniej.

Uderzyli w kołatkę: kończyć pracę.

Ludkowie z miejsc się pozrywali, porzucali patyczki pisarskie, śliną świeczki gaszą, spieszą się, wkładają siermięgi, w drzwiach się przepychają. Szakal Demianycz, mały basza, obchodzi stoły, gotowe zwoje wrzuca do kosza, puste atramentnice wsadza do mieszka, a patyczki pisarskie obciera gałgankiem. Burczy, że rdzy siła psujemy, że patyczków dla nas nie nastarczy, ale w końcu po to jest basza, żeby mendzić, ludzi trapić, a dana mu jest taka władza nad nami, bo to Kumbatant Lodowego Pobojowiska. A co za Pobojowisko, kiedy było i z kim Szakal Diemianycz bojował, i czy siła ludków utłukł maczugą abo kosturem - tego nie wiemy, nie chcemy wiedzieć i nawet jak nam powiedzą, to nie zapamiętamy.

Ot, i skończony dzionek. Zgasł i wypalił się, i noc zapadła nad grodem, i Oleńka-duszeńka rozplynęła się gdzieś w krzywych uliczkach, jakoby wymyślona; i zjedzony już kołaczyk, przelotny druh Benedikta, a teraz on do domu pospieszać ma, brnąć przez te pagórki, przez zaspy, potykać się i padać, i śniegu do rękawa nabierać, i wyszukiwać ścieżynkę pośród zimy, i rozsuwać zimę rękami.

Bo przecie zima jaka jest? Co to takiego? To jest, kiedy wchodzisz do chaty z mrozu, walonkami tupiący, żeby strącić śnieg, otrząsasz i siermięgę, i zeszywniałą czapkę, walisz nią z rozmachem o futrynę; odwracasz głowę, przyciskasz się całym polikiem do pieca, do ciepła, do słabego ciągu z izby: nie wygasło aby? Co nie daj Boże. Rozchełstawszy siermięgę, słabniesz w ciepłe, jako-byś dzięki składał komu, i spiesznie, rozdawszy ogień, podkarmiwszy go suchą starą rdzą, trzaskami, polanami, ciągniesz z kupą szmat jeszcze ciepły garniec z mysią polewką. Poszperasz w tajnym schowku za piecem, wyciągniesz zawiniątko z łychą i widełkami i znowuż jakobyś dziękował: wszystko całe, nie zwinęli, złodzieja widać nie było, a nawet jak był, to nie znalazł.

No i łyknąwszy zwyczajnej, rzadkiej zupy, wypluwszy pazurki w kułak, zamyślisz się, patrzący w słaby, sinawy płomyczek świeczki, słuchasz, jak szurga pod podłogą, jak trzeszczy w piecu, jak wyje, skarży się za oknem, zbliża się, prosi do domu coś białego, ciężkiego, zimnego, niewidocznego... Nagle twoja chata przedstawia ci się daleką i małą, jakobyś z drzewa patrzył, i cały grodek z daleka przedstawi się jako upuszczony w zaspę. I szczerze pola wokoło, po których zamieć chodzi białymi słupy jako pomyłony, kiedy go włoką

pod ręce, z głową w tył odrzuconą, i północne lasy przedstawia się bezludne, ciemne, nieprzebyte, i kołyszą się gałęzie północnych drzew, a na gałęziach - to w górę, to w dół - kołysze się niewidzialny kyś. Przebiera łapami, wyciąga szyję, przyciska niewidzialne uszy do płaskiej niewidzialnej głowy i płacze głodny, i prosi się, ciągiem prosi do chaty, do ciepłej krwi stukającej w szyi człowieczej: kyyyś!, kyyyś!

I trwoga swoją zimną łapką dotknie serca, a ty wzdrygniesz się i rozejrzysz dokoła, jakobyś sam sobie obcy był: cóż to? Kto ja jestem?

Kto ja jestem?!

Uch, ty! Przecie to ja. Jakobyś na chwileczkę wypuścił siebie z rąk i ledwo zdążył złapać... Tfu... Patrzcie, co to robi kyś, co już z daleka z człkiem robi, oto jak umie wyniuchać, wyczuć, wyszukać - przez dal daleką, przez śnieżną burzę, przez grube ściany z bierwion, a dopieroż kiedy się znajdzie obok?

Nie, nie, nie wolno, niech go diabli, nie myśleć o nim, przepędzić, nie myśleć, zaśmiać się trzeba abo w płasy puścić - w prysiudy, jak na Majowym Świącie, piosnkę zwawą a głośną zaśpiewać!

Oj tari ra, oj ta ra! Ojra, ojra, trala lala! Trata tata, trata tata! Hojta, hojta, hojta ta!!!

O, tak... Jakoś lżej... Sztuka nas uwzniośla, uczy Fiodor Kuż-micz, niech się sławi imię jego. Sztuka winna być ściśle *związana* z życiem. „Życie moje! Czyś ty mi się przyśniło?” Nie wiem.

A i co my wiemy o życiu? Jak tak pomyśleć? Kto mu kazał być, temu życiu? Dlaczego słońce po niebie się toczy, dlaczego myszą się tłucze, drzewa do góry rosą, rusalka w rzece pluska, wiaterek kwieciem pachnie, a człek człeka kijem tłucze po łbie? Dlaczego niekiedy nawet tłuc nie ma chęci, a ciągnie go, by uciec dokądś latem, gdzie nie masz dróg, gdzie szlaków nie masz, tam gdzie wschód słońca, gdzie trawy jasne po same barki, gdzie rzeki one błękitne igrają, a nad rzekami muchy złote się snują, nieznane drzewa gałęzie w wodzie maczają, a na onych gałęziach siedzi bielutka Królewska Ptaszycza Pawica? Oczy ma ogromne, a usta czerwone jako u człeka. A krasa ta Królewska Ptaszycza jest takiej, że sama sobie spokoju nie daje: tułów ma biały, kształtnymi pióry pokryty, a ogon na siedem arszynów długi jako sieć wisi, jako ta koronka. Ptaszycza Pawica głowę ciągiem obraca. Samą siebie ciągiem ogląda i samą siebie, przecudną, całuje. I nikt z ludzi od tego ptaka białego nigdy nijakiej szkody nie odniósł, nie odnosi i nie odniesie. Amen.

ZE

Bogaci dlatego bogatymi się zwa, że bogato sobie żyją.

Weźmy Warsonofija Siłycza, Wielgiego Baszę. On wszystkich Składow dogląda, wyznacza, kiedy Dzień Składowy być ma i czyja kolejną nadeszła, i jaki towar ludziom rozdać.

Rozum ma Warsonofij Siłycz państwowy, takiż i wygląd: tuszę jako żywo zdumiewającą, rzadką nawet jak na baszę. Jeśli sześciu ludków razem zwiążesz, to dopiero połowę Warsonofija Siłycza miał będziesz; gdzie tam, ani połowy!

Głos ma ciężki, ochrypły i jakoby ociężały. Powiedzmy, że trzeba ogłosić pracownikom, żeby w niedzielę, przed Dniem Majowym od Roboty Wolnym, Centralny Skład otworzyli i wydali ludziom po pół puda chlebiody i po dwa motki nici niefarbowanych. Inszy toby, człek prosty, rozwarł gębę, rzekł, co potrzeba, i na powrót zamknął, do następnego razu.

Ale to by było podejście niepaństwowe i nikt by się takiego nie słuchał, i nie może taki Baszą być.

A Warsonofij Siłycz wszystko robi, jak potrzeba: zawezwie raniutko małych baszów, Składowych Pracowników, i zaczyna: „R-o-z-d-a-j-c-i-e...”, a co rozdać, tego nie powie i do wieczora, bo mu urzędowego dobra żal.

Bo i prawda, jakże nie żalować? Pół puda - to na każdego ludzika, a jeszcze wydać i na jego babę, i na dzieciątka, i na dziadka-babcię ślepych, chromych, i z każdego obejścia krewniaków abo parobków, a wygeneratów to karmić nie trzeba? Trzeba! A chat ileż w samej Centralnej Osadzie? Będzie z tyś; a jeśli cały Fiodoro-Kuźmiczów, cały grodek nasz zbiegnie się, żeby go karmić, to przecie nie nastarczysz dla wszystkich!

A samemu jeść? A rodzina? A Pracownicy Składowi? A raby ichnie? Ej, kochanieńcy... No właśnie! Bez podejścia nie da rady!

I rozum potrzebny: do dumania. Powiedzmy, takie pokrywki. Znowuż weźmy prostego ludzika, z tych litościwych; co by taki umyślił? Po prostu wziąłby wszystkie i rozdał. Migiem by się słuch rozszedł, zbiegłoby się luda - ani odetchnąć, tłok, ścisk, krzyki; chodzący nieśliby na grzbiecie uszkodzonych, tych podeptanych przeszłymi laty; a ci jęczą: „Inwalidzie!... Inwalidzie pokrywkę!”. W tłumie się pętają małe dzieci - po kieszeniach grzebią, podkradają; niektórzy i kota na sznurku ciągnie; inszy koziełka, żeby jedną pokrywkę więcej dostać: „To - powiada - mój szwagier, też by chciał, a że ma sierść, rogi czy wymię - to już, ludkowie, taki Effekt; wyście sami to może czyściutcy?”. No właśnie.

Pozabijają się, pokrywek naznoszą ile wlezie - niektóryemu dźwigającemu to i serce wysiądzie na amen - a potem w chacie siedzą, *patrzą, czego* nabrali, i sami wyrozumieć nie mogą: co teraz będą robić z tymi pokrywkami? Co nimi pokrywać? Ta za wielga, tamta za mała, nigdzie tego nie wetkniesz. Poobracają, potłuką ze złości, a potem zwałą gdzie pod płotem w podwórzu.

Nie, z nami tak nie można.

Warsonofij Siłycz się zaduma, wszystko to rozpatrzy, rozważy, rozstrzygnie i rozporządzi: pokrywek nie wydawać. Tak i dla ludzi, i dla pokrywek będzie lepiej.

A jeszcze co umyśli: kiedy się zupełnie bez pokrywki warzy, to bardziej zawieszista będzie, jakoby osiadła. Taka zaś smaczniejsza.

No i jeszcze: kiedy brak pokrywek, to każdy sobie marzyć może: ej, gdyby tak pokrywkę dostać! A z marzeniem i żyć łącniej, i zasypiać milej.

To właśnie się nazywa rozum państwowy.

Dlatego też Warsonofij Siłycz żyje sobie bogato, dom ma piętrowy, z kopułkami, na pięterku wokół domu mosteczek na podpórkach; nazywa się galeryja, a po galeryi - dla postrachu raby chodzą, popatrują, czy kto co złego przeciwko gospodarzowi nie zamyślił, nie chce aby kamieniem w jego dwór cisnąć albo co gorszego.

W podwórzu budowle rozmaite: szopy, stodoły, chlew dla wygeneratów i baraki, gdzie raby mieszkają. A rabów zatrzesienie: są i mąkomielcy, i łapimychy, i kwasowary, i grzybalnicy, i skrzypiarze, i kogo tam nie ma! Są też dziewczuchy: podłogomyjki i prządki, i tkaczki, a jest jedna baba specjalna, ta ma śnieżki robić, w tarych świetlakah jako w mące tacać i podawać do stołu, a Warsonofij Siłycz zjadać je raczy. Benediktowi raz się udało własnym okiem ujrzeć Warsonofija Siłycza w całej sławie jego. Szedł sobie i nagle słyszy: „Stój, przejścia nie ma!”. Mali baszowie drogę zagradzają, na ludków powarkują, a niektórego i po plecach kijem zdielają: „Nie leż, gdzie nie trzeba”. Wtedy tarcicowe wrota się otwierają, dzwoneczki dzwonią, wygeneraci walonkami tuptają, sanie skrzypią - matko jedyna! W saniach całą szerokością swoją rozsiadł się Warsonofij Siłycz. Ludziska się ucieszyli, czapki pozdejmowali i kłaniają się w pas: „Dobrego zdrówka, długich lat życia tobie, Warsonofiju Siłyczu, żywicielu nasz kochaniutki, toż samo małżonce twojej i dziatkom takóż! Cóż byśmy bez ciebie jedli-pili, dobrodzieju ty nasz, szczęście ty nasze upragnione!”.

Tak to wszyscy *krzyczą* - i Benedikt też - żeby herod zmięknął odrobinę i jadła kiedy niekiedy przydał: sadła, rzepy czy tam skrzypów, chociażby na to święto, a nie samemu wszystko zjadał.

A Fiodora Kuźmicza Benedikt nigdy w życiu nie widział. I już nie spodziewał się ujrzeć.

I popatrzcie no tylko, proszę: teraz, w zwykły dzień, najzwyczajniejszy, jaki być może lutowy dzionek, szary, mętnawy, wiatrem miecący, śniegiem prószący, północnym groźnym podmuchem, co śnieżny pyłek zmiata z dachów za kołnierze, szyje ludkom ziębi, nabija się do bród, uszy w makową barwę przyobleka, krótko mówiący, w zwykły taki dzień, dzisiaj! Dzisiaj! Podjechały do Chaty Pracy sanie, a w saniach gońcy wystrojeni, w pasach i w czapkach, rękawicach i nogawicach, i - Boże mój - czego tam zresztą na siebie nie nawkładali! I ogłosili: „Chatę waszą sam Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, zaszczyca najjaśniejszymi swymi odwiedzinami”.

A w Chacie Pracy, jop twoju w rzyć, od rana wygasły wszystkie piece. Nocni pracownicy, rozpalacze, miast drewna podkładać i ogień rozniecać, upili się rdzą, a może kwasem, a może nawet, łobuzy, grochodrzewu się nawąchali, choć swywola to jest, i... wszyściutcy zaspali. Ledwie oczy przetarli, rzucili się do pieców, a tam jeno popiół zimny, a i ten przez komin wywiało.

Co krzyku! Krzyku brzydkiego, paskudnego - czasem przez rok tyle nie usłyszysz, ale co robić? Ano, nic nie robić, tylko pobiec do sąsiednich Chat Pracy po ogień, ale tamci nie dają. „Zeszłym razem toście wy nam nie dali, a my wam teraz. Gospodarstwo to sprawa rąk każdego z nas, sam sobie radź, człeku. A co nam do tego, żeście urzędowi - myśmy od was urzędowisi. Idźcie, idźcie stąd, kutafony zmęczone! Bo zaraz jednego z drugim piźniemy w ucho”.

No i nasi z niczym poszli, a tutaj, patrzcie no, gońcy przyjechali. Nasi się rozeźlili, zestrachali, mało nie płaczą. Jeden ręce załamuje, drugi zesikał się z bojaźni, a Konstantinowi Leonticzowi, co siedzi w kącie pod oknem, na jakiś czas jakoby rozum odjęło. Zaczął wrzeszczeć: „Widzę, widzę, słup bezcielesny, przeświatły, przeokropny, gromopodobny i stuoki, a na tym słupie kręcenie i płynienie, i skrzydła, i bestyja wściekła, idąca na światła cztery strony”.

Naczalstwo w samej rzeczy się wściekło i rozbiegło na cztery strony, z krzykiem i wrzaskiem: „Gdzie Nikita Iwanycz, Najwyższy Rozpalacz? Dawać tutaj Nikitę Iwanycza!”.

Benedikt razem ze wszystkimi się turbował i biegał, aże w skroniach zastukało, w oczach mrok plamami poszedł: Nikita Iwanycz! Gdzie Nikita Iwanycz!? U nas tu, cóż za zdarzenie, jaki to przypadek, Boże mój! Może raz na sto lat Fiodor Kuźmicz ludziom pokazać się raczy, niech się sławi imię jego! Jeden jedyny razik z domu wyszedł jasnego, spadzistodachego, spod rzeźbionych kurdzielin, co pod okapem powserniczane, spod

makówek purpurowych, młodą rdzą farbowanych, kołokulczykami poobwieszanych, fikumikołkami poukraszanych! „Booooożeee, Boo... Co za radość, co za strach, co za radość! I to do mnie! Nie jestem godzien...! O Boże... No i gdzie ten Nikita Iwanycz, jop jego w...! Nie rozumie, czy jak?!”.

Gońcy tą porą z sań pokeskakiwali i dalej rozścielać wszystko, co przywieźli. Chodniki adamaszkowe, wzorzyste i plecione po całej Chacie rozwinęli; i na ganku chodniczek, i z ganku chodnik. Migiem śnieg dokoła chaty udeptali i miedźwiedzimi skórami jakoby półkrąg wyłożyli; śliczności takie, że choćbyś i umrzeć miał zaraz, to ci nie żal. Waśka Uszaty przypadł wszystkimi uszami do ziemi i słuchał, czy może nie jadą. I już krzyczy: „Słyszę! Jadą!”. I od razu w dali jakoby obłok biały zadrżał: tuman śniegu. Obłok wyrósł, zbliżył się, a ludzie mało nie poumierali, ale bez potrzeby, bo to jeno mali baszowie się zjawili, dla próżnej ważności przejechali: że niby już możecie drzeć.

Przejechali i tylko ludzi po próżnicy przerazili, a już potem, gdy jakiś czas minął - csssiii! Jakoby dzwoneczki kamienne zastukały. Już i ptaki umykać jeły, i wszystko zmartwiało, i jakoby chmura śnieżna szła, a w niej wiry się kręciły. Wtedy wszyscy, co stali przy ganku: rozpalacze małodbali, skrybowie, mignęła nawet Oleńka, kucharze z Chaty Stołowej i przechodnie - wszyscy, którzy zbiegli się, żeby popatrzeć - czołem uderzyli, a Benedikt z nimi, tedy jako podjechali, jako z sań wychodzili, co to było i czy to ceremonia czy kotłowanina abo co jeszcze inszego - tego nie widział i nie słyszał, jeno w uszach mu stukalo, tak mu się tłukło serce: Stuku-puk! Stuku-puk! Ocknął się dopiero, kiedy go kopniakami z zaspy podnieśli i do chaty pognali, żeby się zachwycił. A tam nawet jakoby cieplej się stało: śliczności, chodnikami wszystko zasłane, chodniki nawet na taburetach, na ławkach, okienka muślinem przesłonięte, cały śmieć z chaty po kątach poupychany i korą brzozową przykryty, tedy go nawet nie widać, tyle że pośmierduje; a świec nawtykali, aże strach, tyle że żadna się nie pali. Bo nie masz ognia. Nie masz Nikity Iwanycza. A ktoś Benedikta w plecy szturchnął: „Siadaj, kochaneczku, Fiodor Kuźmicz nie lubi, kiedy kto sterczy jako siup”. Benedikt usiadł, zastygł i patrzy.

Wszyscy zamarli i zrobiło się całkiem martwo. A za drzwiami słyhać krocзки drobniutkie - stuk, stuk, stuk - i w mrok chaty, na chodniczek purpurowy wstępuje sam Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego.

- Jestem, ludkowie - mówi.

Wtedy ze strachu i radości Benediktowi żar głowę ogarnął, w piersi jakoby przestwór się uczynił jaki, a w środku tego przestworu jakoby kułakiem ścisnęło, naparło i ani westchnąć nie daje. Patrzy tedy Benedikt jako przez mgłę i dziwuje się: wzrostu Fiodor

Kuźmich nie większego niżli ten Kicio, Benediktowi ledwie po kolano. Tyle że Kicio miał rączki malutkie, paluszki różowe, a Fiodor Kuźmich - ręce jako zasuwki u pieca; i ruszają się, ciągiem ruszają.

- Nie spodziewaliście się? - powiada Fiodor Kuźmich, śmiejący się. - Obraz taki chcę namalować: „Nie spodziewali się”, aha. Myślę, że się spodoba. Tam jeden wchodzi, a insi z miejsc się pozrywali i zdziwieni. No to, wiecie, rozumiecie, pogadamy sobie. Jak tam się żyje, pracuje, co tam robicie?

- Przepisujemy, Fiodorze Kuźmiczu! - podnieśli hałas ludkowie, a Fiodor Kuźmich się zaśmiał i mnodzy też śmiać się zaczęli, jakoby jakaś ulga na nich przyszła: zwykły taki Fiodor Kuźmich się okazał, niech się sławi imię jego, może i strachać się nie ma co, tyle że rękami okrutnie rusza.

- A pozwólcie, to ja też usiądę - znowu zaśmiał się Fiodor Kuźmich. - Chcę bliżej do ludu, aha.

Głową na boki pokręcił i hops na kolana Oleńce. A ona go w poprzek brzucha ułapiła, niby tego Kicia, i trzyma. Nie boi się.

- Mocniej trzymaj, bo zlecę, aha - powiada Fiodor Kuźmich. - Pod pachy trzymaj, dwiema rękami. Tylko nie łaskocz, aha.

- Radziśmy wizycie waszej, Fiodorze Kuźmiczu! Obyście długo żyli! - zagadali ludkowie. - Taki zaszczyt! Dziękujemy!

- Dziękujemy za waszą sztukę! - zawołał Waśka Uszaty.

Baby znowuż:

- Dzięki wam, że jesteście! Dzięki!

- Zawsze rad jestem spotkaniom z inteligencją, aha. - Fiodor Kuźmich główkę wykręcił i z dołu Oleńce w liczko popatrzył. - Osobliwie jeśli tu takie rybeńki-pipeńki mnie trzymają pod pachy. Prawda? Tylko nie łaskocz.

- Prawda, Fiodorze Kuźmiczu - podnieśli hałas ludkowie.

- Siła obrazów zamyślam namalować - powiedział Fiodor Kuźmich - jeśli oczywiście rdzy starczy, aha.

Wtedy już wszyscy się do imentu rozweselili: czego jak czego, ale rdzy to nigdy nie brakuje.

- Zbuduję chatę wielgachną, obrazów namaluję i gwoździkami do ścian poprzybijam - dzielił się Fiodor Kuźmich swoimi pomysłami - i na swoją cześć nazwę Galeryja Kabłukowska. Jeśli kto nie wie, Kabłukow to moje przezwisko.

Wtedy wszyscy szum podnieśli: któż by tego nie wiedział.

- Pytania są? Może powiedziałem coś niezrozumiałego, to pytajcie. Kto pyta, nie błądzi. Prawda?

- Prawda. Oj, prawda, Fiodorze Kuźmiczu, długich lat życia wam życzymy! - zawołali ludkowie. - Słusznie! W samo sedności ugodzili! W sam środeczek! Prawda! Prawda! Jeszcze jaka prawda! Święta prawda!

- A obrazy - co to takiego? - Oleńka głosik z siebie wydobyła.

Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, znowu główkę wykręcił i znowu na nią popatrzył.

- A zobaczycie. Siurpryzę będziecie mieli. To jak rysunek, tylko farbowany. Jeden temat wymyśliłem śmieszny, ażę strach. Tam jeden ludzik myszę je, a drugi, znaczy się, wchodzi do niego do chaty. A ten, który je, znaczy się, myszę chowa, żeby tamten drugi mu nie zabrał. A nazywać się toto będzie „Śniadanie arystokraty”, aha. A jeszcze com wymyślił. Jeden obraz malowałem, ale mi za bardzo nie wyszedł. Nazwałem go „Demon”. Wszystko tam na sino zasmarowałem, aha. Umyśliłem go wam do Chaty Pracy podarować, aha. Powieście go gdzieś u siebie, co ma u mnie po próżnicy dyndać. -1 machnął ręką do świty. - Dajcie go tutaj.

Wtedy jeden ze świty wsadził rękę za pazuchę, wyjął koszyk z kory brzozonej, z koszyka wyjął szmatkę, rozwinął, a tam jakoby liść jaki był - kora czy nie kora, ale bielsza. Cieniusienka. We czworo złożona. Rozwinął, a tam tak jasno; popatrzyli - a i nie zrozumiesz, czym to tam jest nasmarowane, ale w samej rzeczy wszystko sine. Podali Fiodorowi Kuźmiczowi, a ten obraz rękami wygładził i z powrotem podaje:

- Kto u was najstarszy? Powieście na ścianie.

Konstantinowi Leonticzowi akurat knebel z gęby wyjęli - przyszedł do siebie troszeńkę; głośniej od inszych zawołał „dzięki”, głośno i cienko niby kozieł wprost Benediktowi nad uchem: ogłuszył, kruca... A Benedikt nie wiedział, co myśleć: pierwszy, świeży strach go odstąpił, a miast niego w duszy ponurość jakaś. Wypada się mocniej zachwycić, a tu zachwyca się człek jakoś słabo. Kwaśno jakoś. Gdyby tak na ziemi się rozplaszczyć, na czworakach, kolana ugiąwszy, a ręce do przodu i na boki rozrzuć, a czołem bić o podłogę - to by lepiej wyszło. Nie na darmo coś takiego wymyślili. Wtedy zachwyty z siebie prze jakoby czkawka. Tak bywa, kiedy się objesz skrzypami w zalewie: w brzuchu piecze i ścisza, a z wątpi do gardzieli beki a beki idą ciągiem. A na taburecie siedzący, jakże tu się zachwycać? Jakobyś ty, zwykły ludzik, Najwyższemu Baszy był równy: ty siedzisz i on siedzi; on tobie słowo, ty jemu słowo. Do niczego. I nawet, co gorsza, czelność w wątpiach się rodzi i zawiść chyta: „Ej, Baszo, po coś to Oleńce na kolanach

usiadł? Złaż mi zaraz. A jak nie, to sam cię zsadzę”. Pomyślał tak i jeszcze bardziej ponuro się zrobiło: to ci dopiero. Jakże on o Fiodorze Kuźmiczu teraz pomyślał. Czego tak?

Wtedy Warwara Łukiniszna nieśmiało głos wydaje:

- Fiodorze Kuźmiczu, chciałam was spytać... W waszych wierszach coraz częściej dominuje motyw konia... Powiedźcie, proszę, co to jest „koń”?

- Co, co? - nie dosłyszał Fiodor Kuźmicz.

- Koń...

Fiodor Kuźmicz uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Sami, znaczy się, nie umiemy... Nie dajemy rady, aha... No, kto domyślny?

- Mysza - ochryple wyszło Benediktowi, chociaż i założył sobie, że milczał będzie, tak mu na duszy krzywo było.

- Właśnie. Widzicie, kochaneczko? Ten ludzik dał radę.

- No, a „skrzydlaty koń”? - pyta dalej przejęta Warwara Łukiniszna.

Fiodor Kuźmicz się nachmurzył i rękami zaczął ruszać.

- Latająca myszą. Niedoperz.

- A jak rozumieć: „Szorował zgrzeblem koński grzbiet”?

- No, kochanieńka, chyba nie będziecie jeść surowej myszy. Skórkę zdejmiecie, prawda? Jeśli suflet albo galart z niej zrobicie, przecie ją obedrzecie całą, prawda? Abo jeśli umyśliliście zgotować z myszy pti fri ala mód w orzechowym rosółku albo zapiec i podać w beszamelu z krutonami. A jak myszątek małych nałowicie i dalej pichcić sznel-klopsa nadziewanego z pampuszkami. Czyliż ich nie oczyścicie? - Fiodor Kuźmicz zaśmiał się jakoś z niedowierzaniem i główką pokręcił. - No?! A co ja mam was uczyć. Myślicie, że mi się łatwo pisze? Dla jednego słowa zmarnujesz rad tysiące ton językowej rudy, aha. Zapomnieliście? Przecie o tym pisałem. Nie śpij, artysto, nie śpij, nie zasypiaj znużony. A i poza sztuką kłopotów mam mnóstwo: codziennie człek coś wynajduje, uwija się, uwija, aże mózg spuchnie. Całe państwo mam na głowie. Czasem to i usiąść nie ma kiedy. Teraz właśnie ukazałem, na dniach dostaniecie, aha. Ładny, ciekawy. Jeszcze mi podziękujecie.

- Sława Fiodorowi Kuźmiczowi! Długich lat życia! Jużemy wdzięczni! - zawołali ludkowie.

Wówczas otworzyły się drzwi i wszedł Nikita Iwanycz. Wszyscy ku niemu się zwrócili. Fiodor Kuźmicz także. A ten wszedł jak do siebie do domu, niezadowolniony, w brodzie rdza mu uwiezia, czapki nie zdjął, na kolana nie padł, nie wznosił oczu pode czoło. Ani nie zmrużył.

- Dzień dobry, obywatele - rzekł rozdrażniony. - Przecież prosiłem tyle razy: uważajcie przy piecach. Trzeba pilnować. Staremu człowiekowi każecie biegać bez ustanku.

- Rozpalaczu Nikito, czyń powinność swoją: rozpal piec! - zawołał Szakał Demianycz głosem wielkim i strasznym.

- Panie Szakalu, proszę mnie tutaj nie tykać - obruszył się Nikita Iwanycz. - I nie rozkazywać!... Mam trzysta lat i biurokratycznego chamstwa jeszcze za Dawnego Życia się napatrzyłem, dziękuję pokornie! To jest pańskie zadanie, pańskie podstawowe *zadanie*: utrzymywać minimum porządku! Pańscy koledzy chleją, a mnie ciągniecie z byle powodu. A za masowy alkoholizm częściowo pan sam, Szakalu, ponosi winę. Tak, tak! Nie pierwszy raz to mówię! Nie zwykł pan szanować jednostki ludzkiej. Jak zresztą liczni. I pański status kombatanta - Nikita Iwanycz podniósł głos i krzywym palicem po stole postukał. - Bardzo proszę nie przerywać! Pański status kombatanta nie upoważnia pana, żeby mną pomiatać!! Jestem takim samym homo sapiens, obywatelu i mutancie, jak pan! Tak *zresztą*, jak pozostali obywatele!

Wszyscy już od dawna wiedzą, że Nikity Iwanycza nie ma co słuchać: plecie bógwico, sam pewnie ani połowy tych słów nie rozumie.

- Sam Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, jest tutaj przytomny! - zatrzęsł się Szakał Demianycz.

- Tutaj jestem przytomny - zakaszłał Fiodor Kuźmicz. - Na miłość Boską, rozpalicie piec, kochaneczku, bo mi nogi zmarzły. Rozpalajcie, czego po próżnicy się ciskać.

Nikita Iwanycz tylko ręką machnął. Ze złością. I podszedł do pieca. A że nie pierwszy lepszy, tylko sam naczelnik państwa najjaśniejszymi odwiedzinami uszczęśliwić raczył, że rozmowę z ludem wiedzie, że dumami swoimi państwowymi się dzieli, że obraz w darze raczył przekazać, że strażą z osękami i halabardami stanęła na baczność, że Konstantin Leonticz znowu z kneblem siedzi, sznurkami skrępowany, żeby się nie ośmielił, że Warwarze Łukinisznej od napięcia wszystkie grzebyki się trzęsą, że podłoga purpurowymi chodnikami ukraszona - to mu jakoby wszystko jedno było. Łapciami po państwowych chodniczkach przeszedł, śladów narobił. Wszyscy stanęli jak wryci.

- No dobrze, a gdzie drwa? - mruknął niezadowolony.

Mali baszowie podbiegli z drewnkami, powrzucałi do pieca. Patrzą tedy wszyscy, patrzy Fiodor Kuźmicz, patrzy i Benedikt: nigdy nie widział, jak Najwyższy Rozpalacz ogień rozpala. A ten w rękach nic nie ma. Ani mu nic z kieszeni nie wystaje.

Przysiadł w kucki. Posiedział. Podumał. Głowę obrócił i wzrokiem po wszystkich powiódł. A potem głowę rozwarł i jak nie chuchnie: chuuuuuuuuuuch! I z gęby mu, jako słup,

jako wiatr wyszedł kłębiący się ogień i wszedł do pieca szerokiego, a wtedy w piecu jęknęło, zatrzeszczało i zapalił się, buchnął płomień złotymi językami, jakoby drzewo Jucha w kwieciu wiośniwym całe.

Od strachu i krzyków cizby znowu pomąciło się Benediktowi w głowie, zdążył tylko zobaczyć, że Fiodor Kuźmicz rączkami się odpycha i na podłogę hops, i tyle go widział. Kiedy się ocknął, rzucił się na ulicę i patrzy: tylko śnieg z ziemi do nieba się podniósł, a w tym śniegu znowu wiry chodzą. I mali baszowie w powrotną drogę się puścili.

A w chacie znowu ani chodniczków, ani skór, jeno ściany gołe, zakopcone, podłoga śmieciem pokryta, piec huczy, ciepło od niego falami idzie, i od tego ciepła siny „Demon” na ścianie się rusza, jakoby chciał zejść.

Oj, pozazdrościł Benedikt Nikicie Iwanyczowi! Wieczorem, po robocie, przyszedł do domu; jako zawsze, niespokojny, sprawdził piec, a piec jak na złość wygasł, jako już często bywało. Gdyby się przyszło godzinkę wcześniej, to może i nic by nie było, jeszcze jakieś życie tliłoby się w węgielkach, jeszcze by chyba można, na kolana padłszy i szyję wykręciwszy, jakoby modlący się, dmuchać a dmuchać, i w końcu wydmuchać żywy ogienek z siwych, zasypiających drewniaków. Tak, godzinę wcześniej - jeszcze by można było. Ale roboczy dzień długi jest, i zanim się do roboty dostaniesz, zanim z roboty biegiem wrócisz, to jakoby naumyślnie, jakoby kto wyliczył, że nie zdążysz na czas! Zupa, jasna rzecz, jeszcze nie wystygła, jeśli garniec szmatkami owinięty był jak należy; posiorbać można, ale smak ma smutny, wieczorny; jesz po omacku, w ciemnościach - przecie i świecy zapalić nie ma czym - i żal siebie, oj, jak żal! Chata też jeszcze nie wystygła, można położyć się spać, ale w siermiędze, w czapce, bo dopiero nocą *zacznie* podmarzać: zima wśliźnie się w chude szczeliny, w szpary, będzie przenikać do środka, chuchać zimnem z piwnicy. A rano w chacie - śmierć, i tyle.

Nie, długo tak nie pociągniesz, trzeba albo do rozpalaczy iść i poprosić o ogień - a wtedy szykuj siurpryzy, kochaneczku - albo do rodzin sąsiedzkich pukać i żebrać, jeśli nie bardzo źli. W rodzinie życie łatwiejsze, bo kiedy gospodarz pracuje, baba siedzi w domu, po gospodarstwie się szasta, pieca dogląda. Warzy. Piecze. Śmieci zmiata. Może i przedzie. Tylko że nie będziesz przecie każdego dnia prosić o jałmużnę, bo sąsiadom cierpliwości nie starczy: dadzą w łeb hołobłą. A może i spać legli albo łaja się wzajem między sobą, jako w rodzinach jest przyjęte, albo biją, we włosy się wczepiwszy, a tu nagle ty: „Nie dalibyście to węgielków, dobrzy ludkowie?”.

A Nikicie Iwanyczowi ani rodzina widać, ani baba, ani sąsiedzi nie są potrzebni, a piec choćby i sto razy pogasł, to jemu - jeden pies. Chuchnie i rozpali. Taki zapali, kiedy chce, czy

to w lesie, czy w polu, czy gdzie indziej, bo nosi ogień ze sobą. Jak zechce, to ognisko rozpali, siądzie przy ogniu, podrzucający chrust suchy, gałązki opadłe, śmieć leśny; zacznie wpatrywać się w żywy, ciepły, czerwonożółty, ruszający się, płasający płomień. Ani prosić nie musi, ani kłaniać się, ani czołem bić, ani lękać się - nic. Swoboda! Zęby tak Benedikt mógł! Właśnie tak!

Jeszcze raz, w ciemnościach nieprzeniknionych, namacał garniec z ciepłą zupą, poszukał rękami w okolicy: gdzie łycha? A diabli ją wiedzą, wsunął gdzieś i zapomniał. Znowu z brzegu siorbać? Nie można, przecież nie kozieł.

Wyszedł na ganek. Boże! Jak ciemno! Na północ, na południe, na zachód, na wschód - ciemności, ciemności bez granic, bez kresu, a w tych ciemnościach kawałki mroku, cudze chaty niby te kłody, niby kamienie, jako czarne dziury w czarnej czarność, jako zapadliny w nicość wiodące, w mroźną niemotę, w noc, w zapomnienie, w śmierć, jako długi upadek do studni, który we śnie bywa - spada człek i spada, i nie masz dna, i serce staje się coraz mniejsze, coraz mniejsze, coraz żałośniejsze i słabsze. Boże!

A nad głową niebo też czarniejsze od czarnego, a na tym niebie błękitnawe plamki gwiazd, to gęściej, to rzadziej, i jakoby dychały, poruszały się, jakoby też łapały powietrze, szarpały się, chciały oderwać, ale nie mogły, przybite na fest do czarnej pokrywy nieba, mocno przytwierdzone, i ani się ruszą. Wprost nad głową Benedikta, zawsze nad głową, gdzie by tam poszedł - i Koryto, i Miska, i snopek Skrzypów Północnych, i jasnobiały Pępek, i chmara Pazurków, i mocno, ciasno, gęsto zbite Wrzeciono, biegnące smugą przez całe niebieskie utwierdzenie - wszystkie są, zawsze były, jak pamięcią sięgnąć. Czy się rodzisz, umrzesz, wstaniesz, leżysz, płasasz na sąsiedzkim weselu albo rankiem na surowym, malinowym wschodzie obudzisz się jako po grzmotnięciu kijem, przestraszony, jakobyś sam jeden został żywy na tym świecie - one będą ciągiem tu, zawsze tu, blade migające, ślepe, milczące, wieczne.

Za plecami stygnąca chata. Polewka. Wyrko. Na wyrku szmaty: wojłokowa kołdra, co po mateczce została się, letni serdak - żeby nogi zakrywać, brudna poduszka, pióry wypchana. Przy oknie winien być stół, przy stole taburet, na stole rozszczepa z łojową świeca, w komórce zapas świec i rdzy pół puda, a w schowanku, przed złodziejmi ukryte, zapasowe walonki, skarpety i łapcie na wiosnę, i kamienny nożyk, i wiązka suszonych grzybali, i kociołek z uchwytem. Przynajmniej rankiem były. Czego chcieć więcej? Wszystko jest. A ciągiem coś niedobrze. Coś ciągiem świerzbi, a świerzbi.

Zaliż bogactwa pragnę...? Abo swobody...? Zali pomrzeć się boję...? A może chcę dokądś umknąć...? Abo wznieść się na wyżyny swywoli, może wystawiam sobie, żem basza

abo jaki władyka wielgachny, niebosiężny, czarodziejski, wszechwładny, główny-najgłówniejszy, co ludków depce, w domu wysokim mieszka, rękami porusza a głową kiwa? A jak Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, do sieni wszedł i wszyscy na twarz runęli... A jak Nikita Iwanycz ogniem zionął...

Stary to niczego się nie boi, nikt mu niepotrzebny - ani basza, ani sąsiedzi. Bo taka siła onemu jest dana, taki zazdrości godny Effekt: ogień mu we wątpiach się wytwarza. Jak zechce, to całą osadę spali. Co tam osadę: gród cały, wszystkie lasy wokoło, cały ziemski blin! Dlatego widać, naczalstwo go bokiem obchodzi, nie przyczepia się, jako do nas, prostych ludków; jego sława i siła, i władza ziemska...! Jejku, jej, a nam cichym-małym w nocy na ganku stać, wdychać mroźną ciemność, wydychać ciemność ledwie ciepłą, przestępować z nogi na nogę, *zadzierać* gębusię do dalekiego niebieskiego Wrzeciona, słuchać, jak ślony mrożonym groszkiem szeleszcza, spadają na brodę krzaczastą, słuchać, jak czarne chaty cicho siedzą na czarnych pagórkach, jak poskrzypują wysokie drzewa, jak jęczy dujawica, jak wiatery donosi w porywach - ledwie słyszalne, ale wyraźne - dalekie, północne, żalosne wycie.

I KRÓTKIE

Nie oszukał nas Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego: akuratnie w tydzień po najjaśniejszych swoich odwiedzinach raczył wydać Ukaz i po wszystkich Chatach Pracy ten Ukaz rozdali do przepisywania i rozmnożenia; dostało się przepisywanie i Benediktowi.

Szakał Demianycz wszystkich zebrał i ogłosił - jakobyśmy sami nie wiedzieli - że państwowe postanowienie winno być w czasie jak najkrótszym dostępne wszystkim ludkom i dlatego szybko i kraśnymi zawijasami ten Ukaz przepisać trzeba, i na każdym rogu, gdzie tarcz jest, przybić kopiję.

UKAZ

Ja, Fiodor Kuźmicz-Kablukow, niech się sławi imię moje, Najwyższy Basza, obym żył długo, Sekrytarz i Akademik i Bohatyr i Żeglarz i Cieśla, iżem jest w nieustannym o ludzi frasunku, przykazuję:

- Nowy Rok Święto Świętować Ono święto żeby świętowało się Pierwszego Marca jako Majowy od Roboty Wolny Też od roboty wolne być ma Znaczy się nikt do roboty nie pójdzie, macie pić-hulać, robić co chcecie, byle z umiarem a nie tak jak niektórzy raz bywa że burdy wyczyniacie i wszystko popalicie a potem tylko popiół rozgrzebuj Ono Święto Nowy Rok świętować tak: Zrąbać w boru drzewo nieduże rozłożyste, żeby do chaty wlało, a kto chce to i na dworze. Wetknąć ono drzewo w podłogę abo gdzie przyjdzie, żeby się trzymało, a na gałązki powieszać wszelakiego dobra, co tam kto ma. Można nitki kraszone kręczone abo nie, można orzechy, świetlaki abo czego nie szkoda, co się w domu poniewiera wszelki śmieć po kątach zawsze bywa inszy raz się przyda. Silnie tam przywiążcie żeby nie upadło sami wiecie Świeczki też zapalcie żeby jasno było i wesoło Wszelkiego co smakowite nawarzcie napieczcie, nie żałować, wszystko jedno, rychło wiosna w lesie, wszystkiego pełno narośnie Gości zaproście sąsiadów, krewnych, wszystkich ugośćcie niczego nie żałujcie, nie objedzą was a sami też jeść będziecie Na dudkach grajcie kto potrafiący, na kołatkach, można w prysiudy kto ma nogi w porządku Na siebie szatki ładne wdziać, wypindrzyć się, do włosów też powtykajcie co tam popadnie Może komu pomyć się przyjdzie ochota to każę łaźnie otworzyć o dziennej porze proszę przychodźcie myjcie się tylko drwa ze sobą przynieście bo dla wszystkich nie nastarcysz Ciekawie będzie sami zobaczycie.

Benedikt przepisał Ukaz cztery razy, oddał korę Oleńce, żeby litery ukraśniała - plecionymi wstążki, ptaszki i kwiatki, boć to sprawa poważna abo, jak powiada Szakał, doniosła, sam zaś się pojaśniał i rozradował się. I reszta ludków, którzy w chacie pracowali, też pojaśniała i jakoby się wyprostowała. A jakże się nie radować: wiosna rychło! Wiosna! Kto jej nie lubi! Najbardziej zabiedzony, parszywy ludzik na wiosnę się poprawia, dobrzeje, na coś tam swojego nadzieję ma.

Przeleżysz całą zimę na piecu, w kopciu i łupinach, i nie zdejmujący łapci, i nie myjący się, nie czeszący, już i noga w brudzie całkiem jak walonek, jeno się dziwować samemu abo sąsiadom pokazywać; już i broda cała w kołtunach i gniazdach, że tylko myszy zapraszaj; już i oczka ci łuską porosły, że palcami rozwieraj i przytrzymuj, bo się zamkną. A jak wiosna przyjdzie, wypełźnie taki rankiem, wiosną, znaczy się, na dwór, za potrzebą abo tylko tak, powieje nagle wiatr mocny i słodki, jakoby gdzie za rogiem kwiaty przenieśli, jakoby dziewczuszka jaka westchnęła, jakoby szedł ktoś niewidzialny i przy furtce twej się zatrzymał, a siurprzyży przyniósł - stoi chłop zaśmiardły i zastygł, i jakoby słuchał, i uszom swoim nie wierzył: zali w samej rzeczy...? Stoi, oczy zmartwiały, broda dzwoni jako rdza na wietrze, jako dzwonki małe; gębę rozwarł, a zamknąć zapomniał; jak złapał się za portki, tak i zastygł, i od nóg już na śniegu dwa kręgi czarne odtajały, już i srajski ptak mu na włosy napaskudził, a on stoi bezgrzeszny, pierwszym wiatrem omyty, w złotym blasku, a cienie sine, a sopolki błyszczą i na wyścigi pracują: kap, kap, kap, kap! tyń, tyń! Stoi, dopóki sąsiad abo współpracownik nań nie zawoła, mimo idący: „Eduard, czego tak sterczysz? Zadzławiłeś się czym?” - i rozśmieje się tak ładnie, miło, wiosennie.

Pierwszy Marca - to już całkiem prędko. Tuż-tuż. Co prawda, mrozy jeszcze po nocach niemałe, jeszcze czekać zamieci, jeszcze nieraz przyjdzie śnieg rozgrzebywać, przedeptywać ścieżynkę do chaty na nowo abo i przejezdne drogi oczyszczać łopatami, jeśli wypadnie twoja kolejną na drogową powinność - a mimo to lżej, już koniec widoczny, już i dni dłuższe niby się porobiły.

Zima ze złością fuka, Bo już minęła jej pora. Wiosna do okna stuka: Fora, zimo, ze dwora!

Prawda. Tak właśnie jest. Teraz trzeba drzewo w lesie pobrać, jak przykazał Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, i obmotać czym: co tam u kogo się poniewiera. Ludkowie w przerwie obiadowej rozprawiają: co. Przejęci wielce.

Ksenia sierotka rozprawia:

- Mam dwa orzechy i nitkę pięć arszynów schowane w schowanku.

Konstantin Leonticz marzy:

- Ja z kory brzozonej powystrzygam festonów i kółeczek i girlandy zrobię symmetryczne.

Warwara Łukiniszna:

- Mnie się tak widzi: na sam wierzchołek - świetlak, a niżej wszędzie korale, korale spiralami.

- A z czego te korale?

- No jak...? Można kuleczki z gliny utoczyć i na nitkę.

- Z gliny? Zimą?

Pośmiali się.

- Nieźle by było groszku nanizać, jeśli kto ma w zapasie.

- Tak, groszku by nieźle było. Popatrzysz się i zjesz. Jeszcze się napatrzyłeś - to znowu zjesz.

- Może na święto ze Składu co wydadzą.

- Uważaj, bo *dadzą*. Akurat! Sami potrzebują.

- Ludkowie! A może co u Pekińczyków wymienić na plecione kobiałki?

- A co mielibyśmy wymieniać? Przed wiosną wszystko do czysta wyjedzone.

- To zależy u kogo.

- A wy, Oleńko, czym ukraścić zamyślacie?

Oleńka jak zawsze zarumieniła się i zacukała.

- My? My - cóż... My - tak... Jakoś... Coś...

Rozczulił się Benedikt. Zaczął wystawiać sobie, jak to Oleńka w nowej kacabajce i w sarafanie z pięknymi rękawami siedzi przy jakowymś stole bogatym, to zwrok na stół opuści, to na niego, Benedikta, popatruje, to na świeczki zapalone zerka, a od tych świeczek oczęta jej błyszczą i mienia się, a rumieniec pała na cały polik. I przedział we włosach jasnych ma czysty, równy, mleczny jako to Wrzeciono na nocnym niebie. Na czole ma taśmę plecioną-kraszoną, a na tej taśmie chwieją się ozdóbki, wisiorki: z boku na skroniach kółeczka, a pośrodku kamuszek niebieściutki, mętny jako śłoza. Na szyjce też kamuszek na nitkę nanizane, zawiązane na fest pod samym podbródkiem, a podbródek bielutki taki, a pośrodku niego dołeczek. I tak siedzi gdzieś, jako ono drzewko noworoczne wystrojona, wypindrzona, niby nie drgnie, a popatruje...

A insza Oleńka - ta, co tutaj, w Chacie Pracy, rysuje obraziki i język wysuwa - jest prostsza i gębusią, i ubraniem, i zwyczajami. A mimo wszystko i jedna, i druga to ta sama Oleńka i jak to ona się Benediktowi w głowie rozdważy, jak to się zwiduje-rysuje - to nie jest do pojęcia.

Niby od zwyczajnej Oleńki senny obraz jakiś się oddzielał, przed oczami wisi jako mara, jak omam, jako czarodziejstwo jakie. Nie do pojęcia... Zwyczajną Oleńkę starym zwyczajem nawet łokciem w bok szturchnąć można i żarcik jej jakiś powiedzieć albo psikusa wypłatać: kiedy ona tam rysuje, wziąć, podkraść się i przywiązać za kosę do taburetu, do nóżki. Kosę ma do podłogi, więc to nietrudne. Wstanie i do potrzebnej komórki wyjdzie albo na obiad - a taburet za nią jak nie zadudni! Krotochwila ucieszna, tyle razy już próbowali.

A z drugą Oleńką, z czarownym widzeniem, takich psikusów się nie robi, kułakiem pod żebra nie szturchniesz, a co z nią robić potrzeba - nie wiadomo. Tylko że z głowy wyjść nie chce. A widzenie to wszędzie się narzuca - niekiedy na ulicy, osobliwie pod wieczór, kiedy po ciemku do domu leziesz, i w chacie... Tak właśnie się przedstawia: otwierasz drzwi zgrubiałe, wchodzisz do środka - a tam w zadymionym, ciepłym powietrzu, pośród tych wszystkich zapachów, wyziewów: blinów smażonych, kwaśnej mokrej sierści, dusznego popiołu, jeszcze czegoś powszedniego, domowego - pośrodku tego wszystkiego niby świecenie słabe, niby poświata jaka - w tym powietrzu Oleńka ustrojona stoi jako ten bałwan nieruchoma, mocno koralami omotana, na mleczny przedział rozczesana, tylko oczy jej pobłyskują, rzęsy drżą, a w oczach tajemnica i sine płomyki świec się kołyszają.

A to ci... Nie, nie uwolnisz się.

Ludkowie pewnie będą Nowy Rok świętować, biesiadować i pląsać, a u Benedikta w chacie, okrom starych skarpet, nic nie ma. A i prosić gości, częstować - turbacyja spora. Czymże ich karmić? Wiosna to pora najbardziej głodna. Benedikt przed wiosną zawsze chudł, aże mu żebra wystawały. Cały dzień w pracy, nawet latem - od rana w polu, zapasy szykować. Zmordujesz się tak, aże patyczek pisarski z palców się wyślizguje. Ręce drżą i pismo krzywe. Dlatego też latem skrybowie urlop dostają, bo jacy z nich, do cholery, pracownicy. Latem skryba jest jako zwyczajny ludzik: kosę na ramię i w pola, na łąki, chlebiode kosić, skrzypy. Snopy wiązać. Powiązałeś - dźwigaj do szopy. I znowu, i jeszcze, i na powrót, i jeszcze raz, i biegiem, biegiem - a kiedy wyjdiesz, to sąsiedzi albo kto obcy niezawodnie parę snopków muszą zwędzić, jeden z pola, drugi prosto z szopy. Ale nic to: oni mi ukradną, a ja, rozeźliwszy się, ukradnę im, ci - tamtych, tamci - siamtym, jako po kręgu, żeby sprawiedliwość była. Niby każdy każdego okradł, a każdy swoje ma. Mniej więcej. To

jest, jak powiada Nikita Iwanycz, żywiołowa redystrybucja własności osobistej. Pewnie i tak.

Bo staruszek kiedyś, jak jeszcze mateczka żyła, zachodził i rozprawiał, i Benedikta chciał uczyć rozmaitych deliberacyj: „Niech pan myśli sam, młody człowieku, niech pan rusza własną głową! Nie lepiej by to było bez - pyta się - złodziejstwa? Ile byście - powiada - czasu i sił zaoszczędzili! O ileż by mniej szkód w osadzie było!”. I przedkłada, i wyjaśnia, a mateczka od razu głową kiwa: „}a - powiada - zawsze synowi to samo mówię, wykładam ALIMENTARNE zasady MOLARNOŚCI. Ale - powiada - na razie bez skutku”.

Molarność - pewnie, że to dobra rzecz, nikt nie *przeciży*. Ale dobro dobrem, a dobrego w nim nie za wiele. Poza molarnością jest jeszcze dużo rzeczy w życiu. Zależy jak spojrzeć.

Gdyby mojego dobra ludkowie nie kradli, pewnie, to molarność. Spokojniej by było na duszy.

Ale z drugiej strony... No, powiedzmy, że ludzik nakosił skrzypów, tak? Teraz musi je nosić do chaty, a tutaj ja mimo niego idę i mrygam. On, jasna rzecz, trwoży się, snopy przykrywa, ode mnie odgradza, gęba mu się robi niespokojna, jakoby niechętna, brwi nastroszy i spojrzenia spod nich rzuca. Jak widzę coś takiego, to ani chybi stanę obok, nogi rozstawię, gębę rozewrę i dalej żarty sobie stroić: „Cóż to, Demianie? O dobro się boisz? Co? Frasujesz się? Ano, bój się, bój! Bo to, Demianie, sprawa taka: odwróć no się tylko, Demianie! No? Co? Swojego ci żal? Ha!”.

A ludzik i tupie, i miota się, i z nogi na nogę przestępuje abo i warczy na ciebie: „Czegoś się przyczepił, sobako! Poszedł! Bo cię kopnę!”. A dla mnie sama radość. Odejdę na bok, o plot się oprę, a ciągiem popatruję i pomryguję, aluzję robiący, i ciągiem ludzika niepokoję. Jeśli nie ma czasu, to splunie, zabierze wiązek, ile może, i ciągnie, wlecze abo dźwiga na plecach, jeśli zdrowie mu pozwala, a przy tym się ogląda: „Co tam ja, nie zepsułem czego? Nie zabrałem, nie schowałem? Nie wypaskudziłem się czasem na jego plony? Nie nasmarkałem na dobro? Bo mogę!”.

Co śmiechu! Co uciechy! Takiemu niespokojnemu choćby jeden stosik koniecznie zwinąć trzeba.

A jeśli ja mu molarność zrobię, to uciechy nie będzie żadnej. I co wtedy: idź mimo nasepiony, jakobyś od rana nie jadł? Ani patrzeć na cudze dobro, ani nawet marzyć nie śmieję? To męka! Zaprawdę, męka-udręka. Przecie oko jakie jest - samo na bok *zjeżdża*, na cudzym się zatrzymuje, niektóry raz aż na wierzch wyłazi. Bo nogi to się może i *plączą*, ale przejdą mimo, a oko wprost się przykleja, a za nim cała głowa na szyi się wykręca i od razu myśl jako o słup, jak o ścianę jaką się opiera: psiakryda, żeby to moje było! Oj, żeby tak! To ja bym!

Ach, jak bym! Ślina, jasna rzecz, z gęby się toczy, aże na brodę naleci. Palce same się ruszają, jakoby coś łapały. W piersi świerzbi. I jakoby ktoś do ucha szeptał: „Bierz! Co tam! Nikt nie widzi!”.

No więc, napociwszy się, natrudziwszy i żartów nastroiwszy, jadalnego co sobie na zimę nazbierasz. A do wiosny wszystko zjesz. Tak że abo idź, ludziku, do Chaty Stołowej świństwo zjadać, abo zadowolnij się jadłem duchowym.

Tako o książkach zawsze mówią: strawa duchowa. Prawdać to, zaczytasz się - i jakoby w brzuchu mniej burczało. Osobliwie, jeśli palisz, czytający. Pewnie, różne książki się trafiają. Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, trzusi się bezustannie. To bajki, to wiersze, to powieść, to kreminał abo nuwełę, abo jaki esej, a przeszłego roku raczył Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, napisać szopenhałera, to jakoby powiadanie takie, tylko za cholere nie zrozumiesz. Długie takie, kruca, najmniej trzy miesiące w dziesiątkę je przepisywali, to się i umęczyli. Konstantin Leonticz chwalił się, że wszystko rozumiał - no, ale ten to zawsze się chwali. Śmiali się wszyscy. „Co, kochaneczku, rozumiałeś? To powiedz, o czym to: kto gdzie poszedł, kogo zobaczył, z kim figle-migle robił, i kogo zabili? Aha? Nie wiesz? Cha, cha, cha!” Nazywało się toto „Świat jako wola i wystawienie”; dobry tytuł, nęcący. Przecie zawsze człek sobie coś wystawia, osobliwie, kiedy spać legnie; siermięgę pod siebie podetka, żeby nie wiało, głowę szmatą okryje, jedną nogę podwinie, drugą wyciągnie, kułak pode głowę abo łokieć. Potym pokręci się, poduszkę na zimną stronę obróci, na powrót siermięgę podetka, jeśli zlął, powierci się, powierci - i zasypia.

A wtedy sobie coś wystawia.

No więc raz Oleńkę wystawisz sobie wystrojoną, białą, nieruchomą, aże w dołku zassie; to znowu wystawisz sobie, jak z babą żartujesz abo z dziewuchą jaką ładną, ty ją łaps, a ona dawaj piszczeć, i obojgu wesoło. To jakobyś ulicą szedł i coś cennego znalazł: kaletę z blaszkami abo koszyk z jadłem. A niekiedy rozmarzysz się, że poszedłeś tam, kędy ludzie nie chodzili: po ścieżynce do lasu, na wschód i dalej, na łąki, i jeszcze dalej, kędy znowu las nieznany, kędy ruczaje szemrzą jasne, kędy drzewo brzoza złote gałęzie w ruczajach moczy jako nici długie, jakoby włosy dziewczęce, co na słońcu błyszczą - omywa i suszy na ciepłym wietrze; a pod brzozą murawa zielona, paprot wystrzygany, żuki z sinym odcieniem, a ot i kwiat makowy - zerwiesz go, wdechniesz, a on sen sprowadzi. I dźwięk daleki w uszach słyhać, i jakoby obłoki jakie w piersi płynęły, a ty jakobyś na górze stal i drogi z onej góry widział białe, poplątane, a słońce świeci, igra, oszukuje, oślepia, patrzeć przeszkadza i jakoby w dali co błyszczało - czy to Morze-Łocean, o którym w piosnkach bają? Czy też wyspy na

morzu czarodziejskie, z białymi grody, ogrody, baszty? Czy królestwo obce utracone? Czy życie insze?

Tak to sobie wystawiasz, wystawiasz, i w końcu zaśniesz.

Tylko że o niczym takim Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, w szopenhałerze swoim nie pisze - a już szczerze mówiący, nudziarstwo takie, że Panie Boże odpuść. Ale ludzie tak czy siak wszystko rozkupili, a lepiej powiedzieć - wymienili, i teraz ktoś gdzieś to dzieło pewnikiem czyta, i pluje sobie w brodę. Tak w ogóle to ludzie książki czytać lubią, w dzień wolny na targowicy zawsze można myszy na książki wymieniać. Mali baszowie na targowicę wychodzą, państwowe kramy wzdłuż płotu rozstawiają, brzozowe książki wykładają, i w każdą jest wetknięty cennik, albo inaczej zakładka: żeby wiedzieć, po czemu towar. A ceny są rozmaite: pięć myszy, dziesięć, dwadzieścia, a które osobliwie wciągają albo z obrazikami, te i do pięćdziesięciu dochodzą. Ludkowie tłoczą się, pytają o cenę, naradzają się: brać, nie brać, i co to za książka, i o czym, i czy dużo obrazików. A zaglądać nie wolno: najspierw płać, a potem zagładać sobie, ile chcesz. Mali baszowie na mrozie walonkami przytupują, rękawicami klepią, towar chwalać:|

- Nowość, nowość, komu nowość! „Wieczny zew”, momumertytalna powieść! Komu „Podstawy rachunku różniczkowego”, broszura popularna, bardzo ciekawa!

A niektórzy i ręce do gęby przyłoży, w trąbkę zwinie, żeby lepiej słyhać go było, i głosem wielgim wykrzykuje:

- „Kozucha-kłamczucha”, ostatni egzemplarz! Zajmująca jepopeja! Powtarzam, ostatni egzemplarz!

A to on specjalnie tak woła, kłamiący, bo przecie pod ladą jeszcze ma tuzin schowanych. Tak tylko ludków mami, żeby się kupą zbiegli, bo nuż w samej rzeczy ostatni, nie można przegapić. A jeśli kto ma straszną ochotę książkę dostać, to nawet przepłaci. Mówi:

- Oj, naprawdę już wszystkie poszły?

A basza, jakoby z niechęcią:

- No, jest jedna... Dla siebie odłożyłem. No, nie wiem...

A ludzik:

- Może odstąpisz? Dwie myszki dodam, co?

Basza:

- Nie wiem... Sam czytać chciałem... No, chyba żebyś pięć dorzucił...

- Pięć? Bóże się Boga! Myszą u mnie tłusta, za półtorej ujdzie.

- No, pokaż... - I w końcu się zgodzą, a baszy więcej przybyło.

Stąd u nich i pyski grubsze, i chaty wyższe.

A Benedikt pysk ma taki sobie, w dotyku nieduży, i chatę maleńką.

DZIESIĄTA BUKWA

Przez całą noc Benedikt łapał myszy.

Łatwo powiedzieć: łapał. Wcale nie prosta to sprawa i, jak do każdej sprawy, potrzebne jest wyrozumienie. To tylko się tak wydaje, że tutaj ty, a tu myślą, i ty masz ją łapać. O, nieee!

Łapał je oczywiście pętliczką. Ale jeśli w piwnicy pusto, jeśli myszą skrewiła i przeniosła się do kogoś bogatszego, to czy potrząsaszesz pętliczką czy nie potrząsaszesz, i tak nie wytrzęsiesz. Myszę zanęcić trzeba. Przeto wszystko winno być obmyślane zawczasu.

Ot, dwudziestego dnia była wypłata. Pięćdziesiąt blaszek. Tak. Podatek od nich - trzynaście percent. To znaczy sześć i pół blaszki podatku. Od wczesnego tedy ranka ludkowie stanęli w ogonku do Chaty Płatniczej. Jeszcze nawet zorza nie wzeszła, bo zimą ciemno choć oko wykol.

Co zresztą się zdarza. Idzie taki ludzik po omacku, w ciemnościach, po wypłatę - i do dziury wleci, konarem oko wykolę albo pośliznie się i nogę złamie, albo zabłądzi do cudzej osady, a tam sobaki złe go potarמושą; upadnie i zamarznie w zaspie na śmierć. Wszystko może być.

Ale przypuścimy, że Bóg miłościwy był i przyszliśmy na miejsce. No dobrze. Stanęliśmy w ogonku. Kto pierwszy przyszedł, ten w kurytarzu, albo inaczej w sieni się usadowił. A kto na końcu - ten już na ulicy stoi, na mrozie przytupuje. Stoją tak, straszą jeden drugiego, albo rozhowory wiedą, zgadują, czy przyjedzie basza płatniczy czy też znowu się upił poprzedniego wieczoru piwem, kwasem albo moszczem konopnym. Abo żarty stroją: jeśli kogo z ludków zmorzyło w sieni od ciepła i na podłodze się zdrzemnął, we4 zną takiego ostrożnie pode pachy i odniosą na sam koniec ogonka. Jak się ocknie, za cholere nie pojmie, co, jak i czemu on tutaj. Pędzi tam, gdzie raniej stał albo leżał, a wszyscy do niego: „Gdzie się pchasz bez kolei? Stój na końcu!”. A on: „a pierwszy stałem!”. A my: „Nie widzieliśmy!”. No, krzyki, draka, rany rozmaite.

Tak czas przemija, zorza różowa, mglista na niebo wychodzi, ciemności roztrąca. Poranna gwiazda Czerpak błyszczący pięknem niewypowiedzianym jako świetlak na wysokości. Mróz jeszcze tęższy się wydaje. Czekamy na baszę: czy aby jeszcze przyjedzie? Niech no gdzie w uliczkach śnieg się zakłębi, sanie migną, a już ludzie krzyczą: „Jedzie! Nie jedzie! Na pewno on, jego czapkę widać!”. I różne takie. Poruszenie wielgie.

Jak do wieczora nie przyjedzie, to się rozejdziemy, a jak raczył oczy otworzyć, no to ludzik wypłatę dostanie.

Stoisz, stoisz - i patrz, dostałeś się do płatniczego okienka. Twoje szczęście, nachyl się. A dlaczego nachyl. A dlatego że ono akurat-nie na wysokości pępka wywiercone, wążutkie takie. To dlatego że basza z drugiej strony na taburecie siedzi i tak mu wygodniej. I jeszcze dlatego tak wymyślili, żeby w pas mu się kłaniać, pokorę okazywać, żeby była w organizmie. Przecie jeśli wyprostowany stoisz, blaszki liczysz, to kto wie, co ci przyjdzie do głowy? Na przykład czemu tak mało albo czemu podarte, albo czy wszystko mi wydał, nie zatrzymał tam czego w garści, herod przeklęty, i insze takie myśli swywolne. A kiedy w pas się zegniesz i głowę na bok wykręcisz, żeby lepiej widzieć, co dają, i rękę do okienka daleeeeeeko wsuniesz - a głębokie ono - i palce rozcapierzysz, żeby blaszki ucapić, aże ramię cię zaboli - wtedy dopiero czujesz, co to takiego służba państwowa i potęga, i chwała, i władza ziemską, na wieki wieków amen.

A jeśli znowu będziesz miał szczęście, to blaszki ucapisz. Kto krótkoreki albo chromy na przegubie, ten oczywiście wszystkich w życiu nie ucapi, a co najwyżej część. O takich mówi mądrość ludowa: za krótkie ręce. A i ludkowie z tyłu napierają, poganiają, popychają, na plecy ci się kładą, do ucha dyszą. Niełatwo. No, Benediktowi tam siły nie brak, młody, to się obroni, blaszki krzepko w garści zaciśnie i rękę z okienka szczęśliwie wyciągnie, tylko trochę nadgarstek obedrze, ale to głupstwo, zwyczajna rzecz. Kompres ciepły na noc przyłoży, rękę owinie, to krew może zakrzepnie. A do następnej wypłaty ani chybi nowa skóra narośnie.

Skoro blaszki państwu wydarłeś, to stawaj do drugiego ogonka płacić podatek. To tak się tylko mówi: stawaj, bo kto by tam z własnej woli stanął. Tu już jasna sprawa, strażą z berdyszami goni ludków po kurytarzu do drugiej komnaty, do dwóch odliczyć każe, łańcuchy kamienne ze wszystkich stron drogę *zagradzają*: wszystko jak trzeba.

A poza tym wszystko tak samo, tyle że w okienku siedzi nie płatniczy basza, ale podatkowy, i okienko szerokie, przestronne, że sanie by przejechać mogły.

Tutaj sprawa szybciej idzie - chyba w cztery godziny uwinąć się można. Odliczasz sześć i pół blaszki i dajesz baszy. Ale blaszki na pół przecie nie rozerwiesz! Na co komu taka podarta? No to cóż robić: trzeba oddać siedem. Pod koniec dnia basza tych dodatkowych ma całe tysiące. A on je sobie weźmie, strawy jakiej nakupi albo piętro do domu dobuduje, albo balkon, albo szubę sobie sprawi, albo i sanie nowe.

Basza to zawsze basza.

A tacy, co państwowego rozumienia nie mają, tylko same puste wymysły, jak na ten przykład Nikita Iwanycz, ci powiadają: „Dlaczego nie można, żeby jeden i ten sam basza pieniądze płacił i pobierał podatek? Tak - powiadają - byłoby szybciej”.

No i macie głupich! Doprawdy, śmiech bierze, jak się tego słucha! Dlaczego? A dlatego, że basza płatniczy jest płatniczym baszą, a podatki zabiera basza podatkowy! No? Jakże to tak - jeden basza będzie ci dawał i odbierał? No? Po cóż by on wtedy w ogóle miał do roboty przyjechać, z takimi pieniędzmi? Zamknie się w domu i dalej jeść-pić abo w sanie siądzie, na polowanie ruszy i tyłeś go widział. No nie?

Każdy by zresztą tak zrobił.

Przecie gdyby podatkowy basza w chacie nie siedział, pieniędzy nie zabierał, czyby płatniczy w ogóle nos wytknął na ulicę? Przecie by nawet, pijanica jeden, nie przypomniał sobie, że już dwudziestego - wypłata abo, na przykład piątego - zaliczka!

Podatkowy go pewnikiem od wieczora męczy: „Gdzie blaszki? Nie okradłeś aby kassy? Nie było jakiej straty w moim interesie? Czy bezpiecznie w kobałkach siedzą, myszą nie przegryzła?”. Bo i tak bywa, a wtedy wypłaty nie dadzą. Powiedzą: „Przepadło nie wiadomo gdzie, czekajcie do drugiego razu”. Czekamy.

No, ale przypuśćmy, że wszystko dobrze poszło, dostaliśmy wypłatę, blaszki w garści mamy. Za te blaszki abo, jak insi mówią, „rublaszki”, abo „siano” czy tam „krwawicę”, niczegusieńko, rzecz jasna, nie kupisz. Gdyby ich siła było - to tak. Wtedy kupisz. A tak, to nie. Najwyżej zjesz obiad.

Myszą to insza sprawa, jej to wszędzie pełno, każdego dnia świeża jest. Jak miałeś czas, to nałapałeś i wymieniaj sobie na zdrowie. No i kto ci co złego rzeknie, Boże mój?! Jasne, że i od myszy podatek do kassy idzie abo, inaczej mówiący, haracz, podymne, pogłównne, popieczne, wszystkich nie zliczysz, ale to całkiem insza sprawa.

No i cóż: ma Benedikt w garści blaszki, połowa roboty zrobiona. Teraz musi uczynić tak: za te blaszki kupić w Stołowej Chacie obiad, byle chleba nie jeść, tylko oszczędzać, nosić do domu i tym chlebem karmić myszy. Jeśli każdego dnia kruszyć im po kawałku, to zleci się bidaczek bez liku.

I na ten raz tak wszystko szczęśliwie się złożyło, jak było pomyślane! Wszystko się zeszło! Całą nockę Benedikt łapał myszy, a nad ranem na sznurku, nie kłamie, majtały się dwieście siedemdziesiąt dwie, szarutkie, z grubymi mordkami i skórką jedwabistą! No, może nie dwieście siedemdziesiąt dwie, ale sto pięćdziesiąt sześć. Siła! Pomylił się, jak liczył. A dlaczego taka wiktoryja? A dlatego, że wszystko obmyślane było zawczasu, wszystko przemyślane uczenie, starannie.

Jejku, jaki piękny jest ludzki rozum, a któż go wysławi? Kto pieśń ułoży szczęśliwą, głośną, z ruladami i modulacjami i potym wyjdzie na górkę abo wzgórek jaki, mocno stanie, nogi rozstawiwszy, a ręce wyrzuci na boki i jak nie tupnie! Nóżką - tak, żeby oczywiście nie upaść - tupnie, mówię, i - ech! Trala, trala, tralala! Ludzie, ludzie, oj da da!!! Trawa, trawa się zieleni, zieleni się trawka, ej, ta trawka, trawka-tra, ej, trawka-murawka!!!

Może i nie tak, ale cośkolwiek właśnie takiego, radosnego, żeby samo z młodej piersi się wyrwało, żeby w głowie szczęście poczuć, żeby to szczęście między uszami zbulgotało jako zupa w garncu, aż w kark załaskotało. Zęby na całą osadę, na cały świat rozniosło się: chwała mądrości ludzkiej i cześć! Rozumieniu, rozmyśleniu, przemyślnemu przemyśleniu, wyrachowaniu - chwała! Głowie chwała i cześć! Niech żyje! Hurra!!!

Takiej kupy myszy chyba sam Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, w życiu nie nałapał, a przecie mistrzem w polowaniu na nie być musi! Zaliż nie poeta to, nie smakosz, nie znawca?

I srebrną w nocy zakąską jest mysz!

[Przeł. Adam Pomorski.]

I niby nie spał całą nockę, a z tej radości sen go odleciał, jak ręką odjął. Tyle że kolana troszeńkę osłabły i melankolija w plecach. A w oczach - ani ani! Teraz z takim bogactwem - na targowicę.

Dobrze z rana na targowicy! Pięknie! Śnieg oczyszczony łopatom, udeptany jako podłoga. Jeśli jest wielgi mróz, to śnieg jest cały niebieski i pobłyskuje. Wiadomo, ludkowie przybiegną, na-plują, naświnia, niedokurków narzucają, ale i tak cudnie. A jeśli się ociepli, jeśli podtaje troszeczkę, niby te ciemne ślady pod nogami, to zasy pod płotem osiadą i poczernieją, lepkie się zrobią, szorstkie, zębate, a wiosną zapachną.

Ludzisków - ojjjjjej! Co niemiara. Każdy ma ochotę handlować. Każdy coś na wymianę taszczy. Tu stoiska, gdzie jadło kwaszone i w zalewie: cała lada zastawiona beczkami, rynkami, dzbanami, tylko chodź i próbuj, ale dużo nie bierz, bo ci po łbie dadzą. Jeśli latoś urodzaj był dobry, to niektóry stragan aż po horyzunt; się rozciągnie, ostatni zasię ludzik wygląda jakoby żuczek leśny: daleki, malutki, rękami macha, krzyczy, grzybale swoje zachwala? też siebie za człeka ma, a jak popatrzysz nań z tego końca, to tył« ko nogą nastąpić i już go nie będzie.

Drugi skrzyby w zalewie chwali, krzyczy, wydziera się - abo paprot kwaszony, abo pierniki, abo jeszcze coś.

Tutaj orzeszki, tam płótna rozłożone, nici zwykłe, nici kraszane, łapcie w wiążkach; tam znowu skórki zajęcze abo wełna z koziełków: kupuj i rób walonki abo skarpety, jak potrafisz. Tam igiełki kościane, nożyki kamienne, wiadra kamienne i drewniane uchwyty do garnców, hołoble, mietelki - co chcesz.

A tam cały rząd świetlakami handluje. Tutaj handlarze ważni, milkliwi, stoją, na brzuchu ręce złożony, spod brwi popatrują, gęby mają czerwone. Zagadkowe. Milczą. A dlaczego nic nie mówią? Bo przywykli. Świetlaki trzeba brać milczący, to się i przyzwyczaili. Postoisz, popatrzysz. Tracisz śmiałość. A taką masz ochotę, żeby pojeść tych świetlaków! Spytasz handlarza:

- Po czemu za sztukę?

Pomilczy, ustami porusza. Potym:

- Te - pięć. A te - po siedem.

- Drogo, kurna!

- A nie fałszywe?

Znowu nie od razu powie:

- Ludzie brali i żyją.

A wierzyć mu czy nie wierzyć - sam człek nie wie. Potupta w miejscu... Odliczy piątkę myszy. Weźmie jednego świetlaka. Do gęby włoży. Słodki...! Eee, od jednego to może się i nie umrze. Najwyżej wyrzyga. Abo włosy wyjdą. Szyję rozedmie. Ale tak w ogóle, to się może i przeżyje. A czemu mateczka pomarła? Bo całą miskę naraz zapragnęła zjeść. Nikita Iwanycz ciągiem jej gadał: „Polino Michajłówno, a cóż to za niepohamowanie?! Niech pani nie je tych daktyli! Radioaktywne!”. Ale czy go posłuchała? Objadła się.

Teraz wszelako Benedikt myśleć o smutnych rzeczach nawet nie zamierzał. Wiosna od południowej strony jako ten kolaczyk się toczy, a z nią Nowy Rok! Święto i wesele. Żarty i śmiech. Ot i ślepcy też stłoczyli się pode płótnem - jeden na łykach melodię wybrzdąkuje, drugi w fujarkę dmucha, a reszta śpiewa:

Zawsze niech będzie słońce! *Zawsze* niech będzie niebo!

Też, znaczy się, wiosnę poczuli. Ichni przewodnik też się ożywił, orlim zwrokiem patrzy, surowo na ludków spoziera: no, kto tam piosenki słucha? Niech płaci, mimo nie przejdzie! Bo to nie brakuje chętnych, żeby posłuchać i nie zapłacić. Ślepcy od tego ślepcami są, że nic nie widzą. Śpiewają sobie, zawodzą, a ludzik, niektóry raz posłucha, zadowolnienie

swoje dostanie i dalej uciekać, nie zapłaciwszy. Jak go mają ślepy pojmać? Nijak! Ciemność jeno widzą, nawet w południe, nawet latem! Gdyby nie przewodnik, toby pomarli z głodu.

Benedikt strasznie pieśni ludowe lubił. Osobliwie, kiedy chórem śpiewali. Abo kiedy zawadiackie. Jak czasem ślepy hukną:

Kobieta zmienną jest jak wiatru tchnienie. Wabi spojrzeniem, A *zdradza* ciebie! - to nogi na miejscu nie ustoją, same się w płasy puszczają. A są jeszcze insze ładne: „Samson i Daniła”, „Czerwona *różga*, biały kwiat”, „Wołga, Wołga, matka-rzeka”, „A ja kocham żonatego”. I różne takie.

Teraz Benedikt czuł się mądry i bogaty. Dlatego i bogaty, że mądry. Proszę, jak to on ładnie wymyślił - i wszystko się ułożyło. Myszy zebrał w wiązki - po pięć sztuk każda; ogonki poplótł w warkoczyki, sznurkiem wszystkie przetknął i tymże sznurkiem się przepasał. Idzie, a dumny taki! Dobrze jest. I jakoś niezwykajnie.

Zwyczajnie to idzie człek sobie, drepce, na boki czujnie popatruje: nie ma gdzie jakiego naczalstwa? Jeśli w saniach jada, to odskoczysz na bok, czapkę w garść i nuże się kłaniać. A gębę uśmiechem wykrzywisz, przymilnym takim. Oczęta też zmrużysz, jako-byś się radował. Wyrażenie w oczkach masz takie, jakobyś się dziwił: skądże to mnie, zwykłemu ludzikowi, takie szczęście, że baszę spotkał. Choćbyś i po czterdzieści razy na dzień, choćby po pięćdziesiąt na niego się, heroda, natykał, a ciągiem dziwisz się, jakoby basza on nie baszą był, ale babcią, co podarki niesie.

Kłaniasz się, jasna rzecz, zależnie od urzędu. Jeśli mały basza, to głowę skłonisz i rękę na brzucho położysz.

Jak duży - to w pas: włosami w śnieg abo w kurz, a ręką łuk uczynisz.

Jeśli Czerwone Sanie - Boże zmiłuj się. Nie, nie, nie. Tfu, tfu, tfu. Nie, nie.

Przejedzie basza, nakurzy, napaćka - i znowu można czapkę nadziać, rękawem gębę obetrzeć, i w porządku, swobodnyś. Na pysek możesz znowu dawne wziąć wyrażenie, zwykłe, złowrogie. Proszę bardzo: spluniesz, macią rzucisz w ślad za tamtym. Abo tylko burczysz: „Patrzcie go, rozsiadł się...”, chociaż właściwie co w tym złego? Stać przecie w saniach nie będzie! Abo dłużej: „*Jeżdżą* sobie...! *Jeżdżą i jeżdżą*, a po co tak *jeżdżą*, sami nie wiedzą!”. I też przecie od rzeczy, bo już tam basza pewno wie, po co jedzie.

A tak mówi się dlatego, żeby złość dłużej w sobie hołubić. Kiedy burczysz przez zęby i mamroczesz, i nasepiasz się, i jeszcze gębę na bok wykręcisz, to złość tak zdrowo, przyjemnie we środku poszczypuje. Coś mocnego chce się zrobić. Płot kopnąć. Abo sobakę. Abo chłopaczkowi w ucho dać. Siła jest różnych rzeczy. Rozmaicie można się wyrazić.

Ale bywa i tak, że i złościć się nie ma chęci. Smutek jakowyś we środku. Jakobyś kogo żałował. To pewnikiem ta chwilozofia.

A dzisiaj od rana wstąpiło w Benedikta nowe uczucie. Czuł się mądry i bogaty, i ochotę miał, żeby wszyscy widzieli: idzie Benedikt mądry i bogaty. I szczodry. Zatrzymał się, ślepców posłuchał. Ci akurat *zaczęli stare*, skoczne: „Dwa dwanaście osiemdziesiąt pięć zero be! Dwa dwanaście osiemdziesiąt pięć zero we! Dwa dwanaście osiemdziesiąt pięć zero ge!” - posłuchał i rzucił im wiązkę myszy. Aha! Całą wiązkę! Jak hulać, to hulać!

Po tym dziadom proszalnym wiązkę - szast! Mało się nie pobili, migiem rozdarli jałmużnę na strzępy. Pociecha! Potym wzdłuż straganów poszedł, kupować smakołyki. O, zaraz widać szacunek... Przyuważyli...

Kłaniają się:

- Pozwólcie i do nas! Czemu dusza rada? Soczku z ogóreczków, panie, spróbujcie, soczek u nas najlepszy!

Spróbował tego soku. Wziął. Wszystkiego wziął, czego dusza zapagnęła: i zwykłego, i kwaśnego, i nadziewanego. Chlebiody ćwierć puda, koziego twarogu, świetlaków z pół tuzina, żeby bułeczkę upiec słodką. Vermiszelu kwaszonego. Rzepy. Grochu kraśnego i modrego. Dzban kwasu. Nakupił kobiałek, wszystkie prowianty w nie nakładł. I jeszcze raba najął, żeby cały ciężar do domu dodźwigać, a tak po prawdzie, nie tyle ciężki był on ciężar, ile ważność swoją pokazać chciał do woli. Ze niby od królewskich piramid sięgam wyżej, rączek brudził nie będę dźwiganiem ciężkości. Obsługę zatrudniam. Kudy wam do mnie.

I od razu konfuzyja. Ci, co Benedikta nie znali, myśleli, że bogacz taki niezawodnie do sań siądzie, a skąd ma mieć Benedikt sanie?! Tak że niektórzy, kanalie, w kułak się podśmiewali. A ci, co go znali, pomyśleli, że to nie rab, tylko druh Benedikta, i dziwili się, że druh takie kosze taszczy, aże się ugina, a Benedikt ręce w kieszenie wsunął, idzie sobie, pogwizdujący, i nie pomoże. Chciał pochwalić się do lubości, a tu masz, nic z tego nie wyszło.

A po drodze Benedikt zważał, żeby przed raba nie wybiec. Niech no się tylko odwróci, to ten szast! i czmychnie w zaułek - z takim dobrem, jejku!! Szukaj potem wiatru w polu. Dlatego szedł Benedikt za rabem krok w krok, tylko pokrzykiwał: „Gdzie? Nie tutaj! Skręć! Skręć, mówię, sobaczy synu! W lewo! Wszystko widzę, wszystko widzę! Tu jestem! Baczenie mam!”. Takie różne.

Trwoga duża była. Ale doszli pomyślnie. Może rab, choć to rab, też wiedział, że daleko z takim brzemieniem nie ubieży, bo Benedikt go dopędzi i pobije. Benedikt, kiedy najmował go na targowicy, w rabskiej oborze, i kułaczyska swoje mu pokazywał, i gębą się

srożył, i oczami wyrażał gniew przyszyły, podejrzenie wszechogarniające i niezadowolnienie z całego rodu ludzkiego... Straszyl.

Ale kiedy szli, nie omieszkał pomyśleć, jaki to sukces wielgi, kiedy rozumu człek użyje! Przez jedną noc zarobił sobie na calusienki stół jadła. No? Teraz zrobić trzeba tak: bułeczek napięć, gości sprosić, dobrze by Oleńkę, no a jak się nie uda, można i Warwarę Łukiniszną, można kogo inszego z pracy. Warfołomieja można, który bajki świetnie opowiada. Ksenię sierotkę. Co prawda, nudno z nią, a i widok niespecyjalny. Sąsiadów chyba też trzeba. Tak, zaprosić z tuzin ludków, chatę omieść, świec nawtykać... Eee... nie: babę nając, żeby podłogi zamiatała... Po cóż samemu kark zginać? Bułeczki zresztą też niech baba piecze. A zapłaci się znowu myszami. No i ślepców nając! O, właśnie! Całą kapelę nając. Siurpryza dla gości! Popiją, pojedzą, popląsają, potem może w ze skakankę się pobawią... Abo w dusibabkę. Ale nie na śmierć, tylko tak do połowy. Tak, a resztki pod podłogę, a myszy znowu naleci, ażę strach. I znowu nałapać, a nałapawszy, znowu jadła kupić i jadło znowu tam! Pod podłogę! A spod podłogi - myszy! I znowu wymienić! I jeszcze! I jeszcze!

Ludkowie! Cóż to w końcu będzie? A będzie, że onym sposobem Benedikt tak się wzbogaci, iżę tylko patrzeć, jak pracować przestanie! Tak! I zacnie myszy pożyczac, i lichwę brać! Sługi najmie: jednych, żeby koło domu stróżowali, a i dom trzeba jasny, wysoki, piętrowy, z przyozdóbkami na dachu...! A drugich sług, żeby na stróżów baczenie mieli, śledzili, aby tamci nic nie wzięli! A trzecich, żeby na tych baczyli! A czwartych... No dobra, to już potem się pomyśli... I baby nając, żeby gotowały... A jeszcze ślepców, żeby bez ustanku dudlili i bręczeli, Benedikta weselący. Pomost im w kącie się zbuduje, żeby tam siedzieli i śpiewali przez dzionek cały... I łaźnię ładną zbudować... I do łaźni też muzykę wprowadzić... inszych ślepców... Myjesz się i myjący, słuchasz... I dziewczkę draparke nając, żeby drapała po plecach i drugą, żeby włosy rozczesywała i piosnki mrucała... No, co by tu jeszcze? Tak! Sanie! I bramę do domu szeroką, i drzwi z zamkiem... Ej, raby, otwierać! Jaśnie pan jedzie! I wszyscy na twarz padają. Benediktowe sanie na podwórzec wjeżdżają i prosto do domu... A z domu na spotkanie wychodzi Oleńka, łabędzica biała: „Witaj, Beniu, mój skarbie, proszę do stołu. Już tak się stęskniłam... Ażę oczka wypatrywałam...”

Doszli. Uuuuch... Ot i co się przywidziało... Z naszej chatki, co tu gadać, marny dom. Rab postawił kobiałki w śniegu. Uśmiecha się. Benedikt odpiął zapłatę: wiązkę myszy. Popatrzył: widać, że rabowi na pysku igra nieuważanie. I rozmowa od razu się zaczęła nieprzyjemna...

Rab mówi:

- U kogo służysz?

Benedikt rozdarł się:

- Służę?! Ja ci dam: służę! Państwowy pracownik jestem. Nie żadne „służę”!

Arab:

- To dla kogo prowianty?

Benedikt:

- Dla mnie! Mam swoje gospodarstwo! Zaraz jeść będę!

Arab:

- Ehe. Swoje.

Wziął zapłatę. Wysmarkał się na śnieg, prosto Benediktowi pod walonki, i poszedł.

Ot i masz rabskie nasienie!! Rab zawsze rabem zostanie!! A do-pędzić by go, zapłatę mu odebrać i po pysku nakłść, jak się należy, i w śnieg wkopać za obrazę, za swywołę! Bydlak!! Benedikt szarpnął się, ale zaraz się zląkł: nie zostawi kobiałek bez nadzoru. Bo już ludkowie zaczęli się schodzić, na jadro patrzeć. Tfu! Splunął, wciągnął kosze do chatki.

To ci rabski pomiot, sukinsyn! Zrobił, gadzina, aluzyję, że i Benedikt chyba nie Benedikt, tylko czyjś rab, jako i on sam, i że niby jadro nie dla siebie kupił, ale dla pana, że chata to nie chata, ale szopa, może jaka komora. I marzenia jego wszystkie próżne: sań mu się zachciało... Nie, nie można tego tak zostawić! Dopędzić szybko, szybciotko i kopa takimu!! Benedikt rzucił się na ulicę, patrzy tu, tam... Nie ma, przypadło rabisko, jakoby go nie było... A może się przywidziało?

Wrócił do wyiębionej, mrocznej chaty. Jak to czas przeleciał. Kiedy on sobie tam i sam chodził, słońce już zaczęło opadać. Pomacał piec: zimny. Nie warto by, co? Odsunął zasłonkę - no jasne... Złodzieje tu byli. Zwędzili płonące węgielki. Został jeno popiół zimny. No cóż...

Smętnie mu nagle się zrobiło. Jakoś odniechciało się wszystkiego. Siadł na taburet. Wstał. Otworzył drzwi i stanął, opierający się o nadproże. W piersi coś kwaśnego się zagnieździło jako choroba.

Tak! Już wieczór. W środku dnia wieczór; ano, to właśnie jest zima. Blade niebo o zachodzie, na niebie gałązki drzew jakoby węglem nakreślone. Gniazda niby kołtuny. Zając się zerwał do lotu. W dole - smętna siność śnieżnych garbów, zasp, pagórów. Lichy, czarny płot jako stary grzebień. Jeszcze widoczny, ale kiedy zachód dogorzeje, to nic nie zobaczysz w tych ciemnościach. Od razu pokażą się gwiazdy, wypełni się niebieskie utwierdzenie ich słabym mlecznym światłem - jakoby się kto naigrawał. Abo my go nie obchodzimy, abo nie dla nas przeznaczone te światła niebiańskie. Co dojrzysz przy ich słabiutkim, martwym migotaniu?! Ani chybi nie dla nas, ludzi, one!

I ze wszystkim tak! Jakoby kto dla nas z całej bezmiernej przyrody mały kąsek wykroił: macie, ludkowie, kawałeczek słońca, kwiatek tulepan, trochę zielonej trawki, małych ptasząt na przy-datek, i dosyć będzie. A całą resztę stworzeń schowam, w noc przyoblekę, mrokiem przykryję, w boru i pod podłogą, niby w rękawach, pochowam, małe światełko im zapalę, gwiazdne - im wystarczy, im dobrze. Niech tam szurgają, myszkują, piszczą, rozmnażają się i życiem swoim żyją. A wy, nuże, łapcie je, jeśli umiecie. Złapaliście? To jedzcie na zdrowie. Nie złapaliście - wasz kłopot.

Benedikt westchnął ciężko i sam swoje westchnienie usłyszał. O, znowu... Znowu w głowie jakieś rozdwojenie. Dopiero co wszystko było łatwe, jasne, szczęsne; rozmaite rojenia miłe. I nagle jakoby ktoś z tyłu podszedł, i całe to szczęście z głowy wydłubał... Jak pazurem wyjął...

Kyś to, któżby inszy? Kyś na plecy popatruje!

Benedikta aże zemgliło ze strachu, z niedobrego, ssącego w dołku uczucia. Zatrzasnął drzwi, nie doczekał zachodu, nie wetchnął do końca sinego, wilgotnego, wieczornego powietrza; pospiesznie zamknął się na haczyk, na zasuwę; potknął się w zatęchłym mroku o twaróg; zapomniał nawet zakląć; po omacku dotarł do wyrka i legł szybko, nóg nie czujący.

Serce mu biło. To kyś... Tak, to on. A nie żadna chwilozofia. Dobrze powiadają: kyś na plecy popatruje.

To on tam na gałęziach, w północnych lasach, w gęstwie nieprzebytej płacze, przeciąga się, przewąchuje, przebiera łapami, przyciska uszy, wybiera... wybrał! Miętko jako straszny, niewidzialny Kicio zeskoczył z gałęzi i ruszył, ruszył, ruszył - pod drzewami pełza zwalonymi, pod stertami konarów, cierni, skacze przez siwy, mchem porośnięty, zwalony przez zamiecie susz! Pełźnie zwinnie, a susy daje długie; obraca się płaska główina, z boku na bok przekręca, żeby nie zgubić, nie stracić śladu: tam daleko, w nędznej chacie, na wyrku, nalany krwią ciepłą jako kwasem, leży i drży, w sufit patrzący, Benedikt.

Blisko, coraz bliżej do domostwa! Jest już tam, gdzie zimowy wiatер śnieg z ziemi podrywa, hula po wąwozach, gdzie zamieć śnieżne wiry po polach kręci, leci z wiatrem, miota się w zamieci! Nie zostawi śladu łap na śniegu, nie przestraszy ani jednego psa w podwórku, nie spłoszy domowej gadziny!

Jest coraz bliżej - i krzywi się jego niewidzialny pysek, i dygocą pazury, bo głodny jest, głodny! Męczy się, męczy! Kyyyyyś! Kyyyyyś!

Podkrada się właśnie do chaty, oczka zamyka, żeby lepiej słyszeć, i zaraz skoczy na stary dach, na wystygły komin. Już nogi pręży...

Ktoś stuka do drzwi: puk, puk, puk. Benedikt zrywa się, jakoby kijem zdzielony, i głosem strasznym krzyczy:

- Niiieeeeeee!!

- Aha, zajęty jest pan, kochaneczku? To ja później zajdę - zza drzwi jakowys znajomy głos:

Nikita Iwanycz. Sam Bóg go zesłał! Sam Bóg!

KA

Przez tydzień miotał się Benedikt w gorączce - hańba i wstyd. Jakoby dziecię małe. Stary mu i ogień rozpałił, i bułeczek słodkich napiekł, i wrzątek podawał do picia. Sami we dwóch wszystko zjedli.

No i macie święto Nowy Rok. Przeszło, minęło, jakoby go nie było - taki żal, wszystko przegapili! A ludkowie, widać, weselili się na całego, płąsali: parami i w korowodach, i świeczki podług Ukazu palili, i rdzę pili. A po święcie, jako zwykle, rannych i okaleczonych w grodku przybyło. Idziesz ulicą i od razu wiesz, że święto było i wesele: ten na szczudłach kuśtyka, ten oko ma wybite abo mordę przekrzywioną na bok.

Benedikt, kiedy do zdrowia wrócił, frasował się: życie bokiem przeszło, nawet go nie powąchał - jak zawsze, jak zawsze! Taka krzywda! Przykrość wielga! Czy to nie szykował się, czy rozumu do sprawy nie użył? Zali myszy nie łapał, na strawę nie wymieniał? Przecie dobre dwa tygodnie żył w oczekiwaniu czegoś jasnego, radosnego: goście, świece, muzyka!

A życie nasze jakie jest? Trudy, chłody i wiatru świst! Prawda? Rzadko kiedy zaśię święto wypada.

A on pewnikiem zaziębił się, naderwał abo co inszego - abo z głodu, abo co nieświeżego w Chacie Stołowej zjadł - kto tam wie? I od razu upały, gorączka, i gdzieście wy teraz, dni złote?

A Nikita Iwanycz mówi, że Benedikt to nie UROTYK. No cóż, jak nie urotyk, to nie, widać nie każdemu się szczęści. Tyle że przykro, aże ślozy ciekną.

A tamten jeszcze mówi, że to chwała Bogu, że zdrowszy będziesz, ręce-nogi zachowałeś, przydadzą ci się jeszcze, młodzieńcze nierozumny, wartogłowie, marzycielu - zbłąkany, jak i cała wasza rasa, całe wasze pokolenie i cały ludzki ród! A nie lubi on świąt naszych, oj, jak nie lubi!

Cóż z tego, że kiedy niekiedy szkodę kto poniesie? Inszym razem i na lodzie się poślizgniesz. Abo do dziury wpadniesz, na konar się nadziejesz abo zjesz co niezdrowego. A co to, od starości się nie umiera? Nawet Dawni Ludkowie, co po trzysta lat żyją, umrą tak czy siak. Nowi ludkowie się rodzą.

Pewne, że siebie to żal, aże serce się ścisza. Co tam gadać. Krewnych, przyjaciół też żal, ale mniej. A obcych jakoś nie. Przecie to obcy. Jak można równać jednych z drugimi? Kiedy mateczka pomarła, Benedikt tak płakał, tak się trapił, że cały spuchł. A jak pomrze, no chociażby Anfisa Terentijówna, czyby płakał? Gdzie tam! Pogapiłby się, wypytał, szyję

wyciągnąwszy, brwi na czoło dźwigający: Od czego pomarła? Objadła się czego, czy tak zwyczajnie? Gdzie chować ją zamyślają? I czy się ożeni teraz Polikarp Matwieicz z kim inszym, czy dużo po Anfisie Terentijównie dobra się zostało i jakiego. O wszystko wypyta, przecie to ciekawe.

A i na stypę poproszą - to też rozrywka. Jadło jeść będą. Do chaty zaproszą: wchodzisz, patrzysz, jaka to tam u nich chata, w którym kącie piec, gdzie mają okno, czy jest jakie ukraszenie - może ławę rzeźbioną ma jaki zbytnik, może chodnik farbowanymi nitkami wysyty albo półkę przybili i na niej książki trzymają. Najesz się, napijesz, po chacie chodzisz, oczami łypiesz, do półki podejdziesz i książki oglądasz. Jak się ciekawa trafi, to o ścianę się bokiem oprzesz, nogą nogę okręcisz, w łeb się drapiesz, stoisz i czytasz. Tyle różnych rzeczy!

Ale samemu umierać się nie chce, nie ma gadania. Broń Boże! A tylko jeszcze straszniej, jeśli kyś. Teraz to jakoby kyś odstąpił, widać stracił Benedikta z oczu. A może to Nikita Iwanycz mu drogę przeciął i dlatego kyś odstąpił.

A dlaczego kyś straszniejszy od śmierci? Dlatego, że już jak umarłeś, to umarłeś, i koniec. Nie ma cię. A jeśli cię ten stwór zepsuje, to jeszcze żyjesz z tym! A jak to jest? Jak oni siebie sobie przedstawiają, jak tam im, tym zepsutym? Co tam w środku czują? CO?

A pewnikiem tęskność straszną, okrutną, niebywałą! Mrok czarny, czarniutki, słozy jadownicze, rzadkie, ciekące! Ot, jak niektóry raz we śnie bywa: niby leziesz, nogi za sobą wloką, i ciągiem skręcasz w lewo - nie chcesz, a idziesz, jakobyś czego szukał, i im dalej idziesz, tym bardziej już po tobie! A powrotu nazad nie masz!

Idziesz jakoby po dolinach pustych, paskudnych, a spod śniegu trawa sucha wystaje i szeleści! Cięgiem szeleści! Słozy płyną a płyną, z twarzy na kolana, z kolan na ziemię, tak że i głowy nie podniesiesz! A gdybyś podniósł, to na darmo, bo patrzeć tam nie ma na co! Nie masz nic!

Kiedy się zdarzy taka straszna rzecz z człowiekiem, że kyś go wyssie, żyłkę pazurem przerwie, to lepiej, żeby co prędzej pomarł, lepiej już niech w nim bąbelek pęknie, i koniec. Ale kto tam wie, może jemu te dwa albo trzy dni do śmierci całym życiem się przedstawiają? U siebie w głowie, we środku, może i po polach jakich chodzi, i ożenił się, i dzieci małych napłodził, i wnuków się doczekał, i powinność państwową jakąś ma, drogi naprawia albo haracz płaci. We środku? Tyle że wszystko ze słozami, z krzykiem duszy, z wyciem nieznośnym, nieludzkim, nieustannym: kyyyyyyyyyś! kyyyyyyyyyś!

No właśnie. A nie pytać: „Po co rana?”. Rana to sprawa zwyczajna. Wybija ci oko - toć i jednym można się słoneczku radować, wybija zęby - toć i szczerbaty szczęściem swoim się napawa, zadowolony.

Ale Benedikt i oczy ma w porządku, i zęby, także i ręce-nogi. No więc, o co chodzi. Dobrze jest, i już.

Ale insza sprawa, że samemu żyć jakoś nudno. Kompanija potrzebna. Rodzina. Baba.

Baba niezawodnie potrzebna jest ludzikowi - jakże tak bez baby? W tej babiej sprawie Benedikt chodził do wdowy, do Marfuszki: raz abo dwa na tydzień, ale zawsze do Marfuszki wstąpił. Na twarzy to już nie można powiedzieć, żeby szczególnie ładna była. Prawdę rzekłszy, cała facyjata jakoby na bok zjechała, jakoby Marfuskę kto hołobłą w gębusię zajechał. I jedno oko zapuchnięte. Figurka też nie można powiedzieć, żeby udatna. Podobna do rzepy. Ale Effektów nie ma: gdzie trzeba, wszystko u niej wypuczone, a gdzie nie trzeba - wkleśnięte. Ale przecie nie oglądać ją chodził, tylko z babią sprawą. Kto ma chęć patrzeć, niech wyjdzie na ulicę i patrzy, póki oczu nie wypatrzy. A tu co inszego. To, jak Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, napisał:

I nie dlatego, że światło od niej bije, Ale dlatego, że światła z nią nie trzeba.

Żadnego światła z nią nie trzeba, a nawet przeciwnie: Benedikt, kiedy do niej przyjdzie, to od razu świeczkę gasi i dawaj tarzać się, i obracać, i koziółkować, i wszelakim sposobem miłować. I w przysiadzie, i w rozkroku, i tak, i siak, i po chacie skaczący - Boże mój, co to niekiedy wyrabiać człekowi do głowy nie przyjdzie! Kiedy sam siedzi, myśli sobie, łychę w zupie gmera, nigdy po chacie skakać nie będzie ani na głowie nie stanie. Jakoś tak głupio. Kiedy zasię przyjdzie do baby - to proszę bardzo. Od razu portki w dół i - figle-migle. Do figli najporęczniejszy jest tułów babski, abo inaczej cielesność.

Jak się nafięglujesz, toś umęczony srodze. Potym taka ochota do żarcia cię najdzie, jakobyś trzy lata nie żarł. No dawaj, coś tam nagotowała! A ona: „Ach, Benedikcie, *czegóż* ty ode mnie stronisz? Chcę - powiada - jeszcze się pitygrylić”. Niezmordowana kobieta. Ogniowa.

- Nie, babo, już dosyć pitygrylenia, dawaj tu, dawaj wermiszelu i czegoś kwaszonego, kwasu, rdzy, wszystko dawaj. Pojem i pobiegnę, bo mi tam piec wygaśnie.

- Co tam piec, ja ci dam węgielków!

Co prawda, to prawda: i nakarmi, i pieróg ci w co zawinie, i węgielków nakładzie do ogniowego garnca.

A niektóry raz Benedikt jej wiersze czyta, jeśli Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, o babiej sprawie napisać raczy! On, widać, też żwawy, że ho ho!

*Płomień strzela, wzwyż się pnie,
Co z nim będzie dalej?
A ty trwonisz, trwonisz mnie,
Nie oszczędzasz wcale.
O właśnie! Abo jeszcze:
Pragnę być śmiałym i zuchwałym,
Pragnę szaty zerwać z ciebie!*

Jak pragniesz, to zrywaj, kto ci broni? Benedikt kiedyś się dziwił: Któż jemu, Najwyższemu Baszy, oby żył długo, słowo na przekór powie? Zrywaj, tyś tu pan. Ale teraz, jasna sprawa, kiedy własnymi oczami pisane mu było zobaczyć Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego, teraz wyrozumienie zaczął mieć: pewnikiem z takim wzrostem do baby nie doskoczy, to się i skarży. Sam, powiada, nie dam rady, pomóż no mi!

Ale z tymi wierszami spotkała Benedikta konfuzyja. Przepisywał raz wiersze, już takie jakieś, trzeba powiedzieć, ciężkie!

Za nic mam namiętności gwałtowne porywy...

- tak to Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, wyrazić raczył. Benedikt nawet się zdumiał: A czemuż to ma za nic? Może chory? A tam na końcu Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, wyjaśnił, że on niby nową, dziwaczną modą tę babią sprawę postanowił wypróbować:

*Leżąc tak chłodna, nieruchoma, niema,
Mimo woli się musisz rozpalić pomału,
Aż całkiem rozgorzejesz od mego zapalu!*

Benediktowi tak się zachciało sprawdzić, co to Najwyższy Basza, oby żył długo, wyrabia, że swywoli się dopuścił: jeszcze jeden zwoik dla siebie przepisał i schował do rękawa, a potem biegiem rzucił się do Marfuszki i ten wiersz jej przeczytał. I prepozycję uczynił. „Zróbmy tak - powiada - i my: ty pac! i leż jak kłoda, nieruchoma-niema, ale -

uważaj! - uczciwie, tak jak się umówiliśmy. A ja na tobie brykał będę i zobaczymy, co to za pańskie wymysły. Zgoda?" „Zgoda”.

Jako rzekli, tak uczynili. A skończyło się konfuzją. Marfuszka wszystko uczciwie zrobiła, jak jej kazano - ani mru-mru, baczność, spoczniij, pięty razem. Ani nie łapała Benedikta, ani nie łaskotała, żadnych tam wygibów nie uskuteczniała. I wcale nie rozgorzała od zapalu, jako stało napisane, żadnych tam namiętności gwałtownych porywów - skądżeby, cały wieczór przeleżała jak wór. Zapalu, prawdę mówiący, żadnego nie było - Benedikt poszturchał, poszturchał i jakoś oklapł, skisł, splunął, ręką machnął, czapkę namacał, drzwiami strzelił, do domu poszedł i skończona bajka. A Marfuszka się rozeźliła, dopędziła i posłała za nim - wiąchę. A on jej. To ona jemu. Pożarli się, włosów sobie nawydzierali, a potem, po dwóch tygodniach, na powrót się pogodzili, ale już nic nie było takie samo. Nie było już, jakoby to powiedzieć, tak ogniście.

No, z tą sprawą to i do Kapitolinki chodził, i do Krzywej Wier-ki, i Głaszka Kudłasza go mamila, i mnogie insze. Teraz Warwara Łukinisza się naprasza, można by zejść, ale okrutnie już straszna. A nuż cały tułów ma kogucim frędzlem ukraszony?

Tyle że wszystkie te babie sprawy - pójść, wrócić i zapomnieć. I z głowy precz. Insza całkiem sprawa, kiedy się widzenie przyczepi, obraz cudny, mara jasna - ot, jak Oleńka zaczęła się Benediktowi zwidywać... On leży sobie na wyrku, rdzę kurzy, a ona tuż obok i uśmiecha się... A dość rękę wyciągnąć - i znika! Powietrze! Nie ma jej - i na powrót jest. Cóż to znowu?!

Może wziąć i w swaty do niej ruszyć? A? Wyswatać się? Ze tak to a tak, luba Oleńko-duszeńko, krasawico ty moja, chcę się z tobą ożenić! Wesele huczne wyprawimy! Będziemy żyć lata długie w zdrowiu, szczęściu, pomyślności! Co się jeszcze w takich razach mówi? Szczęść Boże młodej parze! Czym chata bogata!

A co! Chociaż rodzinę ma znamienitą, kozuszek zajęczy nosi i sańmi jeździ, to starających się wokół niej nie widać. Surowa, znaczy się. Skromna. A na Benedikta popatruje. Popatrzy i zarumieni się.

Kiedy Benediktowi gorączka przeszła i wrócił do roboty, to Oleńka się rozpromieniła. Zajaśniała jako ta świeczka; tylko ją w rozszczepę wstawić, a w największych ciemnościach widać ją będzie ze wszystkich stron.

To by warto było obmyślić.

EL

Minęły tedy zamiecie lutowe, zaczęły się marcowe burze. Lunęły z nieba potoki, przebiły śnieg, jakoby kto go kamiennymi gwoźdźmi podziurawił i zaczernił. Ówdzie i ziemia się pokazała. Cały śmieć zeszlóroczny wychynał - we wszystkich uliczkach, na wszystkich podwórcach. Ruszyły bystre ruczaje, pienne i mętne, poniosły śmieć z pagórków w niziny, uniosły precz z osady, a w górze błękit się pokazał. Jasny taki, czysty, zimny, obłoczki wartko po nim biegają, wiatery je goni, gołymi gałęziami potrząsa, wiosnę pogania. Mokro jest i jasno. Jeśli ręk do rękawic nie schowasz, to czerwone się zrobią; i cóż, kiedy dobrze, kiedy wesoło!

Ziemia pod nogami ciapie, przez glinę nie przebrniesz ani sańmi, ani wozem, a baszowie tak czy siak jeździć mają życzenie; piechotą za nic nie pójdą, bo nie wypada. No i widzisz, że wygeneraci walonkami glinę urabiają, sanie ciągnący, mordują się, cholerami ciskają, a sanie - ani ruszą. Basza ich knutem: ciach! I jeszcze raz! A oni mu: „Jop twoju mać!”. Taki to rwetes się robi. Jednym słowem: wiosna!

Potym znowu podmarznie, ziąb się robi przenikliwy, drobny śnieżek sypnie, a pęcherze w oknach szadzią zajdą.

A kiedy Benedikt leżał w gorączce, Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, nowy Ukaz wydać raczył:

UKAZ

Ja, Fiodor Kuźmicz Kablukow, niech się sławi imię moje, Najwyższy Basza, obym żył długo, Sekrytarz i Akademik i Bohatyr i Żeglarz i Cieśla, iżem jest w nieustannym o ludzi frasunku, przykazuję.

Ot, jeszcze jedna sprawa bom całkiem zapomniał o państwowe sprawy się turbujący:

- Ósmego Marca też Święto Międzynarodowy Dzień Kobit To święto nie ma wolne od roboty być Znaczą się do roboty idźcie ale ręk sobie nie urabiajcie Dzień Kobit albo inaczej babskie Święto W on dzień wszystkim babom cześć i uważanie, jako że są i Żona i Matka i Babka i Kuzynka i insza jaka Ptaszynka wszystkie uważać W ono Święto nie bić ich nie tłuc nic takiego normalnego nie robić, a wondrous niechaj ona i Żona, i Matka, i Babka, i Kuzynka, i Insza jaka Ptaszynka raniutko wstanie, pierogów napieczę placuszków albo czego inszego narobi wszystko do czysta wymyje podłogi wymiecie ławki wyszoruje wody ze studni nanosi

bieliznę tam spodnią abo wierzchnią wymyje-wypierze a kto ma chodniczki kilimki różne niechajże wszystko dobrze wytrze pie bo to już ja wiem jakie z was fletuchy kurzu w chacie aże dychać nie można. Drew niechaj narąbie w łaźni napali umyje się jak należy. Stół nakryje bogaty blinów kupę zakąszenie wszelakie może od Nowego Roku co niedojedzone wszystko na stół kłaść Z roboty przyszedłszy powinszowanie Żonie i Matce i Babce i Kuzynce abo inszej jakiej Ptaszynce złożyć jako że Międzynarodowy Dzień Kobit Powiedzieć: „Życzę wam, Żono, i Matko, i Babko, i Kuzynko, i insza jaka Ptaszynko zdrowia szczęścia pomyślności w pracy i życiu osobistym”

Wszelkiemu babskiemu plemieniu, czy Sąsiadce czy której inszej, takimiż słowy uprzejmie winszować - Potym pijcie-hulajcie jedzcie co tam chcecie, weselcie się, byle z umiarem.

Kablukow

Tak jest, Benedikt dobrze zgadł, że Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, wielde jest biegły we wszystkim, co się bab tyczy. W pracy baby siedzą zadowolnione takie: nikt im złego słowa nie powie, nie kopnie, nie szturchnie, ani prztyczka nie da, każdy winszuje. Warwara Łukiniszna na szyi korale powiesiła. Oleńka cała we wstążkach. Nawet Ksenia sierotka jakąś koroneczkę z surowych nitek ukreśliła i do ciemienia przyszpiliła. Takie wszystkie krasawice, że tylko portki zdjąć i figle z nimi wyprawiać.

A jeszcze co wymyśliły: wierzbowych gałązek narwały i do garnca z wodą wetknęły. Jak w chacie ciepło, to i listeczki wypuszczają. Może to swywola, aleć w końcu ichni dzień, i już. A Szakalowi Demianyczowi na stół też garniec z gałązkami postawiły, tylko on go na podłogę obalił: nic o wierzbie w Ukazie nie było.

Szakal Demianycz wszystkie Ukazy na pamięć zna i lubi. Nawet stare, z niepamiętnych czasów: ot, powiedzmy, żeby od Roboty Wolny był w niedzielę. Wszyscy i tak wiedzą, że niedziela to niedziela i żaden ludzik za nic pracować nie będzie, choćbyście go krajali. Wydawałoby się: co tu ukazywać, korę psuć po próznicy? O nieee, niepaństwowe to podejście.

A podejście państwowe - to ściśle ukazać, iżby od Roboty Wolny, za Boga w sobotę się nie zdarzył, w piątek też za Boga nie, za Boga nie w czwartek, za Boga nie we środę, tak samo za Boga nie we wtorek, a już na pewno za Boga nie w poniedziałek. Tak nakażą i tak będzie, abowiem na to właśnie jest państwo, jego potęga i chwała, i władza ziemiska na wieki wieków amen. Szakala Demianyczna nikt specjalnie nie kocha. Kto by tam zresztą kochał

baszę? Chyba że jego baba, no powiedzmy, dziatki małe, a tak to już nikt. I on nie po to wyznaczony jest na baszę, żeby go kochali. On po to jest wyznaczony, żeby był porządek. Listy przytomności pilnować. Atrament wydawać. Korę brzozową. Potrać z wyplaty za bomelenctwo, za pijaństwo albo wychłostać kogo - ot, na co jest. A bez baszy nie da rady, bez baszy wszystko byśmy pomylili.

Weźmy taki przykład. Jak zwyczajnie się pomyśli: Majowy od Roboty Wolny jest w maju, tedy Październikowy ani chybi w październiku? A właśnie że nie! Październikowy od Roboty Wolny jest w listopadzie! I gdyby nie było baszy, to cały Fiodoro-Kuźmiczów, wszyscy ludkowie by się pijani tarzali przez calutki październik!

A dziwiają się mnodzy: czemuż to Październikowy w listopadzie? I znowu podejście niepaństwowe! On dlatego w listopadzie, że w październiku pogoda zazwyczaj ładna, śniegu nie ma ani żadnych takich. Powietrze ostre, opadłym liściem pachnie, słoneczko długo świeci, niebo, no cóż, błękitne. Ludkowie, ci z chodzących, sami bez Ukazu na ulicę wychodzą: jeden po rdzę się wyprawił, inszy chrustu z lasu przynieść, jeszcze inszy ostatnią rzepeę wykopywać. Pięknie! Jasność w przyrodzie.

A w listopadzie, jak luną deszcze, jak się rozpada, jak się rozpada, to - łój j] jej! Mętne jest między ziemią a niebem, mętne i w duszy! Dach przecieka, jeśli kiepski, ziab i wilgoć przez szpary przenikają. Zatkasz okno szmatą, do pieca się przytulisz albo na wyrku drzemiesz, i płakliwość taka cię ucapi, że hej! Minęło lato kraśne, nie wróci się, jakoby samo życie przeszło, rozwiała się radość, niby ten kurz na drodze! Ściągasz szmatę z okna, patrzysz, a na ulicy - nikogusieńko, niczegusieńko, tylko deszcz leje i w kałuże chlupie. I chmury takie poszarpane. Ludkowie, nawet najgłupsi, za nic sami w taką pogodę nosa z domu nie wyściubią.

W taki dzień, kiedy wszyscy, ale to wszyscy są w domach, nigdzie się nie podziali, nikogo ani w lesie, ani w polu nie zostawili, w taki właśnie dzień wyznaczony jest Październikowy od Roboty Wolny. Wszystkim ludkom, i zdrowym, i uszkodzonym, każą z domu wyjść na plac główny, gdzie strażnicza wieża, i po sześciu w rzędzie z piosnkami się przespacyrować. A ze strażniczej wieży baszowie będą na ludków patrzyli i wszystkich co do jednego liczyli.

Bo przecie trzeba wiedzieć, ile mamy luda i ile blaszek naciąć na wyplatę, ile dobra wydawać w Dzień Składowy i ilu można na drogowe roboty ściągnąć, jeśli nie uszkodzeni, i różne takie. Nawet ludowa mądrość, i ta powiada: kurczaki licz jesienią. A kiedy wszystkich policzą, to oczywiście można po domach jeść i pić, weselić się, robić, na co przyjdzie ochota, byle z umiarem. To właśnie jest państwowe podejście.

A w który dzień Październikowy od Roboty Wolny wyznaczyć, to już naczałstwo myśli, od tego przecie jest. Oni tam siedzą w domiszczu, niebo oglądają, na pogodę baczenie dają i myślą sobie: wczoraj było chyba za wcześnie, a jutro, kto wie, może być i za późno, no to dzisiaj, myślą sobie, akuratnie ten dzień wypada. Spędzić no wszystkich na przeliczenie!

Te wszystkie sprawy Szakal zna, taka jego powinność.

Zaznajomił tedy Benedikta z Ukazem:

- Macie wieszować.

Benedikt wyuczył się powinszowania: przeczytał raz, drugi; w sufit patrzący, powtórzył; potym na korze brzozowej sprawdził; potym oczy zamknął i jeszcze raz szeptem powtórzył, żeby już było na fest. Warwarze Łukinisznej wszystko uprzejmie powiedział:

- Życzę wam, Żono i Matko, i Babko, i Kuzynko abo insza jaka Ptaszynko, zdrowia, szczęścia, pomyślności w pracy i życiu osobistym.

Waśka Uszaty łokcie rozstawił i ze swojego kąta podejrzliwie słuchał, czy wszystko prawidłowo Benedikt mówi, czy wszystko zgodnie z Ukazem.

Warwara Łukiszna cała czerwona się zrobiła: miło jej takie słowa słyszeć.

- Oj, kochany, dziękuję. A przyjdźcie no do mnie dziś wieczorem... Zupę uwarzyłam.

- Dzisiaj? Hm, nie wiem...

- Orzeszki zostały... Myszę zapiekę.

- No, sam nie wiem...

- A myszą świeżutka...

Benedikt się wahał.

- Przyjdźcie... Coś wam pokażę... w sekrecie.

Ot, jaka baba namolna. Ona i w sarafanie straszna, a kiedy szatki zrzuci i sekret pokazywać zacznie, to pewnie już tylko: za czapkę łaps i w nogi! Ale też ciekawość... Różne tam rzeczy...

- Doprawdy, przyjdźcie.. Pogadamy o sztuce... Wiem, że jesteście zdolni do delikatnych uczuć... Macie, jak mi się zdaje, ogromny potencjał.

Przymknęła swoje oczko jedyne. O, jaka... Benedikt nawet się spocił. Jak takie rozmowy podbechtują... I to w pracy...

- No, prawda, że nie najmniejszy... Skarg nie było... Wszystko czuję delikatnie... Ale skąd wiecie, jaki mam potencjał?

- No... przecie tego ukryć się nie da...

- Wygadał się kto?

- Tak, często o was mówimy... W swoim kręgu, wiecie... Dzielimy się poglądami...
Wszyscy się zgadzają, że ślicznie jesteście rozwinięci...

- O?!

- Tak... Siła się po was można spodziewać.

- Hm... A co to za krąg?

- Swoi ludzie... bliscy. Niektórych znacie.

Tak też właśnie myślał. Baby! Siadą w kółku i dalej rozmowy wieść o swoich babskich sprawach. Kto, z kim i kiedy. Nawet o Benedyktie mówiły! Chwaliły!

- Dzielimy się swoimi małymi sekretami - szeptała Warwara Łukiniszna.

No no! Proszę, jak to u nich bywa! Cóż... Wiadomo... Ludzie samotni...

- A siła was tam? W tym kręgu?

- O, grupa jest nieduża, sześć osób... Nieczęsto udaje się nam zebrać, jesteśmy jednak ze sobą bardzo blisko...

- Jak w sześcioro, to pewnie że blisko, taka ciasnota... To wy na podłodze czy jak?

- Skądże, kto gdzie chce...

- No to jak wy tam...

- Jak się mieścimy? No, cóż, chatynkę mam miniaturową, to prawda. Kiedy wszyscy się zbiorą, wierzcie, czasem dosłownie jeden drugiemu na głowie siedzi!

- Aha... Przyjdę - szybko powiedział Benedykt. - Przyjdę, czekajcie.

Tak! Pilnie trzeba w łaźni napalić, umyć się, potem dzban rdzy zabrać, no bo jakże tak z pustymi rękami do cudzego domu, a potem... potem się zobaczy. Oj, co to będzie! Zaraz wszystkim powinszować... i do domu! Szakal nie zabroni - powiedziane jest przecie: rąk sobie nie urabiać. Benedykt uklonił się Kseni sierotce:

- Życzę wam, Żono i Matko, i Babko, i Kuzynko abo insza jaka Ptaszynko, zdrowia, szczęścia, pomyślności w pracy i życiu osobistym.

Ucieszyła się.

- Już tyle razy to dzisiaj słyszę, a mimo to - przyjemnie! Żeby tak każdego dnia!

Szakal łypnął na nią ze swojego kąta: swywołę wyraża. Ale powiedzieć nic nie można.

Dzisiaj przykazano: winszować jeno, a nie obrażać. Nie szkodzi, jutro ją obsztorcuje.

- Przyjdźcie wieczorkiem na moje placki.

- Zajętym.

- Ach, jaka szkoda. Placki mam takie pyszne!

- Nie wątpię.

I ta to samo: aluzję robi. Placuszki ma, patrzcie, pyszne! A jakże tak: i tu, i tam? W dwa końce się obrócić? A Oleńka ze swego taburetu popatruje... Trzeba i Oleńce powinszować... Z innymi rozmowa łącznie poszła, a z Oleńką jakaś bojaźń go naszała: zląkł się, kolana mu osłabły. Przysiadł się do Oleńki, wymamrotał:

- Życzę wam, Żono i Matko, i Babko, i Kuzynko abo insza jaka Ptaszynko, zdrowia, szczęścia, pomyślności w pracy i życiu osobistym.

A Oleńka cicho się zaśmiała:

- Jaka ja dla was żona?

- Tak stoi w Ukazie...

- A bez Ukazu?

Benedikt znowu się spocił: ot, macie Dzień Kobit, babskie Święto, ku czemu to wszystko zmierza... Oj, ten Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego... Ta go pewnikiem zaraz na bliny zaprosi...

- ... bez Ukazu, znaczy się, nie ma szczęścia w życiu?

- Oleńko... Oleńko, ja bym chciał szczęścia w życiu i bez Ukazu...

- No więc jak?

- Ofiaruję wam rękę, serce i potencjał - wyszeptał Benedikt.

Sam się po sobie takich straszliwych, pięknych słów nie spodziewał: jakoś tak mu się wyrwało.

- Biorę - wyszeptła Oleńka.

- Bierzecie?!

- Biorę... Wszystko biorę...

Nic nie mówili... Cóż tu jeszcze jest do mówienia... Serce tak skakało... Oj, ośmielił się! Ośmielił! To ci dzionek dzisiaj! Fiodorowi Kuźmiczowi - chwała!

No, to żegnaj mi, życie kawalerskie! Niedługoś hulał, Benedycku Karpyczu! No i dobrze! Trzeba się ustatkować. Benedikt do domu wracał biegiem: jeszcze wcześniej, węgle w piecu nie ostygły, musi ich nabrać i w łaźni rozpalić... Bo i jakże: od przeszłego roku się nie mył! Nowego stylu oczywiście. Kiedyś liczyli rok od Pierwszego Stycznia, po staremu, a teraz przenieśli, czyli to wychodzi... Biegł, babom napotkanym się kłaniał - nie przywykł, ale trzeba. Powinszowanie wykrzykiwał. Wszystkim życzył zdrowia-szczęścia. Nikita Iwanycz dreptał mimo, drwa dźwigał - tedy i jemu dla żartu krzyknął: „Zdrowia szczęścia pomyślności, Nikito Iwanyczu! Żeby żadnego deszczu ani nic takiego!”. Stary nawet się odwrócił i splunął na ziemię. Aaa, myśli: Benedikt za babę go wziął! A to tylko żart!

Oleńka mieszka w inszej osadzie... Nie w naszej... My, o tutaj, a ona tam. Umówili się, że w Majowy Dzień Wolny przyjdzie do niej w gości, poznać się z rodzicami. Daj Boże, by pogoda była ładna, jasna... Spokojnego nieba nad głową! Nie to co dziś: błoto, deszczyk siąpi...

Przebiegł mimo sań, które ugrzęzły: beznadziejna jazda w taką pogodę. Na poboczu trójka kosmatych wygeneratów. Odpoczywają, zdjęli walonki. Rdzę kurzą, do ludków zęby szczerzą. Zobaczyli Benedikta i zarzeli:

- Uciec przed zawałem!
- Jak nie dogonię, to się przynajmniej rozgrzeję!
- Dalej, szybciej, bo garaż zamkną!

To są stwory bez sumnienia. Zaczepiają ludzi. A odszczekiwać im to próżny trud: klną paskudniej niż my. Nikt z nimi się nie zadaje.

Z górki na górkę, uliczkami, a ówdzie to i ogrodami abo pod płotem przełazi, drogę sobie skracający. Tak dobiegł do domu, pozrzucał zasuwy, szybciej do chaty, szarpnął zasuwkę pieca: tli się! Tli się, kochaneczek! *Zdążyli* Zaraz tam rdzy trzeba nanieść, polan, drewek; rozniecić ogień, niech buzuje; a jak się rozigra, to do łaźni go przenieść. I wody nanosić, i mietła przeszłoroczna chyba się w szopie poniewiera, i myjka całkiem nowa gdzieś tutaj... była tu gdzieś... Gdyby teraz był żonaty, przybiegłby z roboty, a tu wszystko już przyszykowane, pająki wymiecione, mietelka rozgrzana. Tak, aleć żonatemu do bab to nie bardzo zręcznie... „Ty dokąd na noc, Benedikt, się wybierasz?”- „A ja właśnie... tego... muszę... o sztuce pogwarzyć...”. „Już ja cię znam! Widzicie go! Sztukmistrz się znalazł!...”. I mietła go, mietelka... Czyżby on z Oleńką miał się bić? Nieee, u nich wszystko będzie przyzwoicie, inaczej to po co.

Tak, przyjdzie się i wszystko uszykowane, tyle że już dawnej swobody nie będzie. No i niech tam. Za to żona krasawica! A swoboda... cóż... Teraz niby swyobodny, a myjki nie widać - czyżby ukradli? Nie, znowu się poszczęściło: znalazła się w łaźni pod kamieniem; zapleśniała krzywą, ale się znalazła. Co za dzień dzisiaj: wszystko się układa.

No i wyparzył się jak należy. Cały się myjką natarł, mietelką do czerwoności wychłostał, obejrzał ze wszystkich stron, a gdzie okiem sięgnął: krasawiec! Gdyby teraz sąsiad jaki zajrzał przez okienko, toby pozazdrościł. Nawet sam Benedikt pozazdrościł sobie. Nie dziwota, że baby go chwala: „Ślicznie jesteście rozwinięci, siła się po was spodziewamy!”. Czekaście, zaraz się wytrę i pędzę. No i cóż to, wszystkie sześć się zbierze czy jak? Nie szkodzi, da Bóg, to się uporam! Na głowach siedzą... no, no!

Węgle *zgarnął* na kupkę: tak może dłużej wytrzymają. Ale do rana, to chyba nie. Chociaż przecie u Warwarki można węgielków nabrać. Ale po co? Rano i tak do roboty. Ej, ta krzątania, daremne zabiegi! Benedikt znowu rozrzucił węgle: chroń Panie Boże od pożaru. Z tym ogniem przecie tak jest, że jak pogaśnie, to kładź się i umieraj. Ale jak rozgorzeje bez umiaru, to wszystko pożre, zniszczy, jakoby nic nie było! Taki jest ogień! Narowisty. Strawy mu trzeba, on tak samo jak człowiek, zawsze głodny. Cięgiem daj i daj! A jak go przekarmisz - to i ciebie zje.

Jeśli u kogo pożar się *zdarzy*, to ludkowie zbiegają się zewsząd, ze wszystkich osad; niektórzy raz to i z najdalszych końców przybiegną. Zbierze się tłum wielgi, jako na Październikowy Dzień Wolny. Obstąpią dom, co gorzeje, staną, na piersiach ręce złożywszy, i patrzą... Milczą albo poszeptują: Widzisz go, jak w górę strzela...”. „Patrz, patrz, tam, z rogu się zajmuje!” A płomień naprawdę się wrywa, miota, może nie strzela, ale, lepiej powiedzieć, jako drzewo rośnie, jako drzewo Jucha na wiosnę: płąsa i huczy, kręci się i kłębi, a z miejsca nie odejdzie. Obejrzyś się na ludków: stoją, oczy rozwarli, a w oczach im też ogień płąsa, odbija się, jak w wodzie jakiej, chlupie sobie. Tłum ma oczu tysiąc i w każdym woda z ogniem pluska, jakoby zorza na rzece; dziwnie to w duszy się robi! Nigdy woda z ogniem się nie schodzi, a tu proszę, co widać!

A jeśli Dawni w pobliżu się trafią, to biegają, łapią się za głowy, krzyczą: „Gaście! Gaście pożar!”. Ale jak? Jak go gasić? To mały płomyk wiadrem zalejesz, a jeśli ogień swoją siłę pokazał - to koniec. Czekać, póki się nie wypali.

Jeśli insze chaty się nie zajmą, to dobrze. Jak ogień już wszystko pożre, kłaść się zacznie, zasypiać - ludkowie rzucą się z wiadrami i z garncami, kto co ma, żeby węgla nabrać i do siebie zanieść. Może u nich i bez tego piec ciepły, ale to nieważne. Co się ma zmarnować.

A niektórzy raz to cała osada zgorzeje. Cóż! Trzeba życie zaczynać od nowa.

Umyty i sam sobie przyjemny zastukał do Warwary. Otworzyła wystrojona, spocona cała.

- Ach, to wy. Jak miło. Co to? Rdza? Oj, po coście się fatygowali... - Rozejrzał się: zbytnie jeszcze nie było. - Poczekamy. Stół nakryty: miski dwie i łychy też dwie. Garniec zupy.

- Siadajcie. Zaraz przyjdę.

Wyciągnęła z pieca brytfannę z myszami.

- Chyba się upiekły...

- To je drewnkiem pokłujcie.

- Racja... W sam raz... Świeżutkie, dzisiaj łąpałam.

- Cudownie.

Nalali rdzy. Zagryźli.

- Wasze zdrowie.

Jeszcze nalali. Wypili ze smakiem.

- Jaka świetna ta wasza rdza. Z bukietem.

- Bo ja wiem, gdzie zrywać.

- A gdzie zrywacie, jeśli to nie sekret?

- A na trzęsawisku. Za pekińczyką osadą.

- Tam gdzie Pierścień Sadowy?

- No właśnie.

- Tak daleko chodzicie!

- Ano prawda. Za to rdza świetna.

- Muszę i ja tam się wybrać.

Bab nadal nie było. Benedikt kaszlnął uprzejmie, w kułak.

- Goście przyjdą później czy jak?

- Nie, nie zdecydowałam się...

- A obiecywaliście?...

- Pomyślałam... że... lepiej sama wam najpierw odkryję swój sekret... Nie wiem, jak to przyjmiecie... Denerwuję się...

- No, ja niby też...

- Nie wiem, czyście zdolni docenić...

- Zdolnym - rzekł Benedikt, ale nie był pewien, czy jest zdolny.

- No, dobrze... Ale to sekret. Oczywiście, nikomu...

- Tak, tak.

- No, to zamknijcie oczy.

Benedikt zamknął. Warwara zaszeleściła. Coś stuknęło. Znowu szmer. Benedikt lekko odemknął jedno oko i jął podpatrywać, ale chyba nic jeszcze nie było gotowe, tylko cienie od świecy płały na belkach, więc znowu przymknął powieki.

- Pora nie pora - wychodź ze dwora! - zaśpiewał Benedikt.

- Oj, poczekajcie... Jaki niecierpliwy...

- Pilno mi - skłamał Benedikt i do głosu filuterności przybawił. - Nawet bardzo pilno.

Nagle na kolana brzemień jakiegoś mu spadło, lekkie i pachnące pleśnią.

- O... popatrzcie...

- Cóż to jest?!

Koszyk nie koszyk, coś w tym rodzaju, w środku karty białawe, podobne do świeżej kory brzozej, ale jaśniejsze, cieniusieńkie i jakoby śmieciem przysypane albo makiem.

- Cóż to takiego?

- A bliżej popatrzcie!

Podniósł pod oczy. Śmieci takie równiutkie... jak nitki... Patrzył, dziwuujący się... Nagle jakoby nitka się rozpadła i uderzyła w oczy: „i świeca, przy której czytała pełne trwogi i oszustwa życie...”. Rozwarł gębę: bukwy! Tak jest, bukwy! Napisane drobniutko, przy tym aż tak starannie, i nie brązowe, ale czarne... Poślinił palec, potarł korę: od razu dziurkę wytarł. Cienka, kurna...

- Ostrożnie, bo zepsujecie!

- Cóż to takiego...

- To książka... Starodawna...

- Aj!! - Benedikt zerwał się z taburetu, odrzuciwszy *zarazę*. - Co też wy!!! Zachoruj!

- Nie! Poczekajcie! Poczekajcie!

- Choroba!

- Nie!

- Puśćcie!

- Siadajcie! Usiądźcie! Wszystko wam wyjaśnię! Przysięgam! - Warwara Łukiniszna odrywała ręce Benedikta od zasuw, trzęsąc grzebyczkami. - To całkiem bezpieczne... Nikita Iwanycz potwierdził!

- A on co ma do tego?

- On wie! To od niego podarek!

Benedikt przycichł, nogi się pod nim ugięły, usiadł na taburet i wytarł nos rękawem, powstrzymując dygotanie. Nikita Iwanycz. Naczalstwo. I nie zachorował. Trzymał książkę - i nie zachorował...

- Bezpieczne... - szeptała Warwara. - Wiecie, to cudowny starzec... Taką wiedzę ma... Wyjaśnił mi, że to jest całkiem bezpieczne, że to po prostu zabobon... Wiecie, kiedy Wybuch się zdarzył, to wszystko uważano za niebezpieczne, promieniujące... No, słyszeliście... Dlatego zabraniali. Promieniowanie od książek...

- Jak się słucha Dawnych, to promieniowanie jest od wszystkiego - trząsł się Benedikt.
- Nie, tu coś innego..

- Ale Nikita Iwanycz wie. On ma... Gdyby naprawdę było niebezpieczne, to dawno by zachorował, ale przecie widzicie, że zdrowszy jest niż my dwoje...

- To dlaczego... dlaczego leczą? Tfu, tfu, tfu...

- To tradycja taka. Tfu, tfu, tfu...

Oboje zapukali w drewno.

Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się. Nie jestem chory, nie chory, nie, nie, nie. Nie zachoruję, nie zachoruję, nie, nie, nie. Nie muszą, nie muszą przyjeżdżać, nie, nie, nie. W czerwonych opończach nie trzeba przyjeżdżać, tfu, tfu, tfu. Bosakiem mnie nie trzeba, nie, nie, nie.

- On mi wyjaśnił... uważano to za bardzo niebezpieczne, bo papier wchłania... my razem przepisujemy, żeby czysto, żeby nie było niebezpiecznie dla zdrowia ludu... ale teraz jest już wszystko jedno, minęło dwieście lat... Stare księgi przepisujemy, Benedikcie...

- Jak to stare? To wszystko Fiodor Kuźmicz, niech się sławi...

- Nie... To wszystko pisali różni ludzie, ale przyjęte jest, że to Fiodor Kuźmicz. Ja czułam, że tutaj coś... Wiecie, kiedy go ujrzałam, Fiodora Kuźmicza, to całą nockę nie spałam... Myślałam ciągiem a myślałam... Potym się zdecydowałam, nabrałam śmiałości i poszłam do Nikity Iwanycza. Długośmy gadali...

- On mi nic takiego...

- Ach, Benedikcie, to swoisty człowiek... Myśmy o was mówili... On chciał wam powiedzieć, ale nie od razu... Przygotować... Wiem, to wielki cios... ale według mnie lepiej wiedzieć niż błądzić w ciemnościach...

Benedikt siedział na taburecie zgarbiony; myśli się rozbiegły, w głowie została tępość. Może wcześniej do roboty poszedł? Może jeszcze gorączka nie przeszła? Coś go dreszcze biorą. Czy to po łaźni tak? Po co było się myć, kiedy nie ma się z kim całować.

- No i co teraz?

- Teraz? Nic, po prostu teraz już wiecie.

- A po co?

- No jak to... Myślałam...

- Po co myśleć? Ja chcę żyć.

- Ale co tu... Ja też... Chcę tylko znać prawdę, jeśli to możliwe...

- „W wielkiej mądrości siła jest kłopotu”... Cóż, wychodzi, że to też nie Fiodor Kuźmicz napisał, niech się sławi imię jego?

- Na pewno nie.

- A kto?

- Nie wiem... Trzeba pytać Dawnych.

Warwara Łukiniszna podniosła z podłogi starodawną książkę, położyła na stole i pogłaskała rączkami. Dziwnie jakoś: taką okropność widzieć z bliska.

- Ale, tak czy siak, po co dotykacie... Jeśli my stare książki przepisujemy, to poczekajcie, póki nam nie każą przepisać... Wtedy do rąk wziąć można...

- Ale kiedyż to będzie? Może nieprędko. Życie jest takie krótkie, a ja po prostu ubóstwiam sztukę... To taka ciekawa książka!

- Cóż to - czytacie ją?

- A jakże... Benedykcie, ludzie mają siła ciekawych książek... Chcecie, to dam wam do poczytania.

- Nie! - odskoczył Benedikt.

- Czegóż się boicie...

- Pójdę już... Głowa jakoś...

- Poczekajcie!

Benedikt wyrwał się, pobiegł z ganku prosto w deszczyk, we wczesny wilgotny mrok. Zęby nie widzieć. Głowa naprawdę coś...

Marcowy wiaterek szumiał w wierzchołkach drzew, potrząsał nagimi gałęziami, zajęczymi gniazdy i jeszcze czymś niewiadomym... Któż zgadnie, co tam rusza się, labidzi, ożywa na wiosnę? Wiaterek się zerwie - zacznie szeptać, jęczeć wśród drzew, opryska głowę kroplami deszczu. Abo dziki krzyk z góry, z gałęzi, aże cały się wzdrygniesz, rzucisz do najbliższego płotu... Może drzewianica...

Pęcherze w oknach słabo migają - ludkowie świeczki pozapalali, zupę chłepcą... Przeglądają się: może też mają schowaną starą książkę pod wyrkiem... Drzwi zamkniemy i wyciągniemy... Poczytamy... A może taką każdy ma, a co? W tej chacie... i w tamtej... i o, w tamtej, gdzie pomryguje blade światło - świeczka kopci, ludzie po izbie chodzą, słabym śmiertelnym tułowiem ogień zasłaniają; zasuwy sprawdzają, czy mocne? Wyciągają spod materaca, z kupy szmat, śmierdzących ludzkich łachmanów księgę... książkę... a tylko on jeden, jak dureń nastraszony... Jeden na cały gród.. Bukwy takie czarne, drobne... Strach nawet myśleć...

W górze wszystko szumiało, jęczało. Wiaterek wdzierał się do rękawów, przewiewał na wskroś. Benedikt stał tak pod obcym płótnem, rozmyślający. Pieczona mysz tylko mu apetyt rozdrażniła. Jeść się chce. A w domu, w chacie, nie ma nawet ognia, bo zdeptał, w gości idący. Myślał, że nie będzie potrzeby. Wrócić, ognia pobrać? Ona by dała, dobra jest... Nie... Wrócić się - tam, gdzie skrzypiące drzwi... ciepło... Biały blin uradowanej twarzy, trzęsące się grzebyki i spieszny szept: tutaj, tutaj mam sztukę... Chwileczkę, tylko pleśń obetrę... I świeca,

przy której... pełne trwogi i oszustwa! Jakież strach! „Biada! Biada! Strach, powróż i jama” - napisał Fiodor Kuźmicz... A ona mówi, że nie Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego... Pełne trwogi... i oszustwa... Nie Fiodor Kuźmicz... Ktoś inszy, niewidzialny, starodawny, twarz swoją kryjący... Wielgi pewnikiem, biały i wielgi, blady, starodawny, dawno wymarły, wysoki jak drzewo, z brodziskiem po kolana, oczami strasznymi... I stoi taki pośród pni, nie rusza się, tylko gębę wykręca, a ciągiem patrzy w mrok marcowy, chce w ciemnościach dojrzeć Benedikta: gdzież to Benedikt, czemu się ukrył, czemu przypadł do płotu - a serce aż w gardle się tłucze, pod język podstępuje, zatyka uszy - a gdzieżeś to, Benedikcie, chodźże no tu, Benedik-cie, rzec ci coś chciałem - i jak rękę wyrzuci, i koślawym palicem pod żebra, ze strasznym krzykiem drzewianicy: „Miaaaaaau!!!”.

Stuknęły drzwi cudzej chaty - zwyczajny hałas domowy, życie proste stuknęło drzwiami, słycać pijany gwar i śmiech w porannym mroku, widać goście do kogoś przyszli - święto przecie - i wyszli na ganek, za małą potrzebą albo tak sobie; świeżego powietrza zaczerpnąć, życie przeżyć, piosnkę zaśpiewać, kotu dać kopa!

Nie zauważyli Benedikta, który osunął się pod płot. Nikt go nie widzi, przeto straszny przybysz z przeszłości, który przeczytał albo nawet napisał, albo i w szmatach schował pełną oszustwa książkę, nie zauważył go, małego. Jak się przywidział, tak zginął, i nie masz go tu.

Do domu. Ciemno w chacie, popiołem pachnie, a do wesela jeszcze, oj, jak daleko.

EM

Dawni na pozór są tacy jako i my. Chłopy, baby, młodzi, starsi - wszelacy. Przeważnie starzy. A w samej rzeczy insi. Mają taki Effekt, że się nie starzeją. A pozatym żadnych. Żyją sobie, i ze starości nie umierają. Z inszych przyczyn, owszem, umierają. Całkiem niedużo tych Dawnych zostało.

Siedzą po chatach swoich abo do roboty chodzą, a niektórzy i do naczalstwa się dostał - niby wszystko jak u nas. Tylko rozmowa insza. Gdy spotkasz na ulicy nieznajomego ludzika, to za nic się nie domyślisz, nasz on czy też z Dawnych. Chyba że go zagadniesz zwyczajnie: „Coś ty za jeden? Nie znam takiego. Po chuja żeś do naszej osady przylazł?”. Ten zamiast odpowiedzieć po ludzku: „A ty czego, własny ryj ci się znudził? Zaraz ci wezmę i o kolano” abo jakoś tak - nie, zamiast tak jasno, abo inaczej mówiący, przystępnie wyjaśnić, że możeś ty i silny, ale ja też i lepiej ze mną nie zaczynać, odpowie ci: „Proszę mnie zostawić w spokoju! Chuligan!”. I wtedy od razu wiadomo, nie ma co pytać. To Dawny.

Czasem któryś z nich pomrze, no to wtedy Dawni go chowają. I też nie po naszemu. Kamuszków na oczy nie kładą. Wątpi nie wyjmują, rdzą nie wypychają. Rąk z nogami sznurkiem nie związują, kolan nie podginają. Do trumny nieboszczykowi ani świeczki, ani myszki, ani naczynia jakiego, ani garnców, ani łyżek nie kładą, łuku ani strzał, figurek małych z gliny nie lepią, nic takiego. Najwyżej krzyżyk z deszczulek sklecają, w ręce swojemu nieboszczykowi wsuną, abo bałwana na brzożowej korze narysują i też w ręce mu wkładają jako purtret jaki. A niektórzy i tego nie robią.

Ot, akurat jedna ichnia stara pomarła. Nikita Iwanycz przyszedł do Benedikta jakiś ponury; niezadowolniony, że pomarła Dawna starucha.

- Wiesz, Beniu, zmarła nasza Anna Piotrowna. Bardzo cię proszę, po przyjaźni: pomóż trumnę nieść. Roztopy takie, wszystkie drogi rozmiękły. Nie poradzimy sobie.

Co robić. Poszedł. Nawet ciekawie będzie popatrzeć, jak to oni wszystko robią nie po ludzku.

Tłumek nieduży, z tuzin osób. Przeważnie wiekowych. Nie klną, nic takiego. Rozprawiają cicho. Liczka mają zafrasowane.

- Kto jest mistrzem ceremonii?

- Wiktor Iwanycz.

- Znowu Wiktor Iwanycz?

- A któżby inny? Ma olbrzymie doświadczenie. Ale transportu nie dostał.

- Nie dali. Mówią, że garaż zamknięty, zła pogoda.
- *Zawsze* znajdują jakiś pretekst. A toś pan nowinę powiedział. Znęcają się nad ludźmi.
- Co, jeszcze pan nie przywykł?

Wiktor Iwanycz, ichni mistrz ceremonii, nie jest stary; włos ma jasny, krótki, na bok zaczesany. Na głębusi niezadowolnienie. Rękaw czerwonymi nitkami obmotany, żeby go z daleka było widać. Nie basza, ale jakoby coś koło tego, tak że na wszelki wypadek Benedikt mu się pokłonił. Tamten brwiami ruszył: przyjął. Rzekł do Benedikta:

- Nie tłóczycie się.

Trumnę postawili na ziemi, koło dziury. Obok przytknęli taburet i poduszeczkę jasną na taburet położyli. Stanęli rzadkim półkolem, zdjęli czapki. Wiktor Iwanycz wybrał dwóch, pokazał palicem.

- Wy i... wy. Proszę. Proszę do warty honorowej.

Ogarnął tłumek surowym spojrzeniem i podniósł głos:

- Świecką panichidę ogłaszam za otwartą. Zaczynamy

A Dawni do niego:

- Zaczynajcie, zaczynajcie, Wiktorze Iwanyczu. Zimno.

Wiktor Iwanycz *jeszcze* podniósł głos i *zaczai*:

- Krewni, bliscy są? Poproszę do pierwszych szeregów.

Nikt nie wyszedł. Nie miała rodziny, znaczy się, całkiem jak Benedikt. Sama myszy łapała.

- Współpracownicy?

Nikogo. Jedna ptaszynka się wysunęła:

- Jestem sąsiadką. Doglądałam jej.

Wiktor Iwanycz na powrót przyjął zwyczajny ton i rzekł ze złością:

- Nie wrywajcie się! *Jeszcze* was nie wywołałem.

- Ależ ja marznę! Dawajcie szybciej.

- Jak będziecie rozrabiać, to poproszę, żebyście opuścili pomieszczenie! - rozsierdził się Wiktor Iwanycz. - Trzymajmy się porządku!

- Słusznie! - zawołali ludzie. - Jest porządek, to się go trzymajmy! Bo się burdel robi. Jak zwykle. Tylko czas tracimy!

Wiktor Iwanycz wrócił do poprzedniego głosu. Podniosłego i donośnego, jakoby w lesie hukął:

- Sąsiedzi, domownicy? Proszę do pierwszego szeregu.

Sasiadka, co się awanturowała, wybiegła naprzód. Wiktor Iwanycz na gębusię ciepła krzywą wpuścił: usta w kurzą dupkę złożył i pod oczami jakoby się zmarszczył. Ścisnął babie łokieć i powiedział:

- Odwagi.

Baba zapłakała. Wiktor Iwanycz znowu huknął:

- Odznaczenia bojowe, medale, ordery są? Nagrody ministerialne? Dyplomy instytucji państwowych? Odznaki? Pagony, baretki do orderów?

Nic nie było.

- Legitymacja partyjna, komsomolska, związkowa? Losy loterii państwowej? Obligacje rządowe? Książeczka pracy? Zaświadczenia ze związków twórczych? Nie ma? Prawo prowadzenia środków transportu? Ciężarowego? Osobowego? Traktora z przyczepą? Nie ma? Przydziały lokali spółdzielczych? Książeczki abonenckie? Opłat za gaz? Telefon? Antenę zbiorczą? Korekty rachunku?

Słowa wszystkie takie niezrozumiałe, śmieszne, aż strach. Benedikt nie wytrzymał, zachichotał, obrócił się do tłumku: chyba też się duszą ze śmiechu? Nie, słowy leją strugami. Gębusie jakoby w dal jaką patrzyły. Baba jedna rączki załamała i szepcze: „Nie docenialiśmy jej... Nie doceniali...”. Nawet Nikita Iwanycz słowy leje. Benedikt szepnął doń:

- Co wy, Nikito Iwanyczu? Starej wam szkoda?

- Cicho, Beniu. Milcz, proszę. To przecie całe życie... Boże... Takie ono jest... Całe życie ludzkie...

Zatrząsł się, otarł twarz rękawem. A Wiktor Iwanycz:

- Instrukcja użytkowania przyrządów gospodarstwa domowego? Nie ma? Telewizora? Kuchenki gazowej? Elektrycznej? Kuchenki mikrofalowej? Prymusa? Nie ma? Odkurzacza? Froterki? Pralki? Maszyny do szycia? Przyborów kuchennych?

- Jest, jest! Jest instrukcja! - zaszemrano w tłumie.

- Bardzo dobrze! Do pierwszego szeregu proszę! Co to za instrukcja?

- Maszynki do mięsa. Z wymiennymi nasadkami.

- Kładźcie tutaj. Tutaj. Na poduszeczkę.

Wyszedł starszawy ludzik, położył na czerwonej poduszeczkę klak jakiś obszarpany, brudny, że za nic się nie przeczyta, i przycisnął kamuszkami, żeby wiatro go nie zwał. Wtedy wszystkie baby w głos zaszlochały, zawyły jak pomyłone. Jednej niedobrze się zrobiło, a tamci ją podtrzymali i przed gębusią rękami machali.

- Mężni bądźcie, towarzysze! - rzekł Wiktor Iwanycz. - Dobrze! Jeszcze! Kto jeszcze ma pamiątkowe przedmioty? Relikwie? Nie ma? Już wszystko? Przechodzę do części drugiej!

TOWARZYSZE! - Tu Wiktor Iwanycz wydał z siebie głos potężny, jako u ślepowrona jakiego, aże Benedikt przysiadł i się rozejrzył. Tak, kurna, wrzasnął, jakoby tu nie tuzin ludków się zebrało, ale cały tyśiąc.

- Śmierć wydarła z naszych szeregów - ciągnął Wiktor Iwanycz - niezastąpionego pracownika. Światłego człowieka. Czcigodnego obywatela. - Wiktor Iwanycz spuścił głowinę na pierś i zamilkł. Benedikt przykucnął i zajrzał mu w liczko: płacze? Nie, nie płacze. Popatrzył na Benedikta ze złością. Znowu główką targnął i dalej gadał - Czuję gorycz. Wielką gorycz. W przeddzień pamiętnej rocznicy, dwóchsetlecia Wybuchu...

- Wiktorze Iwanyczu, Wiktorze Iwanyczu! - zaczęli szemrać Dawni. - Mówi pan zupełnie o czym innym!

- Jak to o czym innym? A, prawda. Przepraszam. To na inną okazję. Pomyliło mi się.

- To nie mylicie!

- A państwa proszę, żeby mi nie przeszkadzać! Bo tu przeszkadzają mi! - huknął na Benedikta. - Tłoczą się!

- To synek Poliny Michajłówny!

- Nie sprzecajcie się, państwo! Dajcie mi dokończyć! W przeddzień...

Wiktor Iwanycz zebrał się, znowu na gębie ponurości przybawił i stanął prosto z rękami po bokach.

- W przeddzień tragicznej rocznicy, dwóchsetlecia Wybuchu, który rozproszył i znowu zwarł nasze szeregi, odszedł od nas...odszedł... wielki, światły towarzysz, niezastąpiony obywatel, skromny, niepozorny pracownik. Gigant duchowy. Odszedł, ale jego dzieło nie umarło. Może i wkład Anny Piotrówny w dzieło odbudowy naszej Świetlanej Przeszłości nie był wielki... - Wiktor Iwanycz wskazał ręką poduszczkę - niemniej jednak jest on widoczny, namacalny, ważki... Niech ci ziemia lekką będzie, Anno Piotrowno! Czy ktoś chce *zabrać* głos w imieniu społeczności dzielnicy? Wy, Nikołaju Maksymiczu? Proszę.

Wyszedł inszy stary ludzik, włosy mu na wietrze się rozwiewały. Zapłakany, wysmarkał się.

- Anno Piotrowno! Nieznana żołnierko frontu pracy! - zagadał jej wprost do trumny. - Jakże ty tak, Anno Piotrowno? No?! A co my?! Nie ceniliśmy cię! Nie interesowali się tobą! Myśleliśmy: Anna Piotrowna, no cóż, to Anna Piotrowna! Jakaś staruszka! Myśleliśmy, że będziesz z nami zawsze. Co tam zresztą, uczciwie mówiąc, złamanego grosza nikt za ciebie by nie dał! Komu ona potrzebna, myśleliśmy, drobna, złośliwa, komunalna staruszcza, tylko pod nogami się płacze niczym psi grzybek, niech mi Bóg wybaczy!

- Ej, ej - zaczęli się burzyć ludkowie. - Łagodniej!

- *De mortibus aut BENE aut nihil!* - warknął ktoś nad uchem.

- Czego chcą ode mnie? - szarpnął się Benedikt. - Co takiego zrobiłem?

- To nie o tobie, nie o tobie, spokojnie, Beniu - Nikita Iwanycz powstrzymał Benedikta. - Stój spokojnie, nie kręć się.

- Komu, powiadam, byłaś potrzebna, Anno Piotrowno, komarze ty mizerny! Interesowała cię tylko kuchnia, od pieca nie odchodziłaś! I co po tobie zostało? Przepisy kulinarne, i tyle! A przecież szkoda nam ciebie, Anno Piotrowno! I tę stratę odczuwamy dotkliwie!

Wiktor Iwanycz uściskał rękę ludkowi, podziękował:

- Dobrzeście powiedzieli, towarzyszu. Dziękujemy wam. W imieniu towarzystwa ochrony pomników, Nikita Iwanycz, poproszę was!

Nikita Iwanycz wyszedł, też się wysmarkał.

- Przyjaciele! - zaczął. - Co mówi nam ten pamiątkowy przedmiot? - wskazał na poduszeczkę. - Bezcenna relikwia przeszłości! Co by nam opowiedziała, gdyby mogła przemówić? Ktoś wzruszy ramionami: kurz muzealny, śmietnik historii! Instrukcja do maszynki! Też coś! Nie, moi przyjaciele! O, nie! Jako były pracownik muzeum, które to obowiązki nadal staram się pełnić, póki mi siły pozwalają, powiadam wam! W tych trudnych latach, kiedy dokoła wiek kamienny, zmierzch Zachodu, zmierzch bogów, po wszystkim, przyjaciele, cośmy razem przeżyli - instrukcja obsługi maszynki do mięsa nie jest mniej cenna niż papirus z Biblioteki Aleksandryjskiej! Niż integralna część arki Noego! Niż tabliczki Hammurabiego! E, co tu mówić! Kultura materialna, przyjaciele, w każdej minucie się odbudowuje. Znowu wynaleziono koło, powraca koromysło, powraca zegar słoneczny! Wkrótce nauczymy się wypalać garnki! Prawda, przyjaciele? Przyjdzie kolej i na maszynkę do mięsa. I chociaż na razie wydaje się równie zagadkowa jak piramidy - a nie wiemy nawet, czy jeszcze stoją - tak samo niedostępna rozumowi jak kanały na Marsie - ale wybije godzina, przyjaciele, i maszynka zacznie działać! I ma rację Wiktor Iwanycz - stanie przed nami w postaci widzialnej, namacalnej, ważkiej, tak jak za naszych czasów stanął wodociąg, zbudowany jeszcze przez rzymskich niewolników! Wodociąg, niestety, do naszych czasów nie dotrwał, ale i jego tylko patrzeć! Będzie, wszystko będzie! Najważniejsze jest zachowanie dziedzictwa duchowego! Przedmiotu jako takiego nie ma, ale pozostała instrukcja jego obsługi, duchowy, nie boję się tego słowa, testament, nowina z przeszłości! I Anna Piotrówna, niepozorna, skromna babina, przechowała tę nowinkę aż do swojej śmierci! Westalka domowego ogniska, kamień węgielny, całego świata podstawa! To lekcja dla nas

wszystkich, przyjaciele. Pomnik to, nie trudem rąk ciosany! Trwalszy niż ten ze spiżu, wyżej sięgający niż piramidy egipskie! Niski pokłon ci składamy, Anno Piotrowno, duszo święta!

Zapłakał i odszedł.

- Bardzoście dobrze powiedzieli, Nikito Iwanyczu. Dziękujemy wam. W imieniu dysydentów poproszę Lwa Lwowicza - rzekł Wiktor Iwanycz.

Wyszedł ludzik kudłaty, chudy. Gębusię skrzywił, paluszki na brzuchu splótł. Zakołysał się w przód i w tył.

- Tak, to, proszę państwa, jest symbol: świat ginie, ale maszynka do mięsa jest niezniszczalna. Maszynka dziejów. I tutaj pozwolę sobie nie zgodzić się z przedstawicielem towarzystwa ochrony pomników. - Znowu się skrzywił. - Maszynka do mięsa, proszę państwa. Z wymiennymi nasadkami. Ale ciągle ta sama. Tylko nasadki się zmieniają. A wolności jak nie było, tak nie ma. I co jest najbardziej przykre? To zakorzenienie. W świadomości ludu. Instrukcja... przykręcania śruby. Wiecznie kręcące się i wszystko miażdżące tryby. Przypomnijmy sobie Dostojewskiego: niechaj ginie cały świat, bylebym ja mógł pić herbatę. Albo kręcić mięso. Mięso armatnie, proszę państwa. Dlatego w tej godzinie czuję gorzkość. Nas już przekreślono. A nadal chcę kręcić. O sytuacji gospodarczej nie będę teraz mówił: wszyscyśmy zmarzli. Po prostu chcę zwrócić waszą uwagę. Tak, maszynka do mięsa. Zrobiona jeszcze przez niewolników Trzeciego Rzymu. Niewolników! A gdzie są kserokopiarki?

- Bardzo dobrzeście powiedzieli, Lwie Lwowiczu. Dziękujemy wam. W imieniu społeczności kobiet? Lilia Pawłowna!

Benedikt nie chciał słuchać baby, przysiadł z boku na kępcę, czekał, póki nie skończą. Zaczęło podmarzać, udeptaną nogami glinę ściał mrozik; przykryła ją śnieżna kasza. Wiosna nie może się przebić, jakoś jej się nie udaje. Do ciepłka by tak, do wyrka. A Oleńka żeby placuszków przyniosła i kwasu gorącego. Oleńka!... To ci krasa dopiero! Z taką krasą nawet strach się żenić! Kosa długa... Oczka jasne... Twarzyczka jak jajeczko abo, lepiej powiedziawszy, trójkącik... Pulchniutka ci jest, a może to szatek ciepłych tyle na mą nakładli. Paluszki cienkie. Niechby już tak nastał Majowy od Roboty Wolny... Niech u okna siedzi i wyszywa, a Benedikt na nią przez dzionek cały by patrzył.

Dawni tymże czasem pogadali, popłakali, coś ponurego zaśpiewali, zakopali staruchę i zaczęli się rozchodzić. Nikita Iwanycz, nosem pociągający, przysiadł się do Benedikta, rozwiązał kapciuch, rdzy do listeczka nawtykał, sobie skręta i Benediktowi skręcił. Ogieńkiem chuchnął i zapalili.

- Na co pomała, Nikito Iwanyczu?

- Nie wiem, Beniu. Któż to wie?

- Objadła się, czy co?

- Ej, Beniu!

- Nikito Iwanyczu, żenić się zamyślam.

- Mądra rzecz. A nie za młodyś jeszcze?

- Nikito Iwanyczu! Trzeci krzyżyk mam!

- Też prawda... A ja chciałem cię zachęcić do pewnej sprawy... Po starej przyjaźni...

- Co to za sprawa? Stawianie słupów?

- Nawet lepsza... Chcę postawić pomnik Puszkinowi. Na Bulwarze Strastnym. Kiedyśmy chowali Annę Piotrownę, pomyślałem sobie... Takie skojarzenia, wiesz? Tam Anna Piotrowna Kern, tu też Anna Piotrowna... Pamiętam nagle zachwycenie... Jeśli minie, to miło będzie... Powinieneś mi pomóc.

- Co za pomnik?

- Jak by ci to wytłumaczyć? Figurę z drewna wytniemy, ludzkiego wzrostu. Piękny taki, zamyślony. Głowę ma pochyloną, rękę na piersi położył.

- Jako się baszy kłaniają?

- Nie... To tak, jakby się przysłuchiwał: co nadejdzie? Co minęło? I rękę - do serca. O, tak... Puka? A to jest życie właśnie.

- Kto to jest ten puszkin? Miejscowy?

- To geniusz. Umarł. Dawno.

- Objadł się czego?

- O Boże, za co mnie tak karzesz? Że też, Panie, musiałeś stworzyć takiego barana, takiego ćwoka...! Głupi Gabryś, Nieumiałek, a przecież syn Poliny Michajłowny! Zresztą sam jestem temu winien. Trzeba było się tobą zaopiekować wcześniej. Za to teraz będę miał zajęcie na starość. Musimy cię okrzesać. Zawód masz dobry, jesteś odcytany - prawda?

- Odcytany, Nikita Iwanyczu! Strasznie lubię czytać. I w ogóle sztukę. Muzykę kocham.

- Muzykę... Tak... Ja lubiłem Bacha...

- No, pewnie. Mnie też się podoba.

- A skąd ty go możesz znać? - zdziwił się stary.

- No jakże! Hę! Przecie Siemion - znacie Siemiona? Tego, co nad Zaświnionym Stawem ma chatkę? Obok Iwana Wołowicza? O tu - Iwana Wołowicza chatka, a tu - Siemiona? Po prawej, tam gdzie rozpadlina.

- Tak, no i co ten Siemion?

- No to jak ten się kwasu nachleje, to taką głośną muzykę gra: wiadra, garnce do góry dnem obróci i dalej kijem tłuc - umpa, umpa, umpa, a potem w beczkę, też odwróconą: Bach! Bach! Bach!

- Tak... - westchnął Nikita Iwanycz.

Posiedzieli, pomilczeli, popalili. Tak, miło myśleć o muzyce. Abo o śpiewaniu... Trzeba Siemiona zaprosić na wesele. Wiatr zadał, rzucił jeszcze śnieżną kaszą.

- No co, pójdziemy, Nikito Iwanyczu?... Bo mi ogonek marznie.

- Jaki ogonek?!

- Jak to jaki? Zwyczajny. Ten z tyłu.

EN

Masz ci los! Takie rzeczy. Człek zamierzy, a Bóg uderzy. W życia wędrówce, na połowie czasu, straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi ciemnego znalazłeś się lasu! Żyłeś, żyłeś, cieszyłeś się słońcem, patrzyłeś na gwiazdki, wachałeś kwiatki, marzenia miłe snułeś, i nagle - taki cios. Krótko mówiąc - dramat. Hańba i dramat - takie okropieństwo jeszcze nikomu się nie przytrafiło, nawet kołaczykowi!

Przez całe życie Benedikt był dumny: proszę, jakim gładki i składny; i sam wiedział, i ludzie mówili. Twarzyczki swojej człek, wiadomo, nie zobaczy, chyba że wody do miski naleje, świeczkę zapali i patrzy. Tylko wtedy jakoś słabo widać. Ale tułów - to jest to. Tułów ciągiem jest na widoku. Ręce-nogi, pępek, cycki, człon wszeteczny, palce u rąk i u nóg - i wszystko bez najmniejszego feleru! A z tyłu, wiadomo, co ma być - z tyłu tyłek, a na tyłku ogonek. A teraz Nikita Iwanycz mówi: ludzie ogonków nie mają i nie powinni mieć! Aha?! To niby co to ma być - Effekt?!

Pewnie, że był czas, kiedy Benedikt nie miał ogonka. W dziecięcych latach wszystko z tyłu było gładziutkie. A jak zaczął w wiek swój wchodzić, wtedy właśnie ogonek *zaczai* rósć. Benedikt myślał, że tak trzeba; tym, myślał, chłop od baby się różni, że wszystko z niego na wierzch wyrasta, a u niej wszystko w środku. Broda czy włosy na ciele też zrazu nie rosły, a potem wyrosły, i to bardzo ładne.

A przecie dumny był ze swojego ogonka! Zgrabny taki ogonek, krzepki; długi, trzeba powiedzieć, na dłoń abo i więcej. Jeśli Benedikt czymś zadowolni się abo uraduje, to ten ogonek tak z jednej strony w drugą macha, no bo jakże inaczej? Jeśli zasię strach jaki człeka napadnie abo smutek - ogonek też się kuli. Zawsze po ogonku się czuje, w jakim jesteś nastrojeniu. I co, teraz się okazuje, że to nienormalne? Nieprawidłowe? Mięta i rumianek! To może i człon wszeteczny, po książkowemu: putencyjał, też mam nieprawidłowy? Obejrzyjcie, Nikito Iwanyczu!

Nikita Iwanycz Benedikta obejrzał i się zacukał. „Nie - powiada - człon masz normalny, śliczny i zdrowy, w liczbie jeden, żeby taki każdy miał, a ogonek ci całkiem niepotrzebny. Dziwię się nawet, jakże to ty, marzyciel i neurotyk, wcześniej się nie zaniepokoiłeś. No przecież mówiłem: trzeba jeść mniej myszy! No więc dawaj, to ci go zaraz amputuję, wezmę siekiere i odrąbię. Ciach”.

Nie!!! Straszne! Jak to odrąbię?! To jak rękę abo nogę! Nie! Za nic w świecie! A on: „Dalej, dalej może u ciebie wszystkie fanaberyje, wszystkie nie urozy właśnie przez ten

ogonek!”. Nie, nie! Nie dam się! Tylko jak się tu teraz żenić?! Jak teraz Oleńce, krasawicy jasnej, w oczy spojrzeć? Przecie ożenek to nie tylko placki, wyszywanie i po sadzie-ogrodzie spacerowanie rączka w rączkę, ale i portek zdejmowanie! A Oleńka popatrzy i się *przerazi*: co to?! No?! A baby: Marfuszka, Kapitolinka, Krzywa Wierka i Głaszka Kudłaszka, i mnogie insze - nic takiego mu nie mówiły, żadnych uwag ani niezadowolnienia nie wyrażały. Przeciwnie, wychwalały! A to idy-jotki nieuczzone! Poza swoją babską potrzebą nic wiedzieć nie chcą!

Dobra, ale jakże to teraz będzie? Pół roboty zrobione, przecie - on jakoby już się poswatał i w gości do swojaków naprosił, przecie już z Oleńką się zmówił i dzień nazaczył, kiedy do nich do chaty pójdzie, pokłoni się i znajomość zawrze!

- Witajcie, kochani, chcę brać waszą dziewczuszkę za żonę!

- A kto ty jesteś i jakie twoje zalety?

- A Benedikt Karpow jestem, nieboszczyka Karpa Kilogramyca syn, a tamten Kilograma Christoforyca, a jeszcze tamten - Christofora Matwieicza, a czyj ten Matwiej i skąd, tego nikt nie pamięta, w mroku dziejów się zatarło. A w tym zaleta moja, żem młody, żem zdrowy, i wygląd mam niczego, a pracę dobrą-czystą, sami wiecie...

- A nie łiesz no ty, Benedikcie, Karpa synu?

- A nie lżę. - A skąd u ciebie, Benedikcie, takie psie imię? Może nie imię to, ale przezwisko? Bo czemuż to cię sobaczym imieniem nazwali? Jaki twój Effekt?

I tu zaczyna się dramat.

No bo cóż to znaczy, co mnie do tego, że insi ludkowie też Efekty mają: włosu siła, pryszce i guzy-czyraki! Czyrak to bąbel na wodzie, pięknie i nie masz go. Różki, uszka, kogucie grzebyki, pewnie że też nikogo nie upiększają, ale co mnie one obchodzą? Cudzy pryszcz to pryszcz, a swój to kłopot! A też nie ma w różkach ani uszkach sekretu żadnego, wszystko widać, to i ludzie przywykli. Nikt się nie będzie śmiał: ej, co to masz za różki! Różki: zawsze były i są, to i oko ich nie widzi. A ogonek to jakoby sekret, tajemny taki abo, jak mówią czasem, jentymny. Gdyby wszyscy ogonki mieli, toby było dobrze. A jak masz ty jeden - to wstyd.

Żeby to trafił się jaki zbytkowny Effekt, jak na ten przykład Nikicie Iwanyczowi: ogniem ziać! Czysto, ładnie, ludzie się boją, uważają. Najwyższy Rozpalaczu, ojczulku ty nasz! A na Benedikta co powiedzą? Pies! Poszedł! Do budy! Tak jak sobakom zawsze mówią. A prawdę powiedziawszy, jakież to ludzik na widok sobaki nie zapragnie tupnąć nogą abo kopnąć, abo kijem rzucić, abo szturchnąć czym, abo po prostu obsobaczyć, nie żeby ze złości - nie, złość na ludzi trzeba chować - ale z pogardą.

Nikita Iwanycz się zastanowił: „No cóż, właściwie to naczelne mają ogony. W głębokiej przeszłości, kiedy jeszcze ludzie nie wyszli ze stanu zwierzęcego, ogon był zjawiskiem normalnym i nikogo nie dziwił. Zaczął oczywiście zanikać, kiedy człowiek do rąk wziął kopaczkę-motykę. Teraz już jest atawizmem, ale niepokoi mnie nieoczekiwany powrót właśnie tego specyficznego organu. Czego to jest oznaką? Nie rozumiem: mimo wszystko żyjemy w neolicie, a nie jakiejś dzikiej wspólnocie pierwotnej”.

A Benedikt mu ze słozą w oku: „Warn to dobrze rozprawiać, słowa różne *gadać*, Nikito Iwanyczu! Wy chcecie odbudować przeszłość, słupy stawiać, puszkina z drzewa rzezać, a że ta przeszłość u tyłka mi się majta, kiedy mi się trzeba żenić, to was nic nie obchodzi! Widać wszyscy wy, Dawni, tacy jesteście: »odbuduje-my świetlaną przeszłość w całej okazałości, no i macie tu całą okazałość! Naści! A skoroście tacy miłośnicy lat minionych, to może byście tak wy z ogonami pochodzili, bo mnie ogon niepotrzebny! Ja chcę żyć!”.

A Nikita Iwanycz: „Zgadzam się, młodzieńcze, słowa to męża godne, a nie chłopca. O tym wszakże i ja myślę, o Odrodzeniu duchowym! Już czas na to, czas! Marzy mi się braterstwo. Miłość, piękno, sprawiedliwość. Szacunek wzajemny. Wzniosłe dążenia. Mor-dobicie i rozbój pragnę zastąpić wspólną, uczciwą, rozumną pracą. Chcę, żeby w duszach rozgorzał płomień miłości bliźniego”.

A Benedikt: „Aha, chwileczkę. Wy to macie płomień, możecie więc sobie gadać. Każdy wam się kłania, do nówek ściele, pewnikiem siurpryzy, bliny abo wermiszel w kobiałkach nosi! A jeśli coś nie po waszemu, to chuchniecie i podpalicie nieprzyjaciela okrutnego, można powiedzieć, w popiół obrócić! A my prości ludzie, jakóż żyć mamy?”.

A Nikita Iwanycz: „Poczekaj, młodzieńcze, poczekaj, znowu mnie nie zrozumiałeś. Nikogo nie zamierzam podpalać, pomagam ludziom w miarę możliwości. Oczywiście, mój Effekt jest swoisty, wygodny, odpalić - proszę bardzo - zawsze. Ale przecież chyba i ja nie jestem wieczny - właśnie Anna Piotrówna przeniosła się na tamten świat; świat, gdzie ani smutku nie ma, ani narzekania. Pora, byście i wy, kochani moi, przestali liczyć na dobrego wujka i przejawili troszeczkę, no choćby odrobinę inicjatywy. Pora, byście sami zaczęli rozniecać ogień!”.

Benedikt na to: „Boże mój, Nikito Iwanyczu, zdumieście czy co? Skądże my ogień weźmiemy? Toć przecie sekret! Tego wiedzieć nie wolno! Skąd się bierze? No, jak komu się chata zapali, to tak, wszyscy zbiegną się i dalej węgielki w garnce sobie kłaść. Wtedy sprawa jasna. Ale jeśli w całym grodzie piece pogasną? No?! Czekać burzy-łyskawicy? Przecie pomrzeć możemy, nie doczekawszy się!”.

Nikita Iwanycz: „Spróbujcie tarcie, młodzieńcze, tarcie. Spróbujcie, ja sam bym rad to zrobić, ale już stary. Nie umiem”.

A Benedikt: „A niechże was, Nikito Iwanyczu. Stary, a świństwa w głowie. A niech was wrota przycisną!”.

- Jego portretu - rzekł Nikita Iwanycz - niestety nie mam, nad czym niezmiernie ubolewam. Nie zachowałem. Co trzeba ratować z płonącego domu? Co *zabrać* ze sobą na wyspę bezludną - to odwieczny dylemat! A przecież tyle razy spieraliśmy się bez pożytku: na werandach latem, w kuchniach zimą albo w pociągach międzynarodowych, z przypadkowymi towarzyszami podróży! Jakie są najcenniejsze książki na świecie? Które sercu najdroższe? A ty, młodzieńcze, co byś wyniósł z płonącego domu?

Benedikt sumiennie się zastanowił. Chatę sobie wystawił. Jak wejdzie, to po prawej ręce ma stół i taburet. Stół tak jest do okna przysunięty, żeby jaśniej było; na stole, rzecz jasna, świeca, no a już przy stole - taburet. Jedna nóżka podgniła, a naprawić nie ma kiedy. Potym, dalej przy ścianie, stoi krzesło. Kiedyś na nim mateczka siedziała, a teraz nikt, a Benedikt czasem na nim wiesz siermięgę albo przyodziewek rzuca. Tak, a więcej tam nic nie ma. Od tamtego kąta druga ściana odchodzi, a przy niej już stoi wyrko. Na wyrku, wiadomo, szmaciska. Nad wyrkiem, na ścianie, półka przybita, na półce stoją książki, jeśli złodzieje nie ukradli. Pod wyrkiem, jako u wszystkich: kosz na rozmaite drobiazgi, gwoździe czy tam co innego. W głowach wyrka znowuż ką. Na trzeciej ścianie - to ta, która, jak się wejdzie, jest naprzeciw - piec. Co tam piec! Piec to piec. O nim wszystko wiadomo. U góry na nim, kto ciepło lubi, też wyrko, a w dole jadło się warzy. Drzwiczki, zasuwki, zameczki, zakrywki, tajne schowki - czego tam na piecu nie ma. Cały dokoła sznurkami omotany: suszyć co można albo tylko rozwiesić dla ukraszenia. Do tego piec jest szeroki, z grubym zadem, taki, że na czwartej ścianie już nawet miejsca nie zostało: parę haków, żeby czapkę powiesić, ręcznik, i tyle. No, jasna rzecz, są jeszcze drzwi do komórki, gdzie się przechowuje rdzę, suszone grzybale.

Co by wynieść, gdyby nie daj Boże pożar się zdarzył? Rdzę? A niech ją! Zawsze nowej nazrywać można. Miskę nową - też można wydłubać. Krzesła żal trochę, krzesło jest z dawnych czasów.

- Ja bym wyniósł krzesło - powiedział Benedikt.

- Tak?! - zdumiał się Nikita Iwanycz. - Dlaczego?

- Bo to mateczki.

- A tak, to rozumiem. Wartość sentymentalna. No, a książki? Książki nie są ci drogie?

- Książki, Nikito Iwanyczu, uwielbiam, jak nie wiem co, ale co z tego? Jeśli trzeba, to zawsze na nowo przeskrobie. Abo na myszy wymienię. A pozatym, Nikito Iwanyczu, kiedy pożar się zdarzy, nie daj Boże, to przecie one pierwsze się zapalą. Fuch! - i nie masz ich. To śmieć, kora, materiał nędzny.

- Ale słowo, nakreślone w nich, twardsze jest od spiżu i długowieczniejsze niż piramidy! A? Zaprzeczysz może?

Nikita Iwanycz zaśmiał się i poklepał Benedikta po plecach, jakoby odkasleć mu się pomagał.

- Przecież i ty, młodzieńcze, do wspólnoty należysz! Należysz! Chociaż gapa z ciebie, ciemniak, neandertalczyk duchowy, depresyjny kromaniończyk! Ale i w tobie dostrzegam iskrę człowieczeństwa, a raczej przeczuwam! Jakies nadzieje w tobie pokładam! Jakiś tam mały rozumek się u ciebie tli - Nikita Iwanycz nadal obrażał Benedikta. - Coś ci tam w duszy gra, taaak... „*Szlachetne są waaaasze poryyyywy, lecz nędzny im koniec pisaaaany!*” - zaśpiewał Nikita Iwanycz głosem obrzydłym, jakoby to kozieł zabeczał. - No, ale razem zrobimy coś sympatycznego, pożytecznego... Jest chyba w tobie jakaś artystyczna dusza...

- Nikito Iwanyczu! - obruszył się Benedikt. - Czegóż wy ciągiem takie rzeczy mówicie?! Jak Boga kocham, lepiej byście mnie kopnęli w zad, zamiast tak ubliżać!

- No więc tak - rozważał stary - jego portretu nie mam, ale udzielę ci wskazówek. Wzrostu nie był dużego.

- A mówiliście, że to gigant. - Benedikt wytarł nos rękawem.

- Gigant duchowy. Łeb buntowniczy wznosił i wyżej w chwale stanął..... niż Aleksandra pyszny słup.

- Wiem, przepisywałem. Aleć my nie wiemy, Nikito Iwanyczu, ile arszynów ten słup ma.

- Nieważne, nieważne! No więc z tego drewna - innego, wybacz, nie mam - właśnie z tego drewna musimy go wyciosać. Dla mnie najważniejsze, żeby miał głowę przekrzywioną i rękę o tak - pokazał Rozpalacz. - Popatrz na mnie. Głowę musisz rzeźbić kędzierzawa, nos prosty, twarz zamyśloną.

- Brodę ma długą?

- Bez brody.

- Całkiem?

- Bokobrody po bokach.

- Jak Pachom?

- Coś ty?! Pięćdziesiąt razy mniejsze. To znaczy tak: głowę, szyję, ramiona i rękę, najważniejsza jest ręka. Rozumiesz? Zegnij łokieć.

Benedikt postukał walonkiem po drewnie. Dźwięczy; drewno dobre, lekkie. Ale zbite. I suche. Dobry materiał.

- Dubelt? - spytał Benedikt.

- Kto?! Ten żandarm?!

Stary zaczął kłąć, zapluwać się, oczka mu błysnęły; a czego się tak wściekł - nie wiadomo. Nadął się, czerwony zrobił jako ćwikielka.

- Puszkin! Puszkin! Przyszły!

No i kto tu teraz kromaniończyk? Kto jest nie UROTYK? Dlatego właśnie z Dawnymi dojść do ładu nie można: krzyczą nie w porę, klną nie naszymi słowami, szarpią cię nie wiadomo o co, ciągiem niezadowolnieni; ani żartu dobrego nie pojną, ani tańca, ani igraszek naszych, żadnego wyrażenia ludowego, serdecznego, na wszystko mówią: „Ooof Zgroza!” - kiedy nijakiej zgrozy nie ma.

Zgroza to co? To wtedy, gdy Czerwone Sanie pędzą, tfu, tfu, tfu, nie, nie, nie, nie mnie, nie mnie; albo kiedy o kysiu pomyślisz, to jest zgroza. Dlatego, żeś sam. Całkiem sam, bez nikogo. I do ciebie - *zbliża* się... Nie! Myśleć nawet strach... A jakaż zgroza, kiedy płąsamy w korowodzie i na ten przykład bawimy się w ze-skakankę?

To dobra zabawa. Gości się pozaprasza, wprzód w chacie wszystko uprzątnąwszy. Łokciem ze stołu ogryzki na podłogę zrzucisz: ej, myszy, zbiegajcie się! Śmieć, co go się w domu nazbierało, pod wyrko walonkiem zapchasz i czymś tam oczywiście zasłonisz, żeby nie wystawał. Szmaciska na wyrku wyładzisz: prześcieradło, kołdrę wyrównasz. Jak już prześcieradło bardzo brudne, to upierzesz. A jak nie upierzesz, to też nie szkodzi. Jeśli gdzieś poniewiera się falbanka jaka wyszywana albo zasłonka - wytrzepiesz, wzdłuż pieca ładniutko powieszisz, jakoby tak zawsze było. Zapalisz świece, wszędzie nalepisz, nie pożałujesz, żeby było jasno i wesoło. Zakąsek, pieczystego narobisz-napieczesz, wszystko na stole w rzędkach porozstawiasz. Piwa dzban na stół postawisz, a insze dzbany w zimnie, w komórce trzymasz na podorędziu. A jeszcze i goście przyniosą; z pustymi rękami któż do domu się zwali? Chyba maździelec jaki, smutasina, fajfus liźnięty. Musowo trzeba do ludzi z gościńcem... No i zbiorą się - czyści, umyć-uczesani, w szatkach świeżych, jeśli kto znalazł. Żarty, śmiech. Najsampierw do stołu. Jaki stół bogaty! Myszy pieczone, myszy gotowane, myszy w sosie. Ogonki mysie marynowane, kawior z mysich oczek. Dróbka kwaszone też z kwasem dobrze idą. Placuszki postne z chlebiody. Grzybale, zależnie od sezonu. Kto bogatszy - to bliny. Kto już całkiem w dosycie żyje - słodką bułeczkę. Siedliśmy tedy, dobro błogosławiący, piwa

nalali, łyknęli pierwszą koleje - na zdrowie... I od razu drugą. Już do głowy poszło, chytać zaczęło. Dobrze! Jeśli rdza dobra, mocna, to nie połapiesz się, że jedzenia mało. Najedliśmy się, pasa popuścili - trzecia idzie, czwarta - a już zapomnieliśmy kiedy były, bo dziesiątą właśnie wlewamy. Palimy, śmiejemy się. Plotki rozpowiadamy, co się komu zdarzyło, rozpowiadamy sobie, bujamy. Jeśli są baby w gościnie, to z babami się bawimy: szczypiemy, macamy, zawsze ciekawość. Piosnkę z przytupem zaśpiewamy:

Syp się, syp się, grochu Gęsto, nie po trochu! A gdy będzie się umierać, Wtedy trzeba go pozbierać!

No a potem - zabawa. W zeskakankę *zabawa* miła, wesoła. Znaczą się, prawidła są takie. Śweczki się gasi, żeby było ciemno, siadać-stawać, gdzie popadło, a jeden na piec włązi. Siedzi tam, siedzi, i... jaaaaak nie skoczy z krzykiem wielgim! Jeśli wpadnie na kogo z gości, to go niezawodnie obali, uszkodzi albo staw zwichnie, albo jeszcze jakoś gwiznie. Jeśli mimo przeleci, to sam sobie rozkwasi głowę albo kolano, albo łokieć, albo i zebro złamie - toć piec wysoki. O taburet w ciemności walnąć się można, że hej! Abo łbem o stół. Jeśli się nie rozbił, to znowu na piec włązi, a jeśli ten z igry wybył - to już drugi się spieszy: puśćcie, teraz ja skoczę! Krzyki, wrzaski, śmiechy - aże się posikać można, tak wesoło. A po-tym śweczki zapalamy i patrzymy, co kto sobie uszkodził. No wtedy, jasna rzecz, rehot jeszcze większy: dopiero co miał Zinowij oko, a już nie ma! Abo Gurian rękę nadłamał, wisi jako flak, i jaki teraz z niego pracownik?

Ma się rozumieć, jeśli mnie kto człon jaki uszkodzi, szwank tułowiowi wyrządzi, to śmieszne nie jest: rozzłoszczę się, nie ma dwóch zdań. Tutaj nie ma co się kłócić. Ale to jeśli mnie. A jeśli inszemu-to śmieszne... A dlaczego? A dlatego, że ja to ja, a on to już nie ja, to on. A Dawni mówią: „Zgroza! Jakże tak można!”. A tego nie pojmują, że gdyby tak wszystko było po ichniemu, to ani śmiechu, ani wesela na świecie by nie było, wszyscy siedzieliby po domach postni i smętni i nic, żadnych przygód ani tańców w prysiadach, ani babskiego pisku.

A jeszcze bawimy się w dusibabkę, i też wspaniale: poduszkę drugiemu na gębusię narzucisz i dusisz, tamten bryka, wrywa się, a jak się wyrwie, to cały taki kraśny, spocony i włosy potargane ma jako u harpii. Rzadko kto umiera, lud u nas mocny, stawia się, w mięśniach krzepkość ma dużą, a dlaczego? A dlatego, że pracuje mnogo, w polach rzepe sadzi, kamienne garnce *draży*, snopy wiąże, drzewo na polana rabie.

Tedy nie trzeba nas obrażać, mówić, że rozumek u nas ledwie się tli; rozum mamy bystry, myślimy wolno, ale dobrze. A myślimy tak: że drzewo dubelt to dobre drzewo do wycinania wszelakich pinokiów, dobre na wiadra, a i beczki z niego udatne. Klosna też drzewo znakomite i na mietelki się nada, i orzeszki smaczne ma, i mnogo inszego, ale

wycinać symbol z niego nieporęcznie, dlatego że żywica, nacieki duże, lepkie. Brzoza - patrzeć na nią dobrze, ale pień ma cienki i krzywy, rzezać w nim trudno. Drzewo Jucha pień ma jeszcze cieńszy; wszystko w węzłach, guzach, kołtunach, słowem: jucha nie drzewo! Wierzba-niezdarna, siesion - włóknisty bardzo, łapaj-drzewo - mokre przez calutki rok. Dużo jeszcze rodzajów różnych, albo inaczej - różności. Wszystkie można by wyliczyć, bo my chyba wszystkie znamy. Teraz zedrzymy korę, dłutem naznaczymy dziurki... i do wesela sporządzimy bałwana.

Benedikt westchnął, poszeptał, splunął, wszystko jak należy i - Boże błogosław! - uderzył siekierką w dubelt.

O Domu Oleńki, rodziny ichniej, z ulicy nie widać. Płot wysoki, deska przy desce, wszystkie ostro zastrugane. Pośrodku są wrota. We wrotach - pierścień kamienny. U wrót, z boku - budka.

Benedikt, kiedy z Oleńką się zjawiał, chciał wprzód swatów wysłać. To jakoś łatwiej, kiedy swatowie za ciebie wszystko co trzeba powiedzą, ręce przybiją, zmówią się. Będą chwalać cię za oczy: żeś to już taki i siaki, i jeszcze inszy, żeś nie chłop, ale sokół jasny, po prostu róży pąk. Ale Oleńka nie chciała: nie, swatów nie trzeba... Jesteśmy nowoczesną rodziną... Nie trzeba. Przyjdźcie sami. Usiądziemy i obgadamy wszystko jak należy... Pojemy...

Wziął gościńce, myszy wiązkę, dzban kwasu i bukiet dzwoneczków, żeby z pustymi rękami do ludzi nie chodzić.

Niby wszystko jak trzeba. Ale jakoś strasznie. Co to będzie?

Podszedł do wrót, postął. Z budki wyszedł rab. Niezadowolniony.

- Do kogo?

- Olgi Madejówny kollega z pracy.

- Umówiony?

- Umówiony.

- Czeka tu.

Rab do budki wrócił, długo korą szurgał.

- Jak się nazywa?

Benedikt powiedział. Znowu rab brzozą poszurgał.

- Wchodź.

Furtkę małą w płocie otworzył - Benedikt przeszedł. A tam drugi płot, o pięć arszynów od pierwszego. I jeszcze budka, w niej też rab, jeszcze bardziej od tamtego niezadowolniony.

- Do kogo?

- Olgi Madejówny kollega.

- Co niesiesz?

- Gościńce.

- Gościńce zdać.

- Jak to... Przecież w gości proszony, jakże tak bez gościńców?

- Gościńce zdać i podpisać się o tu - rab jakoby nie słyszał Benedikta. Korę rozwinął i zapisał: „Myszą domowa spożywcza - tuzin. Kwasu dzban drewniany mały - jeden. Kwiatki niebieskie polne - pięćzek”.

Wtedy się Benedikt - słusznie czy nie - rozeźlił:

- Kwiatków nie oddam!!! Nie macie prawa!!! Mnie w gości sama Olga Madejówna wezwała!!!

Wziął i zanim się podpisał, „kwiatki” wykreślił. Rab myślał, myślał:

- A pies cię jechał. Wchodź.

Jak to brzydko powiedział - „pies”. Ale przepuścił. Za drugi płot przepuścił - a tu trzeci. Przy trzecim płocie dwaj rabowie z ławki się podnieśli, złego słowa nie mówiący, ale nie mówiący i dobrego, Benedikta od stóp do głów całego dłońmi obmacali: widać sprawdzali, czy nie schował czego w portkach albo pod koszulą. Ale nic niepotrzebnego poza ogonkiem nie miał.

- Wchodź.

Benedikt myślał, że tam znowu płot, ale nie, płotu nie było, tylko ogród ogrodzony z drzewami, kwiatami, i wszelakimi dobudówkami, a ścieżki żółtym piaseczkiem usypane, a w głębi ogrodu - dom. Do tej pory Benedikt się nie bał, i nagle się przestraszył: nigdy takiego dosytu i bogactwa nie widział. Serce w piersi tłuc się zaczęło, a ogonek z boku na bok - tam-sam, tam-sam - zaczął machać. I w oczach pociemniało. Nie pamiętał, jak go pod te białe rączki do domu wprowadzili.

A to go wprowadzili rabowie i samego zostawili w komnacie. Ileś tam czasu minęło i coś jakoby zaszurgało za drzwiami. Zaszurgało, drzwi się otworzyły i wychodzi On. Tatulek Oleńki. Pan tego wszystkiego dobra. Przyszły teść.

Uśmiechnął się.

- A witamy. Czekamy. Benedikt Karpycz? A ja jestem Madej Madejowicz.

I patrzy. I Benedikt patrzy. A ruszyć się nie może - nogi jakoby do podłogi przyrosły.

Madej Madejowicz wysoki jest, albo lepiej powiedzieć - długi. I szyję ma długą; a główkę małą. U góry ta główka łysawa jakoby, a wokół łysinki włosów wianuszek, białych

takich, jasnych. A brody nie ma, jeno usta długie niby kijaszek i kąty ich jakoby się zaginają. I te usta to zamknie, to letko otworzy, jakoby oddychać niezwyčajny był, i tak sobie próbował. A oczy ma krągłe i żółte jako świetlaki, a na dnie oka światło jakoweś się świeci.

Koszula na nim biała, przestronna, rozchełstana. Portki szerokie, u dołu szersze. Na nogach łapcie domowe.

- Cóż tak stoicie, Benedykcie Karpyczu? Do stołu proszę.

I pod łokieć do drugiej izby popycha. A w drugiej izbie stół nakryty. Łeeeeee! Czego tam na nim nie ma! Od jednego krańca do drugiego - miski, miski, miski, dania rozmaite, kotły i talerze! Pierożków bez liku, bliny, placki, racuszki plecione, precle, wermiszel różnokolorowy! A co grochu! A ze skrzypów snopki zrobione i po kątach rozstawione! A grzybali całe miednice, aże po brzegi, że tylko patrzeć, jak przez krawędź powyskakują! A ptaszyny calutkie, maleńkie, w ciasto zawinięte: z jednego koniuszka nóżki sterczą, a z drugiego główka! A pośrodku stołu tusza mięsna: ani chybi kozieł! Caluśkiego kozła na stół rzucili, a przecie tego kozielka jeszcze mogli podchować! A znać, słusznie mu gościńce odebrali, bo gdzie tam jemu z myszami pchać się, kiedy tu taki Kozieł.

A za stołem Oleńka siedzi, wystrojona, zarumieniona, oczka spuściła. Tak samo Benedyktowi w zwidach się przedstawiała, tak właśnie siedzi: bluza na niej biała, szyjka koralami owinięta, główka gładziutko przyczesana, na czole wstążka! A jak Benedykt do izby wszedł, to Oleńka jeszcze bardziej pokraśniała, a oczu nie podniosła, tylko sama do siebie się uśmiecha.

Strach!

A z drugiej strony izby jeszcze jedne drzwi się otwierają, i wchodzi teściowa. Abo lepiej powiedzieć: wpływa. Baba szerokości nieogarnionej, połowa już w izbie, powitanie wygłasza, a druga połowa jeszcze przez drzwi nie weszła, czekać na nią wypada.

- A to - powiada teść - małżonka nasza, Fiewronia. Rodu starożytnego, z Francuzów.

- Taka jest u nas legenda rodzinna - mówi teściowa.

Benedykt teściowej do nóg padł, ręką pokłon uczynił, drugą ręką bukiet dzwoneczków podał.

- Jadło stygnie - mówi teściowa. - Jedzcie, nie pogardźcie.

Siedli do stołu, na ławkach. Benedykt naprzeciw Oleńki, teść z teściową po bokach.

- Kładźcie sobie - mówi teściowa.

Benedykt znowu się przeląkł: jak tu się zachować. Jak sobie dużo nałoży, pomyślą: a to ci zięć żarłoczny! Takiego wykarmić trudno! A jak mało, pomyślą: o jaki słabosilny!

Pewnikiem i gwoźdźcem nie wbije. No, chyba wezmę pierożek. Wyciągnął rękę po pierożek, a wszyscy na tę rękę popatrzyli. Cofnął ją.

- Lubimy tego pojeść - mówi teściowa.

Nałożyła sobie. Madej Madejowicz też sobie nałożył. I Oleńka. Benedikt znowu rękę wyciągnął - po placki, i wszyscy zaraz - aha! - znowu popatrzyli.

Znowu cofnął.

Jedzą.

- Słyszę - mówi teść - że się żenić chcecie.

- Chcę.

Znowu nic nie mówią, tylko jedzą. Benedikt trzeci raz zamyślał sobie czegoś na talerz nałożyć i tylko rękę uniośł, a tamci znowu - patrz! I u teścia w oczach jakoby ogień jakiś błysnął. Co to takiego...

- Ożenek to poważna sprawa... Ja, kiedyś się z małżonką swoją Fiewronią żenił, to tak jej właśnie powiedziałem: poważna sprawa.

- Tak, dużośmy na weselu zjedli - znowu teściowa.

- Dobrześmy na weselu pojedli - teść.

Robią uwagi czy co? Benediktowi ze zdenerwowania ogonek zaczął leciutko o ławkę postukiwać.

- Czemu tak marnie jecie? - znowu teściowa.

Ej, było nie było. Wyciągnął ręce, kozła nóżkę łaps, na talerzyk ją - pac, a jeszcze na wierzch wermiszelu. Skrzypów też wziął. I jak to zrobił, to nagle im wszystkim w oczach znowu jakoby światło jakieś mignęło, jakoby jaki promień.

- Znaczy się, do rodziny naszej przyłączyć się macie życzenie - to teść.

- Mam życzenie.

- Trudności rodzinnych się nie boicie? Gospodarstwo prowadzić to nie to, co w brodę się drapać.

- Nie boję się. Ja do każdej roboty zdalny jestem.

- Do każdej?

- Aha.

- No, a jeśli ta robota bardzo poważna?

- Gotowy. Proszę bardzo.

- Ho ho.

Wtedy przy stole jakoby znowu krzywą jaśniej się zrobiło. Benedikt się przemógł, oczy podniósł, popatrzył - a u teścia w oczach, faktycznie, coś się świeci. To jakoby świetlak

przez siebie ogień przepuszczał. I w izbie - a już się zmierzchać zaczęło - z tych oczu promienie się rozchodzą. To jako od luczywa, kiedy na nie przez kulak patrzeć: zagniesz paluchy i patrzysz. Jakoby miesiąc ci przyświecał. Patrzy teść w swój talerzyk, a wszystko, co na nim nałożono, widać i o zmroku. Patrzy na stół i przyświeca jako ogniem. Na Benedikta popatrzył - i jeszcze więcej światła puścił, tak że Benedikt zamrygał i głową poruszył. A Oleńka do teścia:

- Tatku, kontrolujcie się.

Benedikt łypnął okiem na stronę - teściowa takie same wypuszcza promyki. I Oleńka. Ale słabsze.

A pod stołem znowu zaszugało. I ogonek zaczął się tłuc jeszcze bardziej niż przedtem.

- Więcej sobie nakładajcie - mówi teściowa. - My siła jemy, cała rodzina.

- Ród starożytny, z Francuzów - potwierdził teść.

- Wermiszelu jeszcze weźcie.

- Pokornie dziękuję.

- No, a myśli jakich nieodpowiednich nie miewacie? - teraz znowu teść.

- Jakich myśli?

- Wszelakich nieodpowiednich - o swywoli abo o złoczyństwie jakim...

- Żadnych takich myśli nie miewam - przestraszył się Benedikt.

- No, a o zbójowaniu?

- Jakim znowu zbójowaniu?

- Różnie bywa... A nie myślicie czasem: ożenię się, teścia z teściową zamorduję i sam sobie całe ich dobro zabiorę?

- Co też wy?

- Nie? A nie myślicie: żeby tak ich zaciukać, a samemu na ich miejscu zasiąść i przez okrągły dzionek wszelaką strawę zjadać?

- Cóż to takiego wygadujecie? O czym wy? Madeju Madejowiczu?! Ależ ja...

- Tatulku - znowu Oleńka się odezwała - kontrolujcie się.

A pod stołem jeszcze raz coś zaskrobało - no, po prostu całkiem już blisko. Benedikt nie wytrzymał, specjalnie łokciem kawałek chleba strącił ze stołu i nachylił się, jakoby chciał podnieść.

A pod stołem - nogi teścia w łapciach. A przez te łapcie wystają pazury, długie takie, szare, ostre. I tymi pazurami teść pod ławką skrobie i już wydrapał całą górkę - jakoby włosy

jakie tam leżały albo słoma kędzierzawa, jasna. Popatrzył - teściowa też ma pazury. I Oleńka. Tyle że Oleńka mniejsze. Mniejszą kupkę pod sobą naskrobała.

Benedikt nic nie powiedział - bo i co tu mówić? Wziął i oderwał sobie jeszcze kawałek kozła. I skrzypów capnął siła. Oj, siła!

- No, a powiedzcie - teść ciągnął - nie przychodzą wam do głowy takie myśli, że nie tak żyjemy jako trzeba, niedobrze nasze życie jest urządzone?

- Nie, nie przychodzą.

- A nie przychodzą takie: znaleźć winnego i zatłamsić go albo do beczki głową wsadzić?

- Nie przychodzą.

- A kark mu skrócić albo z wieży o ziem cisnąć?

- Nie, nie!

- Co to tak stuka? - odezwała się teściowa. - Wyraźnie jakieś stukanie.

Benedikt szybko pod siebie rękę wsunął i przytrzymał ogonek.

- A nie przychodzą myśli: że to baszów wina i obalić ich trzeba?

- Nie!!!

- A Samego Najwyższego Baszy nigdy ni zamyślaliście strącić?

- Nie!!! Nie!!! Nie rozumiem waszych słów!!!

- A czegoż tu nie rozumieć? Żeby samego Najwyższego Baszę, mówię, Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego, strącić, nie marzyliście?

- Madeju Madejowiczu!!!

- Tatulku, kontrolujcie się...

- No dobrze... A jeszcze coś wam pokażę...

Teść wstał zza stołu, do drugiej izdebki poszedł i przyniósł książkę. Starodawną.- Benedikt obie ręce pod siebie włożył i krzepko tam trzymał.

- Pokażę ci... Widziałeś?

- Nigdy!!!

- A wiesz co to jest?

- Nie!

- A jak pomyśleć?

- Nic nie wiem, nic nie widziałem. Nie słyszałem. Nie wiem, nie chcę, nie marzyłem.

Teść książkę na kolanach rozłożył, światło na nią puścił i strony przerzuca.

- Chcesz taką? Podarować ci? Dobra!

- Nic nie chcę!!

- A ożenić się?

Ożenić! Benedikt o mało nie zapomniał - ze strachu, smętku i hańby ostatecznej, zaciśniętej w garściach pod tułowiem - że ma się żenić. Ożenić! Jak też to mogło przyjść mu do głowy! Czego to się zachciewa, kundlowi durnemu! Mało mu było Marfuszki, Kapitolinki, Krzywej Wierki, Głaszki Kudłaszkki i mnogich inszych! Patrzcie, na jaką dziewczynę się połakomił: oczka spuszczone, twarzyczka biała, kosa na pięć arszynów, podbródek z dołączkiem, a na nogach pazury! Uciekać! Zaiste uciekać - torbę na ramię i biegiem na wschód, na południe, bez oglądania się, aż do samego Morza-Łoceanu, do siniego przestworu, do piasków białych!

A Oleńka oczęta podniosła, światło oczkami puściła, czerwonawe takie, słabiutkie, jakoby się fałszywy świetlak na ciemnym pniu obrócił, i brewki podniosła aż pod samą wstęgę, i uśmiechnęła się buźką rumianą, i bluzę białą na piersiach poprawiła, i ramionkami poruszyła:

- Jaki z was filut, tatulku. Wszystko już omówiliśmy. Uściskajcie zięcia.

- Tak... Omówili. Za plecami ojczulka... Ojciec przez dzionek cały się truzi, ręce sobie urabia... Chciałby jak najlepiej... Wszystkich na wylot widzę! - krzyknął nagle teść.

- Słusznie, tatulku... Nie wy jeden...

- Nie naszego on urodu! - zawołał teść.

- Tatulku, nie jesteście w pracy!

- A co to za praca? - wyszeptał Benedikt.

- Jak to co za praca? - zdziwiła się teściowa. - To nie wiecie? Madej Madejowicz jest Najwyższym Sanitarzem.

PE

Do pracy Benedikt całkiem przestał chodzić. A po co? Tak czy siak, koniec z nim. Na jego szczęście właśnie nadeszło lato i skrybom dali urlop. Bo inaczej zabraliby go na roboty drogowe jako Bezpożyteczny Element. Pora już była rzepę sadzić, ale smętek opadł go taki, że już dawnego nastrojenia do rzepy nie miał. Szedł do najdalszej osady, kupił u ludków grochodrzewu. Wąchał. Nie bardzo ulżyło. Leżał na wyrku. Płakał.

Chodził do Nikity Iwanycza, puszkina z drewna pomalutku rzezał. Główka bałwanowi już się okrągliła, duża jak kocioł. Smętna. Nos na pierś zwiesił. A łokieć sterczał, jak go tamten prosił.

- Nikito Iwanyczu. Jak wyście mówili, żeby ten ogon nazywać?

- Atawizm.

- A jakie jeszcze atawizmy bywają?

- Mmm... Owłosione kobiety.

- A pazury?

- Nie słyszałem. Chyba nie.

Zamyślał wstąpić do Marfuszki. Ale się rozmyślił. Figłów mu się odniechciało, a do jej wrzasków i placków już dawnej ciekawości nie miał.

Poszedł do domu, gdzie mieszkała Warwara Łukiniszna. Popatrzył przez płot. Bielizna na sznurkach wisi. Na podwórku rosną żółciochy. Nie wstąpił.

Rdzy wypił trzy beczki, chciał zapomnienia. Aleć rdza do głowy nie poszła, tylko na darmo się brzuch wzdęło. Uszy - tak, uszy jak gdyby z letka ogłuchły, owszem. Zwrok się też pomącił. Ale w głowie jasność niemożliwa, albo inaczej przestwór, a w przestworze tym - pustka. Step.

Chciał torbę zabrać i... na południe. Maczugę dużą wystrugać dla obrony przed Czeczęciami i... ku morzu. A jakie to morze - któż może powiedzieć? Kto jak chce, tak je sobie wystawia. Pieszko iść, jak mówią, trzeba ze trzy lata. A Benediktowi tak się przedstawiło: wychodzi na wysoką górę, a z niej jakież widok daleki! Patrzy w dół, a tam morze: woda wielga, ciepła, modra i pluskająca, wszystka ona igra i pluszcze! A fala po niej bieży drobna i kędzierzawa, z białym loczkiem. A na tym morzu wszędzie wyspy, wyspy jak czapki spiczaste. I wszystkie zielone, i tą zielenią aż kipią. A w zieleni sady kwitnące, niebywale. A w tych sadach rośnie drzewo Bez, o którym mateczka opowiadała. Kwiateczki u onego Bza jako kipieli sina, a postacią dzwonki przypominają; zwisają do ziemi, a wiatery nimi

porusza. A na samych szczytach onych wysp, na wierzchołkach stoją grody. Mury je opasują białe, kamienne. W murach wrota, a za wrotami droga brukowana. A po drodze na górę się wchodzi i dom będzie, a w domu wyrko złote. Na tym wyrku dziewczyna kosę rozplata, jeden włos złoty, drugi srebrny, jeden złoty, drugi srebrny... a na nogach ma pazury... I jak pazurem zadraśnie... jak pazurem...

To znowu na wschód chciał. Idzie się, idzie... Trawy coraz to wyższe i jaśniejsze. Słońce wschodzi i przez nie blaskiem swoim prześwieca... Idziesz sobie, strumyki małe przeskakujesz, rzeki w bród przebywasz. A las cały splątany jako tkane płótno, a chrząszcze tak fruują, tak brzęczą. W lesie onym polana, a na polanie kwiatek Tulepan, czerwonym dywanem całą ją okrywa, aże ziemi nie widać. A na gałęziach ogon biały, misterny jako sieć koronkowa, to zejdzie się, to znowu rozpuści. A ponad nim, ponad ogonem onym właścicielka - Królewska Ptaszyca Pawica oczami patrzy, zachwyca się sama sobą. A usta ma czerwone jako Tulepan. I mówi do niego: Witaj Benedykcie, sokole jasny, nawiedzić mnie przyszedłeś? A nie ma ode mnie szkody nijakiej, wiesz o tym dobrze. Chodź tu, Benedykcie, pocałuj mnie...”.

Nie poszedł ani na południe, ani na wschód. W głowie niby jasność, ale i tępość. Spakował torbę, a potem znowu rozpakował, patrzy: czegoż tam napakowałem? Nożyk kamienny, którym pusz-kina wycinał. Drugi nożyk. Dłuto. Gwoździe nie wiedzieć czemu zabrał drewniane. Po co mu gwoździe na południu? Wyjął. Portki zapasowe, jeszcze mocne, prawie bez łąt. Miskę, łychę włożył. Wyjął. Cóż z nich jeść będzie? Jakże strawę warzyć? Bez ognia?

Bez ognia nigdzie iść nie można.

Żeby tak wziąć ze sobą Nikitę Iwanycza... Szliby samowtór, rozmawiali. Nocą ognisko palili. Rybek nałapali i - jeśli nie trujące - zupę by warzyli...

Tylko daleko by nie zaszli. Złapią go. Jak u kogo piec wygaśnie, to od razu złapią. Zaczną biegać. „Nikitę Iwanycza! Dawać tu Nikitę Iwanycza!” A i Benedykta złapią. Dogonią, gębę obiją, białe rączki wykręcą i powiodą: dalej do żeniaczki! Żenić się, żenić!

A może i prawda: ożenić się? Co tam pazury? Pazury obciąć można. Przystrzyc... Nie o to chodzi... Nie masz człeka bez feleru. Ten ma ogon, tamten rogi, inszy grzebień koguci, łuski, skrzela... Pysek sobaczy, dusza człowiecza. Tylko że nie tego chciał... Zamyślał spacerować po sadzie, po ogrodzie, we dwoje wachać kwiatki-dzwoneczki. Rozmowę jaką poważną prowadzić, o życiu albo o przyrodzie, co w niej widać... Wiersz jaki wspomnieć...

Mocniejszy wszakże uścisk czuję, I głośniejszy jamszczyk pogwizduje, A szalonego blask księżycy, W twoich odbija się żrenicach.

A ona, żeby się dziwowała i słuchała. Oczu nie odводziła. A wieczorem myszkę złapać, w kułaku schować i tak filuternie: „No, powiedz, co tu mam? Zgadnij!”. A ta jak nie pokraśniej:

- Kontroluj się, sokole jasny.

Abo wrócić do roboty. Książczyny przepisywać. Wyciągniesz szyję-i przepisujesz... Ciekawie... Co tam takiego ludzie w książkach robią? Dokądś pojechali... Abo jeden drugiego zabija... Abo jakąś miłość czują... Eeeej, iluż tych ludzi w książkach jest! Przepisuje się i przepisuje. Potym na palie spluniesz, świecę zgasisz - i do domu... Przyjdzie jesień, liście z drzew opadną... Ziemia śniegiem się pokryje... Zasypie chatę po same okna... Benedikt zapali świeczkę z mysiego sadła, siądzie za stołem, podeprze ręką głowę, zasmuci się, w wątły ogienek patrzący. Ciemne bierwiona nad głową, wycie śnieżnych pustaci za ścianami, wycie kysiove na gałęziach ciemnych w północnej kniei: kyyyyyś! kyyyyś! Tak zawyje, jakoby mu czego poskapili, jakoby nie miał życia, póki żywej duszy nie wypije; nie ma spokoju, głodem kiszki skręciło i kręci niewidzialną głową, i wyciąga niewidzialne pazury, maca nimi w ciemnym powietrzu, i cmoka zimnymi ustami, szuka ciepłej szyi człe-czej - żeby się przyssać, upić, nachleptać czegoś żywego... Kręci głową, przewąchuje i nagle poczuł, i zeskoczył z gałęzi, i poszedł, i płacze, i skarży się: kyyyyyś! kyyyyyś! A śnieżne wiry podniosą się z ciemnych pól, gdzie ani światełka nad głową, ani wędrowca na bezdrożu; ani północy, ani południa, tylko biała oćma i ślepotą zamieci; poniosą się wiry śnieżne i pochwyć kysia, i polecą nad grodkiem śmiertelna skarga, i ciężką zasypie zaspą moje słabe, niewidzące, chcące jeszcze pożyć serce...!

Rodzina Oleńki do wesela się szykuje. Wyznaczyli na jesień. „I do nas - powiadają - się przeprowadzisz. Najesz się, sił nabierzesz, a potym o dobrą pracę ci się postaramy”. Jaką oni tam mogą dać pracę, sanitarze... Lepiej nawet nie myśleć...

Puszkina chyba znowu trzeba podlubać. Nikita Iwanycz stary ma teraz dwa marzenia idyiotyczne: Benediktowi odrąbać ogonek i puszkina wznieść na rozstajach, na Białej Górze. Co też on z tym puszkinem! Trzęsie się nad nim i Benediktowi trząść się każe, że niby zachwył wzbudza. „Ze siłą wierszy ponapisywał, myślał, że niby wydepcą ścieżki do niego miliony ludzkich stóp, ale jeśli się ścieżek - mówi Nikita Iwanycz - nie plewi, to zarosną. Co ten - powiada - Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, wyrabia: siadł na książkach i przepisuje. Śmieci na tych ścieżkach. Zęby całą zasługę sobie przypisać, a to jest molarność. To nieładnie. Rozumiesz, Benedikcie, że to nieładnie? A my razem, młodzieńcze, pomnik wznesiemy na rozstajach i będzie to naszym wyzwaniem i protestem. Pracuj z natchnieniem i zapamiętałe, a jeśli czasem pokrzy-czę na ciebie, to nie zwracaj uwagi na moje hlipiki”. A

kiedy z drewna rączka z paluszkami wyrzała, to Nikita Iwanycz aż klasnął w ręce: „Zaiste, masz talent, Benedykcie, talent! Jeszcze tutaj troszeńkę podetnij”. Niechże tak stoi, główkę skłoniwszy, i słucha, jak szurga myśla, jak wiaterek powiewa, jak życie idzie sobie dokądś, idzie i idzie ciągiem, ciągiem idzie a idzie, dzień w dzień! Dzień w dzień!

Lato się w barwę wspaniałą oblekło, dni zrobiły się dłuższe. Już się i kaftan puszkina wyłonił. W dzień Benedikt rzezał puszkina, pod wieczór - drzazgi na rozpałkę, żeby zupełnie zagrzać, pojeść i potem na ganek, rdzę kurzyć. Palisz sobie, wzdychasz, w dal patrzysz, główkę masz niczym nie zajęta, a tu znowu w niej widzenia się załęły.

Znowu, o wieczornej porze, kiedy zorza żółknie i gaśnie, kiedy mgła zbiera się w nizinach, pierwsza gwiazda na niebie wschodzi, drzewianica w dąbrowie miauczy - o tej porze znowu zaczęła się Benediktowi Oleńka przedstawiać. Siedzi Benedikt na ganku, kurzy rdzę, patrzy, jak niebo gaśnie; już powietrze sine się robi a chłodne; cisza nadchodzi, jak gdyby koldrę kto na uszy naciągnął. W trawie zaszurugało - i znowu cisza. W dole wszystko sinusieńkie, a u góry równo, żółto się świeci, dogasa. A po żółtym to różowym maźnie, to znowu szary obłok wrzecionem rozciągnie, powisi, powisi, malinowy brzeżek ponad sobą wystawi i ściemnieje, i nie masz go. Jakoby kto palcami wodził, zorze rozmazywał. A z mroku znowu Oleńka się wylania, jakoby w powietrzu narysowana. Sama ledwo się świeci, jako świetlak, a przez nią wszystko widać, słabiutko tak, ciemno. Główkę ma gładziutko przyczesaną, a przedziałek się świeci. Liczko bielusieńkie, a nie poruszy się; szyję w tuzin sznurów koralu spowitą, aż po on dołeczek na podbródku. I na czole, i na uszach - wszędzie korale, korale, wisiorki także samo. A oczęta Oleńka ma ogromne, u góry aż pode brwi podchodzą, po bokach do samych skroni, niby ciemne, a błyszczą jako woda w beczce o północy. A patrzy tymi oczętami w środek siebie samego; tak *patrzy*, jakoby co chciała rzec, a nic nie rzeknie. Patrzy i z oczu cię nie spuszcza, i jakoby się uśmiechała albo pytania czekała, albo jakoby zaraz zaśpiewać miała, ust nie otwierający. Usteczka ma Oleńka czerwone, a sama ona biała, a od widzenia tego taki strach, jakoby nie Oleńka to była, ale sama Królewska Ptaszyca Pawica, tylko nie dobra, a jakoby zabiła kogo i wielce z tego rada.

I takie zwidy Benedikta nachodzą, jakoby się grochodrzewu nawąchał. Nogi, siedzenie jakoby mrozem owionęło, a w palcach jakoby dźwięczenie jakie i mrówki chodziły. I w piersiach, albo inaczej w żołądku, też dźwięk głuchy taki, jakoby kto tam puste kamienne wiadro wetknął. A zwid ten, do Oleńki podobny, rzęsami powiedzie i znowu patrzy, a oczyska jeszcze większe jemu się zrobiły, a brwi parzyste, czarne, a między brwiami kamuszek, jakoby miesiąc łezkę uronił.

Czegóż ona chce od niego, przekłęta?

Ten puszkin-ropuszkin też pewnie żenić się nie chciał, zapierał się, płakał, a potem się ożenił - i nic. Prawda? Łeb buntowniczy wzniosł i wyżej w chwale stanął niż aleksandra pyszny słup. Jeździł saniami. Myszy się bał. Za babami biegał, figle-migle stroił. Sławny był; teraz z niego pinokia wycinamy.

A myśmy niczym nie gorsi. Tak? Czy nie?

- Immanuel Kant - pouczał Najwyższy Rozpalacz. - A tobie, skłonmemu do filozofowania, wypadaloby to nazwisko zapamiętać - Immanuel Kant zdumiewał się dwóm rzeczom: prawu moralnemu w piersi i gwiazdzistemu niebu nad głową. Jakże takie coś trzeba rozumieć? A tak, że człowiek jest skrzyżowaniem dwóch otchłani, tak samo bezdennych i tak samo niedosięgalnych: świata zewnętrznego i świata wewnętrznego. I podobnie jak wszystkie świecidła, komety, mgławice i reszta ciał niebieskich porusza się zgodnie z prawami słabo nam znanymi, ale ściśle określonymi - słuchasz mnie? - tak samo i moralne prawa, mimo całej naszej niedoskonałości, są ustalone, nakreślone diamentowym rylcem w annałach sumienia! Ognistymi literami w księdze żywota! I choć ta księga ukryta jest przed naszymi krótkowzrocznymi oczami, choć tai się w dolinie mgieł, za siedmioma wrotami, choć pomieszane są jej karty, alfabet dziwaczny i niezrozumiały, ale mimo wszystko istnieje, młodzieńcze! Świeci nawet nocą! Życie nasze, młodzieńcze, jest poszukiwaniem owej księgi, bezsenną drogą w głuchej puszczy, błędzeniem po omacku, wreszcie odkryciem niespodzianym! I nasz poeta, któremu skromny ołtarz wspólnie w/nosimy, wiedział to, młodzieńcze! Wszystko wiedział! Puszkina to nasze wszystko: i niebo gwiazdziste, i prawo moralne!

- No dobra, Nikito Iwanyczu - rzekł Benedikt. Rzucił niedokurek, rozgniół łapciem. - Chuj wam w oko. Ucinajcie ogon.

I legł w poprzek ławki.

RE

Ma teść zwierzyniec duży, chyba całą ulicę, a po bokach ciągiem klaty i zagrody. Najsamprzód chlew przestronny, a w tym chlewie przegrody, a w przegrodach wygeneraci. Włochaci, czarni... okropność. Cała sierść po bokach zbiła im się w kołtuny. Mordy chamskie. Jeden bok chochra o pręty, inszy wodę z dzbana łyka, jeszcze inszy siano żuje, tamten zwałił się i śpi, a trzech w kącie rżnie w brzozowe karty i wymyśla sobie wzajem:

- Coś ty ocipiał, w dzwono wychodzisz?

- Cicho, kurwa!

- Kurwa, cicho?! No to masz!

Teść niezadowolniony, pazurami poskrobał.

- Znowu gracie? A żłoby nieoczyszczone! Wygeneraci nic sobie nie robią.

- Spoko, szefie! Wszystko w porzo! Schodź, Walera.

- To ja atuta!

Teść zaklął i powiódł Benedikta dalej.

- Bydło... Nieroby... Ja tobie, zięciu, dam Terentija, on będzie spokojniejszy. Uważaj tylko i nie przekarm go. Chciałem ci dać Potapa, ale narowisty. Uzdę gryzie, ubliża... Tak... Tu są kozły. Te tam trzymam na mięso. A te na weinę. Z nich dzerseje dobre, ciepłe. Baby je lubią.

- Co to dzersej?

- Takie na patykach robione. Tutaj mamy kury. A tutaj woliere zbudowałem dla zajęcy.

- To ci dopiero!

Benedikt głowę zadarł - faktycznie, klatka z patyczków pleciona, wysoka wieldze; w klatce całe drzewo rośnie, na samym wierzchołku gniazdo, a w gnieździe, faktycznie, zajęce. O, jeden ogon wysunął i macha. Jakoby się drażnił. A Benedikt teraz nawet pomachać nie ma czym. I kość ogonowa dokucza. I dalej, rzędami, ciągiem klaty, klaty... A teść idzie sobie, ręką to w prawo, to w lewo pokazuje:

- Mam też i kurioza. Wszelaką żywinę. Jest co do garnca włożyć. Moi ptasznicy cały dzień w boru siedzą, pełne sidelka przynoszą. Wróbliki, słowiki - niezłe są zapieczone w cieście. Małżonka moja Fiewronia bardzo na nie łąsa. Nie każdego ptaka oczywiście jeść można. Najsamprzód na rabach próbują. Onegdaj pojмали ptaszynę maleńką taką: czerwona, oczka jako koraliki; i pachnie smacznie, i głosik taki miły. Chcieliśmy zamarynować, a potem

się zastanowiliśmy: lepiej ją rabowi dać. Rab ją chap, na ziem ryms, i ani zip. Tośmy się naśmiali! A gdyby tak my? No właśnie! Na przyrodę oko trzeba mieć dobre!

O, i jeszcze klata, a w niej też drzewo, z dziuplą, omszałe.

- A co tutaj? Nikogo nie widać.

- A, tutaj? Drzewianicę trzymam.

- Drzewianicę pojmaście?

- Aha. W dziupli się chowa.

- A to ci...

Teść knut podniósł, którym wygeneratów chędożył, między pręty wsunął i w pień zastukał.

- Drzewianico! Wyłaż!.. Wyłaż, mówię!

Milczy. Nie chce.

- Wyłaż, mówię, sukincórko! - teść knucisko w dziuplę wetknął.

I rzeczywiście - szybko wyrzała, mignęła jako cień i nazad główkę schowała.

- Widziałeś? - ucieszył się teść.

Benedikt oniemiał.

- Cuda...

- No właśnie. Z tej chcemy zupę uwarzyć. Tak... Co by tu jeszcze?

A w Matach i plecionkach wszystko świrgoli, gulgocze, polatuje - jako w lesie. I tam, na gałązce tuzin słowiczków niby te myszki. Tam, patrz, sine piórko mignęło. A w dalekiej klacie drzewo gołe, objedzone z kory, z którego konar sterczy, też goły, a na konarze wisi coś białego, pomiętego, dziurawego, jak stare prześcieradło.

- Mam wszystkiego pod dostatkiem... Tak, zięciu! Czy latem, czy zimą - pełna czara. Chodź no, stodoły ci pokażę.

Pokazał stodoły, gdzie się chlebiodę chowa, sadyki rybne, ogrody. Ze gospodarstwo tęgie - to mało powiedzieć. Benedikt nigdy nawet nie myślał, że takie bogactwo na świecie bywa. Teraz, jakoby i on był tego dobra panem?! Oj, dobrze!

Zaiste, dobrze się złożyło, grzech się skarżyć. Ale jeszcze się czegoś bal... Czego się bał? Przecie nic straszego nie ma. Rodzina zgodna, do stołu siadają pospołu. Stół za każdym razem od ściany do ściany potrawami zastawiony; a wszystko do okruszyny zjadają, Benedikt za nimi nawet nadażyć nie może.

Teściowa, jasna sprawa, najwięcej ze wszystkich sobie nakłada abo, jak powiedział Madej Madejowicz, lideruje. Za nią teść, a potem Oleńka, no a już Benedikt w ognie się wlecze; śmiali się też z niego a śmiali! Ale dobrotliwie.

- A bierzemy nie co popadnie, ale wszystko po kolei. Najsamprzód do pierożków się zabieramy. Wrzucamy do gęby czterdzieści, jednego za drugim, jednego za drugim jak groch. Potym kolej na placki. Tych też jemy bez liku. Potym zagryziemy paprotem. Rozgrzawszy się, przechodzimy do zupy. Talerków pięć zjemy i powiemy: no, apetyt się cośkolwiek zaostrzył! A wtedy już kolej na mięso. Po mięsie bliny: śmietanką polać, grzybali na wierzch dorzucić, w trąbkę zwinąć i... pobłogosław Panie Boże! Dzban blinów potrafiemy sprzątnąć. Potym oczywiście szamanki słodkie z tłuczonymi świetlakami, bułeczki słodkie, maślane, a potym syr i owoce.

Benedikt za nic nie chciał syra ani owoców. Sprzeciwiał się.

- To po słodkim?! Syr?! Co wy?

Śmiali się z niego:

- objaśnialiśmy ci, że małżonka moja, Fiewronia, pochodzi z Francuzów! Przecież mówiliśmy!

Jakie to szkodliwe te Francuzy: pojesz syra, od razu cię zemgłi, i żegnaj obiedzie. Można zaczynać od nowa. Abo ten angrest, owoc kwaśny, straszny, włochaty, to jeszcze gorszy. Gryziesz i płaczesz: czujesz się, jakobyś koziełkiem był.

To obiad. Ale okrom obiadu przekazujemy sobie: śniadanie, drugie śniadanie, południowa przekąska i oczywiście wieczerza. Nawet na noc ze sobą miskę ze strawą dają: jak nocą wstaniesz, za potrzebą czy w ogóle, to nuż z głodu kiszki ci skręci? Nie daj Boże.

Skoroś pojadł - odpoczywaj. Na wyrku leż. Zdrzemnij się. Pod piecem.

Abo w sanie siądziemy: jesień, podmarzło, co i dobrze. Z rana, oczy przetarłszy, z okna pęcherz odciągniesz, spojrzysz: co tam w przyrodzie? Nie ma to się aby ku zimie? Powietrze takie świeże, zimne, niebo w białej oćmie. Pierwsze śnieżynki, białe, duże, zębate, na ziemię padają. Najpierw wolno, pomalutku abo, naukowo mówiący, jendywidualnie, tak że można je liczyć. Potym więcej, więcej i już się zagęściło w powietrzu: najpierw płotu nie widać, potym budów bliskich, a jak już sypnie, to całkiem nic nie widzisz, tylko sieć biała przed oczami płąsa. A w izbie czysto, ciepło: piec potrzaskuje i huczy, wyrko szerokie i miękkie, a na wyrku Oleńka się rozłożyła, rozleniła, spod kołdry wyłazić nie chce.

- Chodź no tu, Benedykcio, miłować się będziem...

Okno znowu zawieszysz i hop do Oleńki pod kołdrę. Namilujesz się, wygramolisz na śniadanie, pośniadasz - i do sań. Sanie też szerokie, miękkie, bo skórąmi zasłane i poduszkami z kurzym piórem. A raby jeszcze skóry niosą: niby jak kołdry z wierzchu. Opatulasz się skórąmi ze wszystkich stron i leżysz jak w łóżku. Teściowa bieży ku tobie, miskę z pierożkami dźwiga:

- Oj, nie daj Boże, jeszcze zgłodniejesz w drodze.

Wygenerat walonkami tupie, warczy:

- Ale pogoda... W taką pogodę dobry gospodarz nawet sobaki z domu nie wypędzi.

Do czego pije, skurczybyk?

- Dalej, Terentiju, nie chwilozofuj. Ruszaj. Przejechać się chcę.

- Szefie! A może byś się tak przeszedł?

- Jak śmiesz? Dalej, żywo!

To ci rasa podła: tylko by się kłócił, sprzeciwiał, pogwizdywał. Leniwy stwór się trafił, rozpuszczony. Nie żeby pomknął jako wichler, co Benedikt lubi, oj, nie! Wlecze się noga za nogą, gwizdże, zęby szczerzy, a kiedy jaka dziewczuszka drepce, to jeszcze na komentarze sobie pozwala:

- O, jaka sztuka, duże ma gabaryty!

Abo:

- Niezła szprycha!

- Abo do Benedikta:

- Może te podrzucimy?... Ej, laski! Chodźcie no tu!

Tylko ludzi straszy, bydlak. I mają cię potym uważać. Abo w ogóle siądzie pośrodku drogi i siedzi.

- Co się dzieje, Teresiu?

- Nie Teresiu, tylko Terentiju Piotrowiczu.

- Ja ci dam „Piotrowicza”! Dalej, ciągnij! Stój! Gdzie cię diabli niosą?

- Mnie? Do parku!

I zarzy, gadzina. Ale tak w ogólności żyje się szczęśliwie. Wszystko dobrze. No, prawie wszystko. Nocą Benedikt budził się z nieprzyzwyczajenia, najpierw nie mógł pojąć, gdzie to jest - izba wielga, okna od miesiąca jasne, i pasy od tego światła leżą na podłodze jako chodniczki. Obok ktoś sapie. A, prawda, żonaty jestem... Wstaniesz, przejdiesz bosą, bez hałasu... Podłoga w izbie ciepła, bo śpi się na piętze, a pod podłogą - rury ode pieca idą, to i grzeją. Jakich to cudów ludzie nie powymyślają! Deski w podłodze gładkie, tylko tu i ówdzie kupki, naskrobane przez Oleńkę. Postoi człek, ciszy posłucha. Cicho... Owszem, Oleńka sapie. Owszem, gdzieś daleko w domu słyhać chrapanie albo nagle krzyknie ktoś we śnie, ale tak czy owak, cicho. A to dlatego, że myszy nie szurgają. Nie ma myszy.

Najpierw dziwnie jakoś było. Myszą szurga, to znaczy, że życie jest, a i w wierszach tak napisane: „Życia bieganie mysia, czemu mnie tak trapisz dzisiaj?”. A tu - nic takiego.

Benedikt chciał zapytać, ale jakoś niezręcznie mu było. O głupstwa wypytywać. Nie ma - to pewnikiem wszystkie wyłapali.

Tak... dobrze: ciepło, syto, żonie ciała nie brakuje. A i do rodziny przywykł: nic strasznego. Nie bez wad, ale to już jak wszyscy ludzie. Każdy jest inszy - czyż nie tak? Na ten przykład teściowa - z nią, jak by to powiedzieć, nudno jest. Nie ma o czym pogadać. Tylko „jedzcie” i „jedzcie”. No jasne, jem. Ale czasem o życiu albo o sztuce masz ochotę pomówić. Zjadłeś, przełknąłeś i już zbierasz się, żeby o co spytać, a ona: „Czemu tak mamie jecie?”. Zno-wuś gębę otworzył, jadła nałożył, a że niezręcznie rozmawiać z pełną gębą, to przełykasz, chcesz się odezwać, a ona:

- Czemuż nic a nic nie jecie? Może wam nie smakuje? To od razu mówcie.

- Nie, wszystko świetne, ja tylko chciałem...

- No więc jak świetne, to jedzcie.

- Ale ja...

- Co, gardzicie naszym jadłem?

- Nie, ja nie...

- Możecie do jakich delikatessów przywykli i kręcicie nosem nad naszym?

- Ja...

- U nas, jasna *rzecz*, frykassów żadnych nie masz; czymśmy bogaci, tym radzi, ale skoro wam nie odpowiada nasze...

- Ależ... - Oleńka! Coś ten mąż twój kapryśny jakiś... Jak moją strawą gardzi, to już nie wiem naprawdę, czym go tu karmić!

- Beniu, nie gniewaj mamy, jedz...

- Ależ jem, jem!

- To znaczy, że marnie jesz.

No więc jak takie przekomarzenia się *zaczną*, to sztuka czy tam insze wiersze z głowy pójda precz.

Teść jest troszkę inny. Gadać lubi nawet bardzo. Można powiedzieć, że cały czas chce gadać, aże niekiedy myślisz: może by tak choć trochę pobył cicho. Pouczać teść lubi albo wypytywać, jakoby sprawdzał. Otworzy usta, dyszy, dyszy, a potem pyta. A zapach mu z gęby idzie niedobry, jakoby pośmiardywało. I szyję jakoby bez ustanku wyciągał. Benedikt myślał, że to go kołnierz ciśnie, ale nie, kołnierz ma rozpięty. Po prostu takie przyzwyczajenie. Naje się tedy Benedikt, siądzie przy oknie, żeby sobie posiedzieć, a teść od razu siada koło niego, rozmowy zaczyna.

- No, co zięciu, myśli jakie u ciebie się nie załęgły?

- Jakie myśli?
- Myśli jakoweś niedobre?
- Nie zaległy.
- A jak tak pomyśleć?
- Nawet myśleć nie mogę. Objadłem się.
- Może cię do złoczynstwa ciągnie?
- Nie ciągnie.
- A jak pomyśleć?
- To i tak nie ciągnie.
- Możeś jakie mężobójstwo zamyślił?
- Nie.
- A jak pomyśleć?
- Nie.
- A tak szczerze?
- Coście wy, jak Boga kocham! Przecie mówię: nie!
- A obalenie naczalstwa ci się nie marzy?
- Słuchajcie, chyba spać pójdę! Nie mogę tak!

A jeśli we śnie marzenia jakie zbójce przyjdą?

Benedikt wstanie, do izby swojej pójdzie, trzaśnie drzwiami i rzuci się na wyrko. A drzwi cichutko się otwierają: teść wsuwa głowę. I szeptem:

- A przeciw baszy złoczynstwo jakie do głowy nie przyszło?

Benedikt nic nie mówi.

- Przeciw baszy, powtarzam?

Benedikt ani mru-mru.

- Co? Pytam, czy nie przyszło. Hej, zięciu? Co? Przeciw baszy, pytam, nie przyszło...

- Nie!!! Nie!!! Zamknijcie drzwi! Śpię!!! Nie przeszkadzajcie człękowi, cóż to znowu, ja chcę spać!!!

- To jak, przyszło czy nie?

Na tym to czas upływa. Pojeść, pospać, z rodziną się pokłócić. Sańmi się przejechać. Przez okno popatrzeć. Wszystko ładnie-pięknie - że trudno o lepiej. Ale czegoś jakoby brakowało. Jakoby czegoś jeszcze potrzebował. Tylko zapomniał, czego.

Zaraz po weselu nic mu nie było potrzebne. Przez dwa, może trzy tygodnie. No, powiedzmy, cztery. A może i pięć. Na razie przywykał i rozglądał się, to, tamto. A potem poczuł: jakoby coś było, a tu nagle - nie ma.

SE

Z początku Benedikt myślał, że mu brakuje mysiego szmeru. Przecie myszą - to nasze wszystko. I pojeść, i odzież ze skórek skroić, i na targowicy dadzą za nią, co chcesz. A jak na Nowy Rok dwieście sztuk nałapał? Dusza śpiewała, ludzie jej wtórowali! Wspominał, jak to szedł, omal nie pływający, osiadłe zasy deptał, w kałuże stopą bił, żeby tęcza się robiła! Uczciwa płaca za trud uczciwy! A ileż on wszystkiego za te myszy nawymieniał? Potym z Nikitą Iwanyczem to dobro jedli przez cały tydzień i dojeść nie mogli. Stary bułeczek słodkich napiekł... Jakoś się chyba przy tych bułeczkach zaprzyjaźnili. Jeśli w ogóle z Dawnym staruchem można się przyjaźnić. Po prawdzie, to kulinarz był z niego nędzny, jeśli tak z teściową porównać. Bułeczki piekł pokraczne jakieś, z jednego boku surowe, z drugiego przypieczone, z wierzchu nie twaróg, ale diabli wiedzą, co. A te, które teściowa piekla, w ustach się rozplływały.

Potym myślał: może stęsknił się za swoją chatą? Czasami miał taki sen: chodzi niby po domu teścia, z galeryi na galeryję, z piętra na piętro, a dom i ten, i nie ten. Jakoby dłuższy się zrobił, i na bok, ciągle na bok się krzywi. Idzie Benedikt, idzie i dziwuje się: czegoż ten dom się nie kończy? Musi jakieś jedne drzwi znaleźć, to wszystkie szarpie i otwiera. A czego mu trzeba za tymi drzwiami - nie wiadomo. To jedne drzwi otworzył, a tam jego chata, ale też nie taka, a jakoby większa się zrobiła: powała wysoko w górze, w mroku ginie, nie widać jej. Tylko suche siano z powały wolno się sypie, szeleszczący. A on jakoby stał i na to siano patrzył, a w sercu strach i jakoby kto je to łapą ścisnął, to uścisk połuźnił. I teraz coś poznaje. Teraz poznaje. A tu jakoby Oleńka szła i drewno taszczyła. Ale nieprzyjazna i sucha jakaś. Dokąd ty, Oleńko, to drewno taszczysz, czemuś taka nieprzyjazna? A ona uśmiecha się małomile i mówi: „Jaka za mnie Oleńka, ja nie Oleńka...”. Patrzy: prawdać, nie Oleńka to, ktoś całkiem inszy...

- Przebudzisz się po takim śnie i w ustach suchość, a serce: Du du! Du du! I nie rozumiesz, na jakim świecie żyjesz. I obmacujesz sam siebie: czy to ja? A miesiąc przez pęcherz świeci tak jasno i strasznie. I dróżka miesięczna na podłodze się rozciąga... A są ludzie, którzy we śnie chodzą, kiedy miesiąc w pełnej sile wzejdzie: nazywają ich senne bóliki. Bo coś ich we śnie boli. W taką noc z łóżka wstaną, ręce wyciągną, palcami ruszają i idą. A po co ręce wyciągają, nie wiadomo. Wyglądają, jakoby jałmużny abo pomocy jakiej prosili, a tylko kiedy weźmiesz takiego za rękę, to odskoczy. I na twarzy zdumiony. Przysłuchuje się: głowę na bok przechyli i słucha. Oczy ma otwarte, a ciebie nie widzi. Tacy

ludkowie z pościeli wstają, na podwórzec wyjdą, chodzą-błądzą i dalej na dach się sprytnie gramolić jako po drabinie. Wejdą na dach, na sam czubek, i łażą. Bo stamtąd do miesiąca bliżej. Patrzą na miesiąc, a on na nich. Na miesiącu jakoby lico widoczne i to lico płacze: patrzy na nas, na życie nasze i płacze.

Myślał, że za chatą mu tęskno. Nawet pojechał popatrzeć: zaprzągnął Terentija i pojechał do rodzinnej osady Ale nie, nie to. Popatrzy na chatkę, na strzechę: ze szczętem się popsowała. Drzwi na ścieżaj otwarte, w podwórku - łopuchy, od wiosny nikt nie plewił, i drapitrawa, i gryzitrawa, i jeszcze jakiś chwast nieznan: wasy czarne, długie, liść zwiędły. Pierwsze śnieżynki padają, krążą obojętne. Stanął, czapkę zdjawszy, jako przy mogile. W środku pewnie wszystko rozkradzione. Niby żał, ale i nie, bo od serca oderwało się i zmarniało. A i niepotrzebnie sanie brał: po tej podróży Terentij się rozpuścił, całkiem pana uważać przestał. Kiedy Benedikt u płota stał, bydlak rdzę kurzył i splunął na ziemię; potym mówi:

- He! Moje em-cztery w Swiblowie było lepsze.

- Teresiu, jak rozmawiasz z panem? Cały twój rozum to uzda!

- A twój - sam wiesz, co... Miałem kredens z lustrem. Telewizor „Rubin” z włoskim kineskopem... Mebłóściankę jugosłowiańską szwagier dostał, ubikację osobno, fototapety - złota jesień.

- Gadaj mi tu zdrów! No dalej, wprzągaj się!

- Linoleum tylko w kuchni, a tak wszędzie mozaika parkietowa. Kuchenka trójpalnikowa.

- Teres! Do kogo mówię!

- Lodówka dwufunkcyjna, piwo w puszkach. Wódka się chłodziła, skórka cytrynowa w niej pływała...

Stoi stwór na tylnych łapach jak równy tobie, o płot się opiera i rozmawia, w oczach marzenie ma i pana za pana nie uważa! We wspomnieniach się pogrążył - Pomidorki z Kubania, ogórki estońskie... Kawior jedliśmy prasowany, bo ziarnisty to obciach... Żytni za dwanaście... Rołmopsy. Herbatę ze słoniem... Zefir biało-różowy. Pijane wiśnie kujbyszewskie. Melony samarkandzkie...

I jak zaczął, jak swoje zaczął wygadywać, któż coś takiego wytrzyma! Słusznie mówi Nikita Iwanycz: człeka trzeba szanować, sprawiedliwość musi być! A to bydlę ma człeka za nic, za hetkę-pętkeję Benedikt wściekł się i ochędożył mu boki knutem, po karku nakładł i kopa dał na ostatek. A teść mówi: Terentij spokojny, Potap narowisty! To jaki musi być ten Potap?! Jeśli ten spokojny! A po takiej jeździe, patrzcie, Piotrowiczem go nazywaj. Od razu.

Potym jeszcze myślał: może ogona mu brakuje? Przez całe życie żył z ogonem, merdał, radował się. Kiedy ogonem człek merda, to go czasem za uszami łaskocze. Ładny był ogon, gładki, krzepki i biały. Tak, wstyd mieć ogon, kiedy insi nie mają, ale sam w sobie był ładny. Kto zaprzeczy? A teraz Nikita Iwanycz go odrąbał prawie przy samym korzeniu - oj, jak strasznie było. Nikita Iwanycz się przeżegnał: Boże błogosław! I jaaak... ale nie tak bolało, jako się lękał. „A to dlatego - mówi Nikita Iwanycz - że w nim nie kość, ale chrzęść. Gratuluję - powiedział do Benedikta - częściowego ucłowieczenia”. Pożartował tak, znaczy się. „Może zmądrzejesz” - żartował.

Teraz na miejscu ogona guzek jakowyś, który jeno piecze. Cały tydzień potym Benedikt w rozkroku chodził i nie mógł siedzieć, ale do wesela się zagoiło. I teraz jakoś dziwnie: nie pomerdasz sobie ani nic. Tak to, znaczy się, myślisz, reszta ludzi się czuje. Hmm.

Ale z drugiej strony - co to znaczy reszta? Jaka reszta? Przecie każdy ma swój Effekt. Rodzina - *pazury*. Podłogę psują. Teściowa ciężka jest, zwałista, z Francuzów - nadrapie na podłodze tak, jakoby cała głowa włosów na podłogę upadła. Oleńka delikatniejsza, kupki po niej mniejsze. Po teściu wyskrobki długie, grube, choć w piecu nimi pał. Benedikt proponował Oleńce: przytniemy ci te pazury. Bał się, że go podrapie w łóżku. Ona w krzyk: „No co ty?! Też mi! Na cóż ty się porywasz? Na organizm? Oj!!! Nie!!!”. Nie pozwoliła.

A wygeneraci - chociaż to na pewno nie ludzie - nie mają pazurów. Na nogach mają nogi, a na rękach - ręce. Tylko że brudne, bo przecie cały dzionek chodzą w walonkach, jeśli nie grają w karty. A czasem siądzie taki, nogę wyprostuje i za uchem się drapie szybciotko; wtedy się przyjrzyysz i widzisz, że pazurów nie ma.

W ogóle smutno było na początku, zad jakoby osierocony, a Benedikt nawet śledził wszystkie ogony, jakie napotykał: koziełka, ptaszka, psa czy tam myszy.

Do puszkiina jeździł w odwiedziny. Na tydzień przed weselem Benedikt stwierdził: „No, chyba starczy, już gotów”. Ale gdzie tam.

Pod koniec to już nie tyle wycinał figurę, ile drobiazgi wszelakie poprawiał: kędziorki wydlubywał, kark ścinał, żeby geniusz jakoby zgarbiony stał, niby że tak bardzo życiem i w ogóle jest zasmucony; paluszki rzezał czy tam insze oczka. Palców z początku wyciął sześć. Nikita Iwanycz znowu się złościł, filipiki wykrzykiwał, ale Benedikt już do jego krzyków przywykł i wyjaśnił spokojnie, że tak trzeba podług stolarskiej nauki: dobrego nigdy nie za dużo. Abo to wiadomo, co się zdarzy, błąd jaki zrobisz, po pijaku siekierką walniesz nie tam gdzie trzeba. Potym niepotrzebne zawsze można odrąbać. No więc niby skończył robotę, suchą rdzą natarł, a nazywa się, że oszlifował, żeby gładziuchno było i bez zadziarów, wtedy

oczywiście zamawiającemu prepozycję zrobił: który teraz palie piewcy wolności ciachnąć sobie *życzy*? A wybór duży aże miło: komu co się widzi! „Chcesz ten, chcesz tamten, a nie podoba się, to może jeszcze inszy; może ci się ten spodobał, to tu stukniemy, a może tam. No?” Dusza śpiewa, kiedy wszystko podług nauki: ślicznie i bogato.

A Nikita Iwanycz krzywił się i nie mógł wybrać, biegał dookoła i włosy darł - a włosów ma okropnie dużo. „Jakże miałbym powiada - swywolnie i bluźnierczo odrąbywać poecie ręce? Ogon to nic, ale ręce!!!” Zakrywał twarz dłońmi, głową kręcił, jednym okiem popatrywał, potem je zamykał, męczył się, męczył i nic nie wymyślił. Wszystkie sześć palców zostawił. A nóg puszkina nie ma, nóg nie wyrzeźbili. Nie *zdążyli*. Tylko górny tułów, od pasa. A dalej gładkie jako kłoda.

Wlekli go w sześciu chłopów, rozliczali się myszami. Z Dawnych przyjaciół Nikity Iwanicza podpomóc się ofiarował, Lew Lwowicz, z dysydentów. Pochwalił bałwana.

- Czysty daun. Sześciopalczasty seraf. Policzek dla gustów powszechności - powiedział. Ale pomocy przy taszczeniu-wleczeniu od niego, mizeroty, mało było; rolę wziął na się, że tak powiem, kierowniczą: „Dawaj-dawaj-dawaj! Stop! Zakręcaj! Nie! Nie tak! W lewo!”. No, jako zawsze się kieruje. Chcieli puszkina postawić tam, gdzie wskazał Nikita Iwanycz - jakoś to miejsce mu się spodobało... Zaczęli już dziurę kopać, tylko że tamtejszy gospodarz zły się okazał: wybiegł, rękami macha, śliną *bryzga*. Koper mu, widzicie, podeptali, a ten koper to roślina najmarniejsza, ani smaku nie ma, ani zapachu, tylko raczej dla ukraszenia trzymają; ale z głodu, rzecz jasna, zje się i koper.

Nikita Iwanycz koniecznie chciał ludzikowi symbol wznieść na środku grządki i namawiał tamtego, i zawstydział, i obiecywał ogień bez kolejki, i rabów wzywał, żeby głos ludu i szemranie podnieśli, a rabom co tam: stoją ponurzy, nogę na nogę zapletli, zapłaty czekają, kurzą rdzę, póki się naczalstwo nie wykrzyczy, serca nie zmęczy i nie ucichnie, a tak zawsze bywa. Musieli wlec ten dubelt na drugą stronę drogi. Tam miejsce niczyje, między płotami.

Stoi tedy, bidak, gwaru ulicznego słucha, jako było w zamówieniu - z za węgła skręcisz i widzisz go na pagórku, na wietrze, takiego czarnego. A ono drewno dubelt zawsze od deszczu czernieje. Stoi jako dąb w nocy, duch gniewny i buntowniczy, nabundziu-rzony, po bokach na gębusi dwa koklety - bokobrody starożytnego fassonu. Nos na kwintę spuścił, palcami jakoby kaftan na sobie rwał. Na głowie, jasna sprawa, srajski ptak się rozsiadł, a taka jego maniera, ptaka bez sumnienia, że co zobaczy, to opaskudzi, stąd i przezwisko za ono paskudzenie dali mu paskudne.

No więc pojechał, puszkina obejrzał. Dziaatki małe przegonił, żeby po nim nie łąziły. Chciał śnieżek wokół udeptać, ale z sani wyłazić mu się nie chciało. Obejrzał i... no, obejrzał. Niech stoi, z miejsca przecie nie ucieknie.

No więc myślał, myślał: czego to mu brakuje? A potem go olśniło, abo inaczej stuknęło: książek! Książek dawno nie czytał, nie przepisywał, w rękach nie trzymał! Chyba od maja! Do roboty chodzić samowolnie przestał, potem był urlop, a już potem jesień nowa na zimę przełamuje się i przełamać nie może - tak już zawsze w przyrodzie bywa, mordęga taka. Jednego dnia deszcz, drugiego śnieg. Już i Październikowy od Roboty Wolny za nami, to nie żarty! Tylko że w tym roku na przeliczenie nie chodzili. Teść poszedł służbowo, kłął, ale poszedł, a im powiedział: „Siedźcie w domu, ja i tak wiem, że was troje. Przy spisywaniu policzę”.

Oj, jak Benedikt nie cierpiał Październikowego Wolnego - a i kto go lubi? Chyba że jaki basza i to z obowiązku, ale co tu kryć: jaki był, taki był, aleć zawsze rozrywka. I na ludzi się popatrzyło, i ze Składu zawsze coś wydali. A teraz nie ma tej potrzeby. Przyroda się męczy i człek się męczy. Nie ma się czym zająć. Jakoby to powiedzieć - nuda.

Łazisz po domu, łazisz, łazisz, rozrywki jakiej sobie szukasz. To palie poślinisz, do ściany przyłożysz i wodzisz po ścianie. Wodzisz, wodzisz, całą izbę obwiedziesz, dopóki ślina nie wyschnie, wtedy znowu palie poślinisz i znowu wodzisz.

No co jeszcze? W kucki przysiądziesz, łokcie o kolana oprzesz, podbródek kułakami podeprzesz i kołyszysz się: w tył - w przód. W tył - w przód.

Abo dolną wargę wypuczysz i palicem po niej trynkasz, a ona jakoby kłapała. Dźwięk taki śmieszny: klap, klap.v Abo siedzisz sobie na taburecie czy tam na ławie, kołyszysz się, język wysuniesz, jedno oko zmrużysz, drugie w bok puścisz i język oglądasz. Koniuszek nosa widzisz i koniuszek języka. Ale słabo.

Abo jeszcze: palcami oczy odciągniesz na bok i patrzysz, co wyjdzie; a to wyjdzie, że wszystko, co widzisz, się przekrzywia.

Można głowę zwiesić między kolana, do podłogi zniżyć, aże krew uderzy. Zaszumi w głowie, zamgli się; w uszach zahuczy i zastuka.

Co jeszcze można robić? Palce przeplatać. Z jednej ręki palie i z drugiej ręki palie, potem znowu z pierwszej, potem znowu z drugiej; a jak wszystkie palce się przeplotą, to ręce wykręcić. Abo po prostu: palce rozstawić i poruszać tu i tam. To na rękach. Bo jeśli spróbować na nogach, to źle wyjdzie: kurcz stopę wykręci. Spróbujesz i dziwisz się, skąd to się wzięło, na rękach tak, a na nogach inaczej? A widać stąd, że ręce to ręce, a nogi to już nogi. Chyba stąd. Na pewno.

Abo po prostu oglądasz paznogie.

A widzeń żadnych nie masz; widzenia jakoś sobie poszły. A szkoda. Przedtem Oleńka się zwidywała: korale, dołeczki, wstążka. A teraz co? Teraz Oleńka jest tu. Pod bokiem. Dołeczki są, ale ona na całym ciele ma dołeczki. Takie dołeczki, że jak palie wsuniesz, to pół palica się schowa. Proszę. Wsadzaj. Nie broni się. Nawet się, można powiedzieć, cieszy:

- Zbytnik! Co za niecierpliwość...

A tylko wcześniej jakoweś migotanie od niej było. Tajemne. A teraz siedzi na taburecie, gębusia gęsto śmietaną wysmarowana - żeby bielsza była; a tylko wygląd straszny ma od tej śmietany. Włosy czesze:

- No, popatrz, Benedikcie, co tu mam? Chyba kołtun?

Przedtem o żadnych kołtunach mowy nie było, kosa do ziemi,, i już. Ale teraz Oleńka nie może nosić warkocza; skoro zamezną ją kobitką została, to na głowie przybranie babskie mieć ma. A już i co kłopotów z tym przybraniem - ratuj Panie Boże! Włosy na kosmyki rozdzieli, wodą namoczy albo rdzą i dalej nakręcać na drewniane kołki stukołki. Całą głowę okręci, chodzi, kołysze się, a te kołki przez calutki dzień o siebie postukują. Kędziory, widzicie, mieć musi. I lico wysmarowane: no, istna harpija.

- Po coś to na siebie nakręciła?

- No a jakże? Dla ukraszenia. Dla ciebie się staram.

Buchnie na wyrko:

- Chodź tutaj, Benedikcie, miłować się będziem.

- Starczy już, ile można.

- Chodź, chodź, nie gadaj.

- Alem ja coś osłabł. Przejadłem się trochę.

- Nie wymyślaj, od rana nic nie jadłeś.

- Ale ty drapać będziesz.

- Jakie znowu drapać! Nie wymyślaj.

- Ale gębę masz w śmietanie.

- *Zawsze* masz jakieś wymówki! O, ja nieszczęśliwa!

I w bek. Ale potym przestanie.

- Benedikt! Chodź no tu. Co to mnie swędzi? Ooo, o tutaj. Coś mi wyskoczyło?

- Nic nie wyskoczyło.

- Nie, źle patrzysz. Lepiej się przypatrz! Coś mnie swędzi.

- Ale tu nic nie ma.

- To dlaczego swędzi? Nie jest to wrzód jaki?

- Nie.

- Bąbel może? Nie spuchło aby?

- Nie.?

- Może czerwone?

- Nie, nie.

- No to co w takim razie? Bo mnie swędzi i swędzi, a potem jak zaboli! A tutaj? Benedikt? Nie gap się! O tutaj, nie dalej! Między łopatkami!

- Nic nie ma!

- Może łuska?

- Nie!

- Łupiezu chyba naleciało? - dalej mendzi. - Strząśnij ze mnie.

- Wszystko czyste! Nie wymyślaj!

- Może piegami mnie obsypało?

- Nie!!!

- No to może pryszcz jaki albo kurzajka! Jak wyskoczy, to umrzeć można!

- Plecy są czyste, mówię! Jako słowa!

- Pewnie, bo to ja cierpię, a nie ty, więc tobie wszystko jedno! A mnie tu pod pachą łamie, Benedikcie!

- Połamie i przestanie.

- Inszy to by mnie pożałował! Jak tak rękę podniosę i tak obróczę, to od razu łamie! A jeśli tak się nagnę i nogę tak postawię, to zaraz mnie kłuje w boku; popatrzcie, co tam mam w boku, bo ja nie mogę zobaczyć!

No więc go kiedyś oświeciło: książka. Zwalić się teraz na wyrko z książką! Na dworze śnieg bezszelestnie pada, w piecu drewna potrzaskują - no właśnie - z książką na wyrku. Na taburecie obok miskę ze świetlakami postawić albo inszym smakołykiem, żeby go w gębę wsunąć i... do książki... U nas, powiedzmy, jest zima, a tam u nich - lato. U nas dzień, a tam - wieczór. I wypiszą ci, i ukraszają, co to za lato i jaki to wieczór, i kto gdzie poszedł, i co tam na siebie ponakładał-ponasadzał, i na jakiej to ławeczce nad rzeką przysiadł. A i na kogo czeka, pewnikiem na miłego swego, nie inaczej, i jakie tam ptaszki u góry śpiewają, i jak słońce opada, i meszki się kręcą... I co zza rzeki słycać, jaką piosnkę. Wszystko napiszą: jak w krzakach zaszeleści - a to miły na spotkanie przyszedł - i co tam sobie powiedzieli, i co uradzili... albo kto łodzie wielką zbudował i na Morze-Łocean spuścił, i ile luda do tej łodzi się na-pchało, i dokąd płynąć chcą, i jakie w tej łodzi urządzenie - wszystko napiszą. I jak płyną, i jak między sobą się polajali, i u kogo serce na inszych zawrzało, jak czarniejszy od chmury

się zrobił i co zamyśla... A insi się zmiarkowali i mówią: „Aj, co to on na nas patrzy jako pies jaki, szkody nam przyczyni, to dalej wysadzimy go na wyspie...”.

Czyta sobie człek, wargami rusza, słowa rozbiera i jakoby od razu w dwóch miejscach przebywał. Niby siedzi albo leży, nogi podkuliwszy, ręką w misce gmera, a przecie insze światy widzi, dalekie albo takie, co ich całkiem nie masz, a widzisz jako żywe. Biegnie człek albo płynie, albo na saniach pędzi; ratuje się od kogo albo sam napaść zamyślił - serce się tłucze, życie ucieka, a tu takie cuda: ile książek, tyle żywotów różnych przeżyje! Jakoby wilkołak jaki: niby z ciebie chłop, a tu nagle szast-prast, baba! Abo znowuż stary, albo dziecię małe, albo cały oddział, który na straży stoi, albo po prostu nie wiadomo co. A jeśli nawet prawda, że nie sam Fio-dor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, wszystkie książki napisał, to co z tego? Widać insi Fiodorowie Kuźmiczowie, starożytni ludzie, siedzieli, pisali, zwidzenia mieli, i bardzo dobrze.

A teraz pewnie w Chacie Pracy świeczki zapalone, zwoje rozwinięte, Szakał Demianycz bystro na boki popatruje. Konstantin Leonticz szybciotko skrobie, przepisuje, od czasu do czasu patyczek pisarski rzuci i w ręce klaśnie! I krzyknie! Bardzo się zawsze przejmuje tym, co w książkach jest powypisywane. A potym znowu patyczek pisarski łaps i nuże skrobać dalej... A Warwara Łukiniżna głowę skłoniła, grzebykami trzęsie, coś tam sobie дума... Co to za książkę w domu ma schowaną? Tam coś o świecy było, o oszustwie... Ani Benedikta, ani Oleńki już w Chacie nie ma... Oleńka na wyrku leży i mendzi, śmietaną wysmarowana, a Benedikt na taburecie się kołysze. Warto by myszy nałapać, pójść na targowicę i na książkę wymienić. Tyle że myszy w domu nie ma.

A co to za książkę teść wynosił, Benediktowi podsuwał? Może pójść i spytać? Jak teść nie zachorował, tfu, tfu, tfu, to już przecie niezawodnie można do ręki brać.

TE

Teść znowu blisko usiadł, usta otworzył i pyta:

- Co, nie przyszły myśli jakie nieodpowiednie?

A Benedikt ośmielił się i powiedział:

- Ehe. Przyszły.

Teść się ucieszył:

- No, no, słuchamy!

- A coście to mi za książkę niedawno wtykali? Kiedym się swatać przyszedł.

- A ty skąd wiesz, że to książka?

- Już ja wiem.

- A skąd? Pokazywał ci kto?

- Może i pokazywał.

- A kto?

- A co to za książka?

- Nie, nie, kto ci pokazywał?

Benedikt chciał powiedzieć, ale w końcu nie powiedział: nigdy nie wiadomo...

- Nie pytajcie, tylko dajcie poczytać.

- Ale ty powiedz, kto ci pokazywał.

- W domu mieliśmy - powiedział Benedikt, i nawet nie skłamał.

- A *gdzież* ona jest?

- Spaliliśmy. Tato spalił.

- A czemu?

- A żeby Choroby nie było, tfu, tfu, tfu!

Teść pomyślał, oczami poświecił, nogami poskrobał.

- Oj, zacofani z was ludzie. Zacofani...

- A czemuż to zacofani? Ukazy wypełniamy. Naukowe osiągnięcia uznajemy: koromysło, zegar słoneczny, gwoździe.

- A dlatego zacofani, że dalej swego nosa nic nie widzicie - wyjaśnił teść - i państwowego podejścia ku społecznym procesom nie macie.

Benedikt odrobinę się zasmucił: to prawda, państwowe podejście nie bardzo mu się udawało. Póki nie przysłali w Ukazie wyjaśnienia, państwowego podejścia do sprawy nie

miał, wszystko rozumiał zwyczajnie. A państwowe podejście zawsze na wywrót: ty myślisz, że trzeba rozumieć tak, a tu nie, nie tak trzeba, tylko inaczej. Sam byś się za nic nie domyślił.

- Takoż i na Chorobę - rzecze teść - pogład macie niesłuszny.

- Słyszałem - ostrożnie odpowiada Benedikt - że to tradycja.

- Jaka tradycja?

- A leczenie. Że kiedyś od książek było promieniowanie, to i leczyli, jeśli kto miał książkę. A teraz dwieście lat minęło i już wszystko jedno. Taka tradycja. Tak słyszałem.

Teść puścił mocne światło oczami. Skrobnał po podłodze, mało deski nie wywrócił.

- Benedyckie! Chodź tutaj, miłować się będziemy! - zawołała Oleńka z sąsiedniej izby.

- Leż i czekaj! - krzyknął teść. - Rozmowę mamy służbową! O światopoglądzie! Ano, słuchaj... Nie w książkach kryje się Choroba, człecze miły, ale w głowach.

- Tak jak katar?

- Gorsze. Ty mówisz: gwoździe. Dobrze. Dawniej gwoździ nie znali, tak?

- Tak.

- Cóż, bez gwoździ lepiej było, chyba?

Benedikt pomyślał.

- Gorzej.

- Słusznie. Dawniej gorzej było. A teraz lepiej? Pojmujesz?

- Chyba pojmuję.

- A jeszcze dawniej - jeszcze gorzej. A przed wszystkim tym - Wybuch. I co, to było coś dobrego, jak myślisz?

- Boże uchowaj!

- No właśnie. Dokąd tedy musimy zmierzać? Do przodu. Jak idziesz ulicą, czyliż się cofasz? Nie, będziesz patrzył do przodu. Dlatego oczy mamy z przodu, a nie z tyłu, prawda? Sama przyroda nam ukazanie daje.

- Prawda - przyznał Benedikt.

- Tylko do przodu i nijak inaczej. A ja, skoro jestem Najwyższym Sanitarzem, muszę ludziom drogę oświecać. - I puścił promień, jakoby miesiąc zaświecił. - Teraz pojaśnienie nastąpiło?

- Nie - powiedział Benedikt.

- Znowu nie. No i co z ciebie będzie... No dobrze. Zacoianie - wyjaśnił teść - w narodzie jest duże. A człowiek człowiekowi bratem. Czyliż może brat bratu nie pomóc? Kim po czymś takim będzie? Człkiem podłym, sobkiem! Pomóc, podleczyć przede wszystkim trzeba. Bo niektórzy myślą tak: moja chata z krają. Czy to dobrze?

- Chyba niedobrze. To molarność.

- Prawda. A jak pomóc?

- Nie wiem.

- To pomyśl.

- No, nie wiem... Nakarmić?

- He! Wymyślił! Kiedy się ludzi karmi, karmi, karmi i karmi, to w końcu przestaną pracować. Sam jeden w końcu będziesz pracował, dla nich się starał. A jak ci się całe jadro skończy? Gdzie nowe znajdziesz? Skąd jadro brać, jeśli nikt nie pracuje? Nie! Pomyśl jeszcze.

Benedikt zaczął myśleć, jak pomóc bratu. Po prawdzie żadnego brata nie miał, więc myślało mu się niewygodnie. Przedstawiał mu się ktoś tykowaty i marudny: siedzi taki na taburecie i mendzi: „Braaacie... Poomóz! Poomóz, braaacie...!”. I choćbyś nie chciał, w końcu mu przyłożysz.

- Może popilnować czego? Kiedy on pójdzie gdzieś?

- He, he! No i stój jako słup do wieczora. A on tymże czasem za babami biega.

Benedikt rozeźlił się na brata: a to skurwiel! Czego on w końcu chce?

- Poddajesz się - pokręcił głową teść. - Dobra. Razem tedy pomyślmy. Sadziłeś kiedy rzepę?

- Sadziłem.

- Sadziłeś. Dobrze. No więc znasz technikę: posadzisz rzepę i czekasz. Czekasz, powiedzmy, na rzepę, a nie wiadomo co wyrosnie. Połowa rzepy, a połowa zielska. Pełłeś tę rzepę?

- Pełłem.

- Dobra. To znaczy, że wiesz. Cóż ci mam wyjaśniać? Jeśli rzepy w porę nie wyplewisz, wszystkie pole zielskiem zarośnie. A rzepa przez zielsko się nie przebije. No? I nie ma czym karmić, i pilnować nie ma czego. Tak!

- Prawda - przyznał Benedikt.

- A jakże by miała nie być prawda. Teraz uważaj. „Rzepkę” czytałeś? Przepisywałeś?

- Bajkę? Czytałem: Posadził dziadek rzepkę w ogrodzie, wyrosła rzepka jędrna i krzepka.

- No. Tylko że to nie bajka. To przypowieść.

- Co to znaczy przypowieść?

- Przypowieść to jest pouczenie przystosowane do poziomu ludu.

- A czegoż tu uczą? - zdziwił się Benedikt.

- To znaczy, że źle czytałeś! Dziadek za rzepkę i wyciągnąć nie może. Wezwał babkę. Ciągną i ciągną, wyciągnąć nie mogą. Jeszcze inszych wezwali. Dalej to samo. Wezwali myszkę i... wyciągnęli rzepkę. Jak to rozumieć? A tak rozumieć, że bez myszy nie da rady. Myszą to podstawa naszej egzystencji!

Co prawda, to prawda! Ledwie teść wyjaśnił - wszystko od razu zrozumiałe się stało, wszystko się zgadza. Wielkiego umysłu człek.

- Tak więc w ogólności i szczególności - zakończył teść - sytuacja taka: kolektyw ma oparcie w myszy, jako że jest ona kamieniem węgielnym naszego szczęsnego bytowania. Naukę społeczną ci wykładam, nie kręć głową. I oparłszy się takim sposobem, ciągnie, co może. Rzepę, a jak nie ma rzepy - to skrzypy albo ostatecznie rdzę.

- To prawda. Słusznie mówicie. Mnie w zeszłym roku całą rdzę z komórki ściągnęli! Przychodzę, a tu drzwi na oścież, wszystko wynieśli!

- Dobrze, już zaczynasz myśleć. No, a jak ty pojmujesz swoje zadanie?

- Jakie?

- Jakie? No - pielic!

Benedikt mocno się zastanowił.

- Pielic? Hmm. A trzeba? Aha! Złodziei łapać?

- Jakich złodziei! Myśl trochę! Kto są ci złodzieje?

- Złodzieje! To ci, którzy kradną.

- No? A kto kradnie?

- Kto kradnie... Kto kradnie... No wszyscy.

- No właśnie - zaśmiał się teść. - Wszyscy kradną! Kogóż i łapać zamierzasz? Siebie samego chyba? Jakiś ty zabawny.

Teść otworzył usta i pośmiał się jak należy. Benedikt odwrócił głowę, bardzo już mu z gęby jechało.

- No więc, jak ty swoje zadanie rozumiesz? Poddajesz się? No, leczyć! Leczyć ludzi, trzeba, mój kochany!

Benedikt osłupiał.

- Kto niby? Ja?

- No a kto? Oczywiście! Jak się trochę odpasiesz, to małą ośękę ci dam, a przywykniesz, rękę sobie wyrobisz - wysłużysz i dużą.

- Nie mogę, nie, nie, nie.. Ja nie mogę, jakże tak... Nie mogę ośęką, nie, nie, nie... Tfu, tfu, nie mogę, nie, nie, nie...

- No i masz ci los! Tłumaczyłem ci, wyjaśniałem, nibyś to słuchał, a tu masz: nie mogę! Wznies się ponad to „nie mogę”! Masz dług wobec narodu czy nie? Do świetlanego życia ludzie dojść winni czy nie? Trzeba pomóc bratu? Trzeba! Nie sprzeczasz się. Nasze zadanie, człecze miły, jest najszlachetniejsze ze wszystkich, a ludzie są zacofani i nie rozumieją. Strachy głupie, plotki rozpuszczają. Dzicz!

Benedikt zasmucił się. Dopiero co rozumiał, a teść tak jakoś wszystko wykręcił, że znów nic nie rozumie i tylko mu smutno.

- No więc co, nie wolno książek czytać?

- Dlaczego nie wolno?- zdziwił się teść. - Czytaj na zdrowie, mam całą bibliotekę starodawną, są i z obrazikami. Dam ci dostęp.

- No to po co leczyć?

- I znowu to samo! Bo to Choroba!

- Nic nie rozumiem...

- Nie wszystko od razu. Potym zrozumiesz.

- No, a tego... właśnie... Mówiliście, że myślą to podstawa. A czemu u was w domu nie ma myszy?

- Dlatego u nas myszy nie ma, że my żyjemy życiem duchowym. I myślą nam niepotrzebna.

Książek starodawnych teść ma cały skład. Kiedy Benedikt tam się dostał - jejkuuu! Oczy mu się rozbiegły, nogi ugięły, ręce zatrzęsły, a w głowie pomroka zrobiła. Izba taka przestronna, na najwyższym piętrze i z oknami, a wzdłuż ścian ciągiem książki; półki, półki, a na półkach jeno książki, książki, książki! I duże, i małe, wszelakie. Niektóre całkiem jak rączka, a bu-kwy w nich wielgie. A insze duże, bukwy zaś małe. W niektórych książkach są obraziki, i to nie zwyczajne, ale kolorowe! Jak Boga kocham, kolorowe! Caluśka książka kolorowych ob-razików, a na nich baby gołe, różowe - i na trawie siedzą, i na taburecie, i w rozkroku, i wszelako! Jedne chude jak mietła, a drugie nie, grubaśne. Jedna na wyrko wlaźła i koldrę odsunęła - niczego sobie. Niczego.

Przewracał kartki dalej: jakieś chłopcy idą sobie, idą dokądś, idą i grabie niosą, widocznie rzepę sadzić.

Potym morze, na nim łodzią, a na niej prześcieradła na kijach. Widać pranie zrobili i teraz suszą. Patrzcie, jak to ci mają wygodnie: w morzu wody dużo.

Przerzucił kartki na powrót tam, gdzie baba na wyrku leżała. Ładna. Jak Oleńka, tylko gębusia bez śmietany.

Potym jeszcze siła ludzików na zwierzakach siedzi; zwierzaki takie jak kozielki, tylko bez brody. Teść mówi, że to konie. Konie. Aha. To znaczy się, koń taki jest. Straszny jakiś. A ci siedli i nic się nie boją.

Potym kwiaty kolorowe. Garniec, a z niego kwiaty wystają. To nudne. Potym w ogóle wszystko zasmarowane, nie pojdziesz, co tam jest. Też nudne. Potym jeszcze pokartkował, a tam obraz taki: nic na nim nie ma, tylko kartka biała, a w środku czarna dziura kwadratowa. Więcej nic. Jakoby koniec wszystkiego. Patrzył na tę dziurę, patrzył i nagle tak mu się strasznie zrobiło, jako czasem we śnie. Prędko zatrzasnął książkę i rzucił.

W inszych książkach też obrazików co niemiara. Benedikt trzy dni siedział na podłodze i przeglądał. Czego już tam nie narysowali, Boże ty mój! Dziewczyny takie miłe, każda z dziecięciem siedzi, śmieje się, a w dali białe drogi, zielone wzgórza, a na *wzgórzach* grody się piętrzą, jasne takie, błękitne albo różowe jako zorza. Chłopy tęgie, poważne, na głowie czapka jako blin, na piersi łańcuch żółty, rękawy śliczne jako u baby. Abo cała kupa ludków i dzieciątka małe z nimi, a wszystkie gołe, tylko szmatki kolorowe mają i jakoby gdzieś w górę leciały, a kwiatów i wianków nabrały pełno, aż strach. Pewnikiem pielic całą rodziną szli, a niedobrzy ludzie ich ograbili i siermięgi z nich pozdzierali.

Raz coś znajomego w oczy mu wpadło - pewnikiem „Demon” No właśnie. Ten, którego Fiodor Kuźmicz w darze im ofiarował. Benedikt siedział długo, aż mu nogi zdrętwiały, patrzył na „Demona” i dumał. Jedna sprawa inszych słuchać, a całkiem insza samemu widzieć. Widać prawda, nie nakłamali, że to nie Fiodor Kuźmicz książki pisze, tylko insi ludkowie. Spodobał się widocznie Fiodorowi Kuźmiczowi, niech się sławi imię jego, ten demon, łaps i wydarł obrazik z książki. Proszę, jaki to - malutki, ale cwaniutki. Gorzko teraz Benediktowi: oszukał go, ocyganił, na dudka wystrychnął.

Po tych książkach sny mu się śniły farbowane, aż serce się tłukło. Przeważnie wzgórza zielone, murawą pokryte, i droga. Bieży po niej Benedikt i dziwuje się: czemuż tak letko mu się biega?! Na wzgórzach drzewa, a cień od nich misterny i ruchomy, słońce przez liście igra, na murawie płąsa. A on biegnie sobie i śmieje się: jakże letko, opowiedzieć warto komuś! Ale nikogo nie masz, wszyscy się pochowali. Nic to! Kiedy trzeba, wyjdą, razem z Bene-diktem śmiać się będą! A dokąd bieży, tego nie wie; wie, że nań ktoś czeka i raduje się, pochwalić chce: dobry Benedikt, dobry!

Abo latać we śnie potrafił. Niewysoko, co prawda, i niedługo, ale zawsze. To też jakoby na drodze, ale ciemno. I ciepło. Widać lato jest. Na Benedyku portki białe i biała koszula także. I tak jakoby zrozumiał: jeśli nogą od ziemi się odepchnąć, a potem plecy jakoś wygiąć, ręce na boki rozłożyć jako żaba, to można płynąć w powietrzu i przepłynąć z dziesięć

arszynów. Potym moc ta jakoś niknie, a ty znowu nogą się odpychasz i znowu płyniesz. Benedikt niby to komuś pokazuje i objaśnia. Patrz, pokazuje, jakie to proste, tylko plecy zegniesz, a brzuchem do ziemi, i rękami pokazuje, jak robić. Kiedy się człek obudzi, to mu żal: umiał latać i nad ranem zapomniał.

A raz mu się przyśniło, że mu ogon wyrósł koronkowy, cały biały jak u Królewskiej Ptaszycy Pawicy. Głowę przez ramię obrócił i na swój ogon patrzy... A w izbie ciemnawo i zimno, i okienko niskie. Poranny blask słoneczny przez okno się wdziera i białe pióra letką tęczą drobnymi skierkami otacza. A Benedikt ogon to rozłoży, to znowu schowa, patrzy, jak iskry na białym igrają jako wtedy, gdy śnieg bywa puszysty i lotny. I już tak mu ten ogon się podoba, że zaraz by się odbił i przez okno wyfrunął na gałąź i po gałęzi się przeszedł: ko, ko, ko. Tylko ten ogon troszeńkę boli i chodzić z nim niewygodnie. I już nie jest przy oknie, tylko schodzi po jakiejś drabinie, a ogon za nim szeleści, po stopniach wlecze się, tęgi taki, zimny i jeszcze piękniejszy się zrobił. Wchodzi tedy Benedikt do chaty, a tam rodzina. Przy stole siedzą i patrzą... Łapciami przebierają. I patrzą na Benedikta surowo, z przyganą abo gniewem. Benedikt też patrzy - i widzi, że nagi. Zapomniał włożyć portki, zgubił czy co tam inszego. A tu trzeba jeść obiad. Siada tedy za stół i chce ogonem wstydlivość przykryć, i tak, i siak, ale mu nie wychodzi, bo ogon za krótki. Jakże tak? Dopiero co długi był, włókł się, a tu nagle krótki. On go rękami szuka, głowę wykręca, pod pachą na niego patrzy, a ogon już nie ten sam. Pociemniał i cały plamisty, i pióra w rękach zostają; dotkniesz, to się sypią...

Cóż to za cudactwo się przyśni! Nie wiesz nawet, co myśleć. A kiedy wszystkie książki z obrazikami obejrzał, zabrał się do inszych. Najpierw-oko starodawnych bukw nie chwyciło, zeskakiwało. A potym się przyuczyło, jakoby takie już one być musiały. Jakoby Benedikt przez całe życie nic nie robił, jeno zakazane książki czytał! Najpierw brał wszystko jak leci, a potym umyślił, że zrobi z tym jakiś porządek. Książki z półek zrzucił na podłogę i po swojemu wszystko poukładał. Najpierw rozstawiał książki podług koloru: w ten kąt żółte, w tamten czerwone. Ale to jakoś niedobrze. Potem ustawiał podług rozmiarów: te duże tam, te małe tu. Nie spodobało mu się, a dlaczego nie spodobało? Bo każda książka - dziwy! - na grzbiecie ma oznaczone: kto pisał. Powiedzmy, Juliusz Werne. Ten napisał książkę i dużą brązową, i małą granatową. Jakże je po różnych kątach upchnąć? Muszą stać razem. Potym nowy szkopuł: są książki, co nazywają się pisma; tych nie pisał jeden ludzik, tylko cały dziesiątek - każdy swoje. Te pisma też muszą razem być, podług cyffer: najpierw numer jeden, potym numer dwa, a potym - cóż to? Powinien być numer trzy, a nie ma, tylko od razu siedem. Cóż to znowu? Nie ma i już! Od tego i złość. Może gdzieś się zapodział, potym się

odnajdzie. Pism jest siła, a nazwania mają przeróżne, jedne zrozumiałe, insze nie. Na przykład „Gwiazda”, to wiadomo. Głupim trzeba być, żeby nie pojąć.

Ale taka „Sztuka”, cóż to za „Sztuka”? W środku baby gołe. Pewnikiem to błąd, powinno być „Sztuki”. Teresio nazywa tak napotkane dziewczyny. Benedikt atrament z rdzy sporządził, patyczek zastrugał, zrobił porządek, wszystko poprawił.

Abo „Zagadnienia literatury”. Benedikt popatrzył: żadna literatura nikogo tam nie zagaduje, każdy sam od razu pisze, co myśli. A co myśli, to trudno pojąć. Widać był numer, gdzie ich zagadywali, tylko przepadł. Też szkoda.

A jest pismo „Ziemniaki i warzywa”. Z obrazikami. Jest i „Za kierownicą”, są „Światła Syberii”. Jest „Syntaksis”, słowo jakieś nie bardzo przyzwoite, a co znaczy, nie wiadomo. Pewnie jakieś przekleństwo. Benedikt zajrzał: w samej rzeczy, dużo brzydkich słów. Odłożył sobie: ciekawe. Wieczorem warto poczytać.

A jest „Pszczola Północna”, jest „Goniec Europejski”, „Waga”. Te to jakieś takie dziwne, mocno pleśnią pachną, ale to nieważne, tylko że tam pośród bukw są i jakieś insze, nauce nieznane. Benedikt myślał, że to nie po naszymu, tylko po pekińczycku, ale po-tym tak sprytnie czytał, że przestał widzieć niepotrzebne bukwy, jakoby ich wcale nie było.

Niektórzy ludkowie się postarali, książki zrobili akuratniutkie, jednakiej wielkości i na jednaki kolor pofarbowane, a nazywa się toto „Dzieła zebrane”. Na przykład Zola. Abo Antonina Koptiaje-wa. A w tych dziełach co jeszcze wymyślili: narysowali portret ludzika, który je napisał. Portrety śmieszne, aże strach. Ot, taki ludzik, Sergiej Sartakow. Buźka już nie do opisanego, jak spotkasz takiego na ulicy, to uciekniesz. A też siedział i pisał. Siła napisał.

Jedne książki obszarpane, brudne, kartki z nich wypadają, a insze - takie czyściutkie, jakoby wczoraj je zrobili. Aże miło popatrzeć. Ot, taki Anton Czechów. Jakaż obszarpana ta jego książka! Pewnikiem chłop małochlujny był i moczymorda. A może ślepa-wy? Przecie widać, że na oczach ma Effekt: holobelkę, *tz.* której sznurek zwisa. Za to Koptiajewa, od razu poznać, że baba czysta, pilnowała się. Już taka książeczka, można powiedzieć, nietknięta. Koptiajewa też sobie na noc odłożył.

Teść przyszedł, popatrzył, jak Benedikt wszystko przestawił, i pochwalił:

- Widzę, że kochasz kulturę.
- Strasznie kocham.
- To dobra rzecz. My też lubimy czytać. Niektóry raz w kółku siądziemy i czytamy.
- Mmm.
- A są tacy, co nie uważają kultury, niszczą.

- Mmmm.

- Kartki wyrywają, brudnymi rękami przewracają.

- Aha... Kto taki?

- Są tacy...

Postał, podyszał - cała izba brzydtko pachnieć zaczęła - i poszedł.

Rankiem Benedikt ani nie zje, ani nie wypije, tylko gębę opłucze i dalej czytać. Wołają na obiad - a niechże ich, w najciekawszym miejscu mu przerwą! Najpierw robił tak: szybko zbiegał, wrzucał do gęby co popadło - i znowu do książki. A potem pomyślał: można i przy stole czytać. Nawet smaczniej tak, i czasu się nie traci. Rodzina, jasna sprawa, obrażona. Teściowa się *obraża*, że Benedikt jej potrawy mało chwali, Oleńka, że o babach czyta, a ona sama siedzi, jak ta głupia. Teść się ujmuje za nim: zostawcie go, to sztuka.

Oleńka beczy:

- Książki czyta, a na mnie nie zwraca uwagi!

Teść wziął go w obronę:

- To sprawa nie na twój rozum! Cicho bądź! Jak czyta, to znaczy, że tak trzeba.

- A o czym on tam czyta? O babach! Na żonę nie patrzy! Podrę wszystkie te wasze książki!

- Gdzie o babach! O, tu napisane: „Roger wyjął pistolet i nasłuchiwał. Skrzypnęły drzwi”. Wcale nie o babach.

- Widzisz? Nie o babach.

- No jasne! Nie o babach! A czemu pizdolet wyjął, świntuch?

- Bo zaraz mister Blejk wejdzie, a on go po łbie pistoletem. Ten Roger. Za zasłoną się schował. Nie przeszkadzaj.

- Co za mister Blejk? Swój?

- Nie, obcy. Nie przeszkadzaj!

- Czegóż ma obcy człek jego pizdolet oglądać? Niech się ożeni i żonie pokazuje!

- Ej, doprawdy idyotka z ciebie! - to teść do niej. - Żona żoną, a proces produkcyjny znać należy. Mąż ci nie dla zabawy jest dany, ale jako członek społeczeństwa, karmiciel i obrońca. Dla ciebie to śmichy-chichy, a dla niego - nauka! Zięciu!

- Mmm?

- „Hamleta” czytałeś?

- Jeszcze nie.

- To przeczytaj. Nie może być luk w wykształceniu... „Hamleta” koniecznie przeczytać trzeba.

- Dobrze, przeczytam.

- Jeszcze „Makbeta”. Oj, dobra to książka, pożyteczna...

- W porządku.

- „Mumu” - koniecznie. Temat bardzo poruszający. Kamień psu na szyję i w wodę... „Kołaczyka” też.

- „Kołaczyka” czytałem.

- Czytałeś? Niezłe, co?

- Aha.

- Jak on go? Chap! Ten lis! Tak, bratku, lis to, wiesz... Lis to jest lisek... Chytrusek...

Chap!

- Tak, szkoda go.

- Gdzie tam! To przecie sztuka! Tutaj, bratku, wcale nie szkoda, tylko aluzyja...

Trzeba zrozumieć... Bajki Kryłowa czytałeś?

- Bajki zacząłem.

- Są dobre... „Wilk i baranek”. Dobra. „Tyś temu winien, że jeść mi się chce!”. Poezja.

- Wolę z przygodami.

- Aaa, żeby nie od razu? Są „Łowcy głów”, taka żółta. Koniecznie przeczytaj.

- Darujcie, teściu, ale nie przeszkadzajcie! Przeczytam, ale przeszkadzacie mi! Dajcie poczytać spokojnie.

- Dobrze już, dobrze! Nic nie mówimy! - Teść palie do ust przyłożył. - Ucz się i pracuj. Już jesteśmy cicho.

FE

Nadeszła wiosna, a z nią kwiecica dużo. Zaniebieściło się za oknem - Benedikt zasię zauważył jeno, że światła przybyło, że widniej się zrobiło przy czytaniu. Odsunął pęcherz, który okienko pokrywał - a to dopiero! Wszystkie łąki-polany murawą dawno porosły, już i modre kwiatuszki wschodzą, kolej na żółte. Wiatер miodowymi falami nalatuje, w dalekie kraje wzywa, żeby niewidziane państwa-królestwa odwiedzać, łodzie dłubaną na czystą rzeczkę spuszczać i kurs trzymać na Morze-Łocean! Tyle że Bene-diktowi to niepotrzebne. Wszystko ma w książkach, jakoby w tajemnych pudłach leży tam zwinięte, schowane: i wiatер od morza, i od łąki, i mroźny, i ten, którego zefirem nazywają, i z deszczem, i ze śniegiem, i z piaskiem! Noce bezgwiezdne i noce namiętne, noce aksamitne i bezsenne! Południowe, białe, różowe, najślodsze, zielone i jako sól morska, i biegnące, i padające, i złowieszcze, i dyjamentowe, i samotne, i nieszczęściem grożące, i przewodnie, słyszysz, i przewodnie! Wszystkie łodzie wszystkich mórz, wszystkie pocałunki, wszystkie wyspy, drogi wszystkie i grody, do których drogi prowadzą, wszystkie onych grodów bramy, szczeliny i przełazy, podziemia, wieże, proporce, kędziory złote, wszystkie warkocze czarne jako kruk, szcęk oręża, obłoki, stepy i znowu wiatry, i znowu morza i gwiazdy! Nic mu nie potrzeba, wszystko tutaj ma!

Bogacz - oto kim jest. Bo-ga-czem! Benedikt pomyślał o sobie „bogacz” i sam się zaśmiał. Nawet gwizdnął. Sam sobie basza! Sułtan! Wszystko w ręku mam, w garści, w małych bukwach: i przyrodę całą nieogarnioną, i żywoty ludzkie! Starych-młodych i tych krasawic niewidzianych!

A jeszcze co w książkach dobre jest, to one krasawice, które na kartkach książek sukniami szeleszczą, zza okiennic wyglądają, spod zasłonek koronkowych, wzorzystych... Krasawice, które białe rączki załamują, z rozpuszczonymi włosy pod nogi koniowi się rzucają, gniewnymi spojrzeniami ciskają, we łzach toną, a taliję mają jako ten kielich. One, które miotają się z biciem serca na wyrku, a zerwawszy się, dzikim zwrokiem toczą dokoła. One, które drepcą bojaźliwie, modre oczy spuściwszy; one, które płasają w płasach ognistych, z różą we włosach - nigdy one krasawice za potrzebą nie chodzą, nigdy uronionego z podłogi z jękiem-stękiem nie podnoszą, nigdy nie wzdyma onych krasawic ani pryszcz im nie wyskakuje, ani łamania w krzyżu nie miewają. Łupież złotych ich kędziorów się nie ima, wszą maleństwowi swoim gniazdek nie wije, jajeczek nie składa, łukiem krasawicę obchodzi. A kędziory te złociste przez calutki dzionek się kędzierzawią i nigdy nie jest powiedziane, że

pół dnia z kołkami-stukołkami siedzieć trzeba. Nie *zdarza* się im ciamkać ani smarkać, śpią cicho, policzkami nie bulkają, żadna Izabella ani Leonora opuchnięta nie wstanie; kiedy ziewa, to zębami nie kłapnie, zawsze wyskoczy świeża i zasłonę odsunie. I każda z radością rzuca się wybranemu w objęcia, a któż ów wybranek? Wybranek to Benedikt, choć tam się? zowie Don Pedro czy też Waśka.

A tu wiosna! Po co mu wiosna? Wiosną jedno jest dobre: do czytania jaśniej. Dzień dłuższy, bukwy lepiej widać.

Latem kazał hamak sobie na galeryi zawiesić. Nad hamakiem daszek letki, od srajskich ptaków obrona. Żadnego sumnienia te ptaki nie mają, najmniejszego: gdzie zobaczą gzyms, tam siadają; stamtąd i gruchają, i paskudzą. Dobrze, jeśli na włosy spadnie, a jak na książkę? Dwóch rabów ustawił po bokach, żeby wachlarzami machali i odpędzali od niego wszelakie meszki i komary. Dziewuchę kołysuchę przystawił, żeby hamak kołysała, abo inaczej kolebała, ale nie mocno, tylko tak troszeczkę. Drugą - żeby co rusz przynosiła chłodzące napitki: jagodę dereń ucierała, komput z niej gotowała i rąbany lód tam sypała, którego jeszcze z *zimy zapas* został (całą zimę pracownicy na rzece lód rąbali i w zimnej piwnicy chowali). A ten komput dobrze pić przez słomkę: zetną jaką trawę, jeśli nie trująca, wysuszą i rurka z niej zdatna, a przez nią pije się napitki.

Już i muchy zaczęły latać duże, złe, skrzydła ich sine, oczka tęczowe, a charakter nieubłagany. Dwaj pracownicy umordowali się, odganiający, trzeci do pomocy przybiegł. Widać, że jesień. Podniósł oczy: prawda, jesień, lunie deszcz z chmury, nie daj Boże, książkę zamoczy. Przeniósł się do domu.

CHE

Dzień był zwyczajny, czwartek. Padał śnieżek, nic nie zapowiadało. A i w książkach tak jest: jeśli nic nie zapowiada, zawsze specjalnie mówią, że nie zapowiadało. A już jeśli zapowie, to pilnuj się! I ptak zakracze, i wiaterek jakoś zawyje, i zwierciadło pęknie, a zwierciadło to u starożytnych ludzi było jak deska, i oni na tę deskę patrzący, siebie widzieli, jako my, kiedy w wodę patrzymy.

Siedli do obiadu.

Benedikt otworzył „Gońca Północnego”, siódmy numer, mocny jak rzadko, przesyty i sklejonny, rozłamał pismo, żeby się nie zamykało, nacisnął łokciem i jeszcze miską z zupą przycisnął.

A teściowa:

- Dojedz zięciu, koklety stygną.
- Mm.
- Koklety dobre, tłuste.
- Mm.
- Z grzybalami gotowane. Pewnie godzinę w piecu dusiłam.

Oleńka:

- A jeszcze dobre do kokletów piure z rzepy.

Teść:

- Piure chyba do wszystkiego jest dobre.
- Nie, do kokletów specjalnie.
- A rzecz trzeba: nie co dzień gotujemy koklety.
- Nie co dzień.

-,,,,- czytał Benedikt, już z przyzwyczajenia biegający oczami po linijskich. - ,,,,

- A przeszłego roku, pamiętacie, gryzitrawy nazrywaliśmy i z rzepą ala massedian upichcili.

- No pewnie.

- A jeszcze by dla zapachu koziego syra do masseduana naserniczyć, toby jeszcze smaczniejsze było.

- No pewnie.

- A dobrze jeszcze wermiszelu dać.

- Jakże miałyby nie być dobrze.

- A można do wermiszelu masła i trawek leśnych, i troszeczkę kwasku i zapiec, i udusić i, kiedy zaskwierczy, to na stół.

- A po wierzchu - siekanych grzybali.

- Aha.

- A do tego kręciochę kruchą, nadziewaną orzeszkami.

- Z paprotem.

- I owszem.

- A potem pierniki. Plecione.

- Po co plecione. Ze spodu lepsze.

- E tam, ze spodu. Te ze spodu goryczkę mają.

- No i co? To dobrze.

- Co w tym dobrego? Plecione o ileż lepsze! Jajco w nie się kładzie.

- Co ty tam wiesz! Plecione! Jeszcze powiedz: bliny!

- Niby co bliny? Co bliny?

- A nic. Bliny! Też mi coś!

- A ty co?

- A nic! Ot i co!

- No i dobrze! A ty: bliny!

- A właśnie bliny!

- Sama jesteś „bliny”!

- Może i jestem. A ty co?

- A ja nic!

- Cicho bądź!

- Sama bądź cicho!

- A będę!

- No to bądź!

- Będę i już! „Bliny”!

- No więc bądź, to cicho będzie!

Rzeczywiście zamilkły. Jedzą. Benedikt kartkę przewrócił, miskę przestawił, znowu pismo przycisnął.

- Jedźże koklet, zięciu.

- Jem.

- Więcej nałóż sobie. Oleńka, nałóż mu. A ty polej sosem! O! Jeszcze polej!

- Grzybali mu dodajcie.

- A jeszcze smażonego mięska.

Znowu milczeli przez jakąś chwilę.

- Szkoda, że Jewdoksinia pomarła. Jaki ona suflet z orzechów robiła.

- Oj tak.

- Z wierzchu niby skórka, a w środku miękkie.

- No.

- A szarlot? Kto taki szarlot teraz robi?

- Który? Ten z rzepy?

- Z rzepy.

- Z rzepy to ja sama mogę.

- Akurat.

- A bo co?

- A bo nic.

- Myślisz, że nie umiem?

- Że nie umiesz.

- A umiem.

- Nie bujaj.

- A właśnie, że umiem. Naprzód ugotować na parze, potem zagnieść. Potem jajec do niej, orzechów, koziego mleka. Obtoczyć i do pieca. I żeby żar był duży. Taki jak na bliny.

- Znowu te bliny.

- Cóż ty tak tych blinów, herodzie, się czepiasz? Jeszcze o nie i poprosisz!

- A poproszę! Podwójne!

- A tyle dostaniesz!

- A niby czemu?

- A temu!

- Oj, bo zaraz, jak Boga kocham, dam ci łychę w łeb, to będziesz miała bliny!

Benedikt jeszcze kartkę przewrócił.

- Zięciu!

- Mm?

- Zostaw tę książkę! Jak za stół, to od razu nos w książkę. Ani nie posiedzisz jak człek, ani nie pogadasz.

- Mm.

- Zięciu!

- Mm?

- Co tam napisane? Przeczytaj.

- Co! Sztuka tam napisana.

- No to przeczytaj.

Oleńka usta skrzywiła:

- Cięgiem tam o babach wyczytuje. Przygody mu się marzą.

- Dużo wy tam wiecie. No, co... „Ziębnęta Ludmiła otulała się wełnianą chustą, obejmując swoje chude, drżące ramiona. Jej zarumienione policzki płonęły mocnym, pasowym płomieniem. Gwiazdy oczu ciskały w stronę Władimira strzały przerażenia. Wysoka pierś podnosiła się jak morski odmęt pod jedwabną bluzką. - Władimir - wyszeptała - Władimir... - Władimir zacisnął szczęki. Surowe mięśnie zagrały pod jego opaloną skórą. Odwrócił się. Cienkie palce Ludmiły nerwowo miętoszyły frędzle szala. Władimir! - zawołała, rozkładając dłonie...”

Oleńka się nastroszyła:

- Ile w końcu rąk ma ta cała Ludmiła?

- Tyle, ile trzeba! Dwie!

- A wyczynia tyle, jakoby miała sześć. To Effekt taki czy co?

- Popatrz lepiej na siebie! - rozeźlił się Benedikt - To jest sztuka! To cała baba. Taka właśnie jest. Każde marzenie zaplugawi. Aże człeka trzęsie.

Benedikt znowu przewrócił kartkę. „Koniuszkami cienkich palców Ludmiła pocierała zmęczone skronie. - Nigdy - wyszeptała, załamując ręce. Śmiertelna bladeść zalewała jej twarz. Rozluźniła objęcia. Wszystko skończone - wymamrotał Władimir. Mocno zaciśnięte usta znamionowały skrajne wzburzenie”. O kurna, w samej rzeczy... Effekt ma ta Ludmiła... A czego nic nie napisali...? Odwrócił kartkę. „Ciąg dalszy nastąpi”. A niech to! W najciekawszym miejscu.

Benedikt obmacał pismo, poobracał, przerzucił kartki, może gdzieś na końcu znajdzie ten dalszy ciąg, tak czasem bywa. Ale dalszego ciągu nie było. Odsunął taburet - pójdzie do składu popatrzeć.

- Dokąd? A koklety?

Na półkach w składzie dawno już zaprowadził porządek: od razu widać, gdzie jaka książka ma miejsce. Bo to u teścia Gogol stał obok Czechowa; możesz sto lat szukać i nie znajdziesz. A na wszystko powinna być nauka, albo inaczej systemma.

Nie ma ósmego numeru. No, może się pomylił, może włożył nie tam gdzie trzeba... Zdarza się... Tu jest „Goniec Północny”. Tu jest „Zwiastun Europy”; „Skarby Rosji”, „Ural” „Uralskie Światła”, „Hodowla Pszczół”, tu nie ma... „Sztandar”, „Nowy Świat” „Literaturiat

Baszkortoston”... - czytał... Turgieniew - czytał; Ołeś Honczar - czytał; Popow, drugi Popow, Popcow, Popescu, „Poprowadź nas, wodzu”. „Popularne gry towarzyskie”... „Iliada”, „Iliuszyn - wielki konstruktor” - czytał, „Przeminęło z wiatrem”, „I powraca wiatr...”, „Wiatr od morza”... Sofokles, „Sofa”, „Sofiówka”, „Sofiści greccy”, Sartre, Sartakow, „Sortowanie śmieci”, „Szołbiznes po rosyjsku”, „Szołochow jako humanista”, „Szok przyszłości” - czytał, czytał, czytał...

Czellini, Cziwer, „Czarny książę” - nie, to nie tutaj ma być; „Czapajew”, „Czuła jest noc”; „Czum - dom narodów Dalekiej Północy”; Czulkow, „Czukunftka. Zarys demograficzny”, Czandrab-chagneszaphaandra Lal, tom osiemnasty; „Czeń-czeń. Frywolne opowiadki ludów Indochin”... czytał; „Dżulbars”, „Dżuma”, „Księga dżungli”, „Dżentelmeni sukcesu”, Dżems Dżojs, „Dżan”, „Dżu-lietta Masina. Biografia”; „Wielki Gatsby”, „Wielki testament”, „Wielka, większa i największa”, „Tworzywa wielkocząsteczkowe”, „Kwo wadis”, „Kwoczka-Pstrocza”, „Kwestia żydowska” - czytał... „Morderstwo w Orient Ekspresie”, „Zabójstwo w kodeksach karnych państw demokracji ludowej”, „Zabójstwo Kirowa”, „Śmierć w Wenecji”, „Śmierć Iwana Iljicza”... - wszystko czytał...

„Czerwone i czarne”, „Szkarłatne żagle”, „Karmazynowy pirat”, „Czerwony Kapturek” - bardzo dobre... „Błękitny anioł”, „Ania z Zielonego Wzgórza”, „Żółta strzała”, Szara Sowa, Andriej Si-niawski, Chaim Bialik, „Ponad śnieg bielszym się stanę”, „Uroki białego szaleństwa”, „Uczone białogłowy”, „Moby Dik. Białe wieloryby”, „Kobieta w bieli”, „Czarna wieża”, „Żegluga czarnomorska. Rozkład rejsów”, tu właśnie pójdzie „Czarny książę”, aha...

Chlebnikow, Bocheński, Razowcyn... Czapek, Szalików, Butor... Szewczenko, Stolarow, Kowalow, Młynarski, Tokarczuk, Pastuchów, Furmanów... Łukonin, Kuszner, Grotius, Strzelecki... Twardowski, Hardy, Ostrowski, Kant... Hałas, Szumowski, Gromów... Dumas, Namysłowski, Rostropowicz... Kolas, Kręglewski, Kula... Muchina, Szerszeniewicz, Zukowski, Mrówczyński... Miedwiediew, Lwów, Słoński, Wilczyk, Lisicki, Łosiew... Orłów, Sokołów, Czaplński, Hene-Wroński, Kruk, Kafka, Kurków... Młotin, Toporów, Pilniak, Hebbel, Gwozdiew, Haks... Kotlarewski, Gary, Kubków... Jabłoczka, Gruszyn, Śliwiński, Arbuzów, Chmielewska, Grochowiak, Pasternak, Szczypiorski, Trawkin, Murawiew, Łodygin, Pnin, Korzeniowski... Karter, Tasso, Lewin, Waletin, Karów, Treffel, Kiernik... Wargas-Ljosa, Bród, Nossak, Uszakow, Barków, Łoktienko, Cycero, Pisides, Waginow, Pięta, Stoppard.

„W objęciach wampira”, „W objęciach smoka”, „W objęciach cudzoziemca” „W śmiertelnych objęciach” „W szponach namiętności”, „Płomienne objęcia”,

„Wszechogarniający płomień namiętności”... „Cios kindżału” „Zatruty kindżał”, „Zatruta tunika”, „Kindżałem i trucizną”, „Grzyby trujące środkowej Rosji”, „Złotowłose truciściełki”, „Śmierć przychodzi o północy”, „Śmierć przychodzi o świcie” „Krwawy świt”...

„Dzieci Arbatu”, „Dzieci z Bullerbyn”, „Dzieci słońca”, „Dziecko wojny”, „Dzieciom o Chrystusie”; „Dziecięca choroba «lewicowości» w komunizmie”;

Marinina, „Marinetti - ideolog faszyzmu”, Marina Cwietajewa, „Malarze maryniści”, „Maryna z Hrubego”, „Marynowanie i kwaszenie warzyw”;

„Na zachodzie bez zmian”, „Na wschód od Edenu”, „Włóczęgi Północy”, „Gwiazda Południa”;

Czechów, Czekanowski, „Czekając na Godota”, „Czekiści”, „Czekoladowa piękność”, „Czuki Hek”, „Tysiąc dowcipów o Czukczach”, „Czuch-czuch. Dla najmłodszych”;

Annais Nin, Nina Sadur, „Niniwa. Raj archeologii”, Ninon de Lanclos, „Wojownicze żółwie Nindza”;

„Eugenia Grandet”, „Eugeniusz Oniegin”, „Księżę Eugeniusz Sabaudzki. Biografia”. „Princ Eugen - szczęśliwy⁷ okręt Kriegsmarine”, „Eugenika - oręż faszystów”;

F. S. Ficzerald, „Walka klasowa na wyspach Fidżi”, „Fizia Pończoszanka”;

„Hamlet - książę duński”, „Krystyna córka Lawransa”, „Ziemia planeta ludzi” „Taszkient - miasto chleba”, „Urengoj - ziemia młodości” „Szpak - ptak wiosenny”, „Kustanaj - kraj stepowy”, „Świerzb - choroba brudnych rąk”;

„Kliment Woroszyłow”, „Klim Samgin”, Iwan Klima, „Klimaty”, „Klimakterium. Co powinnaś o nim wiedzieć”, „Śniegi Kilimandżaro”, K. Li „Maksymalne obciążenie w konstrukcjach betonowych: wyliczenia i tablice. Na prawach dysertacji”;

„Nogin. Płomienny rewolucjonista”, „Morfologia nogogłaszczkowców”, „Nogi, zwycięzca spod Mukdena”, „Kopce łęgowe nogala brunatnego”, „Higiena nóg”, „Krok marszowy w terenie piaszczystym”, „Do piachu”, „Kobieta z wydm”, „Choroby kobiece”, „Chory z urojenia”, „Choreografia. Krótka historia”, „Historia kolka w płocie”, Jurij Kołkier „Daleko w ludzkości”, „Leczenie dalekowzroczości w wieku szkolnym”, „Szkoła pod obłokami”, „Obłok w spodniach”, „Jak samemu uszyć spodnie”, „Zosia Samosia”;

„Aku-aku”, „Absalomie, Absalomie”, „Mimi” „Nana”, „Lulu”, „Towarzysz Soso” „Gagarin. Wspominamy Jurę”, „Tatarski strój kobiecy”, „Bubu z Monparnas”, Boborykin, Babajewski, Cziczi-babin, „Bibigon”, Gogol, „Dadaści. Katalog wystawy”, „Papanin. Lodowa epopeja”, „Mimikra u ryb”, „Wiwisekcja”, Tiutiunnik, Czawczawadze, „Titikaka - podniebne jezioro”.

Drżącymi rękami przebierał Benedikt te skarby i o niczym nie myślał, lękający się nawet myśleć, żeby się przypadkiem nie domyśleć; ósmego numeru już nawet nie szukał; że nie ma ósmego numeru, to jakoś przeżyje, ale - książka za książką, pismo za pismem - wszystko to już było, było, było, czytał, czytał, czytał... To w końcu jak? Wszystko przeczytał? A teraz co będzie czytał? A jutro? A za rok?

W ustach mu zaschło, nogi osłabły. Wysoko podniósł w ręce świecę, jej sinawe światło rozpraszało ciemność, płaśało po półkach, po grzbietach książek... Może u góry...

Platon, Plotyn, „Ptasie plotki”, „Plebejusze starożytnego Rzymu”, „Plejboj”, „Plewna - pole chwały. Przewodnik”, „Sery pleśniowe”, „Maja Plisiecka”, „Plisy i falbanki”, „Plan pięcioletni rozwoju gospodarki narodowej”, „Planeta małp”, „Platersi - historia grupy”, „Plastusiowy pamiętnik”, „Plechanow. Dzieła wybrane”. „Plejada francuska. Antologia”. Wszystko czytał.

„Wszystko. Wszystko skończone - wymamrotał Władimir”. Nic nie zapowiadało. A tutaj zapowiedziało... Benedikt stanął, kapiący łojem ze świecy na podłogę, i starał się zrozumieć tę straszliwą rzecz. Ucztuje sobie człowiek na ucztie bogatej, we wianku różanym, śmiejący się niefrasobliwie, całe życie przed nim; na duszy letko i promiennie; ugryzł słodką bułeczkę, chce ugryźć następny kawałek i nagle - masz! Widzi, że stół pusty, czysty, ani ogryzka... I izba jakoby martwa: ani przyjaciół, ani krasawic, ani kwiatów, ani świec, ani cymbałów, ani tancerzy, ani rdzy, a może nawet samego stołu nie ma, tylko siano suche sypie się z powały... poma-lutku... Szeleści i sypie się...

Powoli, powoli wrócił do izby jadalnej, usiadł; coś tamci do niego mówili, burczący, nałożyli jedzenia... Koklety... Na talerku - koklet. Leży. Koklet... Na talerku Benedikta leży koklet. Patrzył, patrzył... Koklet leży. Nie rozumiał... co trzeba myśleć? O koklecie?

- Jedz! Jedz, póki nie ostygło! Polać sosem?

Mówi jakieś słowa; kto to mówi? Przyjrzał się - widzi - to jakiś babiuch pojemny, płci kobiecej. Wielga głowa, mały nos pośrodku. Po obu stronach nosa poliki czerwone, ćwikiełką natarte. Dwoje ciemnych, zatrwożonych oczu, jakoby jesienną wodą nalanych. Tak jak w lesie na mech nastąpisz, ślad zostawisz - nie zwlekający, woda gniada do tamtego śladu podąży i wypełni go. Nad oczami brwi czarne łukiem, pomiędzy brwiami - kamuszek podwieszony, przezroczysty, od świecy niebieskawy. Po obu stronach brwi skronie, na skroniach pierścienie plecione, kolorowe, a nade brwiami czoła nie masz żadnego, jeno włos złocisty, kręcony, a nad włosiem czepiec, a w czepcu małe kamyki jako gwiazdy uczynione, i wstęg ćma, i koralu sznury, jako deszcz wiszą, kołyszą się, chwieją, do podbródka dochodzą; a pod podbródkiem, pod doleczkiem od razu tułów, szYROKI jako sanie, a z przodu cyce wielgie

na trzy piętra. Lejej! Krasa niebywała, straszna... Czyżby to Oleńka była? Nie, sama królowa szemachańska!

- Oleńka! - zamarł Benedikt - Tyżeś to? Tak wypiękniałaś! I kiedyż to tak? Róża leśna! Syrena!

- Kontroluj się... - zakołysała się Oleńka. Ale oczu nie odwróciła.

Benedikt wcale się nie skontrolował, a i Oleńka bardziej to z nawyku, abo inaczej dla proformy, rzekła, tak że trzy dni, a może i cztery abo nawet pięć, a raczej sześć, eee tam - caluśki tydzień Benedikt z Oleńką broił na wszelakie sposoby, jakoby w durze jakimś. Co tam wyrabiali, to i wspomnieć trudno. Teściowa, widzący sprawy obrót, wytoczyła ze spichrza beczkę tęgiego kwasu jajecznego co jak łykniesz, to dech ci zapiera i śłozy z oczu płyną - taki dobry kwas. Hece wyprawiali, tarzali się, turlali, w fikołki igrali. Na czworakach łazili, Oleńka - w czym się urodziła, a Benediktowi ochota przysła na głowę jej czepiec nasadzić, koralami grzechotać, a w miejscu, gdzie raniej ogon miał, przykręcić kołki-stukołki, żeby stukotu więcej było; a sznurek przywiążesz, kołeczki naniżesz, huk się robi - oj, mili wy moi, po prostu burza huczy wkoło nas. A w dodatku beczał jako kozieł.

Potym - jakoby to rzec - cisza i spokój. Uskromnił się.

SZCZA

„Żył w Dęli bogaty nosiwoda, nazywał się Kandarpaketu...”. Czytał.

Cóż teraz ma robić? I czym żyć? Znowu trwożność jakoby siebie zatracił, a gdzie, kiedy - nie spostrzegł. I jakoś straszno. Niedawno myślał o sobie: bogacz, a nagle połapał się, że wszystkie bogactwa gdzieś za sobą zostawił; wyciekły jako woda. Przed nim susza wielga, pustynia. Żył w Dęli bogaty nosiwoda...

Obejrzał się. Cisza. Myszą nie szurga. Cicho. Potym dźwięki się pojawiają: w domu miarowy stukot nożyka, mięso na kołduny siekają, a gdzie indziej dźwięk niski, głuchy - widać ciasto wałkują. Za oknem przyroda szumi, sama siebie żałuje: mendzi, skrzypi. To nagle zapłacze wiatrem, zamiecią, rzuci śniegu przez okno i znowu mendzi, mendzi, mendzi w wierzchołkach drzew, gniazdami kołysze, koronami targa. Śniegi głuche, śniegi wielgie dom otoczyły, sypią przez trzy płoty; chlew, stodoły - wszystko zasypały, wszystko pokryły ruchomym, rwącym, nocnym śniegiem. A serca w tym śniegu nie ma, a jeśli nawet jest, to złe, ślepe. Śnieg jakoby rękawami macha, wyskakuje na dach, przerzuca się przez płoty; poniósł się po osadzie, po uliczkach, przez plecione płoty, przez chude strzechy, za gród, przez pola, w lasy nieprzebyte, tam gdzie drzewa zwalone, martwe, białe jako czleczka kość; tam północny krzak jałowic igły swoje rozstawił, jakoby pieszego chciał przekłuć albo sannego; tam nawet ścieżki w pętle się powiązały: nuże za nogi łapać, pętać; tam i konary się czają, żeby czapkę strącić; i ciernie się zwieszają, żeby kołnierz rozedrzyć. Sypnie śniegiem w plecy, oplączy, powali, na konar wciągnie, a ty się szarpiesz, ciskasz, a on już poczuł. Poczł już kyś...

Wzdrygnął się cały, targnął głową, żeby nie myśleć, oczy przymrużył, uszy palcami zatkał, język wysunął i przygryzł; przegnać kysia z myśli, wypędzić go, wypędzić! Ciało ma długie, gibkie, główkę płaską, uszy przyciśnięte... Odpędzić go! Błady jest taki, cielisty, bez farby nijakiej, jako zmierzch albo ryba, albo jako skóra na brzuchu u kota, między nogami... Nie, nie! Nie!

Pod pazurami go swędzi, ciągiem swędzi... A zobaczyć go nie można, nie można go widzieć...

Zaczął tłuć głową o ścianę, żeby gwiazdy w oczach zamigotały, żeby jakie-takie światło w ciemności błysnęło, aleć oczy już takie są, że choć mrużysz, nie mrużysz, a pod powiekami, w czerwonym mroku, ciągiem coś się rusza, biega z lewa na prawo. To włosy

jakieś migną, to plamki *zaczną* pisać, i nie przegonisz ich, to rzecz jakaś wybieży nieproszona i jakoby się uśmiechała, a potem ciach! - i się rozplynie.

Otworzył oczy: zaczęły się kręcić koła czerwone i żółte, w głowie się zakręciło, a kys już tutaj! Jego i z otwartymi oczami widzisz! Cmoka po troszeńku i gębę wykrzywia...

Nogami zaczął tupać: tup! tup! tup! Rękami machać; potem we włosy ręce zapuścił i szarpnął! Jeszcze! E-e-e-e-e-e-e-e! - zawołał. - E-e-e-e-e-e! Mieszkał w Dęli bogaty nosiwoda, nazywał się Kandarpaketu! Mieszkał, mieszkał nosiwoda, hej, bogaty nosiwoda! Ej, bogaty, ej, bogaty! Hopsa, hopsa, hopsa-sa! Ej, jaki bogaty! Ej, bogato sobie mieszkał! Nie omieszkał nosić wody, nosić nie omieszkał!

Dołożyć by komu teraz, strach i złość odegnąć. Czy to Oleńkę wygrzmocić - a dam ci ja kołki-stukołki! Abo rozpędzić się i teściowej kopa dać, i niech się potem dwie godziny kołysze!

Pobiegł po schodach w dół, drogi nie baczący, garniec z kwieciem obalił, z teściem się zderzył i ryknął:

- Książki się skończyły! Trwamać!

- Trwamać! - odezwał się teść jako echo, zaświecił oczami, tupnął, wetknął Benediktowi w ręce - nie wiadomo skąd wziętą - osękę o dwóch ostrzach, szarpnął drzwi komórki - cisnął Benediktowi opończę; oblekło Benedikta i oślepiło na chwilę, ale szpary same nasunęły się na oczy, wszystko widać jak przez szparę, wszystkie ludzkie sprawy, małe, tchórzliwe, przyziemne; im by jeno zupy 1 do wyrka, a wiatery wyje, a zawieja świszczę, a kys leci, tryjmfujący, nade grodem. „Sztuka ginie!” - zakrzyknął teść; sanie zarzucało z piskiem na zakrętach; czerwonym ogniem płoną nasze opończe pośród wyjącej zamieci - strzeż cię! Czerwona kawaleryja jako burza leci przez gród i światło silne, słupy świetliste dwa wychodzą z oczu teścia, drogę oświetlają; nadzieja, obrona i natarcie - i odstępuje kys, nie damy się, siła nas! Naprzód, sanitarze, sztuka ginie!

A w rozwartych drzwiach chaty białe placki przerażonych lic. „Co, zeszczaliście się ze strachu?! Książkę! Książkę!”. Ludzik piszczy, zasłania się łokciem, wystawił nogę, miotają się cienie, trzymaj go!

Do pieca wsadza!!! - „Czego sztukę palisz?!” I osęką go, osęką; „Obracaj!” - dziki krzyk teścia czy kogo innego, nie widać spod opończy; „Obracaj osękę, trwamać!” - obrócił, szarpnął, coś łupnęło, pociekło, tamci zakrzyczeli, on wyrwał książkę, do serca przycisnął drżącego - „Żyję!!!” - odepchnął nogą i wyskoczył prosto w zamieć...

Benedikt płakał, leżący w łóżku, rzadkie słowa ciekły nieprzerwanie, teściowa zmieniała poduszki, teść kazał babom na paluszkach chodzić, *gadać* półszepem i nie drażnić chorego

przykrymi pytaniami. Sam siedział na łóżku Benedikta, z brzeżku, ciepłymi napitki go poił, nachylał się, kręcił głową i frasował się.

- No i co teraz? Jakież z ciebie niezgrabiasz... mówiłem ci: kręć osęką ostrożnie, leciutko tak... Ramię swobodne... Swobodne... A ty od razu trzask! I po wszystkim.

Benedikt dławił się słozami, cicho, cieniutko beczał, osłabione palce drżały, czuły zimno i obrotność osęki, chociaż żadnej osęki już w palcach nie było, tylko kubek z komputem.

Niby nie było, a była: ręka aż do łokcia czuła chrzęst, jakobyś chrząszcza gniótł. Zamiast złapać książkę, szarpnąć i wyrwać, dał ludkowi prosto po karku, po szyjnej żyły, a jak osękę obrócił niezręczną dłonią, żyła się wyszarpnęła i pocięło coś czarnego, a głowa na bok padła i w oczkach pomętniało, i z gęby też jakoby coś wyrzygnęło.

Nigdy Benedikt nie zabił człeka, abo inaczej ludzika, i nawet o tym nie myślał. Pobić się, pokłócić to insza sprawa, domowa, codzienna: ty jego, ale i on ciebie, i kwita; no jakiś tam siniak, wywichnięcie - wszystko jak się należy. A i przedtem, zanim ludzika walniesz, trzeba na niego tak się zawziąć, ciężkość w sercu nagromadzić, ponurość, żeby siniak abo wywich tę ponurość zrównoważył, tak jako na wadze ważą: tutaj towar, a tam ciężarki - I wtedy pięścią mu na odlew - po sprawiedliwości. A tego ludzika, którego zaciukał, nawet nie znał i na oczy nie widział, nic przeciw niemu nie miał, nijakiej zawziętości - żyje, to niech sobie żyje, rzepę sadzi, z babą rozprawia, dzieciątka na kolanie buja.

Książkę tylko chciał mu zabrać, dlatego że zacofanie w społeczności jest duże, naród ciemny, przesądny, książki pod wyrkiem trzyma abo i w jamie wilgotnej zakopie, a książka od tego gnije, rozsypuje się, zielenią powleka, robach ją toczy, dziurki świdruje. Książkę ratować trzeba, w miejscu suchym i jasnym przechowywać, ochraniać, chuchać-dmuchać i całować, bo inszej nie będzie, inszej nie ma skąd brać: starożytni ludzie, którzy książkę ona napisali, skończyli się, wymarli, nawet cienia nie zostało, i nie wrócą się, i nie przyjdą! Nie masz ich!

A oni, ludkowie nasi ciemni, masz ci los! Ani sobie, ani ludziom! Pochowali książki i gnoją je, i za nic się nie przyznają, że książka u nich leży schowana, a zacofanie duże i Choroby się boją, a Choroba nic do tego nie ma, Benedikt tysiąc książek przeczytał i zdrowy jest.

A na ludka się nie zawziął, to wszystko nosiwoda z Dęli, nazywał się Kandarpaketu; to wszystko teść, bo go podbechtał, podsunął osękę nie w porę, kiedy serce oślepiło, kiedy śnieg szalał i dalekie wycie rozumu go pozbawiło! Patrzcie, co to kyś z ludźmi robi! Rozumu

zbawi, pędzi po śnieżystej zamieci głodny, blady; siebie człek nie słyszy, i w oczach ma gwiazdne kręgi, rękę zasię niewprawną: trzask! I pocięło.

Ale książkę ustrzegł. Książka! Skarb mój jedyny! Droga, prawda, życie, morskie dale, wiatrem owiane, obłok złoty, modra fala! Rozstępuje się mrok, dal widać, odkrywa się przestwór, a w tym przestworze lasy jasne, słońcem nasyczone, polany usypane tule-panami, wiosenny wiater zefir gałązką kołysze, białą koronką chwieje abo koronka się obróci, jako wachlarz rozłoży, a w nim jako w gęstwie jakiej Królewska Ptaszyca Pawica. Biała, z bużką czerwoną, nie je, nie pije, tylko powietrzem żyje i pocałunkami; ani szkody od niej żadnej, ani nieszczęścia nie bywa. A jak się uśmiechnie Ptaszyca Królewska tulepanowymi usty, wzniesie w górę oczy jasne - ciągiem o sobie, najjaśniejszej, myśli. Opuści oczy w dół - ciągiem sobą się nasładza. A jak zoczy Benedikta, to powie: chodźże tutaj, Benedikcie, u mnie wiosna zawsze, u mnie ciągiem miłość...

- Złociutki ty człeku... Serce ty moje... - frasował się teść. - Uczyłem cię przecie, uczyłem... Jakiś ty... Obracaj, mówiłem, osękę, obracaj... Mówiłem czy nie? Mówiłem! A ty? Coś narobił?

Teść kręcił głową, siedział smętny, ręką się podparł i patrzył nań z wyrzutem.

- Pospieszyles się, co? Ano pospieszyles... Człeka nie ustrzegłem... Teraz go już nie wyleczysz! Jakże go teraz leczyć? Co? - Teść nisko się skłonił, świecił Benediktowi w oczy, chuchał brzydtko w nos.

- Ja niechcący! - cieniutko pisnęło się Benediktowi przez ślōzy. Słowa same piskiem wychodziły. - Nastraszył mnie!

- Kto nastraszył?

- No, kyś! Nastraszył! Dłatego przesadził!

- Idźcie sobie - teść przepędził kobiety. - Zięciowi coś nie wyszło, stąd i rozstrojony. Przeżywa. Nie płączcie się pod nogami. Dajcie jeszcze komputu. Kokletów przynieście białych, miękkich.

- Nie chceee!

- Trzeba. Trzeba zjeść. Bulionu też. Ot, jak serce ci bije... - Teść ręką dotykał serca Benedikta, obmacywał twardymi paluchami.

- Nie tykajcie mnie! Zostawcie!

- Co znaczy: zostawcie?! Przeciem ja medyczny pracownik. Stan twój znać muszę? Muszę. Tylko popatrz: drzysz cały. No dalej. O, właśnie. Chap! I jeszcze raz.

- Książkę...

- Teę, cośmy zabrali? Nie denerwuj się. Jest u mnie.

- Dajcie...

- Nie wolno ci, nie wolno! Coś ty? Musisz leżeć. Zdenerwowanyś bardzo. Sam nie powinienes. Ja ci poczytam na głos. Dobra książka... Książka, miły człecze, najpierwszego gatunku...

Leżał tedy Benedikt zakutany, dławił się bulionem i słozami, a teść wodził palicem po liniijkach, stronice oczami oświecający, i poważnym, grubym głosem czytał:

Piszczy komar, piszczy, A dąb pod nim trzeszczy, Abra, babra, szwabra, dabra, Hej, abrakadabra!

Świnka zniosła dwa jajeczka, Przepióreczka rodzi byczka, Abra, babra, szwabra, dabra, Hej, abrakadabra!

Miała baba barana, Wsadziła go do dzbana, Abra, babra, szwabra, dabra, Hej, abrakadabra!

CE

Zabrali książkę Fieofłaktowi, zabrali Borisowi, a Jewłalii - dwie. Klementij, Ławrentij, Osip, Ziuzia, Rewolt - do tych przyszli na darmo, nic nie znaleźli, same strzępki. Maluta w szopce miał trzy książki zakopane, wszystkie czarnymi plamami pokryte, że ani słowa nie można przeczytać. Wandalizm... Jefim Pluskwicz - kto by mógł pomyśleć? - całą skrzynię trzymał, i to na widoku, dwa tuziny suchych i czystych. Tyle że ani słowa po naszymu, a znaczki niepojęte: haki i gwoździe powyginane. Ulana miała tylko z obra-zikami. Matuzalem i Kupała - bliźniacy, co za rzeką mieszkali i myszy pożyczali na present - jedną małą podartą. Achmietek *zdążył* spalić: spłoszyli go... Zoja Gurjanka spaliła. Awenir, Machabej, Neniła Jąkała, Zadra, Ruryk, Iwan Kutasów, Sysoj - nic nie mieli. Januarij, poznać, że kiedyś miał, ale nie wiadomo gdzie się podziało, a tylko w plugawej komórce ściany obrazikami miał pozawieszane, a na obrazikach - baby bezwstydne.

Ponurość.

- Jacyż to ludzie paskudni - mówił teść. - Pomyśl tylko. Dawno już było powiedziane: nie trzymać książek w domu! Powiedziane? Powiedziane. A ci nie, trzymają. Każdy chce po swojemu. Gnoją, brudzą, w ogrodzie zakopują. Rozumiesz?

- Tak, tak.

- Dziurki wiercą w nich, kartki dra, na cygarka Okropność, nie mówcie takich rzeczy!

- Zamiast pekrywek na garnce z zupą kładą...

- Nie gubcie Głuszy nieszczęsnej! Słuchać tego nie Dymniki książkami zatykają i jak deszcz lunie, to kartki rozleżą się jako kasza... Abo wepchają do komina - a tam sadza, kopeć straszny i potem - pych! Spaliła się książeczka... A są tacy, co drew żałują i książkami w piecu palą...

- Nie mówcie, nie mówcie, nie mogę!

- A są tacy - słyszysz, zięciu? - są tacy, co kartek nadrą i do plugawej komórki niosą, a tam na gwoździk dla swojej potrzeby nabijają... A jaka to potrzeba - wiadomo...

Benedikt nie mógł tego zdzierżyć, podrywał się z taburetu i zapuściwszy ręce we włosy, biegł po izbie: na sercu węzeł mocny, w duszy zamęt i krzywizna jakoby pochyłość jaka, jakoby pod nogami się skrzywiło, jako we śnie. I teraz wszystko, wszystko stoczy się do dziury bezdennej, do studni, nie wiadomo dokąd. My tutaj siedzimy sobie albo na wyrku leżymy w ciepłym domu, wszystko u nas czyste i kulturalne, z kuchni blinami pachnie, baby u nas stateczne, białe, rumiane, w łaźni wyparzone, wypindrzone. Korale mają, kokoszniki i

sarafany ze wstążkami, i spódnice, górne, wierzchnie, spodnie, podspodnie. A co jeszcze wymyśliły: szalami się okryły szeleszczącymi, białymi z pióra koronkowego, czystego-wzorzystego. A tam w grodzie ludkowie w chatach niezamiecio-nych, w kopcju i zasraństwie swoim wiecznym, z obitymi gęby i zwrokiem mętnym chytają za książkę, ani palców nie obetrą. Drą kartki z trzaskiem, wrywają - w poprzek, na pół. Odrywają nogi koniom, głowy krasawicom; miążdżą i ciskają łodzie morskie w ogień pożeręc; skręcają, wtykają białe drogi do cygarka swojego: wije się droga siwym dymkiem, trzeszcza, giną krzewy kwitnące, pod korzeń zrąbane. Z jękiem wali się drzewo Bez, wali się *brzoza* złota, zdeptany już tulepan, zaświniona polana tajemna. Z dzikim wrzaskiem, z rozdartymi usty spada z drzewa Królewska Pta-szyca Pawica - nogi do góry i bęc głową o kamień!

Co spalisz - tego już nie wrócisz; kogo zabijesz, tego też nie wrócisz. Co byś z płonącego domu wyniósł? Ja? A nie wiecie? A niby Rozpalacz! Zadałem taką zagadkę, jak to mówią, dylemma. Gdybyś wybierać miał, co byś wyciągnął: kocura czy obrazik? Ludzika czy książkę? To ci pytania! Jeszcze jak się męczył, sumował, głową kręcił, brodę targał! „Nie mogę wymyślić, trzysta lat myślę...” Kocura, aha! Kocura - abo naukowo mówiący, kota - kopnąć trzeba, żeby jak plwocina poleciał, pod nogami się nie pętał, a swoją robotę żeby znał: łapać, co trzeba! A nie obrazik! Ludkowie?! Ludkowie są proch, śmieć, kał, dym z pieca, glina i w glinę się obróca. Brud od nich jeno, sadło na świecę, wyczeski...

O, Książko, moje ty czyste, moje jasne, śpiewające złoto; tyś obietnica, marzenie, zew daleki...

O zjawo wdzięczna, niespodziana!

I znowu słyszę zew znajomy, Twoją urodą niesłychaną Znów ład mnie kusi oddalony!

Książko! Ty jedna nie zdradzisz, nie uderzysz, nie skrzywdzisz, nie porzucisz! Cichaś - a śmiejesz się, krzyczysz, śpiewasz. Pokornaś - a zdumiewasz, wabisz, drażnisz. Małaś - a ludów w tobie bez liku; bukw jenoś garstka, a jak zechcesz, to głowę zawrócisz, zatumanisz, zamroczysz, ślęzy wyciśniesz, aż dech człękowi zaprze, dusza jako płótno na wietrze załopocze, jako woda się zwelni, jako ptak zamacha skrzydłami! Abo uczucie jakie niewymowne w piersi się miota, pięściami wali we drzwi, we ściany: duszę się! Wypuść! A jak je nagie, bezwstydne wypuścić? Jakimi słowy odziać? Nie mamy słów, nie znamy! Jako u bestyi jakiej dzikiej - ślepowrona abo rusałki - nie mają słów, jeno głos dają! A książkę otworzysz - tam słowa cudne i lotne:

O, Miasto! O, wietrze! O, śnieżne wy burze. Rozdarty na strzępy, bezdenny lazurze! Jarrrtu! Jam niewinny! Ja z wami! Ja z wami!

...abo żółć i smutek, i gorycz, i pustka oczy ci wysuszą i szukasz dla nich słów, a one takie:

Azali nie jest świat jednaki? To samo prawo dla stuleci, Czy to chaldejskie tajne znaki Czy nieba toń, gdzie gwiazda świeci. To mądrość prochu jest ponura; I cóż wyziera z tej mądrości? Wieczne oblicze sobowtóra: Rozpaczy, strachu, bezsilności.

Benedikt wybiegał na galeryję, patrzył na osadę, na gród, na górki jego i doliny, na ścieżki udeptane między płotami, na zaniesione śniegiem ulice: wiatery wiał i miotał śniegiem, z szelestem sypało się z dachu za kołnierz. Benedikt stał z wyciągniętą szyją, kręcił głową tam i sam, wpatrywał się, co chwila mrygał oszronionymi powiekami i myślał: kto ma schowane? Kto w szmacie na piecu, w skrzyni pod wyrkiem, w jamie wykopanej, w brzozowym pudle - kto? Zęby tak wiedzieć! Przecie są, są, są! Wiem, że są, czuję, węchem czuję: są! Tylko u kogo? Mrużąc oczy, wpatrywał się w ślepy półmrok: zmierzch, zapalają się światełka w chatach; drepcą tam w dole, pospieszają ludziki, lecą-pędzą do ciepłego pieca, na ławkę i dalej do zupy swojej, rzadkiej mysiej polewki... Jakoż to świństwo jeść można, czyż to nie wstrętne? Ledwie ciemna woda - jakobyś nogi umył, taka barwa... Małe tuszki na dnie osiadły, robachami dla słoności przyprawione... Ludowe anszuła... Nikita Iwanycz tak nazywał robachy... Czy też stary żyje jeszcze? Warto by go sprawdzić... Może ma książkę? Może da przeczytać? Nawet leczyć go nie trzeba, sam da...

A gdyby w mojej mocy to było - cały gród bym przetrząsnął: oddawać książki, trwamać! Ale teść nie pozwala, powstrzymuje: miarkuj się, zięciu, bo jak wszystkich weźmiemy do leczenia, to kto będzie pracował? Drogi czyścił, rzepę sadził, kosze plótł? Niepaństwowo do rzeczy podchodzisz: wszystko gwałtem! Wszystko na hura! Od razu! Tylko ludzi wystraszysz i rozbiegną się! Łapałeś myszy? Znasz technikę? No właśnie...

Prawda, w swoim czasie łapał. Dokarmiał. Tak. Wzbogacił się nawet na jakiś czas. A potem? Minęło wszystko, jakoby tego nie było! Z całego bogactwa same słodkie bułeczki się zostały, a i te przypalone!

Warto by nogi rozprostować. Zaszedł do zwierzyńca. Niekulturalnie... *Zapach* taki zwierzęcy, ciężki. Kozielecki beczą. Teresio z przyjaciółmi jak zawsze w karty rżnie:

- A ja wam waleta!

- A ja go czerwońcem!

- Odjebało ci?!

- Atut, kurwa!

- Gdzie masz, kurwa, atut? Już czerwień nie bierze! Chłopaki! On oszukuje! I jak zawsze - ani nawozu nie sprzątnęli, ani nic. - Teresio! Chodź no tu. *Zaprzęgaj się.*

- Zaraz, dokończymy.

- Co znaczy *zaraz*? Miałeś odpoczynku dość.

- Tak, panie ładny... Baba... i jeszcze raz baba! Macie!

- Teres!

- Mam przerwę... Bierzesz? Waleta ci dodam.

- Teresiu! - zatuszał nogami Benedikt.

- No czego, czego? Rozdarł się... W saniach się płozy pogięły...

- Nie kłam! *Zawsze* jedno i to samo! Wkładaj walonki, przejechać się chcę. Daję ci pięć minut!

Benedikt poszedł wzdłuż klatek. Tutaj wróble. Drobnny ptak, jak myszka, ale smaczny. Tylko kości dużo. Tu były słowiki. Zjedli słowiki, trzeba nowych nałapać. Ale to wiosną. Teraz się pochowały. A tu co mamy? Drzewianicę.

- Drzewianico! - zawołał Benedikt. - Wyjdź!

Nie wychodzi.

- Wyjdź, sucze nasienie!

Nie chce. Przyczłapał Terentij, uśmiechający się.

- Głośniej wołaj.

Krzyknął głośniej..

- Drze-wia-ni-coooooooooooooo!!!

Nie wychodzi, cóż to znowu!

Tak krzyknij, żeby kiszki pękły. To wyjdzie. Z kiszek.

Benedikt popatrzył z niedowierzaniem: rzy bydlak, zadowolony:

- Hyy! Wyście ją zjedli!

- Naprawdę? To co ty mi tutaj...

Głupie żarty... Głos sobie zerwiesz na mrozie. Benedikt obejrzał klaty. Wszystek ptak, który słabszy, w dziupli się chowa. Ślepowron nastroszył się, głowę wsadził pod skrzydło. Ptaki srajskie w stadko się zbiły, grzeją się wzajem. Cierpią! A dobrze wam tak! Będziecie wiedziały, co znaczy na głowy paskudzić! Jakież to ptak fajdający! Nawet mięso ma gówniane, żylaste, takim to już tylko wygeneratów karmić, ludzie go nie jedzą. A w lesie żyć srajski ptak nie chce, tylko w grodzie.

W dalekiej klacie, gdzie drzewo gołe, konar też goły - nikogo nie widać. Kto tam mieszka - nie wiadomo. W dziupli siedzi. A może i nie ma nikogo: kłata czysta, ani pomiotu, ani pierza. Może go zjedli.

Patrzcie, drzewianicę zjedliśmy! A on nie zauważył nawet, tak był zaczytany. Nie przyjrzał się jej jak należy. Kiedyż teraz drugą złapią? Z drzewianicą niełatwa sprawa.

- Jedziemy - pogonił go Teresio. - Marzę.

- Będiesz mi, bydlaku, jeszcze rozkazywał! Jak trzeba, to i pomarzniesz!

Kopnął gadzinę w bok, wsiadł do sań, niedźwiedzią skórą się okrył.

- Ruszaj! Galopem i z piosnką!

CZE

Nikita Iwanycz, a z nim drugi Dawny, Lew Lwowicz, z dysydentów, siedzieli przy stole i pili rdzę. Widać długo już pili, bo urzęnęli się nieźle: liczka mają czerwone, mruczą bzdury jakieś.

Benedikt zdjął czapkę.

- Zdrowka życzę.

- Benio? Benio! Tyżeś to?! - Nikita Iwanycz uradował się, zaczął krzątać. - Ileż to lat, ile zim! Prawda? Rok, dwa? Oszaleć można... Znaie się? Benedikt Karpow, nasz rzeźbiarz ludowy, Michał Anioł z Bożej laski.

Lew Lwowicz popatrzył z niedowierzaniem, jakoby nie poznał, jakoby to nie on sam pomagał nieść puszkiną; gębusię skrzywił:

- Zięc Madejowów?

- Ehe.

- Słyszałem, słyszałem o pańskim mezaliansie.

- Dzięki - powiedział Benedikt.

Wzruszył się nawet. Słyszeli, znaczy się.

Usiadł, Dawni się posunęli. Chociaż, oczywiście, ciasno. Od ostatniego razu chatka jakoby mniejsza się zrobiła. Świecek dymi, łój kapie, cienie płasają. Ściany zakopcone. Na stole też nędza; dzban, kubki i talerek grochu. Nalali Benediktowi.

- No i cóż tam? Jak ci się wiedzie? Pomyśl tylko... A my tu siedzimy, pijemy... Rozmawiamy o życiu... O dawnych czasach... To znaczy oczywiście o przyszłych także... O naszym Puszkinie... Jakeśmy go rzeźbili, co? Jak wznosili! Co za wydarzenie! Epokowe! Odbudowa świątyni! Historyczna data! Teraz znowu jest z nami. A przecież Puszkin, Beniu, Puszkin, to nasze wszystko! Wszystko! Pomyśl o tym, zapamiętaj i przyswój sobie... Ale widzisz, co za przykrość... On już konserwacji wymaga...

- Czego wymaga? - podniósł się Benedikt.

Naprawić, naprawić go trzeba! Deszcze, śnieg, ptaki... Zęby tak był kamienny. O brązie już nie mówię, na brąz trzeba jeszcze poczekać... A poza tym: jakie dzikusy z tych ludzi! Chodzą do niego, sznury rozwieszają i suszą bieliznę na piewcy wolności! Spodnią, poszewki - dzicz!

- Samiście chcieli, żeby wydeptały ścieżki doń miliony ludzkich stóp, Nikito Iwanyczu! A teraz się uskarżacie!

- Ach, Boże mój... Beniu, przecież to przenośnia...
 - Dobra, przeniesiemy, dokąd chcecie. Rabów przypędzę. Sańmi też można.
 - O, Jezu Chryste, królowo niebieska...
 - Potrzebny jest kserograf... - rzekł ponury Lew Lwowicz.
 - Nie dalej jak sto lat temu mówiliście, że potrzebny jest faks. Że Zachód nam pomoże
- to z kolei Nikita Iwanycz.

- Słusznie, ale cały szkopał w tym...
- Szkopał w tym, że nie ma Zachodu.
- Co znaczy nie ma? - Rozeźlił się Lew Lwowicz. - Zachód jest zawsze.
- Ale nam nic na ten temat nie wiadomo.
- O, przepraszam bardzo! My wiemy. To oni nic o nas nie wiedzą.
- Dla pana to nowość?

Lew Lwowicz zrobił się jeszcze bardziej ponury; stuknął palicem o stół.

- Teraz najważniejsza rzecz to ksero.
- Ale dlaczego, dlaczego?!
- Dlatego, że powiedziane jest: płódźcie i rozmnażajcie się! - Lew Lwowicz podniósł długi palie. - Rozmnażajcie się!

- No, niech będzie - rzekł Nikita Iwanycz. - Powiedzmy, że pan ma faks i ksero. W obecnych warunkach. Założmy. Chociaż to nieprawdopodobne. Co by pan z nimi robił? Jak zamierza pan walczyć faksem o wolność? Co? No wie pan? Ależ bardzo prosto. Biorę album Durera. Na przykład. Czarno-biały, ale to nieważne. Biorę kserograf, robię kopię. Rozmnażam. Biorę faks, posyłam kopię na Zachód. Tam *patrz*: *cóż* to znowu? Ich dziedzictwo kulturalne. Wysyłają do mnie faks: zwróćcie nam w tej chwili nasze dziedzictwo! A ja im: przyjdźcie i weźcie. Jest wasze. Ma pan i kontakty międzynarodowe, i rozmowy dyplomatyczne, i wszystko, co potrzeba! Kawę, drogi jezdne. Niech pan sobie przypomni, Nikito Iwanycz... Koszule ze spinkami. Konferencje...

- Konfrontacje...
 - Ryż długoziarnisty w ramach pomocy humanitarnej...
 - Porno wideo...
 - Dżinsy...
 - Terrorysty...
 - Koniecznie. Skargi do ONZ. Głodówki protestacyjne. Międzynarodowy Trybunał w Hadze.
- Nie ma Hagi.

Lew Lwowicz mocno pokręcił głową, aże nawet płomień świecy się zachwiał:

- Nie dobijajcie mnie, Nikito Iwanyczu. Nie mówcie takich strasznych rzeczy. To gorsze niż apokalipsa.

- Nie ma Hagi, kochany. I nie było.

Lew Lwowicz zapłakał pijackimi słozami, walnął kułakiem w stół, aże groszek podskoczył na talerku:

- Nieprawda! Nie wierzę! Zachód nam pomoże!

- Sami powinniśmy, własnymi siłami!

- Nie po raz pierwszy dostrzegam u pana nastroje nacjonalistyczne! Jest pan słowianofilem!

- Wie pan, ja...

- Słowianofil, słowianofil! Proszę nie *zaprzeczać*!

- Marzy mi się odrodzenie duchowe!

- Potrzebny jest samizdat.

- Lwie Lwowiczu! Ależ samizdat i tak u nas kwitnie. Pan przecież sam w swoim czasie zapewniał, że to podstawa. I proszę - żadnego życia duchowego. To znaczy, że nie o to chodzi.

Benedikt odciłszlnął: Ja mam życie duchowe.

- W jakim sensie?

- Nie jem myszy.

- No i?

- Nie biorę do gęby. Tylko drób. Mięso. Czasem pierożek. Bliny. Grzybale oczywiście. Słowika mareszał w Mare, skrzypy po sabaudzku. Pasztet z gilów. Parfe ze świetlaków a la lionez. A potym syr i owoce. Tyle.

Dawni milczeli i wytrzeszczali na niego oczy.

- A cygaro? - wyszczerzył w końcu zęby Lew Lwowicz.

- Na *cygara* przechodzimy do drugiej izby. Do pieca. Moja teściowa, Fiewronia, przy stole nie pozwala palić.

- Pamiętam Chawronię - zauważył Lew Lwowicz. - Tatusia jej pamiętam. Debil. I dziadka. Też był debil. Pradziadek - to samo.

- Wszystko się zgadza - potwierdził Benedikt. - Wielde starego rodu, z Francuzów.

- Płodzili i rozmnażali się - zachichotał pijany Nikita Iwanycz. - Ma pan! Co? Lwie Lwowiczu!

- No a pan ma swoje odrodzenie duchowe, Nikito Iwanyczu!

Nalali rdzy.

- No dobra... Za powrót do źródeł, Lwie Lwowiczu!

- Za wolność naszą i waszą!

Wypili. Benedikt też wypił.

- Skąd to się bierze? - powiedział Nikita Iwanycz. - Dlaczego wszystko u nas mutuje, dosłownie wszystko! Mało że ludzie, ale język, pojęcia, znaczenie! Co? Rosja! Wszystko wywrócone na nice!

- Nie wszystko - zaproponował Benedikt. - Jak człowiek syr zje, to tak. Zaraz mu we wątpiach mutuje i się wywraca. Ale jak pierożek - to nie... Nikito Iwanyczu! Ja tu do was z podarkiem.

Poszperał za pazuchą i wyjął, zawiniętą w czystą szmatkę, „Abrakadabrę” - szkoda mu było jej, aże się serce ścisnęło, ale przecie nie można z pustymi rękami.

- Proszę. To dla was. Książka.

Nikita Iwanycz zdumiał się, a Lew Lwowicz zaniepokoił.

- To prowokacja!... Nikito Iwanyczu!

- To wiersz - sprostował Benedikt. - Tutaj jest wszystko o naszym życiu wierszem napisane. Wy tu się spieracie, tylko patrzeć, jak się pobijecie - to lepiej przeczytajcie. Ja się na pamięć nauczyłem. - Benedikt wbił oczy w ciemną powalę, tak zawsze łatwiej się przypomina, nic nie odwraca uwagi. - „Świnka zniosła dwa jajeczka, przepióreczka rodzi byczka, abra, babra, szwabra, dabra...”.

- Wystarczy - poprosił Lew Lwowicz.

- Sami wolicie? Ja też raczej sam, po cichu... Żeby nikt nie przeszkadzał... Komputu sobie naleję i czytam!

- Skąd to masz? - zaciekawiał się Nikita Iwanycz.

Benedikt uczynił nieokreślony ruch: szczęki wysunął na przód, usta zwarł jakoby do pocałunku, brwi podniósł wyżej, ile skóra mu pozwalała, i okiem zezował na ramię; rękami też poruszał tam i sam.

- Mam... no, mam. W ogóle to u nas jest duża biblioteka.

Nalali jeszcze rdzy; Dawni nie patrzyli na Benedikta, a i na siebie nie patrzyli, tylko w stół.

- Dział prohibitorów - powiedział Lew Lwowicz.

- Skarbnica duchowa - poprawił Nikita Iwanycz.

- Ale ja już wszystko przeczytałem - powiedział Benedikt. - I właśnie... mam prośbę. Może u was znajdzie się co do poczytania, co? Ja ostrożnie, nie zaplamie ani nic. Dbam o książki.

- Nie mam książek - odrzekł Nikita Iwanycz.

- Prawdę mówi, że nie ma, czy kłamie?

- Mogę dać swoje na jakiś czas... jakoby na wymianę... Jeśli wy ostrożnie... Owińcie mam w cokolwiek... szmatkę, gałgan jaki...Dobre mam książki, ani Choroby od nich, ani nic...

- Wymiana międzybiblioteczna z Lewiatanem... - powiedział Lew Lwowicz. - Ja bym w to nie wchodził.

- Jest pan na etapie konspiracji... A gdzie się podział pański demokratyzm?

- Nie wolno kolaborować z totalitarnym reżimem...

Benedikt odczekał, aż Dawni zakończą swoją pekińszczyznę.

- To jak, Nikito Iwanyczu?

Nikita Iwanycz rękami dał znak, że nie słyszał. Jeszcze nalał piwa. Łyknęli zdrowo...

- Mam ciekawe - kusił Benedikt. - O babach, o przyrodzie... Nauka też jest... o wszystkim piszą... A wy o swobodzie mówicie, to tam i o swobodzie też jest, o czym się chce. Uczą, jak robić swobodę. Przynieść? Ale żeby ostrożnie.

- No? - zainteresował się Lew Lwowicz. - Czyja to książka?

- Moja.

- Autor, jaki autor?

Benedikt pomyślał.

- Teraz nie opamiętam. Na „Be” jakoś...

- Nie

- Bukowski?

- Nie...

- Może Bakunin?

- Nie, nie... Nie przerywajcie... Mam! Borisowa „Robótka na drutach”. Tak! „Robimy dwie pętelki, dla większej swobody nie zaciągając ich jednak zbyt mocno. Przekładamy na prawy drut...”

- Druty i pętelki to nam zawsze dobrze wychodziły... - wyszczerzył zęby Lew Lwowicz.

- Mogę przywieźć? Chcecie? - podniósł się Benedikt.

- Nie warto, młodzieńcze.

Benedikt chciał być chytry. Jemu samemu „Robótka...” nie bardzo się podobały - esej był nudnawy, ale myślał, że może dla Dawnych się nada, kto ich tam wie. Sam najbardziej lubił „W objęciach”. Nakurzili, a że oddychać nie można. Benedikt już i tak wstał, tedy popchnął drzwi - żeby wpuścić trochę powietrza, wiatru. A też i Teresia doglądnąć, czy swywoli jakiej się nie dopuścił, nie wlaźł aby na sanie - tam przecie skóra miedźwiedzia, a to bydlę potrafi niekiedy wleźć pod nią, żeby się zagrzać. Potym wietrz ją, bracie! Smród od wygenerata okropny: nawóz, siano, nogi niemyte. Nie, nie wlaźł, ale co robi: stanął na nogi, walonek z ręki zdjął i na słupie, gdzie „Brama Nikicka” napisane, wydrapuje brzydkie słowo.

- Teres! - warknął. - Ty włochaty śmierdziu! Wszystko widzę!

Tamten w tejże chwili czmychnął z powrotem, znowu na czworakach stanął, jakoby nic specjalnego nie zrobił, tylko nogę zadarł na słup: a niby co takiego robię? Po prostu wypróżniam się jak należy. Szczę.

- Bbydlę...

Nikita Iwanycz wyjrzał zza ramienia Benedikta.

- Benio! No i czegoż nie zaprosisz kolegi do domu? Boże mój, w taki mróz!

- Kolegi?! Nikito Iwanyczu! Toż to wygenerat! Co wyście, wygenerata nie widzieli?!

Lew Lwowicz, który jakoś nie polubił Benedikta, spojrzenia rzucał pogardliwe i usta miał skrzywione na bok - też podniósł się zza stołu, stanął za plecami Rozpalacza i patrzył. Mruknął: „Coś potwornego, taki wyzysk”...

- Do domu trzeba go zaprosić! To nieludzkie!

- Przecie to nie człowiek! Człowiek walonków na rękach nie nosi!

- Szerzej trzeba spojrzeć! I on jest częścią narodu! - pouczał go Lew Lwowicz.

- Nie będziemy spierać się o definicje... - Stary owijał szyję szalikiem. - A my czym jesteśmy? Dwunogi nieopierzone, mowa artykułowana... Puśćcie mnie, pójdę go zaprosić... Jak się nazywa?

- Wabi się Teresio.

- No przecież nie mogę tak się zwracać do dorosłego... Po ojcu jak?

- Piotrowicz... Nie szalejcie, bójcie się Boga, Nikito Iwanyczu! Wygenerata do chaty!

Zaplugawi wszystko! Stójcie!

- Terentiju Piotrowiczu! - Rozpalacz nachylił się nad zaspą. - Pan będzie łaskaw! Prosimy do chaty! Do stołu, zagrzać się!

Zbzikowani Dawni wyprzęgli wygenerata, zdjęli zeń hołoblę i zaprowadzili do chaty. Benedikt splunął.

- Pan pozwoli, że pomogę... A pańskie lejce... Proszę powiesić na gwoździu...

- Skórę zwiną! Skóra bez nadzoru! - rzucił się do sań Benedikt, i w samą porę, bo dwóch ludków już zwijało miedźwiedzią skórę, ładowali ją na barki, a i każdy by tak zrobił: co ma się na ulicy takie dobro poniewierać! Kiedy zobaczyli Benedikta, rzucili się ze zdobyczą w boczną uliczkę. Dognał ich, pobił, odebrał skórę i wraca zasapany. Uuuch, ci złodzieje!

- ... przyszedł do domu, a tu wszystko z kulturą, podłogi polskim lakierem powleczone! - sierdził się pijany Teres. - Buty zdjąłeś i od razu w kaptcie, w telewizji jazda figurowa, Irina Rodnina! Podwójny tulup... Śpiewa Maja Krystalińska. I co, przeszkadzała ci?

- Ja... - protestował Lew Lwowicz.

- Ja, ja! Ciągłe „ja”! „Ja” to ostatnia litera w alfabecie! Rozbisurmanili się za Kuźmicza, niech się sławi imię jego! Wszystkich rozpuścił, leleput w mordę kopany! Książki czytają, mądrzy się wszyscy zrobili! Za Sergieicza by nie śmieli!

- Ależ kochany panie!... Za pozwoleniem! - wołali jeden przez drugiego Lew Lwowicz i Nikita Iwanycz. - Za Sergieja Sergieicza panowało absolutne bezprawie! Podeptane prawa jednostki! Areszty w biały dzień! Zapomniał pan, że zabronili gromadzić się więcej niż trzem osobom? Na ulicy nie wolno było ani śpiewać, ani palić rdzy! Godzina milicyjna! A co było, kiedy się człowiek spóźnił na przeliczenie?! A jak się kazali ubierać?

- Za Sergieicza był porządek! Domy odbudowali! Płoty odnowili! Nigdy nie wstrzymywali wydawania ze Składu! Kartki były na święta, ja miałem talon piątej kategorii i pocztówkę z życzeniami od komitetu!

- Wszystko się panu myli, pocztówki były przed Wybuchem! Ale niech pan sobie przypomni: jeszcze jakichś czterdzieści lat temu zabraniano prywatnego łapania myszy!

- ... Spółdzielcze w Siłbow... w Swibłowie - Teresowi zaplątał się język. - Pięć minut drogi od metra. Tereny zielone, zrozumiałeś? Bo ja nie jestem żaden rabinowicz, żeby mieszkać w centrum!... Mieli rację, że was wszystkich zamykali!

- Chwileczkę... mówimy przecież o Sergieju Sergieiczu!...

- ...okulary nasadzą i się mądrzą! Nie pozwolę... Pienią się jak pokrzywa! Gazrurką ich... Nie trzęś brodą! Mosiek! Mosiek jesteś! Państwo ci procent wyznaczyło, górną granicę, i tego masz nie przekraczać! Jop twoju mać!... A nie przed cudzoziemcami ogonem merdać...

- Ale...

- Rozmnożyli się, kurna! Dwa precenty - tyle was ma być! Zęby ludziom pracy nie być ciężarem! Kto zjadł całe mięso? Epsztajny! Co?! Cukruście nam skąpili, a my bimber z przecieru pomidorowego mamy pędzić, tak? Hitler jesteś. Zyrinowskiego na ciebie mało!

- Ale...

- ...synowi garnitur modry z wystej czeł... z czystej weł...! A ty Reganowi chciałeś sprzedać Wyspy Kurylskie! Ani piędzi!

- Terentiju Piotrowiczu!

- Powiedziałem: ani piędzi! Kuryli nie oddamy... A swoje słupy możesz sobie wsadzić do dupy! Muzeum z państwa robią, pasożyty! Benzyną was wszystkich... I zapalką! I wasz pppparlament, i książki, i akademika Ssssacharowa! I...

- A masz, bydlaku! - Purpurowy Lew Lwowicz walnął go zniecka na odlew. - Andrieja Dmitrycza zostaw w spokoju!!

Nijakiego Andrieja Dmitrycza w chacie nie było; tak to bywa, kiedy człek za dużo wypije: w oczach wszystko mu się dwoi, a z kątów figury niewiadome abo gęby patrzą; mrugnie - i nie masz ich.

Najwyższy Rozpalacz też wykrzykiwał.

- Łajdak! Precz stąd!

- Ręce precz! - szalał Teres, broniąc się mechatymi łokciami. - Rosjanina bijąją Bandyta! Chuligan! Wiązać go!

Zwalili stół, dzban się poturlał; Benedikt też się rzucił, pomagał wiązać lejcami pijane bydlę; związali Teresia, wyrzucili na dwór i jeszcze kopnęli na ostatek.

- ... w Swibłowie mieszarka chromowana stała! - dobiegało z zamieci. - A u was, pedałów, wszystko chuja warte!

Jeśli ten jest spokojny, to jakież musi być Potap?

SZA

*Nad serce sterane i zdarte
Znów myśli podniosą się jasne
I ciemnym płomieniem przeżarte
Opadną, rozproszą się, jasne...*

[Przeł. Adam Pomorski.]

- Za Sergieja Sergieicza był porządek - powiedział Benedikt.
- A pewnie! - odezwał się teść.
- Więcej niż trzech się nie gromadziło.
- Prawda!
- A teraz wszyscy mądrzy się zrobili, książki czytają, rozpuścili się. Fiodor Kuźmicz
wszystkich rozpuścił, niech się sławi imię jego.
- Święte słowa! - ucieszył się teść.
- Sergiej Sergieicz płoty odbudował, a teraz co?
- No właśnie!
- Wszędzie dziury, płot zwalony, ścieżki do puszkina koprem zarosły!
- Nie może być!
- A to najgorsza trawa, ani smaku nie ma, ani zapachu!
- Najmniejszego.
- Na puszkinie gacie wieszają, powłoczki, a puszkini to nasze wszystko!
- Wszyściuteńko.
- To on wiersze pisał, a nie żaden Fiodor Kuźmicz!
- Z całą pewnością.
- I wyżej w chwale stanął niż Aleksandra pyszny słup!
- Eee, kochany, gdzie tam słupowi do niego!
- A Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, mnie sięga do kolana! A niby
Najwyższy Basza, oby żył długo! Oleńce na kolana siada, jak u siebie w domu!
- No, no?!
- Co, „no”?
- Myśl dalej!
- Co mam myśleć?

- A co ci serce podpowiada?

Nic serce Benediktowi nie podpowiadało, w sercu ciemno było jak zimą w chacie, kiedy wszystkie świece się wypalą i po omacku się mieszka. Była gdzieś świeczka zapasowa, ale znajdź ją, kiedy dokoła mrok, choć oko wykol!

Macasz, macasz rękami, a ręce są ślepe, bojaźliwe. Znajdziesz nie wiadomo co, obmacasz, nie widzący, a dusza zamiera: co toooo?! Aaaa?! Nigdy czegoś takiego w chacie nie było! Co to jest?!

Ze strachu wszystko w człowieku nagle się oberwie! Odrzucisz to, coś obmacywał... Stoisz jak wryty, odetchnąć się boisz... Boisz się zrobić kroku. Myślisz: zaraz stąpnę i trafię nogą na TO...

Ostroooo... znie.. Boookiem... wzdłuż ściaaany... tup, tup - i dostaniesz się do drzwi. Szarpniesz drzwi - i uciekać, ani się oglądać!

Zwalisz się pod drzewem abo pod płotem; wszystko w środku się tłucze. Teraz trzeba zebrać, ognia prosić, świece, może u kogo się wyblaga. Jeśli dadzą świeczkę, to już łatwiej, nie tak strasznie. Wraca się do chaty, patrzy, co to było takiego, a tam nic takiego nie ma.

Nie ma nic.

Bo to nieraz sąsiedzi sobie pożartują, figlarze: kiedy ciebie nie ma, podłożą ci nie wiadomo co, żebyś ze strachu rozum sobie uszkodził. A kiedy biegasz tu i tam, światła szukający, oni zabiorą to, co podłożyli, i nie ma nic, i nie dowiesz się, co to takiego było.

Serce nic nie podpowiadało, a głowa tak, głowa podpowiadała, od czego w końcu rozum w niej jest; podpowiadała, że dawno jeszcze, jeszcze przed weselem - eeej! Kiedy to było! Benedikt był jeszcze młodzieńcem dzikim, niekulturalnym, niewykształconym młokosem z ogonem i bez pojęcia - wtedy widział u Warwary Łuki-niszny książkę. Teraz już nie przypomni sobie, jaka to była książka, duża czy mała, ani jak się nazywała. Ze strachu, z nieprzyzwyczajenia wtedy nie zrozumiał nic, okrom tego, że mu straszno.

Teraz oczywiście, jako człek wykształcony, subtylny, można powiedzieć, doświadczony, umiałby skarb ocenić: obmacałby, po-obracał, policzył, ile stron i jakie bukiety: małe czy duże. I czy na długo starczy czytania, i na którą półkę, przeczytawszy, z pocałowaniem ją postawi.

Teraz to, nauczony i zalękniony, wiedział już, że książka - ta wybranka, ptak biały, kwiat makowy - boi się wody.

Kochaniutka! Wody się boi, ognia się boi, od wiatru drży; koślawe zaś, ordynarne ludzkie paluchy zostawiają na niej siniaki, które nie znikną! Zostaną!

- A są tacy, co rąk nie umyli! A są tacy, co atramentem podkreślają! A są tacy, co wrywają kartki!

Sam był kiedyś taki dziki i małomądry, taki kromanioński, że poślinionym paluchem wydrapał dziurkę! - „i świeca, przy której czytała pełne trwogi i oszustwa życie...” - dziurkę, bałwan, wydrapał, Boże przebacz! To jakoby cudem jakimś odnalazłszy w lesie tajemną polanę - całą w tulepanach szkarłatnych, drzewach złotych - objął w końcu najśłodszą Ptaszycę Pawicę i obejmujący, wsadził jej brudny paluch w jasne, w samej sobie, Ptaszycy, zakochane oko!...

Warwara Łukiniszna mówiła, że książkę dał jej Nikita Iwanycz - ot, i nakrył starego na kłamstwie! Masz książki, masz, stary pijanico, gdzieś je tam chowasz, pilnujesz, ludziom dobrym nie dajesz...W chacie ich nie ma, Benedikt chatę oną znał, siadywał tam... W szopie nie ma, w szopieśmy puszkina rzeźali... W komórce - jeno rdza... A w łaźni?

Benedikt pomyślał o łaźni i rozeźlił się, sam poczuł, jak liczko mu zapłonęło gniewem: w łaźni wilgoć, tam książka zwilgotnieć musi. A przecie przychodził, prosił, proponował wymianę, podarek najcenniejszy przyniósł, nie pożałował; siedział z nimi, z Dawnymi, pół dnia siedział, bzdur ichnich słuchał - a ci nic, kłamali, udawali, za nos wodzili, nosem na niego kręcili, rękami przeczenie robili: „Nie mamy - powiadają - książek! Wybacz pan! Nie ma!”.

A śmierdzącego bydlaka, wygenerata za stół usadzili: „Ależ, Terentiju Piotrowiczu, jak pan uważa, może pozwoli pan rdzy...”. Napoili, nakarmili, potym coś ich wściekło, wyrzucili go na śnieg jak wór... Zresztą dobrze mu tak.

Ale i z Benediktem tak samo: pośmiali się i odprawili z kwitkiem...

A jeszcze stary mówił: „Na niebie i w piersiach jedno i to samo, i to sobie zapamiętaj”. A na niebie co? Na niebie ciemność, zamęt i burza wrogich żywiołów; a w letni czas - gwiazdy: Koryto i Miska, i Skrzypy, i Pazurki, i Pępek, i ile ich tam jeszcze! „A wszystkie - mówił - w księdze są zapisane, a księga ta za siedmioma wrotami. Powiedziane jest w tej księdze - mówił - jak żyć trzeba, tylko że wszystkie kartki pomieszane... I bukwie nie nasze... Ale szukaj, mówi. Puszkina szukał i ty też szukaj...”.

Ależ szukam! Już ilu ludzi przetrząsnęli: Fieofilakt, Maluta, Ziuzia, Neniła Jąkała, Matuzalem i Kupała - bracia bliźniacy; Osip, Rewolt, Jewłalija... Awenir, Machabej, Zoja Gurjanka... Januarij, Zadra, Sysoj, Iwan Kutasów... Wszystkich ośką zahaczyli, po podłodze powlekli, wszyscy oni stołów, tabureków się czepiali, wszyscy wrzeszczeli przeraźliwie, lamentowali, kiedy ich zabierano na leczenie... „Nieee!” Niby żeby im odpuściiiiie!

A jakże odpuścić? Przecie powiedziane było: nie trzymać książek w domu, a kto trzyma - niech nie chowa, a kto chowa, tego się leczy.

A bo rozpuścili się za tego Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego. I kto tę główną księgę ucapił i trzyma, tę najważniejszą, gdzie jest powiedziane, jak żyć? Jefim Pluskwicz miał takie książki z nie naszymi bukwami, i to na widoku; dwa tuziny suchych i czystych, nie tam aby jest on zapis dyjamentowy? Ej, nie, mówią przecie: za siedmioma wrotami, w dolinie mgieł... Dumaj tedy, Benedikcie...

Poszedł zaprzęgnąć Teresia. Żeby zasię tamten nie pyskował po próżnicy, niepotrzebnych słów nie gadał, tylko cicho siedział, przygotował mu Benedikt szmatkę, inaczej mówiący, knebel; jak się szmatkę zwinie w rulonik, sznurek przeciągnie, to zamknie się gębę paplaczowi: szmatkę między zęby, a sznurek zawiązać za uszami. I z Bogiem, galopem, ale bez piosnki!

- Ty dokąd, Benedikcie, tak na noc?

- A ja właśnie... tego... muszę... o sztuce pogwarzyć...

Niech w progu się starzeje

Ta piękna, ta niedobra,

Wzgardliwa a niedobra

Coś patrzył w nią jak w obraz

Czy ramion białych żal ci?

Czy żaru pierzyn żal?

Rozwińmy, bracie, skrzydła.

Odlećmy, bracie w dal.

[Przeł. Witold Dąbrowski.]

Pogoda niedobra: mgła w powietrzu i trwoga, śnieżyce zgniłe, jakoby z wodą, a śnieg już nie iskrzy się jako ranej, a jakoby lepi. A na rogach, na skrzyżowaniach, na placach ludzie kupami - więcej niż trzy osoby naraz - się zbierają, w niebo patrzą. To gwarzą, to po prostu stoją frasobliwi.

Skąd niepokój w ludziach? Akurat dwóch przeszło mimo - na bużkach mają troskę, oczy rozlatane. A tu insi przebiegli, rękami machają... Tamci o czymś pogadali i dalej do dom, drzwi zapierają. Benedikt stanął w saniach, wypatrywał znajomych: Półtorak przemknął jak koło, i tyle go widzieli: trzy nogi ma, jakże takiego dopędzić?

Tam babę pod łokcie wiodą; sama iść nie może, ręką w piersi się bije, wykrzykuje: „Jezu! O Jezu!”. I ciągiem na ziem się osuwa. Co takiego...

- Konstantinie Leonticzu! - krzyknął Benedikt. - Stój, Konstantinie Leonticzu! O co się turbują?

Konstantin Leonticz w pomieszaniu, bez czapki, siermięgę ma nie na ten guzik zapiętą, nie swoim głosem woła:

- Dopiero co ogłosili: rok przestępny!

- Jak to, znowu?

- Tak, tak! Wszyscyśmy rozstrojeni... Wcześniej nas wypuścili.

- Czegóż to tak? - zaniepokoił się i Benedikt. - Przyczyna jaka, nie mówili?

- Nic na razie nie wiemy... Spieszę się, kochany, raczcie wybaczyć... Żona jeszcze nie wie. Bydło u nas niezapędzone, dymnik trzeba zabić, cóż tu gadać...

Obiema zimnymi dłońmi pospiesznie uściskał rękę Benediktowi. Pobiegł dalej.

To ci dopiero... Rok przestępny, tylko patrzeć nieszczęścia! Włochate gwiazdy, nieurodzaj, liche bydło... Zioło w polu marne wyrośnie - to jeśli susza; a jak przeciwnie, powódź, burze, to skrzypy duże będą, jakoby je wodą rozdeło, wyrosną wyższe niżli drzewa, korzeniami rozryją gliny, na których gród nasz stoi, osypiska się porobią, nowe wąwozy... Po lasach wysyp fałszywych świetlaków; a jak czujności nie przejawisz, to Czeczeniec napadnie abo dżyn-gis jaki! A jak lato wypadnie zimne, burzliwe, z wiatrami, to i harpije się obudzą! Ratuj Panie Boże!

Czemuż to jednego roku zdarza się rok przestępny, a inszego zwykły, normalny? Nie wiadomo! Co na to poradzić? Nic nie można, trzeba cierpieć i tyle!

Tylko że wśród ludków zawsze niepokój się szerzy, złość, niezadowolnienie, i dlaczego? A dlatego, że zamiast ten rok jakoś krótszym uczynić, to na wyrwót: specjalnie się znęcają, dłuższym go robią. Wstawiają dodatkowy dzień: „Naści!” - powiadają. A przecie dodatkowy dzień, to i dodatkowa robota, i podatki, i wszelakie ludzkie obciążenie, aże płakać się chce! A wstawiają go, ten dzień znaczy się, w lutym, a i wiersz nawet taki jest:

Luty! Atrament wziąć i płakać!

No, to o skrybach napisali, ale insi robotnicy w samej rzeczy płaczą - kucharze, drwale, a już kto do drogowych robót wezwany, o tym nawet lepiej nie mówić!

Ale są i tacy, którzy mówią: „Prawdać to, że robota dodatkowa, owszem, ale i życia przybywa, czyż nie racyja? Dodatkowy dzień na bożym świecie przeżyjesz, dodatkowego blina zjesz, czy tam pierożek! Abo to źle? Tak by, widzisz, umierać trzeba było, a tu nie: jeszcze raz wschód zobaczysz, słoneczko, a wieczorem poplą-sasz abo popijesz! Chociaż

może lepiej byłoby dodać ten dzień nie zimą, kiedy życie nudne, jeno latem, w ładną pogodę”.

No, też coś! W ładną! Akurat! Toć gdyby chcieli ludziom ulżyć, toby ten dzień dodawali nie w roku przestępnym, tylko w zwykłym, i nie jeden dzień, ale dwa, no, trzy albo nawet tydzień i na dodatek wolny od roboty!

Tymczasem dojechali do chaty, gdzie mieszkała Warwara Łukiniszna.

- Stój tu.

Teresio pomeczał pod kneblem, oczami poprzewracał.

- Powiedziałem: stój i bądź cicho.

Nie, znowu meczy, walonkiem pokazuje.

- No, czego chcesz? Co?

Zdjął walonek, wyprostował rękę, odwiązał knebel, strzyknął śliną:

- ... mówię ci: wiem, co to za miejsce.

- No to co? Ja też wiem.

- Ty wiesz, gdzie mnie możesz... a ja wiem, że tu była stacja benzynowa.

- Mało to rzeczy tu było!...

- A gdzie stacja benzynowa, tam jest paliwo. Pod ziemią. Rzucisz zapalkę i bzdęk!

Lecimy!

Benedikt się zastanowił.

- Po co?

- Nie po co, tylko dokąd? A w pizdu.

Benedikt otworzył usta, żeby mu powiedzieć coś o uździe, ale wiedział, co tamten odpowie, i nie chciał się *narażać* na chamskie uwagi; od dawania kopniaków już mu się odcisk na nodze zrobił, a bydlęciu co tam, możesz je kopać, ile chcesz, ono przyzwyczajone. Nic tedy nie powiedział, trzymał usta otwarte i na powrót zamknął, tak jak były.

- Benzyna, mówię. Tu jest jej od chuja i z powrotem... Benzin, benzin, fersztejn? Taka woda, co się pali - zaśmiał się Teresio. - Pal się, pal się jasno, żeby nie wygasło! Ptaszki lecą, dzwoneczki dzwonią... Cygarko mi zostaw, jak tam będziesz figo-fago...

- Jeszcze czego!

- A chuj z tobą! Faszysta.

Gorszy od psa taki wygenerat. Psa zeklniesz, to nic ci nie odpowie. „Hau, hau!” - i cała jego odpowiedź; tyle można ścierpieć. A temu się gęba nie zamyka, i jeszcze ludzi taki zaczepia. Siądziesz w sanie - od razu zaczyna: i droga mu się nie podoba, i uliczka parszywa, i skrzyżowanie zagrodzone. I państwo źle rządzone, i baszowie mają gęby nie takie jak trzeba,

i co by on z kim zrobił, gdyby mu tak pozwolili, i kto jest temu winny. I jak dawniej pili z kumplem, i co pili, i ile mogli wychlać, i co kupił, i gdzie odpoczywał, i jak ryby łowił u matki na wsi, i jakie miała gospodarstwo: mleko, jajca, czego jeszcze chcieć. I jak kota zdusił, i że wszystkie je trzeba dusić, żeby znały swoje miejsce, i z jakimi babami figlował, i jak jedna generałowa bez niego żyć nie mogła, a on do niej: „Koniec, miłość minęła, nie rób sobie nadziei”, a ona: „Nie, serce mi pęknie, prosz, o co chcesz”. I co kiedyś po czemu było, a jak tak posłuchasz, to w ogóle po niczemu, tylko brać-wybierać. A jeszcze uwagi robi przechodniom, jeszcze do bab i dziewuch sprośne wykrzyki, a po wszystkim jeszcze się okazuje, że nie prosto trzeba jechać, tylko krzywo.

Teraz mówi: woda penzin - woda, ale taka, co się pali. Gdzie to kto widział, żeby woda się paliła? Nigdy czegoś takiego nie było, i nawet myśleć o tym się nie da! Nie zejdzie się woda z ogniem, nie mogą; kiedy ludzie stoją i na pożar patrzą, i w oczach im jako w wodzie ogień pluska, odbijając się, a oni stoją jako słupy, jako zaczarowani - wtedy tak; aleć to przywidzenie, czarodziejstwo i omam! Nie ma w przyrodzie takiego ukazu, żeby woda się paliła. Chyba żeby przyszły Dni Ostatnie? Nie może to być, że i myśleć się nie chce... Apozatym ogłosili rok przestępny. Bo i racyna, że oznaki były niedobre - zamieć jakaś lepka i w powietrzu coś jakoby huczało.

Otworzył wypaczone drzwi; cmoknęły jako całus; za nimi drugie, a między drzwiami była nieduża sień. Postął przez chwilę, ucha nakłoniwszy, przysłuchiwał się. Nie wdział opończy, chociaż powinien. Małeńkiej swywoli się dopuścił; cóż... Pewnie, służba państwowa, ale na wszelkiej służbie, kiedy człek jest swój, bliski czy krewny, pofolgowanie jest dopuszczone.

Zawahał się: osękę w sieni zostawić czy od razu wziąć ze sobą? Bo to wiadomo, że jeśli osękę ze sobą się wniesie, chory ludzik się domyśli i od razu w krzyk. A gdzie krzyk, tam się i rzucają: jeden o stół głową bije, inszy o taburet albo piec. Pomieszczenie ciasne, że ani się obrócić, ręka przeto nijakiego rozmachu, swobody szczególnej nie ma. Dobrze to w powietrzu naukę wyrabiać albo, jak mówią, trenować. Przecie jako sanitarów uczą? Kukieł wielgich naszyją, nakręcą bałwanów ze szmat i na trawie-murawie wyrabia się chwyt: zamach, wyrzut, przekręt, podciąganie albo co inszego. W powietrzu to łatwo idzie, ale w chacie albo, jak mówią, w warunkach polowych, całkiem co inszego. Oj, tak.

Najpierwsza rzecz to kukła: po chacie przecie nie biega, prawda? Nie wyje głosem przeraźliwym. Stołu, taburetu się nie czepia. Ryms - i leży niema, niesłuchająca niczego, wszystko jako napisane albo, jak to mówią, zgodnie z instrukcją. A ludzik żywy jest, krząta się.

To jedna trudność. A druga - to oczywiście taka, że pomieszczenie ciasne. To, rzecz trzeba, jakoweś niedopatrzenie. Niedoróbka.

Nie zawsze tedy można przestrzegać wszystkich państwowych reguł, stąd i folgi się biorą. Oczywiście można się spierać, ale „teoria jest sucha, mój chłopcze, a drzewo życia wiecznie zielone”.

Benedikt namyślił się i zostawił osekę w sieni. Uchylił drugie drzwi, wsunął głowę.

- A kuku! Kto to do nas przyszedł?!

Ani dźwięku.

- Warwara!

- Kto tam? - cichy szept.

- Złodziej! - zażartował Benedikt.

Żadnego odzewu. Szmer jeno. Benedikt wsunął się do izby, rozejrzał: co też to ona robi? Leży na wyrku w szmatach, i tylko się tak nazywa, że to Warwara Łukiniszna. Bo jedno oko ze szmat wyziera, a reszta - jeno grzebyki, grzebyki, grzebyki, grzebyki, grzebyki, grzebyki - widocznie przez ten czas, kiedy Benedikt jej nie widział, całą ją obsypało grzebykami.

- Ach, to wy? Odwiedzić? - mówi. - A ja właśnie choruję... Do pracy nie chodzę...

- Oj?! - zatroskał się Benedikt - A co się stało?

- Nie wiem, kochany. Słabość jakaś... W oczach ciemno... Ledwie chodzę... Proszę siadać! Tak się cieszę! Tylko poczęstować nie mam czym.

Benedikt też nic ze sobą nie miał. Bez podarunku nie wolno, to prawda, ale też nie wymyślił, co by takiego przynieść. Książkę? W życiu! Rozstawać się z książkami - to już lepiej umrzeć. Podarował z głupoty „Abrakadabrę” Rozpalaczowi, i potem tak żałował, tak żałował! Ciężem sobie wystawiał, jaka książka była ciekawa i jak by się jej dobrze na półce stało - czysto i ciepło, i jak ona biedna w nieposprzątej chacie, smętnej i zadymionej, u Rozpalacza się poniewiera. Może na podłogę się zwała, a stary ją prześlepił i nadepnął; może nie było czym zupy przykryć - no więc... Abo Lew Lwowicz, bezwstydnik, ją wyprosił, zabrał do siebie, przed ludźmi się zamknął, światło zgasił i robi z nią ksero-ksero: chcę się, powiada, rozmnożyć! Są przecie takie nienasycone paskudy, że baby im mało! I z koziełkiem broją, i z sobaką, a nawet, Boże zmiłuj się, z walonkiem! Tak żałował i głową o ścianę tłukł, i ręce załamywał, i paznogie obgryzał. Nie, nigdy nikomu żadnej książki.

Kwiatki - owszem, chodzą ludkowie do bab z kwiatkami. Narwą w ogrodzie czegoś jaskrawego abo żeby zapach był od nich ładny, zbiorą trochę więcej w jedno - i wyjdzie

bukiet. Ten to bukiet babie wetkną, niby że wyście też taka ładna, a i zapach od was niczego. Macie tu i podokazujemy sobie. Ale skądże wziąć kwiatki zimą?

Dlatego też, by głowy sobie nie łamać, przyjęte jest, kiedy się w gości idzie, nieść rdzę, a lepiej piwo z rdzy uwarzone. Dlatego że też pić je będziesz.

Korzyść stąd podwójna, bo piwo od razu pić można, a nie czekać, kiedy je tam zrobią! i przecedzą! i przez węgielki przesączą! i uwarzą! i ostudzą! i znowu przecedzą! A tu gotowe, od razu można pić.

A poza tym, jeśli w gości przyszedłeś, a goście niekiedy marni się trafią, na ten przykład poswarzysz się z gospodarzem, który cię zaprosił, albo pobijesz, oplujesz kogo, albo tamci ciebie oplują, albo jeszcze co, to chociaż sobie myślisz: zdążyłem wypić, nie wszystko przepadło.

Ale swojego gospodarstwa Benedikt dawno nie prowadził, piwa tedy nie miał, jeno Madejowe. Zaczęłyby cedzić... nie, po co mu zbędne pytania. No więc przyszedł z pustymi rękami. Osękę w sieni postawił. Wziął taburet, przysunął do wyrka, na twarzy współczucia przybawił: brwi w górę, usta w dół. Bez uśmiechu.

- Jak wam idzie? - Warwara słabym głosem. - Słyszałam, że jesteście żonaty. Gratuluję. Wielkie wydarzenie.

- Mezalians - pochwalił się Benedikt.

- Jakie to musi być ładne... *Zawsze* marzyłam... Powiedzcie mi... Powiedzcie coś wzruszającego.

- Hm. Aha... rok ogłosili, że przestępny jest.

Warwara Łukinizna zapłakała. Prawda, z czego się tu radować.

Benedikt zaczął się wiercić; nie wiedział, co ma jeszcze mówić. Gdzie schowała książkę? Pod łóżkiem? Benedikt wystawił nogę, przypadkiem niby wsunął pod wyrko i wymacał nogą, co tam jest schowane. Jakoby pudło.

- Wiecie, czyta się w książkach: fler doranz, bukiecik fiołków, przypięty do pasa... felon...

- Tak, to wszystko na bukwę „fe” - powiedział Benedikt. - Na to „fe” żadnego słowa nie można zrozumieć. - Przez walonek słabo było czuć, co to za pudło i gdzie ma pokrywkę. Tak to jest: bez osęki jako bez rąk.

Warwara Łukinizna płakała jedynym okiem.

- ... Ołtarz... Kliros... „Zstąp, gołębica, twórczy duch”... Żyrandol...

- Tak, tak. Ani słowa nie można zrozumieć!

Benedikt wsunął drugą nogę pod łożę, nastąpił walonkowi na piętę i wyciągnął nogę z buta. Onuca się zaczepiła - widocznie słabo owinięta. Nie, lepiej oba walonki zrzucić. Jakże to niewygodnie bez rąk! No? Przecie żeby pierwszy walonek zdjąć, trzeba drugim piętę przycisnąć, a żeby zdjąć drugi, trzeba pierwszym dusić; no, a jeśli już pierwszy zdjąłeś, to będzie zdjęty! I czym wtedy dusić? To problem naukowy, a przecie w żadnej książce odpowiedzi na niego jeszcze nie znalazł. A jeśli z przyrody wziąć obserwację, to trzeba nogami jak mucha... szybciotko jedną o drugą ocierać, żeby nogi się jakoby zaplątały: nie wiadomo, która pierwsza, która druga; i oba buty spadną.

- ... przecie i młodość bez miłości przeleciała! - płakała Warwara Łukiniszna.

- Tak, tak! - zgodził się Benedikt.

Teraz trzeba odwinąć onucę, bo płacze się i przeszkadza.

- Weźcie mnie za rękę, przyjacielu!

Benedikt ocenił na oko, gdzie Warwara Łukiniszna może mieć rękę, wziął to i potrzymał. Teraz ręce są zajęte, nodze już pomóc nie ma czym. To znaczy, że trzeba kręcić stopą, iżby onuca się odwijała, a co się odwinęło - drugą nogą przytrzymywać i odsuwać. Upoci się człowiek, umęczy.

- Nie drzyjcie tak, przyjacielu mój! Za późno! Nie było pisane drogom naszym, żeby się skrzyżowały!

- Tak, to prawda. Też zauważyłem.

Bosa noga o ileż sprawniejsza od obutej! Ona jakoby widziała! To ściana pudła - szorstka, ale bez drzazg. W brzozowej korze *drzazg* nie bywa, czyli to nie drewno, ale kora! A i nie każda kora idzie na pudła: jak cieńsza, to ją przeważnie biorą do pisania, a jak grubsza - to już na pudła i kosze (stolarskie dzieło znamy)! O, tutaj pokrywka. Pokrywkę to się palicem podniesie...

- Też się wzruszyliście? Przyjacielu! Naprawdę?

Benedikt mocniej chwycił rękę czy co tam miała Warwara Łukiniszna, i trzymający się jej, rozwarł palce u nogi; duży odchylił i podniósł pokrywkę. Aaaa! Trwamać!

W oczach mu pociemniało, cały się skrzywił i upadł, łapiąc się za coś: skurcz przekłety! Zapomniał, że nogi to nie ręce, trwamać!!

Przeszło. Uuuch.

Warwara Łukiniszna leżała, nie ruszając się, z otwartym okiem, i patrzyła w powalę. Benedikt zdziwił się i przyjrzał. Cóż to? Chyba zajechał jej łokciem gdzieś... Trudno rzec, gdzie. Musi ją zaciukał?

Posiedział, poczekał.

- Ej! - zawołał.

Milczy. Pewnikiem pomarła? Oj, pomarła. A to dopiero!... I niby czemu? Nieprzyjemnie jakoś... Umieranie... to poważna sprawa.

Posiedział na taburecie z opuszczoną głową. Nieładnie... Razem pracowali. Zdjął czapkę. Kobieta niestara przecie, mogłaby jeszcze żyć sobie a żyć. Książki przepisywać. Rzepę sadzić.

Krewnych chyba nie miała - i któż ją będzie chował? Wedle jakiego obyczaju? Po naszymu czy tak jak u Dawnych?

Mateczkę chowali podług obyczaju Dawnych. Na baczność. Bo jeśli po naszymu, toby trzeba było patroszyć, kolana podginać, ręce z nogami związywać, figurki lepić gliniane i kłaść do mogiły. Nigdy Benedikt sam tych rzeczy nie robił, zawsze amatorzy się zbiegali, a on tylko na uboczu do ściany się przyciskał.

- Teresiu! - krzyknął w stronę drzwi. - Chodź no tu.

Wygenerat ochoczo wbiegł do chaty: ciepło w niej.

- Teres... Wiesz, baba tu pomarła. Spółpracownica... Przyszedłem odwiedzić współpracownicę... A ta właśnie pomarła. Co mam robić? A?

- Trzeba tak - zakrzętnął się Teres. - Ręce jej na piersi złożyć na krzyż... O tak... Nie tak! Gdzie ona ma piersi? Chuj wie... Powinny być poniżej głowy... Ręce na krzyż, w ręce oczywiście ikonę; oczy zamknąć... Gdzie ona ma oczy? O, jest jedno! Spartak-Dynamo, jeden-zero; szczękę podwiązać; gdzie ma szczękę?! Gdzie szczękę... Nieważne; i niech tak leży, a ty, znaczy się, ludzi zaprosz, pierogów, blinów, wszystkiego napiecz, a najważniejsze, żeby picia było od chuja i nazad.

- Dobrze, idź, dalej już wiem.

- Sałatki najważniejsze, dużo sałatki! Czerwonej, wiesz, z cebulą! Ech!

- Idź stąd!! - rozdarł się Benedikt.

Złożył jej na krzyż ręce, jeśli to akurat były ręce, oczko zamknął... Trzeba by kamuszkciem? Skąd zimą kamuszek?! Teraz ikonę... Co to oni rysują na korze? Bałwana?

Sinawa mysia świeczka dygotała na stole; to jeszcze Warwara zapalała świeczkę. Otworzył zaslonę pieca, a tam polana: ogienek skacze, płąsa; to Warwara wsuwała polana do pieca; rozpalila ogień - i gorzeje w pustce, a jej nie masz. Podrzucił jeszcze dre-wek, żeby ogień huczał, żeby światła w izbie więcej było.

Na stole brzozowe karty w stosiku, patyczek, kałamarz pisarski: sama rdzę na atrament warzyła, swoje patyczki robiła, lubiła, żeby wszystko było jak trzeba... Domowe,

mówiła, lepsze od państwowego. Przyjdźcie do mnie na zupe, czyż państwową zupe z domową się porówna? Nie wstąpił, grzebyków jej się przestraszył...

*O, chwilo owa, gorzkie owe boje...
Burzy się piwo w beczce pełnej słodu;
Pięknym by lotem było życie moje,
Lecz nie ma w niebie nic prócz deszczu, chłodu.*

Benedikt zapłakał. Slozy zaczęły go szczypać w oczy, nazbierały się szybciotko, przelały przez krawędź, pociekły, zaczęły kapać na brodę. Otarł je rękawem. Warwara dobra była. Atrament zawsze dawała swój, jeśli ci się skończył. Wyrazy objaśniała. Koń, mówi, to nie myślą. Święte słowa. Bałwana jej w ręce...

Pociągający nosem, Benedikt usiadł za stołem, wziął brzozową korę i poobracał w ręce. Bałwana trzeba... Rozmięczył patyczek pisarski - a dawno go w rękach nie trzymał! - i zamaczał w kałamarzu... Bałwana. Jak to się go rysuje...

Główkę narysował pochyloną. Wokół główki kędziorki: ciap, ciap, ciap. Coś jak bukwa „se”. Tak... Nos długi. Prosty. Twarz. Po bokach - bokobrody. Zasmarować, żeby grubsze były. Kropka, kropka - i są oczka. Teraz łokieć. Sześć paluszków. Dookoła: skrob, skrob, skrob - jest już coś jakoby kaftan.

Podobny.

Wcisnął jej bałwana w ręce.

Stał przez chwilę i patrzył.

Nagle jakoby coś wstąpiło w pierś, wdarło się, pękło jako beczka z kwasem: zaszlochał, *zatrząść* się, zaniósł bekiem. Może mateczkę wspomniał? Swoje życie? Wiosny minione? Wyspy morskie? Drogi nieprzebyte? Ptaki białe? Sny nocne? Pytaj sobie, nikt ci nie odpowie!

Wysmarkał się, nasadził czapkę.

Tak! Tak! To po co przyszedłem? Aha, książka! Gdzie schowała książkę? Benedikt opadł na kolana i zajrzał pod wyrko, przyświecający świeczką. O, jest to pudło. Wywlókl je, pogrzebał w środku, a tam babskie drobiazgi, nic cennego. Nie ma książki. Jeszcze poświecił - pusto, zwyczajne śmiecie. Rękę zapuścił głęboko, wszystko obszukał - nie ma nic.

Na piecu. Nie ma.

Za piecem. Nie ma.

Pod piecem. Nie ma.

W komórcie - poświecił - sama rdza; wprawna ręką chwycił osękę. O ileż osęką lepiej!
Poprzebijał na wylot - nie ma.

Stół - może szuflada jaka? Nie ma. Taburet - podwójne dno? Nie ma. Stał, wodzący oczami po chacie... Szopa! Wybiegł ze świecą; to samo. Łaźni nie ma, nikt by łaźni tu nie zbudował. Wrócił do chaty.

Materac! Zapucił ręce pod Warwarę (przeszkadzała), obmacał cały materac (przeszkadzała), ściągnął ją na podłogę (zęby nie przeszkadzała), przeszukał materac, poduszkę, poprzekłował osęką, sprawdził niecierpliwymi palcami kołdrę, pierzynę z wroniego pióra - nic.

Strych! Gdzie jest właz? O, tam! Wlazł na taburet, w pośpiechu troszeczkę popchnął Warwarę, bałwan wypadł jej z rąk; nachylił się, wetknął bałwana w środek Warwary.

Na strychu nic nie ma. Tylko światło miesięczne leży urywanym pasmem, precyzyjnie się przez dymnik.

Trzeba by go zabić. Rok przestępny, nigdy nic nie wiadomo...

Miesiąc świeci, wiatery duje, obłoki płyną, drzewa się chwieją. W powietrzu pachnie wodą. Znowu wiosna chyba? I pustka, i bezmyślność, i szmer jakiś - paprochy sypią się z powały, dach się rozsycha. Nie, jeszcze coś.

Aha! To myszy szurgają. Szurgają myszy. Myszy są w chacie. Życia bieżąca mysia.

Czy ramion białych żal ci? Czy żaru pierzyn żal? Rozwińmy, bracie, skrzydła. Odlećmy, bracie, w dal.

Kiedy wrócił do sań, wygenerat popatrzył nań pytająco. Benedikt wziął zamach i kopał, kopał, kopał Terentija Piotrowicza, póki mu noga nie omgłała.

JER TWARDY

Jest dobra zasada: bydła do domu nie wpuszczać, bo się przyzwyczai. Sobaka budę ma na dworze, niechaj tam siedzi, gospodarstwa pilnuje.

A jak jakiś ludzik jej pożałuje - że niby marznie psina czy co - i puści na zimę do domu, to za nic sobaka do budy nie wróci; już jej w chacie się spodobało. Tylko się odwrócisz, a ona znowu chce przez drzwi się przecisnąć.

Zasada to jest naukowa, na każdym stworzeniu sprawdzona; tyczy się i wygeneratów. Wygenerata miejsce gdzie? W stajni, w chlewie. Dlatego że jest bydłę, a bydłęta winny mieszkać w bydłętniku, sama nazwa mówi.

Tak i z Teresiem: pobył parę razy u ludzi w domu - najpierw Nikita Iwanycz chuliganił; sadzał stwora za stołem, o poglądy go wypytywał; potym Benedikt musiał zawołać go do Warwary; widać z przyczyny rozstroju duchowego się zapomniał. No więc pobył wygenerat w domu i teraz co chwila pchał się do niego.

Najsampierw szukał pretekstu: podpomóc, drzwi otworzyć, komplement teściowej powiedzieć, Oleńce komplement, potym z radami do kuchni, że niby zna najlepszy recept, jak grzybale suszyć. Akurat! Myśmy grzybale suszyli, suszymy i suszyć będziemy od króla Ćwieczka aż do Dni Ostatnich! Na nitkę powiesić i suszyć! Nauka tu żadnego nowego słowa nie powie!

Potym jakoby pilno mu było od teścia wysłuchać pouczenie: jak najlepiej na siebie dzwoneczki zawiesić, żeby lepiej dzwoniły, kiedy się jedzie; jakie pieśni śpiewać w drodze - tęskne czyli dziarskie... Potym patrzysz, aten zrobił się najgłośniejszy w stajni, pokrzykuje - hej! - żeby nawóz posprzątali. Nie zdążyli się obejrzeć, a on już swój w domu. Tylko słyszysz: „Terentij Piotrowicz to, Terentij Piotrowicz tamto”.

Benedikt tupał nogami, wściekał się, zawstydział, zaklinał, przemawiał do rozumu, groził, ciągnął za rękaw, ale gdzie tam. „Nie, Beniu, zostaw, jakże bez Terentija Piotrowicza?” I sięgnie, i przyniesie, i rozśmiesz, i pasztet upichci, i róż pochwali, i bielidła.

Zobaczy Oleńkę w kołkach, w śmietanie i jakoby sam do siebie na boku, nie wytrzymujący: „O, kurde, jaka śliczna baba!”.

Sanie ciągnie, pogwizdujący, z piosnkami. Uzdę zaplótł w warkoczyki, szleję ukrasił brzozowymi obrazikami: pośrodku rysowanego bałwana z wąsiskami przybił; z jednej strony baba goła z cyckami, z drugiej napis: OBSŁUGUJE PAŃSTWA TERENTIJ PIOTROWICZ GOŁOWATYCH. Zaprosił Oleńkę, żeby się przyjrzała, a ta od razu: „Dosyć, Benedikt, to

moje sanie! Bierz sobie insze!” Benedikt splunął, ale oddał jej sanie, i to razem z Teresiem. Strasznie już był na niego zły, nawet kopanie mu obrzydło.

A dostał mu się wygenerat Joakim, staruch dychawiczny, charkający. Ciężkim mu w piersiach klekotało a hurgotało, świszczowało a chrypiało. Ledwie nogami taki powłóczy, minie dwa płoty i już się zatrzyma:

- O, Boże Świąty, królowo anielska... Ciężkie nasze grzechy... Oj, zabrał by mnie już Ojciec Wiekuisty...

Wszystko z kaszlem, świstem i flegmą. Nuże charkać i spluwać, a póki wszystkiego nie odpluje, z miejsca go knutem nie ruszysz.

- Mateczko niebieska... i czterdziestu świętych męczenników... zapomnieliście o mnie... i Mikulko święty... ciężki grzesznik ze mnie...

- Dalej, dziadu, dalej, ruszaj się! W domu wyplujesz!

- Oj, nie chce śmiertucha przyjść do mnie... Widać Pana Bogam obraził...

- Piosnkę! Zawadiacką!!!

- Chryyystus zmartwychwstaaaaa jest! Dlaaaa naaas przyklaad daaan jest...

Wstyd było, bo a nuż kto ze znajomych zobaczy? Zęby szczerzyć będzie? Niby że patrzcie, patrzcie na Benedikta! Cóż to za kobyła mu się dostała! Skąd taką wytrzasnął? Abo jeszcze przewisko jakie dadzą!

I czego się lękał, to się stało. Włókł się z Joakimem mimo pusz-kina, ochotę mający popatrzeć, jak on tam stoi, a tu akurat Nikita Iwanycz wlaźł na nasze wszystko i zdejmuje mu z szyi sznur do bielizny. Cóż, zwykła rzecz. Zobaczył hańbę Benedikta i - jakżeby inaczej! - zawołał:

- Jak ci nie wstyd, Benedikt! Starego człowieka zaprzęgać! Pamiętaj, czyim jesteś synem! Poliny Michajłowny! Kto to widział?! Szybciej piechotą dojdiesz!

Hańba niebywała. Benedikt się odwrócił, udał, że nie widzi, nie słyszy, a w domu teściowi się wyplakał: „Łojej, nawet Dawni palcami mnie wytykają, mówią, że zwawiej jeździć trzeba, że mateczki pamięć hańbię! Cholera tam z Teresiem, dajcie mi go z powrotem!”. Ale nic z tego, już Teresio przy inszych robotach zajęty. Kuchennym rabem go uczynili, rzepę skrobie, ptactwo patroszy, sałatki pitrasi.

Dali mu tedy wygenerata najzwyczajszego i średniego, bez żadnych cech szczególnych, a zowie się Nikołaj.

Oleńka nabiła poduszki białym puchem; o ileż miękcej się leżało. Nic nie trzeba robić, ani rąbać, ani ciosać; pieszo chodzić też nie musiał - sańmi dojedzie; jeść - nieprzerwanie proszę - tak że Benedikt nabrał ciała, abo inaczej - utył. Ciężki się zrobił. A nie tyle nawet od

jedzenia się zrobił ciężki, ile od ciężkich myśli. Jakoby napchali mu w duszę gałganów, szmat starych, pozlepianych paprochów: i duszno, i swędzi, i gniece. Leży się, nie leży, a spokoju tak czy siak nie ma.

Gdzieś powinny być książki. Gdzieś powinny.

Wychodził na dwór, na murawę (dopiero co spod śniegu wyrzała), żeby ręce rozprostować... Jak będą robili odjęcie, to żeby letkość była w ręce, obrotność abo wytrenowanie, żeby ośka się nie kręciła, ale latała, jakoby się z ręką zrosła, tak żeby już nijakiej różnicy się nie czuło, gdzie ręka, a gdzie ośka.

Bo teść ciągiem mu przymawiał, że małosprytny, że ludzika zgubił. Spotka Benedikta w korytarzu i głową kręci z przyganą:

- Przecie co to takiego ośka? Ośka to nie kostur! Ona, miły chłopcze, ma nawet linię taką - widzisz? Ze się wygina! A dlaczego? A dlatego że humanitarność w dziele naszym to rzecz najpierw-sza. Wcześniej oczywiście reżim srogi był: jak tylko co, to krótka rozmowa, od razu - dziab! I duch - precz. Wtedy, jasna sprawa, kostur lepszy. A teraz dana jest nam linia insza: z krzywizną abo wygibem. Nie zabijać bowiem trzeba, ale leczyć. Zacołanie w społeczeństwie jest potworne - wyjaśniałem ci przecie - a sztuka ginie. Jeśli nie ty i ja, kto się za sztuką ujmie? No właśnie.

- Ależ, tatusiu, przecie sztuka wymaga ofiar - Oleńka ujęła się za Benediktem.

- Pierwszy blin zawsze przypalony - pociesza teściowa.

- A ty znowu o blinie! Jedno ci tylko w głowie: bliny i bliny!...

Benedikt nie słuchał, wychodził myślami ciężkimi trapiony; gwizdnał na Nikołaja, walił się jak wór na sanie: „Na targowicę!”. Nie zdejmował opończy, tylko kaptur opuszczał na plecy. Czerwony, ciężki, ponury szedł wzdłuż straganów, gdzie mali baszowie porozkładali brzozowe książczyny, swoje koślawe samoróbki. Ludzie milkli, strachali się, kiedy Benedikt zamyślony, z podkrążonymi od bezsennych nocy oczami, z obrzękłymi wystającymi wargami, z sztyrkim spasionym karkiem - aże go kołnierz dusił - ciężkim krokiem sunął do przodu. Sam wiedział, że jest straszny - no i niech tam. Brał książkę, kartkował z obrzydzeniem, a jak basza pisał czasem, że najpierw trzeba zapłacić, to tak popatrzył, że basza już więcej nie pisał.

Tę czytał i tę czytał. A tę? Też czytał, i to całą, a nie kawałki, jak tutaj.

- Gdzie pełny tekst? Pełny tekst powinien być, złodzieje! - chrypiał na baszę, który przysiadł, skurczył się jak wróblík. A Benedikt tykał grubym palicem w korę, przecie i tu ukradli, co za ludzie! Tu rozdział przepuszczą, tam urwą w pół słowa, gdzie indziej linijki przestawią!

- Kory w państwie brakuje - szeptał przerażony basza. - Nie ma komu robić...

- Milczeć!

Niektóry raz trafiało się coś nie do odczytania: rdzawe kulfony, zaginające się linijki, biedy na każdej stronie. Czytać coś takiego to jakoby jeść ziemię z kamieniami. Ale brał. Mgliło go, gardził sobą, ale brał.

Wieczorem, nisko pochylony, palicem wodzący po wybojach i bruzdach kory, wargami ruszający, starał się zrozumieć, co czyta. Oko bowiem odwykło od pisaniny, potykało się, żądało równego, bystrego, starodawnego, czarnego na białym, jasnego na czystym. A tu widać, że małodbały skryba przepisywał, bo pełno kleksów i pokreślone. Gdyby tylko wiedział, który, to zaraz by go głową do beczki!

Do tej mównicy chciwie wzrok przywiera; Słuch się wyteża, mózg się pojąć stara
Każde ze słów - tak ważki jest referat, Gdzie każdy rozdział to epoki miara! (Kleks) (kleks)
(kleks) (kleks)... uczuć na klucz nie zamykamy... Bo dzięki sercom i legitymacjom
Przygniatającą większość głosów mamy (kleks)

I co? Poezji od biedy za półtorej myszy, a biorą dwanaście. Nawet tutaj złodziejstwo.
Benedikt, co prawda, w ogóle nie płacił; dawali mu od razu.

Próbował dawne książki czytać po raz drugi, ale to do nic/ego. Nijakiego wzruszenia, dygotu czy przedsmaku. *Zawsze* wiesz, co się dalej stało. Jeśli książka jest nowa, nieczytana, to aż siódme poty biją, tak się ciekawisz: dogoni czy nie dogoni? Co ona mu odpowie? A on - znajdzie skarb czy nie? Czyli wrogowie mu go sprzątną? A tu wodzisz niemrawo oczami po linijkach i wiesz: znajdzie; dogoni; pożenią się; udusi, i co tam jeszcze.

Nocą, zasnąć nie mogący, wiercił się w miękkim puchu i myślał. Wystawiał sobie gród, uliczki, chaty, ludków, błdził w myślach po znajomych twarzach. Taki Iwan Wołowicz... Ma książkę? Niby nie umie czytać. Co z tego: czytać nie umie, a książkę może mieć... Zdarza się? Zdarza. Zamiast pokrywki do garnca... Grzybale we fasce przygniatać... Złą krwią się zalewał, źle myślał o Iwanie Wołowiczu. Spróbować mu odebrać? Iwan Wołowicz nóg nie ma, spod pach od razu stopy. Osęka tu potrzebna byłaby krótka, z grubą rączką. Ale ręce ma silne. To znaczy, że krótkim nie poradzisz...

Jarosław... Sprawdzić Jarosława? Razem się uczyli czytać, liczyć... On już taki, że jak co schowa, to się nie przyzna. Myślał o Jarosławie. Jak do chaty wchodzi, drzwi na zasuwę. Ogląda się. Do okna podchodzi na paluszkach, pęcherz odsunął: nie patrzy ktoś? Teraz do pieca... Świeczkę tam wtyka: zapalić... Teraz do wyrka... Znowu się obrócił, jakoby coś poczuł. Stoi przez chwilę... Nachyla się, żeby pudło spod wyrka wyciągnąć... Szuka w pudle, szuka... Przełoży z ręki do ręki... Benedikt natężył się: widział go jakoby żywego, tylko

nieważkiego, niecielesnego - świeca przez niego miga i trzeszczy - jakoby wisiał w powietrzu Jarosław jako cień ze snu, szuka i szuka. Niecielesne łopatki drgają, znaczy się, grzebie, a kręgi jako guzki ma na plecach...

Szyroko otwartymi oczami wpatrywał się Benedikt w mrok; przecie to mrok, nic w nim nie ma, prawda? A tu nie - jest Jarosław i tak się przywiąże, że się nie odwiąże! Wierci się człek na poduszkach abo wstanie, żeby zapalić, abo do komórki, abo jeszcze gdzie - ciągiem Jarosław, Jarosław... Powie sobie: „Nie myśl o Jarosławie! Nie znam go!”. Ale gdzie tam! „Jak to nie znam? A ot, plecy jego, on tam przecie grzebie...”. Noc spędzi człek bez snu, wstanie jako chmura gradowa, przy stole wszystko niesmaczne się wydaje, ciągiem coś nie tak, odgryzie się kawałek i rzuci: nie to, nie to... Burknie do teścia: „Może Jarosława sprawdzimy?”. A teść niezadowolniony - podłogę drapie, w oczach przymówkę ma: „Wiecznie ty, zięciu, drobiazgami się zajmujesz, od najważniejszej rzeczy uchylasz...”.

Przed latem oseka fruwała jako ptak. Jarosław sprawdzony - nic nie miał, Rudolf Niemrawy, Cecylia Albertówna, Trofim, Szał-wa - nic; Jakow, Upiór, Michaił, drugi Michaił, Lala Kuternózka, Jewstachij - nic. Benedikt kupił na targowicy „Tablice Brandisa” - same cyffry. Złapać by tego Brandisa i głową do beczki.

Nikogo wokół. Nic. Tylko przestępnoroczna zawierucha w sercu: śliska i lepka, lepka i śliska, i szum w tej zawierusze jakoby głosy dalekie, nieszczęsne - skomlenia cichutkie, skarżą się, a słów nie znają. Abo jakoby w stepie - wyciągają ręce, łążą na wszystkie strony, rozlażyły się, popsute. Łażą na wszystkie strony, ale stron dla nich nie masz; zablądziły, a powiedzieć nie ma komu, a gdyby nawet powiedziały, gdyby spotkały kogo żywego - toby ich nie pożałował, bo mu niepotrzebne. A i nie poznają go, bo one i siebie poznać nie mogą.

- Mikołaj! Do puszkina!

Wilgotna zamieć narzucała puszkiniowi kup śniegu na przygarbioną głowę, na zgiętą rękę, jakoby łąził po cudzych chatach, po komórkach kradł, nabrał dobra, ile się dało - a i marne to dobro, nietrwałe, śmieć jeno - i wyłazi z komory, szmaty do piersi przycisnął, z głowy siano się sypie, ciągiem sypie!

Co, bracie puszkini? I ty też? Też mordowałeś się, męczyłeś po nocach, ciężko stąpałeś po podłodze podrapanej, też cię myśli dręczyły?

Też zaprzęgałeś co zwawszego wygenerata do sań, jeździłeś stęskniony bez celu po zaśnieżonych polach, słuchałeś stukania smętnych dzwoneczków, przeciągłego śpiewu woźnicy?

W przeszłości szukałeś skazówki, przyszłości się lękałeś?

Wznosiłeś się wyżej niż słupek? A kiedyś się wznosił, kiedyś mniemał, żeś i słaby, i groźny, i żalony, i tryjumfujący, kiedyś szukał tego, czego my wszyscy szukamy: białego ptaka, najważniejszej księgi, drogi morskiej - nie zaglądał aby do żonki twej jakowyś gnojek, jakiś Terentij Piotrowicz, fagas, picuś, nadskakiwacz? Mowa jego bezwstydną i pustą po izbach nie brzęczała? Nie zwodził to żonki hokusami-pokusami? „Ja, Olgo Madejównu, jedno miejsce znam... Podziemna woda pen-zin... Rzuca się zapałkę i pierdyk! Lecimy. Chcecie?” Ach, bracie, lećmy w dal!

Powiedz no mi, puszkynie: jak żyć? Ja przecie sam ciebie z głuchej kłody wyrzezałem, głowę ci nachyliłem, rękę zgiąłem. Piers skrzyżować, w serce się wsłuchiwać - co to było? Co to będzie? Byłbyś beze mnie bezokim kłocem, drewnem zwyczajnym, bezimiennym drzewem w lesie, szumiałbyś na wietrze wiosną, jesienią żołądziej ronił, zimą poskrzypywał. Nikt nawet by nie dowiedział się o tobie! Gdyby mnie nie było - nie byłoby i ciebie! Kto cię wrażą władzą z nicości wywiódł? Jam ci to jest! Jam wywiódł!

To prawda, krzywyś mi nieco wyszedł i kark masz płaski, i z paluszkami nieporządek, i nóg nie masz - sam widzę, stolarską sprawę rozumiem.

Ale jaki tam jesteś - cierp, dziecię! Jacy my jesteśmy, takiś i ty, a nie inszy!

Ty jesteś nasze wszystko, a my twoje, i inszych nie masz! Nie masz inszych! No to pomoc daj nam!

- Dajcie książkę - marudził Benedikt. - Nie bądźcie chytry, książkę dajcie!

Nikita Iwanycz popatrzył na Lwa Lwowicza, z dysydentów, a Lew Lwowicz, z dysydentów, patrzył przez okno. Lato, wieczór, pęcherz zdjęli z okna, to i daleko przez okno widać.

- Jeszcze za wcześnie!

- Czemu za wcześnie? Już słońce się chowa.

- Dla ciebie za wcześnie. Jeszcze abecadła nie poznałeś. Dziki człowiek jesteś.

- Step dokoła, step... - ni w pięć, ni w dziewięć powiedział przez zęby Lew Lwowicz.

- Nie poznałem?! - zdumiał się Benedikt. - Ja?! Ależ ja! A idźcie... Wicie, ilem ja książek przeczytał? Ilem przepisał?!

- A choćby i tysiąc...

- Więcej!

- ... choćby i tysiąc, to bez znaczenia, bo czytać w istocie rzeczy nie umiesz. Książka ci nie daje pożytku, to pusty szelest tylko, zbiór liter. Życiowego, życiowego abecadła nie znasz!

Benedikt zaniemówił. Nie wiedział, co powiedzieć. Takie łgarstwo w żywe oczy, tak wprost ci mówią: ty to nie ty, nie Benedikt i na bożym świecie nie żyjesz, i... no już nie wiem co.

- Aleście powiedzieli... Jak to? Abecadło... „a”... „se”... „em”, „fe” też...

- Są i „ef”, i „fita”, i „jąć”, „iżyca”, są też pojęcia dla ciebie niedostępne: delikatność, współczucie, wielkoduszność...

- Prawa jednostki - wserniczył się Lew Lwowicz, z dysydentów.

- Uczciwość, sprawiedliwość, czujność duchowa...

- Wolność słowa, wolność druku, wolność zgromadzeń - to Lew Lwowicz.

- Pomoc wzajemna, szacunek dla drugiego człowieka. Ofiarność...

- A to już zapaszek! - zawołał Lew Lwowicz, *grożący* palicem. - Smrodek! Nie od dziś domyślam się, dokąd pan zmierza ze swoją ochroną pomników! To już wyraźnie traci czymś niedobrym!

W chacie rzeczywiście smrodek się czuło. Słusznie zauważył.

- Nie ma „fity” - sprzeciwił się Benedikt. W myślach przebiegł całe abecadło, przerażony, że może o czymś zapomniał. Ale nie, nie zapomniał, abecadło znał bardzo dobrze na pamięć, a tę miał zawsze wyborną. - Nie ma żadnej „fity”, a po „fe” idzie od razu „che”, i na tym stoimy. Nie ma.

- No i nie obawiaj się, nie będzie - znowu wtrącił się Lew Lwowicz. - I na darmo, Nikito Iwanowiczu, szerzy pan wstecznicstwo i klerykalizm. Aktualny jest bowiem, jak zresztą zawsze był aktualny, protest społeczny. A nie tołstojostwo. Nie po raz pierwszy u pana to dostrzegam. Jest pan tołstojowcem.

- Ja...

- Tołstojowiec, tołstojowiec! Niech pan nie zaprzecza!

- Ale...

- Stoimy, kochany, po przeciwnych stronach barykady. Pan ciągnie społeczeństwo z powrotem. „Do celi ojca Jemieli”. Jest pan szkodnikiem społecznym. Zapaszek! A teraz najważniejsza rzecz to protestować, najważniejsze, żeby mówić: nie! Pamięta pan - kiedyż to było? Pamięta pan, jak wzywali mnie do robót drogowych?

- No?

- Powiedziałem: nie! Powinien pan pamiętać, to było w pańskiej obecności.

- I nie poszedł pan?

- Nie, dlaczego, poszedłem. Zmuszono mnie. Ale ja powiedziałem: nie!

- Komu pan powiedział?

- Panu, panu powiedziałem. Powinien pan pamiętać. Uważam, że to bardzo ważne, by w odpowiednim momencie powiedzieć: nie! Protestuję!

- Protestuje pan, ale do robót poszedł?

- A zna pan kogoś, kto nie poszedł?

- Zlituj się pan, jakież to ma sens... Jeśli nikt nie słyszy...

- A jaki jest sens pańskiej, że tak powiem, działalności? Tych słupów?

- Jak to jaki? Pamięć!

- Pamięć czego? Czyja? Pusty dźwięk! Przelewanie z pustego w próżne! Tutaj właśnie siedzi młody człowiek. - Lew Lwowicz wykrzywił głębię w stronę Benedikta. - Niech młody człowiek, świetnie umiejący czytać, odpowie panu: co i w jakim celu jest napisane na słupie, który wznosi się przed pańską chatką, otoczony łopianem i pokrzywą?

- To drapitrawa - poprawił go Benedikt.

- Nieważne, przywykłem nazywać ją pokrzywą.

- Zwijcie choćby i garncem. Ale to drapitrawa!

- Co za różnica?

- Wsuń rękę, to zrozumiesz.

- Lwie Lwowiczu - zauważył Nikita Iwanycz - może młody człowiek ma rację. Dzisiejsi ludzie odróżniają pokrzywę od drapitrawy; my nie, ale oni rozróżniają.

- Nie, przepraszam - upierał się Lew Lwowicz. - Jeszcze nie jestem ślepy, i proszę bardzo bez fideizmu: widzę pokrzywę i będę twierdził, że to pokrzywa.

- Toć, Lwie Lwowiczu, jest i pokrzywa! A drapitrawa to drapitrawa, drapnie was i poznać, co to drapanie. Z pokrzyw można robić kapuśniak, cienką zupę, bez gadania, ale warzyć można. A z drapki niech no kto spróbuje! Nic na świecie z drapki się nie uwarzy! Neeee - zaśmiał się Benedikt - nigdy z drapki nie będzie zupy. Też mi coś, pokrzywa! *Żadna* pokrzywa. W życiu.

- Dobrze, dobrze - uspokoił go Lew Lwowicz. - No więc, co jest napisane na słupie?

Benedikt wysunął głowę przez okno, zmrużył oczy, przeczytał Dawnym wszystko, co było na słupie: „Brama Nikicka”, siedem brzydkich słów, obrazek sprośny, Gleb i Kława, i jeszcze pięć brzydkich. „Tutaj był Wicia”, „Mima szczęścia w rzyciu”, trzy brzydkie, „Zachar jest sobaka” i jeszcze jeden świński obrazek. Wszystko odczytał.

- I ot, cały napis abo - jak mówią - tekst nieskażony. I żadnej „fity” tam nie ma. „Che” jest, ile chcecie! Raz, dwa... osiem. Nie, dziewięć, w Zacharze dziewięta. A „fity” nie ma.

- Nie ma tam pańskiej „fity” - poparł go Lew Lwowicz.

- A właśnie, że jest! - zakrzyknął oszalały Rozpalacz. - „Brama Nikicka” to jest moja fita, fita całego ludu! Żeby przetrwała pamięć o sławnej przeszłości! I nadzieja na przyszłość! Wszystko, wszystko odbudujemy, a zaczniemy od rzeczy małych! To jest cała warstwa naszej historii! Tutaj był puszkin! Brał ślub!

- Był puszkin - potwierdził Benedikt. - Tu, u nas w szopce się ulągł. Główkę mu wyrzezałem, rączkę, wszystko jak trzeba. Wyście sami wlec pomagali, Lwie Lwowiczu, czyście zapomnieli? Pamięć kiepską macie! Tutaj i Wicia był!

- Jaki Wicia?

- A nie wiem, jaki. Może Wićka Narwany z Górnych Wirów, może Wićka Czuińów, taki żwawy chłopak, młodszy ode mnie. Abo może Wicia Kulawy. Chociaż nie, nie może być, ten by tutaj nie doszedł. Nie, nie dojdzie. On ma nogę w bok wykręconą, stopą do środka...

- O czym ty mówisz, jaki Wicia, co tu Wicia ma do rzeczy?

- Toć stoi tam na słupie! „Tu był Wicia”! No przecieru dopiero co czytał!

- Ale to całkiem nieważne, był to był, mało tu różnych... Ja mówię o pamięci...

- Toć on pamięć po sobie zostawił! Po to właśnie *rzeza]]* Zęby wiedzieli - kto przejdzie mimo - i dobrze pamiętali: był tutaj!

- Kiedyż ty nauczysz się rozróżniać! - zawołał Nikita Iwanycz, rozjątrzony aż do czerwoności, i zaczął machać pięściami. - To pamiętne, historyczne miejsce! Tutaj stała Brama Nikicka, czy ty to rozumiesz?! Neandertalczyku! Tutaj było wielkie, ludne miasto! Tutaj był puszkin!

- Tutaj był Wicia! - zawołał Benedikt, rozpalając się. - Tu byli Gleb i Kława! Kława nie wiem, może w domu siedziała, ale Gleb tu był! Rzezał pamięć! I już! Aha! Już wiem! Znam tego Wicie! To Wiktor Iwanycz, który chował waszą staruchę. Mistrz ceremonii. Na pewno on, nikt inszy. To Wiktor Iwanycz.

- Wiktor Iwanycz nigdy w życiu by nie rył bzdur na słupie - zaprotestowali Dawni. - To absolutnie niemożliwe... Nawet wyobrazić sobie trudno...

- Dlaczego by nie rył? Skąd wiecie? Co to on - głupszy od was czy co? Wy ryjecie, a on niech nie ryje, tak? O bramie to można, ryjcie do woli, a o człowieku nigdy, tak?

Wszyscy trzej milczeli i sapali.

- No tak - powiedział Nikita Iwanycz, wystawiający przed siebie obie dłonie. - Spokojnie. Chwileczkę! Zaraz się skupię i ci wyjaśnię. Dobrze. Pod pewnym względem masz rację. Człowiek jest ważny, na pewno. Ale gdzie jest sedno sprawy? - Nikita Iwanycz złożył

trzy palce razem. - Sedno jest w tym, że ta pamięć - słuchaj uważnie, Benedikcie! - może istnieć na różnych poziomach...

Benedikt splunął.

- Za głupiego mnie macie! Jak z małym dziecięciem!.. Jak on wysoki jak tyka, to i poziom ma inszy! Na samej górze wyryje! A jak karzełek, to nie dosięgnie, na dole napisze! A tu pośrodku akurat dla wzrostu Wiktora Iwanycza. To on, jakże można wątpić!

- Steep dokooła, steeeeep - ni stąd, ni zowąd zaśpiewał Lew Lwowicz.

- Jaaamszczyk koooonie gnaaaaa! - uradował się Benedikt, który piosnkę tę ulubował sobie, zawsze w drodze śpiewał i wygeneratom też śpiewać kazał. - Czuuuje bliiiską śmieeeeerć...

- W oooku blyyyyszczycy lzaaaa!

Zaśpiewali we trzech, Benedikt basem, Nikita Iwanycz ochryple, a Lew Lwowicz głosem takim pięknym, wysokim, rzewnym. Nawet Nikołaj na dworze się zdumiał. Przestał skubać trawkę i popatrzył na śpiewających.

Ty mnie, druhu móóóój Nie wspominaj źleeeeeee, Wykop w stepie gróóób I pochowaj mnieeee!

Tak śpiewało się, taka rzewność, letkość taka w nich wstąpiła, taka zgoda, skrzydła takie, jakoby zadymiona chatynka nie cha-tynką była, ale polaną, jakoby przyroda cała głowę podniosła, obróciła się, zdumiała, gębę otworzyła i słuchała, a ślozy jej tak płynęły, tak płynęły! Jakoby sama Królewska Ptaszycza od siebie, kochanej, się oderwała, oczami najjaśniejszymi na ludków spojrziała i dziwowała się wieldze! Jakoby nie wymyślali sobie dopiero co, serc nie rozpalali, złośliwym zwrokiem nie popatrywali, pogardy wzajemnej na gębie nie przybawiali, jakoby ręce nie swędziały, żeby wziąć i kułakiem w gębę zamalować towarzysza, żeby nie krzywił na cię swojej gębusi, paszczy w bok nie odsuwał, przez zęby nie cedził, warg nie odymał! A i nie za bardzo zeźlisz się, śpiewający, bo wtedy gęba otwiera się równiutko. Jak się pokrzywi, to piosnkę zepsuje: piśniesz nie tym dźwiękiem, zbijesz się z tonu, jakobyś co uronił, wylał! A gdybyś zepsuł piosnkę - to na głupiego wyjdiesz, winnego nie masz, jeno ty! Insi dalej idą, piosnkę wyśpiewują równiutko, ani się zachwieją, a ty jakobyś się potknął po pijaku i gębą w błoto rymsnął, taka hańba!

Zanieś, proszę, wieść Drogiej żonie meeeej...

Lew Lwowicz urwał piosnkę, wałną} głową w stół i zapłakał tak, jakoby szczekał. Benedikt przestraszył się, przestał śpiewać, spojrzął na Dawnego, zapomniał i gębę zawrzcęć, tak i na bukwie „e” została rozwarta.

- Lwie Lwowiczu! Lewku! - Zakrzętnął się Nikita Iwanycz, biegający we wszystkie strony, szarpał płaczącego za rękawek, łapał kubek, ciskał kubek, łapał ręcznik, ciskał ręcznik. - No i cóż pan tak?! Lewku! No, dajże pan spokój! Przecież jakoś żyjemy! Żyjemy, prawda?

Lew Lwowicz tłukł głową o stół to lewą, to prawą stroną, jakoby przeczył tamtemu, i nie chciał przestać.

- Beniu, niech pan da wody! On nie powinien się denerwować; serce ma chore!

Napoił Dawnego, wysuszyli ręcznikiem, a rękami przed nosem pomachali.

- Ładnie pan śpiewa! - pocieszał go Nikita Iwanycz. - Uczył się pan czy to wrodzony talent? Rodzinna tradycja?

- Na pewno... Tato był dentystą - chlipnął na ostatek Lew Lwowicz. - A po mamusi jestem Kozakiem.

JER MIĘKKI

Babskiego tułowia, powiadają, nigdy za dużo, i prawdę mówią. Rozparło Oleńkę wszerz i w ogóle - śliczniej już nie da rady. Gdzie raniej był podbródek z dołkiem, tam ich teraz osiem. Cycki sześć razy większe urosły. Siedzi na pięciu taburetach, bo trzech jej mało. Niedawno musieli poszerzyć drzwi, ale widać poskapili, bo znowu poszerzać trzeba. Inszy mąż by się szczycił. A Benedikt patrzył na całą tę piękność bez żadnego wzruszenia. Nie ciągnęło go ani fiku-miku jej robić, ani łaskotać jej, ani łapać.

- Ty, Benedikcie, nic się na kobiecej urodzie nie znasz. Terentij Piotrowicz, ten to ceni... Idź spać do inszej izby.

A kij jej w oko. Jeszcze przygniecie w nocy, zatłamsi. Benedikt zrobił sobie legowisko w bibliotece. Tam chrapania jej prawie nie słychać. I sygnał prędzej przyjdzie.

Spał, nie rozbierający się, myć się przestał, bo to nudne. Za uszami miał to i owo: kurz, śmiecie, stwory jakieś się osiedliły, niespieszne i wielonogie. Po nocach z miejsca na miejsce przechodzą, krzątają się, może gniazda swoje przenoszą, ale kto taki - nie widać, za uszami przecie są. Nogi też spotniały i się skleiły. To bez różnicy. Leżysz jako trup ciepły; uszy nie słyszą, oczy nie *patrzą*. Ręce, co prawda, mył, bo taki wymóg w robocie.

A gdzie jest to światło? Nie widzę go nigdzie na ziemi.

Wstaniesz, do kuchni pójdziesz, koklet z miski dwoma palcami wyłowisz, trzecim galarytę z niego objesz. I zjesz. Bez żadnego wzruszenia. Zjadłeś to zjadłeś. No i co? Płasać masz z uciechy?

Odciągniesz pęcherz z okna - gęsty deszczyk rosi, w kałuże bije i bije; chmury niskie, całe niebo okryły, w dzień ciemno, jakoby wcale nie switało. Przez podwórze rab idzie - połą siermięgi głowę od deszczu osłonił, kałuże omija, worek siana dźwiga dla wygeneratów. Kiedyś, dawno - o jak dawno, w dawnym życiu! - kiedyś zacząłby zgadywać: pośliznie się czy nie? Upadnie? A teraz patrzysz tępo: tak, pośliznął się rab. Tak, upadł. Ale dawnej radości już nie ma.

Latarnik zapalić je winien, lecz pewnie drzemie. Latarnik drzemie, radości moja...

A ja... cóż tu pocznę?

W sypialnej izbie stuk i huk: Oleńka z Terentijem Piotrowiczem w domino igrają, śmieją się. W inszy czas wdarłby się do izby jako wichler srogi, Terentijowi pysk by rozkwasił, zęby powybił, wykopał z rodzinnych pokojów. Oleńce by też odpowiednio

przyserniczył: złapałby za włosy, za te jej kołki-stukołki, i o ścianę tą śmietankową gębą, i jeszcze! I jeszcze raz! A masz, a masz! I občasami podeptać, i po żebrach, i po żebrach!

A teraz to mu wszystko jedno: igrają, to niech sobie igrają.

Leżysz. Leżysz. Leżysz. Bez jenijuszu, bez natchnienia. Bez łez, bez życia, bez miłości. Może miesiąc, może pół roku, i nagle: cssiii! Jakoby czymś powiało. A to sygnał.

Drgniesz od razu, nastroszysz się. Przyszło czy się pokazało? Chyba się pokazało... Nie! I znowu! Wyraźnie! Na łokciu się podniesiesz, ucho wystawisz, jakobyś słuchał.

Jakoby światełko małe w głowie, jako świeca za uchylonymi drzwiami... Nie przestraszysz go...

Troszeczkę okrzepło światło, widać chyba izbę jaką. Pośrodku izby - nic, a na tym nicu - książka. Kartki się przewracają... Jakobyś do oczu zbliżył, i już można rozróżnić, co napisane...

Wtedy wszystko w ustach wyschnie, serce wali, oczy całkiem oślepną: widzisz tylko książkę i jak się przewracają kartki, ciągiem przewracają! A co się wokół ciebie dzieje, tego nie widzisz, a jeśli nawet widzisz, to sensu w tym nijakiego! Sens, ot, gdzie jest? W książce! Jeno ona jest prawdziwie żywa, a twoje wyrko, taburet czy izba, teść z teściową albo żona czy tam jej miłośnik - nieżywi są, narysowani, same cienie biegnące! Jako od obłoku cień po ziemi przebieży, i nie masz go!

A co za książka, gdzie leży, dlaczego karty się przewracają - ktoś je przewraca? Czy może sama się tak kołysze? Nie wiadomo.

Coś go tknęło - rzucił się i sprawdził Konstantina Leonticza. Jechał mimo, to go tknęło: a jeśli ten ma? Nic nie miał, same ro-bachy na sznurku. Fałszywy to był sygnał.

Bo też jak bywa prawdziwy sygnał, tak bywa i fałszywy. Jeśli prawdziwy, to zwidzenie, które w głowie się tworzy, jakoby krzepło albo, inaczej, gęstsze się robiło. Książka, która się zwidziała, ciągiem ciężaru nabiera: najspierw przezroczysta, wodnista, a po-tym gęstnieje, papier u niej biały albo żółtawy, szorstki, każdą pie-gę, każdą plamkę albo draśnięcie widać, jakobyś z bliska na skórę patrzył. Patrzysz i śmiejesz się z radości, jakobyś zaraz miłować się zamierzał.

A te bukwy: pierwej ślizgają się, skaczą jako mrówy, a potem równymi, czarnymi rządkami się układają i szepczą. Te, które otwarte, albo inaczej rozwarte, jakoby zapraszały: wchodź!

Oto bukwę „o”. Okienko krągłe, jakobyś patrzył przez nie ze strychu na rozgłośny las wiosenny: oj, daleko widać, ruczaje widzisz, polany, a jeślić się poszczęści, jeśli oko wyostrzysz, to i Ptaszy-cę białą, daleką, małą jako pyłek biały. A „pe” to znowuż drzwi,

wejscie! A co za nim? Nie wiadomo, może życie nowe, niesłychane! Jakiego jeszcze nie było!

„Che” albo „że”, te na wywrót - *zagradzają* drogę, nie puszczają, na krzyż przejście zabiły: Nie puszczę. Nie wolno!

„Ce” i „Szcza” mają ogony jako Benedikt przed weselem.

„Cze” jako krzesło obrócone.

„Ge” - jakoby osęka.

Jeśli sygnał prawdziwy jest, wtedy wszystko to: i papier, i bukwy, i obraziki, które przez bukwy widać, i szepty biegnące, i szum jakowyś, i wiater, który od przewracanych kart powstaje - ciepły, kurz niosący - wszystko zageści się, objawi, napłynie, jakąś falą powietrzną obleje. I wtedy wiesz: Tak! To właśnie to! Idę!

Migiem odpada, odwala się, odrzuca, na wyrku zostaje cała ciężkość, rozmemłanie, gęste, mięsne, cielesne przewalanie się z boku na bok; ani mętliku, ani lenistwa, ani błota duchowego, grząskiego, mokrego. Od razu wstajesz, cały letki, cały dźwięczny. W głowie masz cel; wiesz, co robić, skupionyś i wesoły!

Odpadła, mówię, cała ciężkość-zostaje sam poryw! Sam duch!

Sama z siebie, niby najważniejsza, czarodziejska skóra, legła na karku opończa. Pewną obroną sfrunął na twarz kaptur: widzieć mnie nie wolno, ja sam zasię wszystkich widzę na wylot! Oreż tęgi, sam do ręki przyrósł - wierna osęka, zagięta jako bukwa „ge”, ostra jako słowo! „Przepalaj słowem serca ludzi”! Ptasim okrzykiem, wyma-chem ręki przyzywam towarzyszy: Czuj, czuj! Czuwaj!

Cud kolledzy, lotna brygada! Krzykniesz z podwórca abo z ga-leryi - a oni tuż! Jakoby nie spali, nie jedli, a każdy tuzin - jak jeden mąż! Gotowi, naprzód! Surowe, jasne rycerstwo podniosło się i leci, w upał czy w lutą zamieć - nie zna granic ni kordonów pieśni zew!

Wdzieramy się i odejmujemy; ratujemy. Jeśli sygnał prawdziwy był - odejmujemy i ratujemy, bo Księga prawdziwie tam jest. Pozwała, omamiła, dała głos, przywidziała się.

A jeśli sygnał fałszywy - cóż; znaczy się, nic nie ma. Tak jako u Konstantina Leonticza. Nic, okrom śmieci.

Z tym Konstantinem Leonticzem wyszło głupio, a dlaczego? A dlatego że jechał sobie Benedikt sańmi, jako chmura gradowa cały obrzękły, opuchnięty od myśli, a ciemne one i łzawe jako chmury jesienne, a czy na niebie, czy w piersiach, słusznie chwilozofia uczy, nie masz różnicy! Sam i nie widzący siebie, wiedział, że oczy krwią nabiegły, pod oczami się zapadło, ściemniała buźka, kędziory ściemniły się, zlepily, nieczesane, niemyte - głowa

zrobiła się płaska jako łycha; i od palenia w gardle lepkość, jakobyś gliny zjadł. Za róg skręcali i nagle coś nim targnęło: o, tam. W tamtej chacie.

I przecie dopuścił się swywoli, abo inaczej naruszenia techniki, bo nie pomyślawszy, z marszu poszedł sam, bez towarzyszy. Do Nikołaja: - Stój! - Ściągnął wodze, zatrzymał. - Czekał tu. - Narzucił kaptur, kopnął furtkę.

Uczą przecie, że samemu na odjęcie chodzić to swywola, i słusznie uczą. Po świetlaku przecie sam nie pójdziesz? Zmiarkuje się świetlak, że to człowiek, narobi wrzasku, zgaśnie i inszych ostrze-że. Abo się fałszywy okaże? A i w naszym dziele, wszystko tak samo: nauka, ona jest jedyna.

Wrzeszczał Konstantin Leonticz i sprzeciwiał się, i po ręce Benedikta uderzał, strach jak boleśnie. Naukowo to się mówi: utrudniał odjęcie.

Sąsiadów wołał przeraźliwie, ale nie przyszli, przyczaili się. Zerwał kaptur i kiedy poznał Benedikta, piszczał i walił go w głowę.

Drapał silnie i butnie, nawet obalił na ziemi.

A za osęką na próżno rękami chwytał. Osęka ma dwa ostrza, łapać rękami jej nie należy.

Ona nie na to.

Osęka jest na to, żeby książkę złapać, podczepić, podciągnąć, do siebie targnąć; nie kostur to. Po co jest naostrzona? Po to, by niezręcznie było ludzikowi książkę przytrzymywać, kiedy ją odejmują, bo to przecie wszyscy w książkę się wczepiają; dlatego jest naostrzona. Dokazujesz, ale nie utrzymasz: od razu ręce sobie odetniesz, a palce to już wszyscyutkie precz, co do jednego!

I z jednej, i z drugiej strony osęka naostrzona jest okrutnie, stąd też smykałki potrzeba jest, żeby chytać ją i obracać; stąd na każdej odjętej książce nacięcie od osęki bywa, jakoby rana. Niezręczny sanitarz niechący może i książkę zaciukać, a do tego dopuszczać pod żadnym pozorem nie można, nie wolno sztuki niszczyć. Jeśli robota dobra, czysta, to książkę jednym zamachem podrzucić można, najwyżej szramka nieduża się ostanie.

Dlatego pracuje się brygadą, abo inaczej grupą. Jeden towarzysz książkę odejmuje, insi zasię ludków, których w chacie naszli, osękami za ubranie, za kołnierz łapia i zwijają.

A jeszcze do czego osęka się nadaje: jeśli ludzik nadto żwawy, to osęką dobrze mu nogi podciąć, żeby od razu bęcnał. A jakby co, to jest na podorędziu rohatyna. Też instrument naukowy, ale prostszy, a z wyglądu jak bukwa „Y” abo uchwyt. A kto upadł, temu zaraz rohatyną szyję do podłogi przycisnąć, żeby nie wstawał.

Kiedy sanitarze kostury jeszcze mieli, to dziab! I ani zip! A teraz nie mają, teraz humanitarnie.

Pozatym sanitarz pilnować się winien, ręce zawsze musi czyste mieć. Na osęce niezawodnie brud od ludzika zostaje: posoka albo rzygowina, czy co tam jeszcze. Ale ręce muszą być czyste, dlatego Benedikt mył je zawsze.

Bo książkę po odjęciu w rękach będzie trzymał. Jak jedzie nazad.

Taka w ogólności i w szczególności jest technologija albo chwyty, albo naukowa organizacyja pracy. Tylko tak zdaje się, że to proste, a wcale nie. Ciasno jest w chacie i ciemno, jeden na drugiego wpada, wielu tedy się skarży.

Tak że na swywołę miejsca tu nie masz, a Benedikt jak zwykle się jej dopuścił, to i pokaleczył go Konstantin Leonticz, na rękach, na twarzy, na piersi, a i nogę mu wywichnął. A co najgorsze, wszystko na darmo, bo sygnał fałszywy, książki nie było.

Akurat był Październikowy od Roboty Wolny, Konstantin Leonticz zbierał się na coroczne przeliczenie, szmaty - portki, koszulę - prał w cebrzyku. No cóż, nie doliczą się baszy Konstantina Leonticza, będzie o jednego ludzika mniej. Zaznaczą w spisach rządowych: zabrany, wyleczyć go trzeba.

No i skończyło się baszy ludków liczenie.

W grudniu, w najciemniejszej porze roku okociła się Oleńka trojaczkami. Teściowa przyszła, zawołała Benedikta, żeby na pomiot popatrzył, powinszowanie złożył. Leżał wtedy pusty i ciężki, czekał na sygnał, a sygnału nie było. Dobra, pójdzie obejrzeć.

Dziatek troje: jedna jakoby samiczka malutka, piszcząca. Drugi jakoby chłopczyk, ale tak od razu nie powiesz. A trzecie - sam nie wiesz co, a z wyglądu jak kulka, włochate, groźnokształtne. Okrągłe takie. Ale oczy ma. Wzięli je na ręce, żeby polulać, zaśpiewali: „Tutusieńki, tutusieńki, tutu! Kukusieńki, kukusieńki, kuku!”, a ono pych! - odepchnęło ich i na podłogę zeskoczyło, po podłodze potoczyło się kłębkim i uciekło do szpary. Rzucili się je łapać, ręce rozstawiali, taburety, ławy przesuwali, ale nic z tego.

Benedikt powstał, popatrzył jako przez mgłę, powinszował Oleńce pomyślnego pokotu. Poszedł do siebie. Teściowa pobiegła wołać Terentija Pietrowicza, żeby popatrzył, wnuczętami się pochwalić.

Legł na labidzącym, jęczącym wyrku (spora wyleżał sobie jamę przez one lata puste, przez nocy nieradosnych bezlik), chmurzył się, myślał: że uciekło pod podłogę, to pół biedy. Gorzej, gdyby wylazło, książki gryźć zaczęło. Może szpary pozatykać? Deski całkiem sfatygowane. Rodzina nadrapie za dzień całą kuczmę włosów, niektóry raz idziesz, patrzysz,

a tu jakoby głowa na podłogę spadła! Tylko patrzeć, wyjdzie toto, co pod podłogę uciekło, i szast do izby książkowej. Okładkę zje, grzbiet... Tam przecie jest klej... Niekiedy skóra.

Nie miała baba kłopotu... Przecie zje, na pewno zje! Jeść chyba musi? Zewsząd groźba dla sztuki: to od ludzi, to od gryzoni, to od wilgoci! Jakże głupi był kiedyś Benedikt, ślepy jako ci ślepcy na targowicy. Śpiewają-zawodzą, a sami jeno ciemność widzą, nawet w południe! Pojęcia o niczym nie miał jako ten robach! Pytania głupie *zadawał*, czoło marszczył, gębę otwierał szeroko, żeby lepiej się dumało, a dalej nie pojmował.

Czemu to myszy u nas nie ma? Dlaczego myszy nie potrzebujemy? A dlatego że życie mamy duchowe: książki u nas się chowają, sztuka, a myszą wyjdzie i naszą skarbnicę pożre, swymi zębki ostrymi - zyg, zyg, zyg - i wygryzie, wytraci! A ludkowie żyją życiem innym, om w myszy oparcie mieć muszą. Bez myszy nie da rady. Zupa, oczywista, pieczyście, uszyć siermięgę, wymianę na targowicy zrobić, podatek zapłacić, abo inaczej haracz, podymne, poduszne, popieczne, na wszystko myszą potrzebna. Widać dlatego trzymać książek w domu za nic nie wolno! Tutaj już abo jedno, abo drugie.

A dlaczego życie duchowe wzniosłym się zowie? Dlatego że książki zawsze stawia się wyżej, na górne piętro, na półkę. Bo jeśli już zdarzy się takie nieszczęście, że wejdzie stwór do domu, to lepiej skarb wysoko schować. Dlatego właśnie!

A dlaczego teść, teściowa i Oleńka na nogach mają pazury? Dla tego samego! Zęby duchowości pilnować! Zęby stać na straży przed myszami! Mimo się nie przesmykniesz! Dlatego i trzy płoty wokół domu są wystawione! Dlatego i ochrona surowa! Dlatego ob-szukują przy wejściu! Dlatego też choćbyś był nie wiadomo kim, choćby i najprawdziwszym narzeczonym abo innym szczególnym gościem, to myszę ze sobą przenieść możesz nawet niechcący.

Jeśli kołtun masz we włosach - ona tam gniazdo uwić może.

Niekiedy i w kieszeni.

Abo w walonku.

Wszystko jest takie jasne, że już jaśniejsze być nie może, a on tego nie mógł pojąć. Choroby też nie rozumiał. Myślał sobie nie wiedzieć co, a Choroba tkwi w głowach, Choroba to głupota ludzka, dur, swywola, ciemnota, kiedy ludkowie myślą, że to nic, że niech sobie w jednej chacie mieszkają - i książka, i myszą. Też coś! Książka w jednej chacie z myszą! Strach nawet sobie wystawić!

I jakież to upór u tych gadzin! Myślałby kto, że im czytać nie pozwalają, wiersze odejmują abo esej jaki! Po co państwo skrybów zatrudniło, po co Chat Pracy ponastawiało, abecadła uczy, patyczki pisarskie wydaje, korę z brzóz odziera, książki zszywa? Państwo

przecie z tego tylko jeden więcej kłopot ma, frasunek, niespokojność! A wszystko dla ludzi, wszystko dla nich! Nałap sobie myszy, na miłość boską, wymień na książkę i czytaj, trwamać!

Z gniewu ścisnął kułaki, miotał się na wyrku, a w głowie coraz jaśniej i jaśniej się robiło, jakoby przestwór jaki się rozszerzał! Boże! Tak przecie zawsze było, już od starożytności to samo! „Azali nie jest świat jednaki?” Jednaki! Jednaki!

Na ziemi, w tych dolinach niskich, Gdzie chatę nędzna strzecha kryje, Pajęcza nic *związała* bliskich, I ziemską mysz swe gniazdo wije.

Krząta się wartko ludzkie plemię, Lecz nawet w huczne, gwarne święto Każdy samotny - w swym eremie O bryłkę troszczy się zmarzniętą.

Właśnie! I starożytny człowiek taki był, że chuliganił, swywo-lil, książki chował: gdzieś na zimnie, zmarznięte jako bryłka lodu! Teraz wiadomo!

Lecz oto - przez szczeliny płyt kamiennych myszy powysuwały pyszczki podobne do kredowych trójkącików z oczkami żalobnymi z obu stron...

Tak, myszy nie powstrzymasz! W każdą dziurę wlezie!

Życia bieganino mysia...

Czemu ty mnie trwożysz dzisiaj...?

Aaa, bracie puszkinie! Tak! I ty swego dzieła przed gryzoniami strzegłeś! On napisze, a one zjedzą, on napisze, a one - zjedzą! Dlatego się niepokoił! Dlatego tam i sam po śniegu ganiał, po lodowej pustyni! Dzwoneczek dzyń, dzyń, dzyń! Zaprzęgnie wygenerata i w step! Dzieło chował, szukał, gdzieby schować!

Ani ognia, ani chaty,

Pusto, biało, głusz i śnieg,

Tylko mignie słup pasiaty,

Znowu wiorsta, znowu bieg!

[Przel. Józef Waczków.]

Miejsca szukał, gdzie by je zakopać... Wszystko tak się wyjaśniło, że Benedikt usiadł, spuścił nogi z wyrka. Jakże on wcześniej tego... Jak to ukazanie przegapił... No a niedawno... co to śpiewali z Lwem Lwowiczem?

Step dokoła, step Jamszczyk konie gna.

Czuje bliską śmierć, W oku błyszczy łza.

No? Cóż to go w step zanosło, jeśli nie ochota, by książkę schować? Toć o „bryłkę troszczył się zmarzniętą”.

Zanieś, proszę, wieść Drogiej żonie mej, Żem ze sobą wziął Całą miłość jej.

Jaką „miłość”? Książkę przecie! Co inszego można kochać, okrom książki?! Co? „Żem ze sobą wziął”. Żonę prosi, żeby powiedzieć, żeby nie szukała... Bo się spostrzeże... To ci wiersz! Nie wiersz, tylko przypowieść! Pouczenie przystosowane do poziomu ludu!

Dlatego płakał Lew Lwowicz! Pewnie też zakopał i teraz nie może znaleźć! Oj, można się spłakać! Zaśpiewał i przypomniało mu się!

A jakie oni Benediktowi aluzje robili? Benedikt do nich: „Nie macie to - powiada - książeczki do poczytania?”. A oni: „Abecadła nie znasz”. On im na to: „Jak to nie znam, jestem uczony!”. A oni mu: „Step dokoła, step”. Taka aluzja. Przypowieść. Tam - powiadają - książki są zakopane. W domu nie trzymamy.

No tak. A gdzie u nas step? Step jest na południu... Ale czegoż tamten ciągiem powtarza: „Zachód nam pomoże”? A Nikita Iwanycz jemu: „W życiu - mówi - nie pomoże, powinniśmy sami”. To w końcu jak? Gdzie?

Teściowa zastukała do drzwi:

- Dzieci kapiemy! Będziecie patrzeć?

- Nie przeszkadzać!!! - krzyknął przeraźliwie Benedikt, ręką machnął na odlew. - Drzwi zamknąć!!

- Ale kąpiel?

- Drzwi!!

Z myśli wytrąciła, trwamać! Benedikt pospiesznie się odziewał: siermięga, opończa, kaptur. Zbiegł po schodach, gwizdnął na niemrawego Nikołaja, żeby się zaprzęgał.

Poganiał niecierpliwie, przytupywał w saniach walonkiem. Obejrzyć horyzunt. Musowo trzeba obejrzyć horyzunt. Póki jeszcze skąpe światło zimowe nie zgasło - popatrzeć na cztery strony i obejrzyć horyzunt.

Do wieży strażniczej jechał Benedikt, gdzieżby indziej. Nigdy jeszcze na strażniczą wieżę nie włąził, a i kto ludzika na nią wpuści? Zakazane gmaszysko, państwowe - tylko strażnicy i baszowie do wieży są dopuszczani, a dlaczego? Dlatego że widać z niej daleko, a

to sprawa nie dla każdego, państwowa! Nie wolno zwykłemu ludzikowi w dal patrzeć: nie ta ranga! Może tam w dali wojsko jakoweś idzie? Może nieprzyjaciół podły po naszą świetlaną ojczyzną rękę wyciągnął, kijów naostrzył i na nas się wyprawiał! Toż to sprawa państwowa! Nie wolno! Tylko że Benedikta nikt nie powstrzyma, skoro jest sanitarem.

Nie powstrzymali. No jasne.

Wieża strażnicza wyższa jest od najwyższego domu, wyższa niż drzewa, niż aleksandra pyszny słupek. Na górze - izba. W izbie, w ścianach - cztery okna na świat, cztery szpary na cztery jego strony. Powyżej - dach o czterech spadach, jako *czapa*. Baszowie takie noszą. Z dołu patrzysz - wysoko, wysoko w górze pod obłokami państwowi pracownicy, strażnicy mrowią się jako mrówki malutkie, przelażą z miejsca na miejsce, coś tam przenoszą. Na dole ochrona z berdyszami. Benedikt ciężko, etapami wstał z sań spojrział strasznymi oczami przez szkarłatne wycięcia, podniósł osękę - ochrona na twarz padła, w twardą mroźną szren. Wszedł do wieży. Powietrze było ciężkie od zapachu brudnych siermięgi i taniej rdzy: palili surową, nieoczyszczoną, ze słomą i ośmi. Drewniane stopnie dudniły pod nogami. Na kręconych schodach lód bywał żółtawy - potrzebę tutaj załatwiali, zatupywali niedopałki. Na ścianach, pokrytych zamrozem, wydrapywali brzydkie słowa, te co zawsze. Brak duchowości... Wchodził długo, podpierając się osęką, odpoczywał na podestach. Z ust buchały kłęby pary i zatrzymywały się w stojącym, zafajdanym powietrzu.

Na górnym podejściu pracownicy państwa z przestachem się zerwali, spojrzeli na czerwoną opończę.

- Precz! - zawołał Benedikt.

Pracownicy umknęli w tejże chwili, rzucili się na dół w osiem nóg, popychający się, dudniący po schodach.

Z wieży widać daleko. Daleko! I słowa takiego w języku nie masz, żeby wypowiedzieć, jak daleko widać z wieży! A gdyby nawet takie słowo było, to strach je wymówić! Uuuch, dokąd! Do dali najdalszej, do krainy na krańcach, do granicy granicznej, do śmierci! Cały blin ziemski, całe niebieskie utwierdzenie, cały grudzień zimny, cały gród ze wszystkimi swoimi osadami, z ciemnymi, koślawymi chatkami - pustymi i otwartymi, przeczesanymi gęstymi grzebieniami sanitarskich osęk, i jeszcze zasiedlonymi, jeszcze krzątającymi się bezmyślnym, lęklwym, upartym życiem!

O świecie, skurcz się, stań dzielnicą mniej! - wyboistej jezdni pasmem, zapłutym składem bądź, piwnicą, schowaj się w mysiej norze ciasnej...

[Przeł. Andrzej Drawicz.]

Zachód żółty, straszny, wąski widać było w zachodniej szczelinie, i migoczącą wieczorną gwiazdę Ałatyr. Jako mały, czarny kijaszek w płataninie uliczek stał puszkin, jak cieniutka niteczka wyglądał z góry sznur z bielizną, który owinął szyję poety.

Wschód przedstawiał się w inszym oknie jako gęsta sina zasłona, ukrywająca lasy i rzeki, i znowu lasy, i tajne polany, gdzie pod śniegiem śpią kraśne tulepany, gdzie cała w mroźnych koronkach, w lodowatym kraszonym jajcu, z uśmiechem na najjaśniejszym licu zimuje wieczna Benediktowa narzeczona, miłość nieodnaleziona, Królewska Ptaszyca Pawica. I śnią się jej pocałunki, śni się jedwabna murawa, złote muchy, zwierciadlane wody, gdzie się odbija, mnoży, mieni, faluje piękność jej niewypowiedziana, i wzdycha we śnie szczęsnym Królewska Ptaszyca, i o sobie precudnej marzy.

A na południu okrutnie podświetlonym światłem dwoistym - żółtym z zachodu i sinym ze wschodu - na południu ukrywającym nieprzebyte, ośnieżone stopy ze świszczącymi kłębami, ze słupami zamieci, na południu biegnącym, ciągiem biegnącym, ciągiem uciekającym ku sinemu, wietrznemu Morzu-Łoceanowi, na południu, za wąwozem, za potrójnym rowem, na całą szyro-kość okna rozwalił się czerwony, zdobiony, rzezany, farbowany, wielokopulasty, wielopiętrowy dom Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego, Największego Baszy, oby żył długo.

- Haaa! - zaśmiał się Benedikt.

Radość bryznęła pienistym, iskiernym kwasem.

O radości, iskro bogów, kwiecie elizejskich cór!!

[Przeł. Konstanty Ildefons Galczyński.]

Wszystko nagle stało się jasne, przezroczyście jako w strumieniu wiośnianym. Wszystko się odsłoniło jako w południe. Tak! Właśnie! Oto wprost przed nim: nietknięty, nienaruszony, pełen: aż po brzegi kufer, zaczarowany ogród w kwiatach i owocach, w białoróżowej kipieli, ociekający sokiem przynajśodszy jak milion dojrzałych świetlaków! Oto jest, napęczniony od dudniących piwnic do dusznych strychów pałac rozkoszy! Jaskinia Ali Baby! Sezam, kurna!!!

No tak! Prawdać to, na południu! Zachód pomógł! Światło bije z zachodu, gwiazda przewodnia! Wszystko oświeciła! A on domyślił się, zmiarkował, aluzyje pojął, przypowieść zrozumiał i wszystko poskładało się do kupy!

Zmrużył oczy ze szczęścia, mocno zacisnął powieki, pokręcił głową; wyciągający szyję, wsadził głowę w szczelinę, żeby czuć lepiej: wdychał zapach mrozu i drewna, słodkich dymków, które się kosmaciły nad kominami Czerwonego Domu. Z zamkniętymi powiekami widział jakoby lepiej, słyszał ostrzej, czuł wyraźniej; tam, tam, całkiem obok, całkiem blisko, za wąwozem, za rowem, za potrójną ścianą, za wysokim częstokołem - ale przez ścianę można przecie przeskoczyć, pod częstokołem się prześlizgnąć. Teraz warto by miękko, niedosłyszalnie i niewidzialnie zeskoczyć z wieży, przenieść się w wichurze, letkim pyłem przelecieć przez wąwóz, śnieżnym wirem wpaść do dymnika! Pełzający i skaczący zwinnie i daleko, byle tylko nie przegapić, nie zgubić śladu. Bliżej, coraz bliżej domu, byle śladu nie zostawić na śniegu, byle psa na podwórku nie przestraszyć, byle domowych stworów nie spłoszyć!

I upić się, upić, upić bukwami, słowami, stronami, ich słodkim, zakurzonym, ostrym, niepowtarzalnym zapachem! O kwiecie makowy! O złoto moje niezniszczalne, niemierzchnące!

- Yyyyyyyy! - ryknął upojony Benedikt.

- Co zięciu, dojrzałeś? - Z tyłu ktoś zaśmiał się cicho, nad samym uchem Benedikta. Ten wzdrygnął się, otworzył oczy.

- A niech was nie znam, tato! Przestraszyliście mnie!

Teść podkraść się bezszelestnie, nawet deski w podłodze nie drgnęły. Widać pazury schował. Na sobie też miał czerwoną opończę, na głowie kaptur, tylko po głosie i smrodzie znać było, że to teść, Madej Madejowicz.

- To co? - szepnął teść. - Ciuk?

- Nie rozumiem...

- Kusi cię, żeby go ciuknąć? Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego, gotów jesteś zaciukać? Zbrodniarza i dręczyciela? Karla przeklętego?

- Gotów jestem - twardo szepnął i Benedikt. - Tato! Gołymi rękami bym go!

- Złote masz serce! - ucieszył się teść. - No! Nareszcie! Nareszcie! Pójdź, niech cię uściskam!

Benedikt i Madej Madejowicz stanęli objęci i patrzyli na gród z wysokości. W chatach zapaliły się sine światełka, zachód zgasł i pokazały się gwiazdy.

- Złożmy sobie wzajemną przysięgę - rzekł Madej Madejowicz.

- Przysięgę?
- No tak. Żeby wieczna przyjaźń.
- Aha... Dobrze.
- Ja dla ciebie wszystko. Córkę ci oddałem, a jak chcesz, to i żonę odstąpię.
- Nnniekoniecznie. Potrzebny jest nam kant w piersi i spokojne niebo nade głową.

Takie prawo - przypomniał sobie Benedikt.

- Słusznie. I żeby razem przeciwko tyranom. Zgoda?

- Pewnie.

- Zniszczymy gniazdo gnębiciela, dobra?

- Oj, tato, a książek tam jako śniegu!

- Eee, kochany, nawet więcej. A on obrazki z nich wydziera.

- Nie mówcie już, nie mówcie - zazgrzytał zębami Benedikt.

- Nie mogę milczeć! Sztuka ginie! - surowo rzekł teść. - Nie ma większego wroga niż obojętność! Właśnie milcząca zgoda obojętnych jest przyczyną wszelkich zbrodni. Przecie czytałeś „Mumu”? Zrozumiałeś przypowieść? Gierasim tylko milczał i nie sprzeciwiał się, no i psina przepadła.

- Tato, ale jak...

- Nijak, wszystko obmyślane. Zrobimy rewolucję. Tylko na ciebie czekałem... Nocą poleziemy, on nocą nie śpi, ale *strażą* będzie utrudzona. Dobra?

- Ale jakże nocą, kiedy nocą ciemno!

- A ja od czego jestem? Czym to nie luminarz?

Teść wypuścił z oczu promień i zaśmiał się zadowolony. Czysto i jasno, lodowato było w sercu. Nie było żadnej urozy.

JAG

W Czerwonym Domu zapach pleśni - taki znajomy, wzruszający... Z niczym go nie pomylisz. Stary papier, dawne oprawy, ich skóra, ślady złotego pyłku, słodkiego kleju. Nogi pod Benediktem troszkę ugięły się i słabły, jakoby szedł na pierwsze spotkanie z babą. Z babą! A co mu teraz jakaś baba, jakaś Marfuszka czy tam Oleńka, kiedy wszystkie baby tysiącleci: Izoldy, Rozamundy, Julie ze swoimi jedwabiami i grzebieniami, kaprysami i sztyletami - zaraz, zaraz będą jego, teraz i zawsze, i na wieki wieków... Kiedy on teraz, teraz stanie się właścicielem czegoś niesłychanego, niewyobrażalnego... Szachinszach, emir, sułtan, Król-Słońce, kierownik administracji, Prezydent Kuli Ziemskiej, pedikiurzysta, ekonom, archimandryta, rzecznik prasowy, papież, asesor kolegiálny, król Salomon - on będzie nimi wszystkimi... on...

Teść oświetlał drogę oczami. Dwa silne miesięczno-białe promienie oświetlały kurytarze - kurz to zapalał się i pływał w słupach światła, to gasł na chwilę, kiedy teść mrygał - a Benediktowi zaczęło się w głowie kręcić od częstych rozbłysków, od zapachu bliskich okładek i słodkawego odoru, który teść roztaczał z paszczy; a jeszcze ciągiem podrywał głowę, jakoby go kołnierz dusił. Cienie, jako wielgachne bukwy, płały po ścianach - „ge” osęki, „el” ostrego kaptura Benedikta, „że” rozczapierzonych palców ostrożnie obmacujących ściany w poszukiwaniu tajemnych drzwi. Teść kazał stąpać cicho, nogami nie szurać.

- Słuchaj rewolucyi, trwamać!

Rewolucyjniści skradali się kurytarzami, kluczyli, zatrzymywali się, rozglądali, nasłuchiwali. Gdzieś tam przy wejściu leżała żalonna, teraz już martwa ochrona. Co poradzi berdysz abo halabarda przeciwko szybkiej jak ptak osęce o dwóch ostrzach!

Przeszli dwa piętra; wspinali się po schodach, na paluszkach przebiegali wiszące galeryje, gdzie przez okienne pęcherze mocno i straszliwie świecił miesiąc. Czarnymi walonkami bezszelestnie stąpali po oświetlonych deskach. Otworzyła się wewnętrzna, wysoka i zdobiona sień, gdzie pochrapywała pijana - nogi rozwalone, czapy na piersiach - ochrona wewnętrzna. Teść cicho zaklął: „Żadnego porządku w państwie, nic. Wszystko rozwalili Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego!”. Szybko, mocno dziabiący, unieszkodliwili ochronę.

Po sieniach znowu zaczęły się kurytarze i zbliżył się słodki zapach; Benedikt spojrzał w górę i klasnął w dłonie: książki! Na półkach są książki! Boże! Święty, mocny! Ugięły się kolana, Benedikt zadrżał, cicho zaskomlał: „Życia ludzkiego nie starczy, żeby to wszystko

przeczytać! Jako liście w lesie, jako śnieg w zamieci, bez kresu, bezliku! A! A!! A!!!!!!! A może... Może tutaj gdzieś... Może jest i księga tajemna! Ta, w której powiedziane jest, jako żyć trzeba! Dokąd iść! Gdzie serce swe obrócić! Może tę księgę Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, już znalazł i czyta. Na wyrko hop! I ciągiem czyta, czyta! To on, herod, ją znalazł i czyta!!! Tyran, kurna!”.

- Nie odwracaj uwagi! - tchnął mu teść w gębę.

Kurytarze wiły się, zaginały, rozdawały, ginęły w nieznanym czeluści domu. Teść wodził oczami, ale migwały tylko grzbiety książek.

- Powinno tu być przejście - mrucał teść. - Gdzieś tu powinno być przejście. Nie może nie być. Gdzieś musieliśmy pobłądzić...

- „Goniec Północnyyyyyy”!!! Ósmy numer!!! - ryknął Benedikt. Rzucił się, odpychając Madeja Madejowicza; ten się potknął, rymnął o ścianę; padający, oparł się ręką; ściana ustąpiła i zmieniła się w półkę, półka runęła, posypały się z niej książki, a za nią ukazała się sala wielga, wielgachna, po ścianach ciągiem szafy i półki, a w tej sali stołów mnóstwo, książkami zawalonych, a przy głównym stole, otoczony półkolem świec tysiąca, taburet wysoki, na taburecie zasię sam Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, z patyczkiem pisarskim w prawicy; twarz obrócił ku wchodzącym i gębę otworzył zdziwiony.

- Dlaczego bez meldunku? - nachmurzył się Bądź obalony, złaż, tyranie, przeklęty krwio pijko! - wydał teść okrzyk piękny. - Przyszliśmy cię zdjąć!

- Kto przyszedł? Dlaczego was przepuścili? - zaniepokoił się Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego.

- „Kto przyszedł”, „kto przyszedł”? Przyszedł ten, kto miał przyjść!

- Zadrzyjcie, tyrani świata, a wy okażcie męstwo i słuchajcie! - zawołał Benedikt zza ramienia teścia.

- A czemuż to mam „drzeć”? - Fiodor Kuźmicz w końcu zrozumiał, skrzywił gębę i zapłakał. - Cóż to chcecie zrobić?

- Skończyła się twoja niesprawiedliwa władza! Umęczyłeś naród i dosyć! My cię zaraz - osęką!

- Nie wolno, nie wolno mnie osęką! Osęką boliii!

- Widzicie go! Jeszcze żalosne słowa będzie wygadywał! - krzyczał teść. - Bij go! - I sam walnął na odlew. Ale Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, sturlał się z taburetu jak groszek i pierzchnął, a teść trafił w książkę, która zaraz pękła.

- Czemuż, ach, czemuż mnie zdejmujecieeee!

- Źle państwem rządzisz! - zawołał teść straszonym głosem.

Rzucił się z osęką do Najwyższego Baszy, oby żył długo, ale Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, znowu nurknał pod taburet, stamtąd pod stół i przebiegł na drugą stronę izby.

- Jak umiem, tak rządzę! - zapłakał Fiodor Kuźmicz z tamtej strony.

- Rozwaliłeś całe państwo w cholere! Kartki z książek wydzierasz! Łap go, Benedikt!

- Wiersze puszkiniowi kradł! - krzyknął Benedikt, rozpalający serce. - Puszkini to nasze wszystko! A on ukradł!

- Wynalazłem koło!

- To puszkini wynalazł koło!

- Koromysło!

- Koromysło też puszkini!

- I łuczywo!

- Akurat! Jeszcze się upiera!

Benedikt rzucił się, żeby złapać Fiodora Kuźmicza z jednej strony stołu, teść rzucił się dookoła z drugiej strony, a Największy Basza, oby żył długo, znowu nurknał pod stół i przebiegł z powrotem.

- Zostawcie mnie, jestem dobry i miły.

- Sprytny, gnida! - zakrzyczał teść. Ręką o stół się oparł i skoczył, dosłownie jednym skokiem przesadził stół. Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, kwiknął, uciekł pod szafę i wcisnął się tam gdzieś w głąbinę.

- Łap go! - chrypiał teść, szukający i dźgający osęką pod półkami. - Ucieknie! Ucieknie! On ma tu wszędzie tajne przejścia!

Benedikt pobiegł na pomoc. Zadyszani, przeszkadzając sobie wzajemnie, dźgali osękami, gmerali pod półkami.

- Coś mam, jakobym trafił... Ej, tyś młodszy, nachyl się i zobacz... Nie zahaczę go nijak. On to czy nie on?

Benedikt opadł na czworaki, zajrzał pod szafę - ciemno i jakieś fafoły.

- Nic nie widać... Madeju Madejowiczu, poświęcilibyście!

- Boję się przegapić... Dalej, weź osękę ode mnie. Diabli, nie złapię...

Benedikt przejął osękę; stękający, teść opadł na czworaki i puścił snop światła pod szafę.

- Co tu kurzu... Nic nie widać... Nakurzył strasznie...

Pod osęką coś się szarpnęło, jakoby przydzwiewek trzasnęła. Be-nedikt dziabnął z obrotem, ale za późno - stuk, stuk, stuk - za półkami drobne kroczyki przeniosły się wzdłuż ściany w głąb sali.

- Wypuściłeś go, fajtłapo! - krzyknął teść ze złością. - Uczylem cię przecie, uczylem!

- A czemu zawsze ja! Samiście za ubranie go zaczepili!

- Przycisnąć trzeba było! Gdzież on teraz... No, wychodzić, Fiodorze Kuźmiczu! Wychodź po dobroci!

- Nieładnie, nieładnie! - krzyknął Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, spod półek.

- Tam jest! Łap go!

Ale Fiodor Kuźmicz znowu przeleciał.

- Nie wolno mnie łowić, jestem malutki!

- Dźgaj go! Szturchnij go, trwamać!

- Czemu mnie prześladowacie? Idźcie stąd! - pisnął Fiodor Kuźmicz z trzeciego miejsca.

- Podli ludzie! - krzyknął z czwartego.

Teść się rozglądał. Z wyciągniętą szyją i pochyloną głową rozglądał się i Benedikt. Coś szurgnęło pod daleką szafą; zwrócił tam głowę; coś szeleściło pod półkami; Benedikt dał susa w stronę półek, skoczył miękko i daleko. Jeśli zamknie się oczy, to dźwięki lepiej słyszeć. Zamknął tedy oczy, poobracał głową to w jedną stronę, to w drugą. Gdyby jeszcze przycisnął uszy, to byłoby już całkiem dobrze. Nozdrza rozszerzą się - bo można i po zapachu... Gdzie przebiega, tam jego zapach... Tu jest!

- Tu jest! - krzyknął Benedikt. Skoczył, natarł osęką i obrócił; pod osęką coś przenikliwie, cienko zapiszczało. - Trzyyyymaaaam!

Coś pękło; dźwięk był cichy, ale wyraźny; na osęce coś się napięło i oklapło. Benedikt targnął osęką i wywlókł spod półki Najwyższego Baszę, oby żył długo. Ciało wątłutkie, a ile z nim się umordowali. Zdjął kaptur, obtarł nos rękawem. Patrzył. Widocznie grzbiet się złamał, bo główka w bok skrecona i oczka zamknięte.

Teść podszedł. Pokręcił głową.

- Osęka się zapaćkała. Trzeba będzie wyparzyć.

- No a teraz co?

- A sczyść go choćby i do koszyka.

- Rękami?

- Dlaczego rękami? Broń Boże. Papierem go, papieru tu jest pełno.

- Nieee, książek nie drzyjcie! Czytać je będę!

- Tutaj bukw nie ma. Tylko obrazik.

Teść wyrwał portret z książki, zwinął w kulkę, wyciągnął rękę i syczył Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego, z osęki. A osękę wytarł.

- No tak - mrucał teść. - Nikomu nie wolno być tyranem! Też mi nowa moda: tyrania!

A Benedikt nagle poczuł zmęczenie. W skroniach go zabolalo. Przecie od nachylania się odwykł. Siadł na taburet, żeby odsapnąć. Na stole kupa porozkładanych książek. No dosyć. Wszystko jest teraz jego. Ostrożnie otworzył je Dreszcz życia wszystkich ras i wieków w tobie Powraca. *Zawsze*. Dziś. W obecnej dobie.

Wiersz. Zatrzasnął, przejrzał Czyimi losy mrok zawładnie, Tego wir życia nie pochłonie, Jak gwiazda w niebie, tak przepadnie A w górze nowa gwiazda płonie.

Też wiersz. Boże! Boże Święty! Ileż jeszcze nieprzeczytane! Otworzył trzecią:

Jakim *być*, Rusi, pragniesz Wschodem: Wschodem Kserksesa czy Chrystusa?

Czwartą:

Spokój panuje w narodzie? - Nie. Imperator zgładzony. Ktoś gada o nowej swobodzie, Na placach lud zgromadzony.

Wszystko o jednym i tym samym. Widocznie tyran szykował sobie wybór wierszy. Otworzył piątą, z której portret popsuli o Fiodora Kuźmicza, niech się sławi imię jego:

Pośród żywiołów wszędzie człowiek Tyranem, zdrajcą albo więźniem**.

Teść wyrwał książkę Benediktowi, rzucił.

- Bzdurami się zajmujesz! O państwie teraz myśleć trzeba!

- Aha, o państwie... A co?

- Co! Zrobiliśmy razem przewrót, a ten się pyta: co? Porządek trzeba wprowadzić.

Benedikt obejrzał salę: prawdać to, wszystko poprzewracane, taburety do góry nogami, stoły przesunięte, książki walają się byle jak, z półek pospadały, kiedy oni się za Najwyższym Baszą, oby żył długo, uganiali. Kurz opada.

- No i co? Rabów przysłać i niech sprzątają.

- Hebes jesteś! Duchowy, duchowy porządek jest potrzebny! A ty o ziemski się troszczysz! Ukaz pisać trzeba. Kiedy państwowy przewrót się robi, to zawsze pisze się Ukaz. Dalej, kory świeżej mi poszukaj. Tutaj powinna być.

Benedikt obszukał stół, poprzesuwał książki. Jest zwój prawie czysty. Widać Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, dopiero co pisać zaczął.

UKAZ

Ja, Fiodor Kuźmicz Kablukow, niech się sławi imię moje, Najwyższy Basza, obym żył długo, Sekrytarz i Akademik i Bohatyr i Żeglarz i Cieśla, iżem jest w nieustannym o ludzi frasunku, przykazuje:

Właśnie chwilkę swobodną mam, bo tak to cały dzień bez odpocznienia.

Ot, co jeszcze wymyśliłem dla dóbr...

A dalej tylko kresa i kleks: widać wtedy go przestraszyli.

- Dobra. No dawaj, co tu mamy? To wszystko przekreśl. Pisz, charakter masz ładniejszy:

Ukaz Pierwszy.

1. UKAZ PIERWSZY Naczelnikiem teraz będę ja.

2. Tytuł mój będzie Sanitarz Generalny.

3. Mieszkać będę w Czerwonym Domu z podwójną ochroną.

4. Na sto arszynów się nie zbliżać, kto podejdzie - od razu osęką bez gadania.

Madejow

Postskriptum:

Gród odtąd po wieczne czasy zwał się będzie Madejo-Madejów. Wyuczyć mi się dobrze.

Madejow

Benedikt zapisał.

- Dobra. Pokaż, jak wyszło. „Madejow” trzeba większymi literami i z zakreślasem. Przekreśl. I przepisz, żeby nazwisko dużymi bukwami było, wielgimi na paznogieć. Po „we” narysuj takie jakoby pętle w lewo i w prawo. Właśnie. Aha.

Teść podyszał na korę, żeby Ukaz podeschnął; napawał się jego widokiem.

- Dobra. Co by tu jeszcze? Pisz Ukaz Wtóry.

Madeju Madejowiczu! Ukażcie, żeby świąt było więcej.

-Akurat! Podejście masz niepaństwowe! - rozeźlił się teść. - Ukaz podpisany? Podpisany! Nabrał mocy? Nabrał! No to mów do mnie: Sanitarzu Generalny. Zwracaj się, jak należy. Bo pozwalasz sobie.

- A przydatek? Zakłęcie?

- Aha, przydatek. Przydatek. Niech będzie tak: „Życie, zdrowie, siła”. Generalny Sanitarz, życie, zdrowie, siła. Wpisz tam. Tak... Ty też musisz. Chcesz być Zastępcą ds. Obrony?

- Chcę być Generalnym Zastępcą ds. Obrony.

- Co? Już pode mną dołki kopiesz?! - krzyknął teść. - Dołki kopiesz, tak?!

- Co też wy? Wiecznieście taki, jak nie wiem kto! Żadnych dołków. Po prostu tak ładniej: Generalny!

- A czemuż miałyby być nieładnie?! Tylko że dwóch generalnych być nie może! *Zawsze* jest tylko jeden! A ty, jak chcesz, to bądź Zastępcą ds. Obrony i Spraw Morskich.

- Morskich i Łoceańskich.

- A bądź sobie, do jakich chcesz. Pisz dalej. Ukaz Wtóry.

- Święta, więcej Święta.

- Znowu niepaństwowe podejście! Najsamprzód swobody obywatelskie, a nie święta.

- Dlaczego? Co za różnica?

- Dlaczego! Dlatego że tak zawsze rewolucyję się robi: najsamprzód tyrana strąca, potem wyznaczają, kto ma *rządzić*, a potem swobody obywatelskie.

Siedli do pisania, szeleszczący korą. Za oknem zaczęło świtać. Za drzwiami dał się słyszeć szmer, rozmowy szeptem, krzątania. Ktoś zapukał.

- No, kto tam się pcha? Czego chce?

Wszedł rab z pokłonem.

- Przyszła... delegacja przedstawicieli, pytają: no i jak?

- Jakich przedstawicieli?

- Jakich przedstawicieli? - krzyknął rab, obracając się w stronę sieni.

- Ludu! - odkrzyknięto głucho z sieni.

Chyba to Lew Lwowicz krzyknął. Tak, tak, ledwie zdążyli strącić tyrana, a już natręty dokuczają. Już widać usłyszeli. Oj, ci ludzie! Ani chwili spokoju!

- Przedstawiceli ludu jakichś.

- Powiedz: rewolucja przebiegła pomyślnie, tyran został obalony, pracujemy nad Ukazem o wolnościach obywatelskich, nie przeszkadzać, rozejść się do domów.

- Nie zapomnijcie o kserografach! - rozległ się głos z sieni.

- *Jeszcze* mi ukazywać będzie! Kto jest oswobodzicie!? Ja! Przegnać na zbity pysk - rozsierdził się teść. - Drzwi zamknij i nikogo nie wpuszczaj. My tu, rozumiesz, doniosłe papiery układamy, a ten już przeszkadza. Dalej, zastępcu, pisz: Ukaz Wtóry.

- Napisałem.

- Dobra... Wolność... Tu mam zapisane... Instrukcja... Nie widzę... Ty masz młodsze oczy, przeczytaj.

- Eeee.. eee... Pismo koślawe jakieś. Kto to pisał?

- Kto, kto... Ja pisałem. Spisywałem z książki. Konsultowałem się, żeby wszystko było zgodnie z nauką. Czytajże.

- Eee... wolność słoma... a może słona... Nie, nie odczytam...

- To zostaw, idź dalej.

- Wolność... Chyba zgromadzeń?

- Pokaż no. Chyba tak... No tak. Znaczy, jak się zgromadzą, to żeby mieli swobodę. Eee tam, napcha się tuzin do jednej izby, nadymią, aże głowa boli, i źli są potym z nich pracownicy. Pisz: więcej niż trzech się nie gromadzić.

- A jak święto?

- Święto nie święto, nie wolno.

- A jak ich w rodzinie sześcioro? Abo siedmioro?

Teść splunął.

- Co ty mi tu dyjalechtykę wciskasz? Niech wtedy papier złożą, myto zapłacą, to dostaną zezwolenie. Pisz!

Benedikt zapisał: „Więcej niż trzech za Boga się nie zbierać”.

- Dalej: wolność druku.

- To niby co?

- A pewnikiem, żeby starodawne mogli czytać.

Teść się zastanowił.

- Dobra. Chuj z nimi. Niech czytają. Teraz to bez różnicy.

Benedikt zapisał: „książki starodawne czytać się dozwala”. Pomyślał i dopisał: „byle z umiarem”. Tak właśnie Fiodor Kuźmicz, niech się sławi imię jego, zawsze ukazywał. Pomyślał jeszcze trochę. Nie, do czego to podobne? Każdy może brać i czytać? Swobodnie wyciągać ze schowka, rozkładać na stole, a tam może rozlane coś albo napaćkane? Kiedy książkę czytać się zakazuje, to każdy swojej strzeże, czystą szmatą obwiąże, dychać się boi. A jak dozwolone czytać, to pewnie i grzbiet łamać będą albo i kartki wyrywać! Zaczną się obrzucać książkami. Nie! Nie wolno ludziom dowierzać. Co tam: odebrać im i już. Przeczesać gród, osada za osadą, dom za domem, przetrząsnąć wszystko, książki odjąć, na siedem spustów zamknąć... Nie wolno!

Nagle poczuł, że rozumie państwowe podejście!! Sam, bez ukazu rozumie! Hurra! Oto co znaczy w Czerwonym Domu zasiąść! Benedikt rozprostował ramiona, zaśmiał się, wysunął koniuszek języka i starannie przed „dozwala” dopisał „nie”.

- Dobra... Wolność wyzwą... wyznania.

Teść ziewnął.

- Obrzydło mi już to. Dostyc tych swobód.

- Tu jeszcze trochę jest.

- Wystarczy. Co za dużo, to niezdrowo. Przejdziemy do obrony. Pisz: Ukaz Trzeci.

Pomęczyli się z tą obroną do południa. Teściowa przysłała rabów, żeby spytali, kiedyż do domu zawitają, bo obiad wystygł. To im odrzekli, żeby im blinów, pierożków, beczkę kwasu i świece przynieść do Czerwonego Domu. Benedikt, jako Zastępca ds. Obrony oraz Spraw Morskich i Łoceańskich, zapalił się: to ciekawe. Umyślili otoczyć gród płotem, trzema rzędami, żeby łatwiej od Czeczeńców było się obronić. Na płocie, po dwudziestu czterech rogach wzniesić budki i w onych budkach strażę postawić, żeby dniem i nocą w obie strony bystro patrzyła. Z czterech stron zrobić wrota z tarcicy. Jeśli komu w pole pójść potrzeba - sadzić rzepę albo snopy wiązać - to ma dostać w biurze przepustkę. Z rana z przepustką wyjdzie, wieczorem - wróci. Raby w przepustce dziurkę wydlubią albo, jak się teść wyraził, skassują i wpiszą imię: przepuszczony taki to a taki, dziesięcinę oddał. A jeszcze, przemknęło Benediktowi, ten płot to obrona przed kysiem. Jak się płot wzniesie wysoki-przewysoki, to nie przejdzie. A wewnątrz płotu chodź sobie, dokąd chcesz, i ciesz się wolnością. Wolność i Spokój. Puszkina też tak pisał.

Tak! Pozatym jeszcze trzeba obronić puszkina przed ludem, żeby bielizny na nim nie wieszal. Kamienne łańcuchy wyciosać i z czterech stron wokół puszkina na słupach rozwiesić. U góry, nad główką daszek, żeby srajskie ptaki na niego nie paskudziły. I rabów po rogach rozstawić, a szczególnie strażę nocną i strażę dzienną. Do spisu drogowych powinności dodać: deptanie ścieżek doń milionem ludzkich stóp. Zimą ścieżkę oczyścić, latem kwiateczki dzwoneczki dookoła posadzić. Sadzenia kopru w państwie zabronić, żeby śladu po nim nie zostało.

Jeszcze posiedział, jeszcze pomyślał, rozeźlił się: puszkina przecie to nasze wszystko! A Benedikt tym bardziej, Zastępca ds. Morskich i Łoceańskich. Oto co zrobić należy: łodzie wydrążyć wiel-gą, z kijmi i poprzeczkami, jako korab. Nad rzeczką postawić. Puszkina wsadzić na samą górę. Z książką w ręku. Żeby wyżej w chwale stanął niż aleksandra pyszny słup i jeszcze trochę zapasu było.

Niechaj tak stoi mocno i pewnie, nogami w łańcuchach, głową w obłokach, *twarzą* na południe ku stepom bezkresnym i morzom sinym.

- Mojego puszkińa kocham po prostu do niemożebności - westchnął Benedikt.

- Bardziej niż mnie? - nachmurzył się teść. - No, uważaj! Pisz: Ukaz Dwudziesty ósmy. „O środkach bezpieczeństwa pożarowego”.

FITA

- Tatko narzeka, że się od niego odsuwasz przy stole. Obrażasz tatę...
- Pachnie od niego, dlatego się odsuwam.
- Pachnie! Też coś! I czym ci to pachnie?
- Nieboszczykiem pachnie.
- A czym ma pachnąć? Może tulepanem?
- Ale mnie obrzydzenie bierze.
- No to co? Taka praca!
- A ja nie chcę. Niech nie pachnie.
- Patrzcie, jaki delikatny.

Benedikt siedział za szerokim stołem w jasnej sali Czerwonego Domu; odpowiadał w roztargnieniu, z przyzwyczajenia, nie podnoszący oczu. Na powale - pamiętał, nawet nie patrzący - farbowidło kędzierzawe, kwiaty i liście. Które rdzą nafarbowane, te jakoby brązowe, te, które tartymi muszelkami - zielone, a jak sinym kamieniem, to sine. Pięknie! Światło szeroko wchodzi przez okna zakratowane, na dworze lato, trawy i kwiaty, i na powale zawsze lato. Benedikt jadł słodkie szamanki i czytał pismo „Hodowla koni”. Czytał spokojnie, z zadowoleniem: pism tych cały kurytarz, starczy na sto lat. Poczyta pismo, a potem troszkę „Odysei”, potem jakieś Jamamoto albo „Korespondencję z dwóch kątów”, albo wiersze, albo „Konserwację obuwia skórzanego”, albo znowuż Sartra - czego zapragnie, to czyta i już. Wszystko ma. Na wieki wieków amen.

Zajmować się państwowymi sprawami absolutnie nie miał chęci: nudy. Dali ludkom swobody, dali Ukazy - czego im jeszcze trzeba? Nawet Instrukcję dali, to czego chcieć jeszcze? Ciesz się i pracuj.

Umocnić Obronę! Umocnili: ploty, częstokoły, parkany - wszystko, jako mogli, tak poprawili, załatali, dziury pozatykali szmatami, gałganami, czym kto miał. Nieprzyjaciel nie przejdzie, chyba że przez Jakimańskie Błoto, ale błoto to błoto, więc nie przejdzie. Kto mądry by się przez błoto pchał?

Pekińczycką Osadę najpierw zamyślali odgrodzić od grodu spe-cyjalnym płotem, żeby do nas się nie pchali, ale potem jeszcze raz pomyśleli i umyśleli: nie, ani piędzi ziemi nie oddamy.

Przez tydzień siedzieli i rozważali problem: jeśli wstąpimy w konflikt zbrojny z cudzoziemskim państwem i zwyciężymy (a czy jest gdzie jakie insze państwo, tego nie

wiadomo), to jaki haracz brać z pokonanych ludków? Codzienny, tygodniowy, a może i kwartalny?

Rok przestępny, ma się rozumieć, znieśli po wieczne czasy.

Specjalnie ukazali czarnoksiężnikom, czarusiom, wróżom, zielarzom, sztukmistrzom, snowidzom, astrologom, znachorom, mądrym babom i tym, którzy otwierają i zamykają czakry, żeby broń was Panie Boże, w żadnym wypadku nie zajmowali się czarowaniem w trybie prywatnym. Wszyscy czarownicy, a szczególnie zaklinacze deszczu, zaliczeni zostają do pracowników państwowych i zawsze mają spać w odzieniu i w oczekiwaniu natychmiastowego wezwania.

Tytuł teściowi długi i paradny wymyślili i w rządowych papierach rozkazano nazywać go Madej-Pasza, Sanitarz Generalny i Ulubieniec Ludu, Życie, Zdrowie i Siła, Teofrastus Bombastus Para-celzus de Santa Maria y Chimenez Wolfgang Amadeusz Awiczen-na Cheops von Gugenhajm.

Teresio *zapra*gnął się przezwać Piotrowicz-bej, Minister Transportu, Górnictwa i Przetwórstwa Naftowego. A co to znaczy? A znaczy, że całą wodę penzin kazał czerpać wiadrami i cebrami spod ziemi i do piwnicy dźwigać. Woda ładna, nie można powiedzieć, po wierzchu jakoby tęczą się mieniła. Tylko że w smaku paskudna i zapach też nie bardzo. Teresio nad całą siłą pociagową, nad wszystkimi wygeneratami został Naczelnym.

A Oleńka i Fiewronia nijak się nazywać nie zapragnęły, tylko strojów sobie posprawiwały, żeby za każdym razem w nowej sukni jeździć na publiczne kaźnie: łamanie kołem abo języka odjęcie, abo co tam jeszcze.

Nudno.

- ... Tatko się obraża, mówi, że gębę krzywisz. Benedikt! Nie krzyw gęby!

- Idź precz. Czytam.

Benedikt odczekał, kiedy cała Oleńka, calutka, bez reszty, wyjdzie przez szerokie drzwi. Wątek zerwała, gadzina.

- Widzę, że krzywisz na mnie gębę - powiedział teść.

- Głupstwa.

- A przecie jesteśmy przyjaciółmi na wieki. Przysięgę złożyliśmy.

- Mmm.

- Gdzie ty, tam i ja. Oderwijże się od książki!

- No co, co?

Rodzina siedziała przy stole, jadła kanarki z grila i patrzyła na Benedikta z niezadowolaniem - wszyscy, nawet Piotrowicz-bej. Dzieci, Babel i Konkordia, pełzały pod stołem, drapały podłogę pazurami.

- Przesunięcia w strukturach władzy zamyśliłem uczynić, mój chłopcze.

- Tak? Na zdrowie.

- Zamyśliliśmy z Pietrowiczem silnik spalinowy sporządzić. Penzin jest, iskrę oczami dobędę, reszta - w porządku roboczym.

- Boże dopomóż. A ja co mam do tego?

- Potrzebna jest pewna konsolidacja - wtrącił się Piotrowicz-bej.

- Nie mam.

- Ech! Pomoc, pomoc jest potrzebna!

- Zamierzam usunąć Najwyższego Rozpalacza - powiedział teść.

Benedikt pomyślał, że się przesłyszał, założył palicem książkę i wyciągnął szyję.

- Dokąd usunąć?

- Dokąd, dokąd... Stracić! Uszy sobie umyj! - wybuchnął teść. - Całkiem się zaczytałeś, w papierach zaryłeś, państwo zarzuciłeś, a jesteś zastępcą! Stracić go chcę, jako element szkodliwy, łatwopalny! Zgodnie z Państwowym ukazem, który już dawno nabrał mocy! I w gospodarce przez niego ubytek: lud się rozpuścił, piece darmo zapalają, nikt ogniowego nie płaci!

- Teraz, kiedy jest benzyna, na otwarty ogień absolutnie nie możemy zezwalać - potwierdził Teresio. - Mówię to jako Minister Górnictwa i Przetwórstwa Naftowego. Jesteśmy teraz Krajem OPEK. To nie żadne śmichy-chichy, musimy myśleć o eksporcie.

- Na dodatek wykopki robi szkodliwe, pod państwo się podkopuje. Rano wstaniemy, a kraj się zawali.

- I słupy stawia, przeszkadza w swobodnym przejeździe, to już mówię jako Minister Transportu.

- Rewolucja trwa, tu nie ma co się zastanawiać - powiedział teść ze złością. - O czystość szeregów trzeba dbać? Trzeba. Jestem pracownikiem medycznym, nie zapominaj o tym. A wiesz, jaką my, pracownicy medyczni, składamy przysięgę? Nie szkodzić. A on szkodzi. No?! Tak więc szybko zajedź, zwiąż go sznurem. Przywiąż tam, do słupa czy gdzie, byle mocno. Ja bym ludzi posłał, ale on chuchnie i się obroni. A na ciebie nie chuchnie.

- Nie pozwolę tracić Nikity Iwanycza, cóż to znowu?! - zawołał Benedikt. - To stary druh... Bułeczki piekł, puszki razemeśmy rzezali i... i w ogóle!!!

Z ogonem nie chciał się affiszować.

- Pozwolę, nie pozwolę... Nikt cię o zgodę nie pyta! - krzyknął z kolei teść. - Jesteś Zastępcą do spraw Morskich i Łoceańskich, a tu są lądowe! Silnik zbudujemy, po drogach będziemy jeździć! Twoja sprawa to dostarczyć go, żeby nie uciekł!

- A chuj wam w dupę, i to z przytupem!

- Ach tak?! Kosmopolita! - krzyknął Teresio, trącając stół.

- Sam kosmaty, a ubliża! Straszycie czworonogie!

- Jak ty rozmawiasz z Ministrem?! - Teść przechylił się i wyrwał Benediktowi z rąk książkę, rąbnął o podłogę, aże kartki się posypały.

- Kurde! A z was, tato, to w ogóle śmierzdzicie!

- Ach tak?! Aha! - Teść rzucił się ponad stołem, przewrócił talerek i złapał Benedikta krzepkimi, zimnymi rękami za gardło. - No, powtórz, coś powiedział! Powtórz, mówię! Ja cię tu zaraz ogniem...

Wyteżył oczy i zaczął palić Benedikta żółtym, zimnym, drapiącym płomieniem.

- Kończcie te awantury! Przy dzieciach! - wtrąciła się teściowa.

- Kontrolujcie się, tatko!

- A wy co w ogóle? Wy jesteście... jesteście... Kyś, i tyle! - krzyknął Benedikt i sam się przestraszył: wyleci słowo i nie złapiesz go. Przestraszył się, ale krzyknął. - Kyś! Kyś!

- Ja? Ja? - zaśmiał się teść i nagle rozluźnił palce, puszczając Benedikta. - Pomyłka... To ty jesteś kyś.

- Jaaaa?

- A niby kto? Puszkina? Ty! Ty nim jesteś... - Teść śmiał się, głową kręcił, masował zdrętwiałe palce. Światło w oczach wygasił, tylko czerwone ognie buzowały w oczodołach. - Tylko się w wodzie przejrzyj... W wodzie... He, he, he... Sam jesteś kyś... A bać się nie trzeba... Nie trzeba... Wszyscy tu swoi, swoi...

Teściowa też się zaśmiała, Oleńka zaczęła chichotać, Terentij Piotrowicz-bej wyszczerzył zębiska. Nawet dziatki przestały skrobać podłogę, podniosły płaskie główki i zapisały.

- W wodzie się przejrzyj...

Wybiegł z izby precz, ścigany śmiechem całej rodziny.

Co oni wygadują! Co powiedzieli! Ot, jest stodoła, jest beczka z wodą - osłaniający się rękami od światła, wpatrywał się w ciemną, pachnącą bagnem wodę. Nie! Łgarstwo! Fałsz! Widać słabo, ale przecie widać: głowa krągła, choć włosy się przeredziły; uszy na miejscu, broda, nos, oczy. Nie, człowiek jestem! Człowiek! Tak! A chuj z wami!

Opłukał gębę wodą: skóra paliła, piekła, tam gdzie teść przyżegał ją promieniami, i w dotyku zrobiła się szorstka jako bąbelki albo wysypka. Nagle chwyciła go mgłość, jakoby syra się najadł. Odbiegł ku drzwiom, zwomitował na futrynę. Czymś żółtym. To pewnie po kanarkach. Objadł się kanarków. Fuuu, słabość.

Przejsć się chyba trzeba, co? Odetchnąć. Sto lat nie chodził piechotą. Za wrota, za gród. Syknąć na strażę. Z górki. Ku rzece. Przez mostek - do lasu i dalej, dalej, po kolana, po pas, po barki w trawę, tam gdzie kwiaty i muchy, i tajna polana, i miodny wia-ter, i biała Ptaszyca... Aha, czekaj...

Włókł się, powłóczył odwykłymi, słabymi nogami w łapciach i czuł wyraźnie smak wiedzy, którą nagle posiadał: wszystko na nic. Nie ma ani polany, ani Ptaszyca. Wydeptana jest polana, skoszone tulepiany, a Pawica... Pawica, cóż, dawno złapana w sidła, dawno przerobiona na koklety. Sam przecie jadł. Sam spał na poduszkach ze śnieżnego, koronkowego pióra.

Wiedział - a jednak włókł się, włókł, prawie obojętny, jako przed śmiercią albo zaraz po śmierci, kiedy już wszystko się dokonało i nic się nie odmieni - włókł się mimo pól obsadzonych sinawą rzepą, szedł wąwozami pełnymi czerwonej gliny, brnął przez rowy i bajorka z robachami, ciężko wspinał się na pagórki, ślizgał na rozrośniętych grzybalach. Daleko było widać ze *wzgórz*: pola, pola z wypieloną i z niewypieloną rzepą, nowe wąwozy i ciemne zagaje, gdzie chowa się ślepowron, i niewypowiedziane dalekie dąbrowy ze świetlakami, i jeszcze pola, pokąd starczało oka. Mocno i ciepło dał wiaterek ojczysty, szare obłoki brudziły nieboskłon, a na ho-ryzuncie jak sina ściana stały chmury ciemne, gotowe rozplakać się letnimi ulewami.

W zaroślach kruchych sierpniowych skrzypów znalazł zwierciadło ciemnej wody, jeszcze raz jak należy obejrzał swoje odbicie. Dotknął uszu. Zwyczajne. Bzdury rodzina opowiada. Bzdury. Obmacał poliki - na dłoniach posoka od popękanych pęcherzy. Dłonie też zwykłe, szorstkie; przez całą dłoń z przejściem na palce - szeroki odcisk od osęki. Zdjął łapkę, sprawdził nogę, ale i ona zwyczajna, z wierzchu biała, pode spodem ciemnawa od brudu, w końcu to noga. Brzucho. Zad. Ani ogona, ani...

Ej. Chwileczkę. Ogon. Miał przecie ogon. Ogon, kurna. A ludzie chyba nie mają... No, to jak?

Znowu go zemgliło i znowu kanarkami... Nie, nie jestem kyś. Nie!!

A właśnie, że jesteś kyś.

Nie.

Ano, przypomnij sobie.

Nie! Nie chcę! To być nie może! Zaraz pójde, pobiegnę do dom, do wygrzanego łóżka, do książeczek swoich ukochanych, książeczek, gdzie drogi są, konie, wyspy, rozmowy, dzieci na sankach, werandy z kolorowymi szybami, krasawice z czystymi włosami, ptaki z czystymi oczami!

- A czemuś to, Benedykcie, z białego ciała mojego jadł koklety?

- Nie chciałem, nie, nie, nie chciałem, to tamci we mnie pchali, ja chciałem tylko strawy duchowej, a oni mnie okarmili, oplatali, omotali, na plecy popatrywali! To wszystko on - bo nie ma spokoju... Podkrał się z tyłu - i uszy ma przyciśnięte, i płacze, i marszczy blade liczko, i oblizuje szyję zimnymi wargi, a szuka pazurem, żeby żyłkę zacześcić... Tak, to on! Zepsuł mnie, aaa, zepsuł! Może mi się to tylko wydaje, może leżę w gorączce u mateczki w chacie.

Może mateczka się nade mną nachyla, trzęsie za ramię: „Obudź się, obudź, krzyczałeś we śnie... O Boże, cały jesteś mokry, obudź się synku!”

Ja tylko książkę chciałem, nic więcej, tylko książkę, tylko słowo, zawsze tylko słowo, głos - proszę o głos, dajcie, bo nie mam! O, popatrz, nie mam słów! Ani jednego! O, patrz, nagi, rozzuty stoję przed tobą - ani jedno w onucy nie uwięzło, ani jednego pod koszulą nie chowam! We wątpiach? Patrz i we wątpiach go nie ma - już całego mnie na nice wywróciło, nie ma tam nic! Same kiszki! Głodnym! Męcę się!

Jakże to nie ma? A czym mówisz, czym płaczesz, jakimi słowy się lękasz, jakimi we śnie krzyczysz? Czyliż nie błądzi w tobie krzyk nocny, głuchawy mamrot wieczorny, świeży pisk poranny? To przecie ono, słowo - nie poznałeś? To ono kokosi się w tobie, gramoli na zewnątrz! To ono! Twoje słowo! Tak z kamienia, z pnia, z drewna wyłazi, gramoli się głuchy żołądkowy bek i mek - zwija się język ucięty, rozdymają w męce wydarte nozdrza. Tak gęgają zakłęci, pobici, skręcający się, z białymi, zwarzonymi oczami, z wyrwaną żyłą, z przegryzionym karkiem zamknięci w komórkach. Tak pewnie i twój puszkini czy ropuszkini gramolił się - cóż tobie imię moje powie? Puszkin-ropuszkini, czarny, kudłaty bałwan, co na pagórku wyrósł, po wieczne czasy opleciony płotami, po uszy zarośnięty koprem, kloc beznogi, sześciopalczasty, zagryzający język, głowę na pierś zwieszający - nawet głowy nie podniesie! Puszkin zrywający z siebie zatrutą tunikę, sznury, łańcuchy, kaftan, pętlę, drewniane brzemie: puść, puść! Cóż tobie imię moje powie? O czym ty, wietrze nocny, łkasz? Długoż bujać mi po świecie? Czego tobie, staruszkuni, potrzeba? Czemu mnie tak trapisz dzisiaj? Smutno, Ninko, nudno, sennie... Atrament wziąć i płakać! Hej, otwórzcie tę ciemnicę! Czyliż w łeb mi szlaban wlepi inwalida zadzierzy-sty? Jam tu! Jam niewinny! Ja z wami! Ja z wami!

... cały mokry, od stóp w rozkisłych łapciach aż do głów, Bene-dikt łomotał do drzwi Czerwonego Domu, choć wiedział, że go nie wpuszczą, z umysłu nie wpuszczą, zamknęli się na zasuwę, a wiedzą, jak go zażyć. Lało, jako tylko w sierpniu lać może, burzliwym, pieniającym się potokiem oczyszczającym podwórce ze śmiecia, wiórów i obierzyn - mętna piana kręciła paprochy i wynosiła precz z osady pode wrota, na ulice. Wysoko w górze Oleńka otworzyła okno, słowem brzydkim i tuzinem książek rzuciła - masz, czytaj! Poczym okno zatrzasnęła. Benedikt porwał się, żeby własną piersią ratować, podnosić, ocierać - uch, zabić by gadzinę - ale otwarło się i drugie okno. To Terentij Piotrowicz, Minister Górnictwa i Przetwórstwa Naftowego, ze swej strony cisnął cuda śnieżnobiałe, bezcenne, z obrazikami bibułka przykrytymi... Już ich nie zdążył złapać, skarby pacnęły na gnojowisko, chlupnęły i podrygujący, popłynęły... a już z górnego piętra Madej Madejo-wicz silnymi rzutami jeden za drugim posyłał unikatowe egzemplarze na śmierć. Benedikt nie czekał na koniec, bo koniec nie był przewidziany... Przypląśnięte pyski Bąbla i Konkordii już wychyły z okienek, w rączkach dziatki miały roczniki pism, a z tyłu majaczyła teściowa trzymająca dzieci za paski. Zrozumiał. Zrozumiał. To wybór. No więc, kogo będziemy ratować z płonącego domu?

Wybrał od razu.

IZYCA

Koper cały wyplewili i tam, i owam, oczyścili placyk grabiami, podnóże puszkina obłożyli chrustem i rdzą, podetkali polan i u góry przytwierdzili sznurami Nikitę Iwanycza - do naszego wszystkiego, plecami o plecy. Powietrze po ulewie oczyściło się i oddychać było letko, to jest byłoby letko, gdyby nie ślozy.

Benedikt stał przed tłumem z czapką w garści; wietrzyk igrał resztkami jego włosów, zdmuchiwał wilgoć z oczu. Żal było ich obu - i Nikity Iwanycza, i puszkina. Ale stary, można powiedzieć, sam dobrowolnie się zgłosił. Prawie dobrowolnie. Wykazał zrozumienie chwili. Co prawda, Benedikt wszystko mu wyjaśnił, jasno i wyraźnie: „Trzeba. Trzeba, Nikito Iwanyczu. Sztuka ginie z przerażającą szybkością. Wam, Nikito Iwanyczu, widocznie przypadł ten zaszczyt - ponieść ofiarę. Zawszeście chcieli zachować świetlaną przeszłość w całej okazałości? No to bądźcie mądrzy i pokażcie wszystkim, jak się to robi.

To jest, oczywiście, nikt was nie zmusza, proszę, można nie iść. Ale wtedy nabiera mocy Ukaz, dlatego że jest podpisany, a jeśli już Ukaz jest podpisany, to moc przecie mieć musi. I rozmażdziej będzie, a nie sztuka”.

Niemiała to była rozmowa. Niemiała. Niechby oczywiście Nikita Iwanycz żył sobie dalej - ile mu tam odmierzone? Tego nikt nie wie - ale życie wymaga wyborów. Jesteś za sztuką czy przeciw - pyta życie, no i cóż, nastał czas odpowiedzi. Takie to sprawy.

Kiedy niedawno Benedikt popłakał sobie na wzgórzu, pogadał wśród skrzypów sam ze sobą - a jakoby i kto inszy był obecny, ale to zawsze tylko ułuda - rozjaśnił się i okrzepł duchem. Abo rozumem. Na wszystko zaczął patrzeć spokojniej - a to, jak pisał, jest oznaką dojrzałości. Kiedyś wszystko chciał sam! Sam! Wszystko sam! Zęby wyżej niż aleksandra pyszny siup! Drugi człowiek w państwie! Ukazy podpisuje! Masz ci podpisywanie: Ukazy Ukazami, a w cieniu i stołu, i łoża wyrósł niepostrzeżenie Piotrowicz-bej, śmieć paskudny, stwór śmierdzący. Ani się obejrzeli, jak już wszystko chwycił w swoje ręce. Jak to się stało? Dlaczego? Kiedyś Benedikt z tatą - czyli teściem - ścisłą więź taką czuli: razem pracujemy, razem odpoczywamy. Przysięgę sobie złożyli. A teraz Piotrowicz-bej ma wszystkie klucze, blaszki, pen-zin, nawet sztukę. I patrzy zwrokiem mętnym, błyska żółtymi zębami, zupełnie nie po ludzku; a zębami tymi szczyci się i mówi: „Jeszcze jak ryże wstawiłem, to do tej pory nie wyleciały”.

Popycha sukinsyn, żeby wybór uczynić. No i teraz masz: Nikita Iwanycz zgodził się spłonąć na słupie „Brama Nikicka”, ale rodzina nawet słuchać nie chciała. Niech płonie na

puszkinie. Jasne z modrym: to Terentija Piotrowicza robota abo, jako mówią, jen-tryga. To żeby Benedikt musiał wybierać: chcesz zachować sztukę - żegnaj się z puszkinem. Abo - abo.

Ale Benedikt rozjaśnił się, okrzepł i na wszystko zaczął patrzeć spokojniej. Tak więc i ten wybór zrobił od razu, bez oglądania się: sztuka jest cenniejsza.

Tylko słozom przecie płynąć nie zabronisz, tedy płynęły.

Zły jak sobaka Nikita Iwanycz stał na drwach, wykrzykiwał fili-piki, przeklinał cały świat. Przejął się, to jasne. Luda zebrało się na kaźń, aże strach.

Są i znajomi, tylko mało - wszyscy teraz przeważnie na leczeniu. O, tam Lew Lwowicz się krzywi, tam Półtorak trzecią nogą ludków roztrąca. O, Iwana Wołowicza druhowie na plecach przynieśli.

Oleńka i Fiewronia pod koronkowymi parasolkami, na letnich wozach, wystrojone, utuczone, aże uginają się pod nimi osie, a z kół się robią kwadraty.

Madej Madejowicz osobiście wtykał rdzę pod chrust, poprawiał polana, zasapał się, aże zaklął:

- Jasny gwint!

- Co tu mówić o gwincie?! - krzyknął Nikita Iwanycz z rozdrażnieniem. - Srubyście jeszcze nie wynaleźli, łachmyty jedne! I gdzie toto się pcha! Ciemnota, zadufanie, zastój!

- Milcz, Dawny staruchu! - przerwał mu teść. - Sanitarz Generalny, życie, zdrowie i siła, osobiście, tymi rękami ci usługuje! A przecie wolałbym w domu siedzieć, w ciepłe! Mógłbyś chociaż podziękować.

- Rozpalaczu Nikito, czyń swoją powinność i spłoń! - zakrzyczał słabym głosem Szakał Demianycz, który wziął się nie wiadomo skąd.

- Właśnie, Szakału, sto razy panu mówiłem, żeby mnie pan nie tykał - Nikita Iwanycz tupnął o polano. - I nie rozkazywał! Czwarte stulecie mi stuknęło! Chamstwo wasze jeszcze z Dawnego życia mam gdzieś! Racz pan szanować osobę ludzką!

- Za co go pała? - pytano w tłumie.

- Z rusalką żył.

Teść zrobił wymach ręką, wypuścił z oczu promienie i nadał się.

- Tato, tato, ostrożniej, naderwiecie się - denerwowała się Oleńka.

Teść skrzywił oczy ku nosowi, skupił promienie w jednym punkcie, na rdzy, naprężył szyję. Zadymiło się trochę, uniósł się biały, żrący dym, ale bez ognia, bo zawilgotniałe po deszczu drwa nie chciały się zająć.

- Penzinem trzeba by - zaczęto gadać w tłumie. - Penzinem chlusnąć.

- BENzyną - krzyknął z wierzchołka rozeźlony Nikita Iwanycz. - Ile razy mam mówić, uczyć BEN, BEN, BENzyną!!! Barany!

Benedikt, który ślony kułakiem ocierał, szarpnął się, jakoby to jego wołano po imieniu.

- Wszystko jedno już, Nikito Iwanyczu! Co za różnica...

- Nie, nie wszystko jedno! Nie wszystko jedno! Czy tak trudno opanować ortopepię?!

Terentij Piotrowicz wytoczył beczułkę penzinu.

- Zaraz my wam... Zaraz później! Pozdrowienia od taksówkarza numer Sześć!

Tłum ruszył do przodu, zaczął rwetes, następować na nogi, popychać. Benedikt z wyciągniętą szyją patrzył, jak Minister odbija łomikiem napęczniałą pokrywę. Na drwa wody naleje - domyślił się Benedikt. Tylko jak? Jak to woda z ogniem się zejdzie? Życie przeżył, a nie zrozumiał. I jeszcze czegoś... Coś ważnego to było...

- Aha, Nikito Iwanyczu - porwał się Benedikt. - Całkiem zapomniałem! A to bym przegapił! Co za głowa dziurawa! Gdzie szukać tej książki?

- Jakiej książki?

- No tej! Gdzie wszystko jest powiedziane!

- Jasny gwint! - zawołał znowu teść.

- Książki, tej, coście mi opowiadali! Gdzie jest schowana? Co wam teraz szkodzi, przyznajcie się! Ta, gdzie jest powiedziane, jak żyć!

Tęczowa woda chlusnęła, oblała chrust, zaczęła się rozlewać. Zaśmierdziało. Ludkowie rozbiegli się w różne strony, rozmazujący pen-zin łapciami. Tłuszcz porwała opierającego się Benedik-ta, oddaliła go od puszki.

- Nikito Iwanyczu! Dziadku! Gdzie książka? Szybko powiedzcie!

- Ucz się alfabetu! Alfabetu! Sto razy ci mówiłem! Bez tego nic nie przeczytasz! Żegnaj! Uważaj na siebie!

Benedikt, wykręcający szyję, zobaczył, jak Nikita Iwanycz nabiera w pierś powietrza, jak otwiera usta. Widział, jak Terentij Piotrowicz odskakuje od słupa, ale było za późno. Chuuuuuch! - i wał kłębiącego się ognia, niby szalejące na wiosnę drzewo Jucha, zasłonił i puszki, i tłuszczę, i wóz z Oleńką, tchnął żarem w twarz Benediktowi i rozpostarł nad wrzeszczącymi i uciekającymi ludźmi skrzydło czerwone jako ptak zemsty, harpija.

Fffuuch! Łubudu! - walnęło gdzieś za plecami. A Benedikt, obracający się w biegu, zobaczył, jak wał staje dęba, sunie wzdłuż ulicy, wysadza zapasowe beczki z penzinem, jednym chapssem pożera chaty, czerwonym łukiem przerzuca się od domu do domu, zlizuje płoty i częstokoły - tam, ciągiem tam, jak po nitce - w stronę Czerwonego Domu.

Wtedy wpadł do dołu, w trawę, zakrył twarz czapką, i już na nic nie patrzył.

Pod wieczór Benedikt odsłonił twarz, rozejrzał się pustymi oczami: siwe dymki jeszcze pełzały po równinie, ale ogień już się nasycił i uspokoił. Tu i ówdzie sterczał zwęglony szkielet chaty, tu i ówdzie, pośrodku żółtej, skręconej żarem trawy pozostała nietknięta ulica, ale tam w dali, gdzie zawsze piętrzyły się i zewsząd widać było purpurowe makówki z ponawieszanymi kolokulczykami i ukraszającymi fikumikołkami - tam nic nie było widać i nic się nie piętrzyło.

*Step mój czarny, spalona równina,
Nie ma nic, nawet gwiazdy na niebie.
Żem całował - nie moja to wina
Wybacz mi, żem obiecał ci siebie.*

Nad żółtą, spaloną polaną jako czarna kicha stało i kurzyło się to, co do niedawna było puszkinem. Dubelt - drzewo mocne (już tam stolarskie rzemiosło znamy). Benedikt dowlókl się do resztek poety i spojrzął z dołu w zwęglone, rozmyte żarem niegdysiejsze rysy. Bokobrody i twarz spiekły się w jedną masę. Na zgięciu łokcia leżała kupka białego popiołu z biegającymi po niej ogienkami, a wszystkie sześć paluszków odpadło.

U podnóża skurczył się zwęglony trupek. Benedikt popatrzył i ruszył go nogą - Terentij. Tak, to on, jego zęby.

Pachniało spalenizną. Życie się skończyło. Za plecami bałwana ktoś splunął i zaczął się kokosić.

- Podaj rękę, żebym mógł zleźć. Wysoko tu - zachrypiał Nikita Iwanycz.

Czarny jak puszkina - tylko białka oczu miał czerwone od dymu - bez włosów i bez brody, sapiący i jeszcze się dymiący, Nikita Iwanycz oparł się o zmartwiałą rękę Benedikta i zlął z rozwalających się, przepalonych podpórek. Wypluł węgle.

- Życie się skończyło, Nikito Iwanyczu - rzekł Benedikt nieswoim głosem. Słowa dudniły mu w głowie. Jako w pustym kamiennym wiadrze, jak w studni.

- Jak się skończyło, to trzeba zacząć nowe - odezwał się stary gderliwie. - I oderwij choć kawał koszuli, żebym wstyd męski przykrył. Nie widzisz, żem goły? Co za młodzież teraz...

Na zgliszczach, z obiema rękami wczepionymi w swoje długie kudły, błąkał się Lew Lwowicz, z dysydentów, i szukał czegoś w trawie, której nie było.

- Lewku! Niech no pan pozwoli. To na czym się zatrzymaliśmy? - Nikita Iwanycz owijał łądzwie kamizelką Benedikta. - Spinacz do bielizny... Aj, co za leniwi ludzie... Spinaczy nie chcą używać...

Lew Lwowicz podbiegł i powiedział z przyganą w głosie:

- Agrałkę! Zawsze mówiłem: agrałka! Piękny wynalazek cywilizacji angielskiej.

- Nie ma Anglii, kochany. Musimy sami. Nasz drewniany, lipowy wyrób.

- A to już zapaszek! - krzyknął Lew Lwowicz. - To pachnie *gazetą* „Jutro”! Zapaszek!

Nie po raz pierwszy spostrzegam! Zalatuje!

- Wie pan co, Lewku, rozwińmy lepiej skrzydła, odlećmy może w dal?

- Dobrze!

Dawni ugięli kolana, wzięli się za ręce i unieśli w powietrze. Obaj się śmiali: Lew Lwowicz trochę popiskiwał, jakoby się bał kąpać w zimnej wodzie, a Nikita Iwanycz zaśmiewał się basem: cha, cha, cha. Nikita Iwanycz otrząsał popiół z nóg, stopa o stopę, szybciućko, i trochę zaproszył Benediktowi oczy.

- Ej, co tam?! - krzyknął Benedikt, ocierający twarz.

- A nic! - odpowiedzieli tamci z góry.

- Czemuście nie spłonęli?

- A nie chciało się nam! Nie chciało!

- Ale chyba nie umarliście? Co? Czy umarliście?

- A myśl sobie, co chcesz!

Ani radości, ani bólu: Dusza, czy mroczna, czy świetlista, Wzleciała już, a wiatr, co hula, Wystygłym w ślad popiołem ciska.

Moskwa-Princeton-Oxford-wyspaTairi-Ateny-Panormo-Fiodoro-Kuźmiczów-Moskwa
1986-2000

NAUKA ALFABETU

Nazwisko Tołstoj zobowiązuje. Pisarz, który je nosi, powinien pisać naprawdę dobrze. Tatiana Tołstoj to potrafi, a poza tym rzeczywiście jest wnuczką znakomitego pisarza. Nie Lwa jednak, tylko Aleksieja, klasyka literatury radzieckiej, znanego też wszystkim dzieciom w Rosji jako autor *Buratina*, tamtejszej wersji przygód Pinokia. Babka, Natalia Krandijewska, pisała wiersze, kilkakrotnie cytowane w *Kysiu*. Ze strony matki natomiast dziadkiem Tatiany był Michał Łozinski, świetny tłumacz, który przyswoił ruszczyźnie *Don Kichota*, *Boską komedię* i inne arcydzieła literatury światowej. Mająca takie korzenie autorka *Kysia* urodziła się w 1951 roku w ówczesnym Leningradzie i ukończyła filologię klasyczną na tym samym uniwersytecie, gdzie jej ojciec był profesorem fizyki. Następnie wyszła za mąż i przeniósła się do Moskwy; przez kilka lat pracowała jako redaktorka w wydawnictwie. W 1983 roku opublikowała nowelę *Na złotym ganku siedzieli...* Oprócz talentu Tatiana Tołstoj zawsze miała sporo szczęścia. Dość wspomnieć, że chociaż debiut jej nastąpił w czasie, kiedy nikomu nie śniło się o żadnej pierestrojce, to nigdy nie miała kłopotów z drukiem. Pierwszy zbiór prozy Tołstoj ukazał się w roku 1987 i nosił taki sam tytuł jak jej pierwsze opowiadanie. Od tego czasu pojawiło się parę nowych tytułów (*Kochasz-nie kochasz*, *Rzeka Ockerville*, *Noc*), ale na dobrą sprawę jest to ten sam, stopniowo rozszerzany tom nowel. I ów jeden jedyny tom - w sumie dwadzieścia opowiadań - wystarczył, by zapewnić Tołstoj miejsce wśród najlepszych pisarzy rosyjskich!

Tak było do roku 2000, kiedy jej dorobek powiększył się o *Kysia*; o tym zaś, że powieść ma się ukazać, wiedziano już od dawna, co tylko zaostrzyło oczekującym apetyt. Jeśli nawet był to zabieg reklamowy, to i on nic by nie pomógł, gdyby szło o rzecz słabą. Tymczasem *Kyś* odniósł wielki sukces u czytelników, od krytyków zaś dostał prestiżową nagrodę „Triumpf”. Mówiono zresztą, że gdyby nie ona, pisarkę nagrodzono by jeszcze bardziej prestiżowym „Bookerem”. Trzeba przyznać, że Tołstoj zawsze umiała dopomóc swemu talentowi: chociaż lata dziewięćdziesiąte spędziła za oceanem, wykładając literaturę na uniwersytetach amerykańskich, przez cały czas przypominała Rosji o swoim istnieniu, zamieszczając w gazetach artykuły, recenzje i szkice literackie zebrane później w tomie *Dzień*. W duecie z siostrą (ma kilkoro rodzeństwa, wszyscy bardzo się rodzicom udali)

wydała też tom pod takim właśnie tytułem: *Siostry*, gdzie publicystyka jest autorstwa Tatiany, nowelistyka zaś - Natalii. A dziennikarstwem para się do dziś, wraz z Dunią Smirnową prowadzi w telewizji talk-show *Szkoła obmowy*.

Znających pisarstwo Tatiany Tołstoj *Kyś* zaskoczył. Jej opowiadania bowiem zawierały historie zwykłych ludzi, pogrążonych w świecie marzeń, nieumiejących sobie poradzić z życiem, często postępujących wręcz głupio. A choć autorka patrzy na życie trzeźwo, bez sentymentalizmu, nie osądza ich, nie poucza. Po prostu opowiada, natomiast swoją sympatię do bohaterów podkreśla, używając wyszukanego, estetyzującego stylu. Cóż jednak, poza upodobaniem do baśniowych motywów, może z tymi kameralnymi dramatami mieć wspólnego *Kyś*? Czytamy w nim o świecie, który wskutek jakiegoś bliżej nieokreślonego Wybuchu cofnął się do epoki kamiennej. W miejscu, gdzie niegdyś była Moskwa, znajduje się drewniana osada, a raczej skupisko osad, zamieszkałych przez prymitywnych mutantów. *Kyś* nie przestrzega jednak przed skutkami katastrofy jądrowej, chociaż, jeśli wierzyć autorce, zaczęła go pisać w roku awarii czarnobylskiej. Pod względem literackim to utwór postmodernistyczny, wyraźnie pozszywany ze znanych motywów. Szukająca książek tajna policja przybyła tu przecież z *Fahrenheita 451* Bradbury'ego, a „wygeneraci” przerobieni zostali ze Swiftowskich Jahusów. Jeśli już mowa o Swiftcie, to najwięcej pokrewieństw ta antyutopia wykazuje właśnie z osiemnastowieczną powiastką, nie ma sensu więc doszukiwać się w niej prawdopodobieństwa sytuacyjnego, jak to usiłował czynić jeden z krytyków.

Kolejnemu krytykowi książka Tołstoj wydała się spóźnioną satyrą na ZSRR, niepotrzebnie w dodatku napisaną czopowym językiem. Owszem, *Kyś* zawiera sporo zabawnych opisów rzeczywistości nie tyle rosyjskiej, ile właśnie sowieckiej. W Fiodoro-Kuźmiczowie panuje gospodarka zwana uczenie nakazowo-rozdzielczą: pieniądze mają mniejszą wartość niż talony, urzędnicy wedle uznania „rzucają” towary na nieistniejący rynek, a mieszkańcy kupują wszystko jak leci. Zobowiązani są też do udziału w czynach społecznych i w defiladach z okazji październikowego święta. (Młodszy czytelnicy niech się nie dadzą zwieść wyjaśnieniom autorki, dlaczego obchodzi się je akurat w listopadzie: po prostu według starego kalendarza rewolucja wybuchła w październiku, a jej rocznicę obchodzono uroczyście już według nowego). I tak dalej, i tak dalej...

Wszystko to prawda, ale gdyby w *Kysiu* chodziło o wykpienie życia w Sowietach, wątpliwe, by zyskał taką poczytność. Dzisiaj zresztą jest już jasne, że Rosja rządzona przez byłego „sanitarza” sowieckości wcale się nie wyżyła. Ta ukazana w *Kysiu* jest Rosją ponadczasową, w gruncie rzeczy ciągle taką samą. Krainą miłą sercu autorki, *zarazem* jednak

barbarzyńską, rządzoną przez kolejnych samodzierżców, wspomaganych przez aroganckich urzędników i bezwzględnych żandarmów, niezależnie od tego, jak się w danej chwili nazywają. Zła władza nie jest przeciwstawiona społeczeństwu; nie jest ono ani trochę od niej lepsze. Jego członkowie nie ukrywają, że gdyby dopuszczono ich do urzędów, zachowywaliby się tak samo. Tylko nieliczne rozumne jednostki chciałyby to zmienić, ale pozostają im co najwyżej „długie, nocne rodaków rozmowy”, z których nic nigdy nie wynika. Dla każdego coś przykrego... Taki obraz ojczyzny nie świadczy jednak o masochizmie Rosjan, bo przecież nie oni jedni lubią czasem pośmiać się z siebie. A wszystko to napisane jest stylem ludowo-archaicznym, językiem sięgającym epoki Iwana Groźnego, ze słowami użytymi niejednokrotnie w dawnym, pierwotnym znaczeniu. Dla czytelników *Bajek robotów* czy *Cyberiady* Stanisława Lema archaizacja nie powinna być zaskoczeniem, a wprowadzenie gwary wynika z chęci wcielenia się w jednego z „ludków” (w oryg. *golubcziki*). W Rosji taki rodzaj narracji nazywa się skazem; celem jest imitacja opowieści snutej przez kogoś należącego do warstwy mniej wykształconej niż autor.

Sam tytułowy stwór wzięty jest oczywiście z „rysia”; Rosjanie jednak słyszą w tym słowie więcej niż my: nęci ono (na kota woła się: *kiś kiś kiś*) i jednocześnie odstrasza (*kysz*). Taka też jest „Ruś”, następna z dźwiękowych asocjacji; warto też wiedzieć, że nasz „ryś” jest po rosyjsku rodzaju żeńskiego. Poszczególnym rozdziałom nadała autorka nazwy liter przedrewolucyjnego alfabetu: *aż, buki, wiedi, głał* itd. Te jednak, choć skądinąd barwne, nieznanym języka wiele nie powiedzą; woląłem więc zastąpić je nazwami dzisiejszymi, by łatwiej się było domyślić, że to „bukwy”.

Domyślać się trzeba wielu rzeczy, choćby tego, że Nikita Iwanycz stara się upamiętnić autentyczną topografię dzisiejszej Moskwy. Nie wszystkie szczegóły są równie istotne dla zrozumienia książki, ale im więcej kto wie, tym większą ma uciechę. „Puszkina na łodzi” to aluzja do gigantycznego pomnika Piotra Wielkiego, który postawił Gruzin Cereteli, „upiększający” ostatnio Moskwę swymi dziełami. Rówieśnicy tłumacza pamiętają być może z podręcznika reprodukcję obrazu Ilji Riepina *Nie spodziewali się* z powracającym zesańcem, na którego patrzy zdumiona rodzina. Ale już pewnie niewielu zna satyryczne płótno Pawła Fiedotowa *Śniadanie arystokraty* czy też *Demona* Michaiła Wrubla. Przede wszystkim jednak mnóstwo jest odniesień do literatury, bez których książka o kraju tak logocentrycznym obejść się nie mogła. Są jawne cytaty, skrócony kurs poezji rosyjskiej: od Puszkina, Lermontowa, Tiutczewa czy pomniejszych klasyków w rodzaju Jakowa Polonskiego, poprzez poetów Srebrnego Wieku, czyli epoki rosyjskiego modernizmu: Błoka, Gumilowa, Mandelsztama, Wołoszyna, Cwietajewą, Majakowskiego aż do Okudźawy, a nawet autora tekstów grupy

„Akwarium”, Borisa Griebieniczikowa. Są jednak w tekście aluzje, których większość czytelników, nawet rosyjskich, nie zidentyfikuje.

Jest on najróżniejszymi niemi powiązany z ulubioną epoką autorki, Srebrnym Wiekiem. Ot, choćby imię i imię odojcowskie bardziej zabawnego niż srogiego dyktatora kojarzy się z Fiodorem Kuźmiczem Sołogubem, jednym z luminarzy rosyjskiego symbolizmu. Konstantin Leonticz przywodzi na myśl Konstantina Leontiewa, ultrakonserwatywnego myśliciela, katastrofistę, który „krążące po Europie” widmo socjalizmu uznał za nieuchronną przyszłość. Wreszcie główny bohater odziedziczył swoje zlatynizowane imię po poecie Benedykcie Liwszycu. Zrozumienie zaś, dlaczego jest ono „psie”, wymaga wiedzy o piwnicy artystycznej „*Pod Bezpańskim Psem*”, powstałej na krótko przed pierwszą wojną światową. Występowały w niej sławy artystycznego i literackiego Petersburga - symboliści, akmeiści, futuryści. Liwszyc nie był tam główną gwiazdą, ale utrwalił ją w wydanych i u nas wspomnieniach pt. *Półtoraoki strzelec*.

Motyw psa, pojawiający się w modernizmie rosyjskim nie tak rzadko, każe od razu pomyśleć o *Psim sercu*, którego bohater, sympatyczny czworonóg, po skomplikowanej operacji zmienia się w odrażającego typa. Groteska Michaiła Bułhakowa, wydana w „Sojuzie” w sześćdziesiąt lat po napisaniu, stała się literackim przebojem pierestrojki, a nazwisko uczłowieczonego psa - Szarikow - zaczęło być używane zamiennie z terminem *homo sovieticus*. Taką symboliczną operację znajdziemy również w *Kysiu*: ucięcie ogona. Niestety, w walce o duszę Benedykta Nikita Iwanycz przegrywa z szefem policji politycznej, Madejem Madejowiczem (tego już musiałem spolszczyć, bo oryginalny Kudiejar kojarzy się w Rosji jednoznacznie: to imię zbójcy), który dopuszcza zięcia do olbrzymiej biblioteki. Niepozbawiony wrażliwości Benedykt szuka w literaturze jedynie rozrywki, mało tego, w pogoni za nią gotów jest popełnić zbrodnię. Chciałby nawet wyczytać w książkach coś pożytecznego, ale wszystko rozumie opacznie, bo kultura, którą reprezentuje Nikita Iwanycz, jest mu całkowicie obca.

Dramatyczny i do dziś istniejący rozdźwięk między inteligencją a ludem niejednokrotnie znajdował odbicie w literaturze rosyjskiej. Zazwyczaj krytykowała ona inteligencję, w ludzie natomiast doszukiwała się Bóg wie jakich wartości. U Tatiany Tołstoj odwrotnie: inteligencja wypada co prawda przekomicznie, ale budzi sympatię, lud natomiast jest głupi, prymitywny, niezdolny do współczucia, skłonny za to do pogromów; nie tyle nawet krwiożerczy, ile bezmyślnie okrutny. Da sobie wmówić wszystko, pójdzie ślepo za każdym tyranem i nie poczuje z tego powodu najmniejszego wstydu. Winy nieodmiennie będzie upatrywał w innych; tymczasem bestia, której się lęka, tkwi w nim samym.

Mimo, że *Bildungsroman* z Benediktem w roli głównej kończy się fiaskiem, autorka lubi przecież swojego bohatera; inaczej zresztą być nie może. Nic natomiast poza pogardą nie czuje do wygeneratów. Kiedy dwaj inteligenci zaproszą zziębniętego człekozwierza do chaty, ten nie okaże najmniejszej wdzięczności, zwykły ludzki odruch potraktuje jako słabość. Natychmiast wybuchnie czarnoseciną nienawiścią do swoich dobroczyńców, bo to „Żydzi” i „okularnicy”. A kogo Terentij Pietrowicz powiesi sobie przy saniach? „Bałwana z wąsiskami”, czyli Stalina, ulubioną ikonkę sowieckich taksówkarzy. Wygeneraci nie są na pewno ludem w dawnym rozumieniu; to czerń czy też, jak dziś powiedzielibyśmy, masa.

Powiedziałem już, nie odkrywając naturalnie Ameryki, że *Kys* jest książką o Rosji; ale czy tylko o niej? Sądzę, że po prostu o współczesnym świecie, w tym także, a może przede wszystkim, o dawnych „demoludach”. Świadczy o tym tom *Dzień*, bo antyutopia Tatiany Tolstoj właśnie z jej publicystyki, nie zaś z opowiadań wyrasta. Kluczowym fragmentem dla takiego odczytania książki jest ów kilkustronicowy spis tytułów, katalog „Madejowej” biblioteki uporządkowanej przez Benedikta na nowo, na zasadzie skojarzeń: *Hamlet*, *książę duński* i *Świerzb - choroba brudnych rąk*. Jeden z krytyków rosyjskich pośpieszył z zapewnieniem, że ów porządek ani trochę nie jest gorszy od alfabetycznego. Akurat! Niech spróbuje ułożyć tak własny księgozbiór. Porządek ten jest bowiem niepraktyczny, choć my postrzegamy go w pierwszym rzędzie jako groteskowy. No tak, ale to my, wychowani w innej kulturze; można się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie” on budził śmiech. Bo nietrudno zauważyć, że kryje się za nim panujący w dzisiejszym świecie model kultury, przez naszą część Europy bardzo szybko przejmowany, i to bynajmniej nie żywiołowo. Przeciwnie, jest on upowszechniany świadomie i odgórnie, że wspomnę choćby - bagatela! - media i programy szkolne. Kultura, sprowadzona do rozrywki, ulega spłaszczeniu, rozpada się na szereg coraz drobniejszych subkultur i traci uniwersalność. Ten model kultury jest antyinteligentki. Postrzeganie świata w kategoriach historycznych, poczucie hierarchii zjawisk i wynikające z niego poczucie stylu - wszystko to przecież cechuje inteligencję zwaną dawniej twórczą; ta zaś jest obecnie zwalczana jako warstwa stojąca postępowi na zawadzie. Likwidacja inteligencji jako klasy - piękne hasło, nieprawdaż?

Zapominanie, jeden z głównych tematów twórczości Tatiany Tolstoj, jest rzeczą nieuniknioną, równie naturalną jak wymiana pokoleń, ale każde pokolenie coś od poprzedniego przejmuje, i samo stara się przekazać coś nowego następnym. Zmiany te mają jednak charakter ewolucyjny; rewolucja, katastrofa czy Wybuch - wszystko jedno jak to nazwiemy - zrywają ciągłość kultury. Wówczas nikt już nie rozumie strażników pamięci - Dawnych; budzą śmiech i złość, przeszkadzają. Odtąd z pokolenia na pokolenie

przekazywane będą nie myśli, lecz stereotypy. Efektem, a raczej Efektem odcięcia się od przeszłości jest świadomość mitologiczna, akurat taka, jaką mają mieszkańcy Fiodoro-Kuźmiczowa. Przeszłość zlewa się w jedno nieokreślone „kiedyś”. Nie ma zresztą i przyszłości, bo jutro też będzie jakieś nowe dzisiaj, z „dzisiejszym” dzisiaj niemające nic wspólnego. No cóż, to też jest jakaś kultura. Dawne społeczności wiejskie żyły tak przez całe wieki, dlaczegóżby i globalna wioska miała być inna?

Współczesna cywilizacja, pod względem technologicznym szybko i nieustannie prąca do przodu, pod wieloma innymi jest zwyczajnie barbarzyńska. Pośród barbarzyńców, dla których dwa zdania: „Tu był Puszkina” i wydrapane na słupie „Tu był Wicia”, są równorzędne, żyją Dawni, a wcale nie tak rzadko jak w *Kysiu*, ale ponieważ nie bardzo jak się porozumieć, czują się równie osamotnieni. Czy są niepotrzebni? Myślę, że długo jeszcze będą potrzebni, a obecny stan „kraju nad Wisłą, gdzie żyć mi przyszło”, jest taki a nie inny właśnie dlatego, że tępi się w nim inteligencję i wartości, którym zawsze służyła.

Choć autorka *Kysia* prezentuje wizję dość ponurą, robi to w sposób tak dowcipny, że czytelnikowi bynajmniej nie „odechciewa się żyć”. Tak samo z Dawnymi - wcale nie mają zamiaru wymrzeć. Pozwoli też pani Tatiana żyć swojemu głównemu bohaterowi. Zostaje więc nadzieja, bo przecież oferta Nikity Iwanycza pozostaje nadal aktualna: uczyć się alfabetu. Nie tylko tych znanych wszystkim liter. Jest jeszcze parę starodawnych znaków, kasowanych przez kolejne, polityczne czy technologiczne rewolucje, znaków, o których warto i dzisiaj pamiętać. Czytać bez nich, owszem, można. Ale...

Jerzy Czech